

JÓZEF WEYSENHOFF



Syn Marnotrawny



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1905

843.

SYN MARNOTRAWNY

JÓZEF WEYSSENHOFF

32

Tegoż autora poprzednio wydane:

	Rb. k.
Sprawa Dołęgi (szósty tysiąc)	1 80
na papierze czerpanym	4 —
Za błękitami. Z ilustracjami K. Gorskiego	
Wyd. drugie	1 —
w ozdobnej oprawie	1 40
Zaręczyny Jana Bełzkiego. Z ilustracjami	
K. Gorskiego. Wyd. drugie	1 —
w ozdobnej oprawie	1 40
Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego. Wy-	
danie czwarte	1 50

Syn Marnotrawny



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1905



57368

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki

K-367/45/59699

I.

Ktokolwiek wątpi o moralnej powadze domu państwa Dubieńskich, nie należy do ludzi dobrze myślących. Dom ten stał się przybytkiem cnoty i obywatelskiej zasługi, opromienił się tą niejasną, a jednak widoczną aureolą, która otacza skronie wybranych w naszych marnych czasach. Epoka obecna wydała tyle nowych ideałów etycznych, tyle jeszcze i dawnych pokutuje pomiędzy nami, że ogólne uznanie jest skarbem rzadkim, wobec bardzo różnych zapatrywań na powinność i zasługę. A jednak Dubieńscy posiadają ogólne uznanie. Wymagają też dla siebie szacunku z tą wyniosłą prostotą, której pychą nazwać nie można, tak oczywiście szacunek im się należy.

Z rodziny oddawna zamożnej stali się rodziną bogatą, zbierając skrzętnie dobra doczesne, przekonani, że siła pieniędzy nietylko staje się źródłem siły moralnej, ale może tę ostatnią w pewnych wypadkach zastąpić. Etykę zaś chrześcijańską wybornie posiedli i misternie dostroili do

potrzeb większej własności ziemskiej. Zdanie ich, na każdą okoliczność przygotowane, dałoby się rozwinąć w katechizm obywatelski dla blakających się pośród niestabilnych nowożytnych poglądów na życie.

Patryarchalność jest jedną z podwalin ich wielkości; zatem głowa rodu, pan Maciej, streszcza w sobie zalety i zasady rodziny, sam jest żywą jej zasadą. Nie należy do ludzi tak zwanych »sympatycznych«, sympatyczność jest bowiem zawsze pełna ustępstw dla słabości bliźnich, a pan Maciej słabości wszystkie potępia, nie poczuwając się prawie do żadnej. Wyciosany z granitu, nieprzepuszczalny na wpływy, posagowy niby żyjący antenat, stary Dubieński trzyma wysoko swój sztandar, na którym pod klejnotem rodzinnym »Dąb« wypisał godło: »Bóg mnie złamie, ludzie nie zegną«. Ten upór mógłby być pospolity w innym niż pan Maciej człowieku.

O żonie pana Macieja dawno już mówić przestano; umarła młodo, zostawiając troje dzieci.

Starszy syn, Romuald, nadzieja i podpora rodziny, ma lat trzydzieści, mieszka przy ojcu, zaprawiając się do przyszłego przodownictwa. Dla niego to pan Maciej stara się o założenie ordynacyi, która dla wpływu i wielmożności rodziny stałaby się wieczystą ostoją. Romuald fizycznie i moralnie jest nieodrodnym spadkobiercą ojca, przypomina też portrety sławnego przodka, kasztelana Dubieńskiego, który w końcu XVIII wieku

pomnożył znacznie majątek i odnowił splendor starożytnego swego rodu. Jeżeli Romuald przyniósł z sobą na świat jakieś porywy osobiste, jakieś cechy indywidualne, wychowanie okrzesało je i postrzygło, jak te drzewa przeznaczone do szpaleru, którym zakazane są dowolne wybujałości. Dęby Dubieńskich stoją zwartym, wyniosłym szpalerem od kilku już pokoleń. Nawet fizycznie rodzina posiada swój typ osobny, wytworzony może przez zapatrzenie się na siebie samą. Wszyscy prawi Dubieńscy są wysokiego wzrostu, czoła mają wypukłe, oczy jasne, daleko odsunięte ku skroniom, nosy wydatne, nieco miękkie. Te cechy kojarzą się jednak z powagą i godnością postaci. Romuald, ze swym miedzianym wąsem, przypomina starszym znajomym pana Macieja, dziś już siwego. Ojciec przed laty trzydziestu był podobno jeszcze piękniejszy od syna.

Ale najpiękniejszą z rodziny jest ta pełna wdzięku Terenia (»cette charmeuse«), obecnie księżna Kobryńska.

Gdy Dubieńscy zjeżdżają się na jaką uroczystość familijną, ulubioną ich rozrywką jest wspomnianie dawnych i stwierdzanie nowych działań ich uroku na resztę ludzkości. Lenbach tak był podobno oczarowany przez rasową postać księżny Kobryńskiej, że nie zdecydował się nigdy na malowanie jej portretu, mówiąc, że za mało życia mu pozostaje na takie studyum. Pan Maciej cytował z tego powodu Fra Angelica, który w po-

ście i modlitwie gotował się do malowania swych aniołów; dodawał także wspomnienie z własnej młodości, z którego się okazuje, że nasz Juliusz Kossak, skoro malował portret męski na koniu, myślał zawsze o torsie pana Macieja, czego ślad pozostał w wielu obrazach tego malarza. Portret zaś samego pana Macieja przez Kossaka udał się, na nieszczęście, gorzej niż inne.

Gdy na wieczorach z tańcami Romuald prowadził mazura, pan Maciej lubił zwracać uwagę obecnych na ochoczą układność syna:

— Patrzcie, jak Romcio tańczy!... jak za nim spoglądają kobiety!... A jednak kto nas widział lat temu trzydzieści...

I pokręcał spłowiatego wąsa, szukając oczyma, czy kto go pamiętał w owych czasach. Pomniejsi przyjaciele uśmiechali się tęsknie do owych czasów.

Tej pogodnej spoistości, która łączy rodzinę Dubieńskich, nie należy nazywać samochwalstwem; jest to raczej rozrzewnienie, taki skurcz przyjemny, nieodłączny od zupełnych zadowoleń sumienia. Można sobie przyznać, nawet głośno, zalety bijące w oczy. Jest to sprawiedliwość, stosowana do siebie samych.

Że zaś ta sprawiedliwość umie nie tylko chwalić, lecz i karcić, dowodem jest surowy sąd Dubieńskich o ludziach obcych, nie dość zbliżonych do ich ideału cnoty, a nawet, w ostateczności, i o własnych odroślach. Jedna bowiem odrośl:

syn najmłodszy, Jerzy, nie odpowiada wysokim rodzinnym tradycjom. Fizycznie nawet odrodził się od pnia genealogicznego, wdał się w matkę, czarnowłosą i czarnooką, której zasługa jako »mater Dubiensiorum« przyćmiona była nieco przez romantyczny i niepodległy charakter.

— Matka wasza miała w sobie coś buntowniczego. Piękna jej dusza nie doszła na ziemi do naszej starej prawdy.

Takie mgliste zwierzenie uczynił pan Maciej dzieciom, gdy uznał je za dojrzałe.

Jerzy więc ma tęskne, czarne oczy matki, jej twarz regularną, wrażliwą; piękny jest, prawda, ale za to mniej rasowy, bo mniej podobny do Dubieńskich. Przytem ma naturę niepodatną do kultury szpalerowej. Wszelkie usiłowania domowej edukacyi nie zdołały złamać w nim oporu, który stawiał od lat najmłodszych przepisom wypróbowanej doskonałości. Studya uniwersyteckie odprowadziły go jeszcze dalej od rodzinnych ideałów, a podróże po cudzych krajach tak przeszły we zwyczaj, że bardzo rzadko widywano Jerzego w Chojnogórze, głównem siedlisku Dubieńskich.

Jerzy już w szkołach jezuickich pisywał wiersze miłosne, potem na uniwersytecie w Krakowie zadawał się z młodą szkołą literacko-artystyczną, którą dla trudności ściślejszego określenia popolicie przezywamy »dekadentami«. To koczowisko nie cieszy się uznaniem u państwa Du-

bieńskich z Chojnogóry, którzy nie znoszą lekceważenia poważnych tradycji, a przeto i nieokiełzanego nowatorstwa.

Myliliby się jednak bardzo ten, ktoby sądził, że Jerzy Dubieński stał się rozczochranym poetą. Przyjrząwszy się »najmłodszemu« w kołach artystycznych, zapragnął zgłębić i przyswoić sobie inne formy nowożytnego życia, aby następnie stać się gdzieś, jakoś, pewnego rodzaju bohaterem. Wyzwolić się, wzbić się!... Takie pragnienia widniały w jego wyrazistych oczach, nagle olśnionych jakimś wizjami, w jego ruchach niespodziewanych i malowniczych. Dotychczas nie wypowiedział się jasno; w 28-ym roku życia można jeszcze »obiecować«, a obiecujący jest w każdym wyrazie i nad wszelki wyraz. Zgadza się na to szczególnie kobiety, którym Jerzy nie szczędzi hołdów, wyznań i właśnie tych czarujących obietnic. Nawet ojciec przyznaje najmłodszemu synowi umysł niepospolity, oczywiście dziedziczny, ubolewa tylko nad zadziwiającym brakiem poszanowania dla nazwiska swego. Dubieński bowiem nie powinien grzeszyć dlatego, że jest Dubieńskim.

Utyskiwania nad »brakiem zasad« Jerzego są od kilku lat przedmiotem rozmów na zebraniach rodzinnych w Chojnogórze, zwłaszcza teraz, gdy wiadomo, że Jerzy »fatalnie się prowadzi«. Ten eufemizm oznacza w słowniku Dubieńskich pewien rodzaj jawno grzesznictwa we dwoje, tak

jak »brakiem zasad« nazywa się odstępstwo od ustalonego katechizmu rodziny. Dubieńscy mają swój katechizm, swój słownik, swój styl udzielny.

Na ostatnich imieninach pana Macieja, 24 lutego, brak znowu najmłodszego w gronie członków zebranej przy ognisku rodziny. W wielkiej sali bibliotecznej zmierzch zapada, kilka zaś osób, siedząc w kącie przed kominem, spogląda w milczeniu na szyby okien, zmrożone, dopiero co różowe, teraz sine, przez które widać głęboką ponurość zimowego parku z kościstymi zarysami drzew na tle śnieżnem. Ostatnie spojrzenia dnia zaglądają do nieoświetlonego pokoju, gdyż ogień na kominie zaledwie rozniecono, i błękitne języki, obejmujące słup dymu, nie świecą jeszcze i nie rozweselają melancholii zimnych blasków wieczornych, które się skupiły na wielkich oszklonych szafach, zwłaszcza na szafie »religijnej«, noszącej liczbę I, rzymską. Przy tej szafie, w tronowym niby fotelu, siedzi pan Maciej, otoczony mniejszymi fotelami i mniejszymi przedstawicielami rodziny. Gniazdo jest w komplecie oprócz Jerzego: Romuald, księżna Teresa z mężem i stara panna Paulina, siostra Macieja, która poświęciła swój posąg i świeckie widoki dla idei ordynacyi, leżącej im wszystkim na sercu. Dożywa wieku swego w Chojnogórze, przedstawiając życiem i słowem katechizm Dubieńskich dla płci żeńskiej.

Przerwał milczenie pan Maciej, wskazując wymownie jeden pusty fotel przy kominie:

— Czy nie lepiejby mu tu było z nami? czy nie spokojniej w sercu i sumieniu?...

Odezwał się książę Władysław Kobryński, którego charakter zawierał się głównie w tytule, a postać była raczej niewyraźna ze swą ruchliwością nerwową, niepewnem spojrzeniem i jasnym, nastroszonym wąsem.

— Dla Jerzego trzeba było dwóch krzeseł, taki się teraz stał parzysty.

— Władzio żartuje — odrzekł sucho pan Maciej. — Czy chce tym sposobem rozweselić moje imienniny?

Kobryński powstał żywo i pocałował teścia w ramię, a pan Maciej dobrotliwie poklepał go po plecach. Władzio nie dostrajał się do powagi Dubieńskich, miał jednak dużo zalet: kochał oficjalnie żonę, chwalił jej rodzinę i miał tytuł książęcy należycie potwierdzony.

Ale pannę Paulinę niepokoi oddawna ta »parzystość« Jerzego, omówienie używane w rozmowach dla pokrycia jego paroletniego obcowania z kimś, którego nazwiska nie mogła się dowiedzieć. Ciekawość zaś była jedyną jej grzeszną przyjemnością.

— Z kim to Jerzy się trzyma? o kim mówicie?

— Zaplątał się w złe towarzystwo — odpowiedział pan Maciej.

— A w jakie? czy nie mogę wiedzieć?

— Przyczepił się do niego... towarzysz, który go wyzyskuje i wywiera zgubny wpływ na niego.

— Jakiś może socyalista?

— I to zapewne. Nie chcemy go tu nazywać.

Pan Maciej zatoczył ręką i oczyma po sali, a sala rzeczywiście nie wyglądała na to, aby mogła zniesć wymówienie nazwiska panny Karoliny Kulig, o którą naprawdę w tej rozmowie chodziło.

Księżnie Teresie, wtajemniczonej, podobało się nagle to mianowanie »towarzyszem« panny Kulig, którą w poufniejszych jeszcze rozmowach nazywano »złym duchem Jerzego«, albo poprostu »tą istotą«. Księżna była najweselsza z rodziny; umiała połączyć wysokie moralne zalety z pewną pobłażliwością dla estetycznych grzechów cudzych. Uśmiechnęła się teraz tym zastrzyżonym w ciup uśmiechem, który jej zyskał inne familijne przezwisko: »ta dowcipna Terenia«:

— Ciociu! to jest towarzysz z lekkiej chorałgi...

Powstał śmiech stłumiony. Pan Maciej rzucił głową w tył, jakby się bronił od wesołości, a nie mógł jednak przyganiać ogólnie cenionemu dowcipowi córki. Panna Paulina powiodła oczyma po obecnych i, zaczynając rozumieć, zapadła w zgorzszoną zadumę.

— Tereni wolno — rzekł pan Maciej. — Terenia to nasz promień wesołości, nawet w ciężkich smutkach.

Wszystkie oczy spoczęły z lubością na postaci księżny Kobryńskiej: nikt nie wątpił, że Terenia jest promieniem. Tymczasem pan Maciej ciągnął dalej:

— Powziąłem dzisiaj postanowienie. Jeżeli Jerzy nie zmieni gruntownie i odrazu sposobu życia, odbiorę mu pensję.

— Ach, papo! — zawołali prawie wszyscy chórem, a szczególnie ten wyrok podziałał na Romualda. Zakrył twarz rękoma i siedział tak, jakby go blask sprawiedliwości oślepił. Rozmowa o pieniądzech stała się zaraz poważną.

— Tak, moje dzieci, nie widzę innego sposobu.

Zrezygnowane milczenie przerwał ksiązę Władysław:

— Słyszałem, że Jerzy nie opływa w dostatki, że ma nawet długi, o! niewielkie!

— Słyszałem i ja — rzekł pan Maciej uroczyście. — Długów nie zapłacę. My długów nie zaciągamy, ani ja, ani pan kasztelan, ani ty, Romualdzie, prawda?

— Nigdy! — odpowiedział syn pierworodny z męskim oburzeniem.

— Tak... Jerzy nie szanuje wcale naszej tradycji. Trzeba go przemocą wprowadzić na drogę cnoty. Dlatego umyśliłem odebrać mu pensję.

Romuald odjął ręce od twarzy; siedział pośpny, już przekonany o niechybności wyroku ojca. Panna Paulina próbowała błagać:

— Macieju! może na połowę?...

— Nie, Paulinko... Półśrodki nie są nam znane, gdy chodzi o zasady. Próbowałem listownie i przez zaufane osoby nawrócić Jerzego do uczciwego życia; nie posłuchał. Najlepszym tego dowodem jest znowu nieobecność jego na naszym zjeździe rodzinnym. Nawet listu niema, ani telegramu. Nawet nie wiemy, gdzie się dzisiaj znajduje.

— Owszem, wiem — odezwał się ksiązę Kobryński. — Był w Paryżu, widział się ze stryjem Tadeuszem, a teraz jest w Nizzy.

— Skąd Władzio wie o tem?

— Skąd wiesz o tem?

Zarzucono go pytaniami, a on, jedyny niezupełnie Dubieński w towarzystwie, począł kręcić się na krześle.

— Pisano mi... to jest... pisał mi.

— Wiesz napewno?

— No... wiem.

— Skoro więc Władzio jest powiadomiony, to może wie także, czy Jerzy sam pojechał do Nizzy, czy... z towarzyszem?

— Tego nie wiem, ale są w liście jakieś aluzje, coś o uczuciach napelniających pierś jak pieśń... coś bardzo niewyraźnego. Zadziwiło mnie to tylko, że mówi o nowych uczuciach? Miał przecie czas oswoić się.

— Poeci zmienni są — wtrąciła misternie Teresa.

— Coraz lepiej. No, a czy nie pisał, jak przy-

jął go stryj Tadeusz? — zapytał pan Maciej, topiąc w zięcia wzrok jeszcze bardziej badawczy.

Teraz Kobryński poczuł ważność swego głosu w radzie i zaczął perorować:

— Te dwie natury, stryj i Jerzy, są bardzo pokrewne. Obaj niespokojni, szukają innych dróg, niż zwykle; obaj mają taki pęd... rozumie ojciec? do nienaturalnego życia...

— Nie o to pytam — przerwał pan Maciej — ale w jakich są teraz stosunkach?

— Sądzę z listu, że w najlepszych. Nawet przypuszczam, że stryj musiał dać Jerzemu pieniędzy.

Pan Maciej załamał ręce:

— Tadeusz! Jerzy!... rany mojego życia!

Zasepił się i pomilczał chwilę, poczem rzekł stanowczo:

— Tem śpieszniej czynimy naszą powinność. Romualdzie! Napisz do Jerzego, że nadal płacić nie będziemy.

— Ojcie! jeżeli można, zwolnij mnie od tego!

Romuald załamał także ręce dramatycznie, wpatrując się w ojca, oko w oko. Obaj wyglądali, jak wyglądać byli powinni: sprawiedliwość i miłosierdzie.

Zaskrzypiał zmrożony żwir pod oknami i wkrótce ukazał się w bibliotece ksiądz proboszcz, przyjeżdżający na imieninowy obiad do pałacu.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków.

Wszyscy ci chrześcijanie powstali, aby powitać sługę Bożego; kobiety pocałowały go w czerwoną, zmarzłą rękę, mężczyźni w ramię; pan Maciej tylko, będąc też rodzajem namiestnika Chrystusowego w swoim powiecie, pocałował księdza w policzek.

II.

Rozrywki podczas rodzinnych zebrań u Dubieńskich są dość ograniczone: rozmowa, uczta wspólna bez nadmiernej wesołości, czytania wskazane przez pana Macieja, stanowią treść tych tak zwanych rozrywek. Dzień w ten sposób użyty, spędza się, nie można powiedzieć jednak, aby pozostawiał po sobie niezatarte wrażenie, albo tęsknotę, że już upłynął. Zwłaszcza Władzio Kobryński liczy wizyty u rodziny żony do swych cięższych obowiązków, które jednak opłacają się zwykle jakąś gratką, dodatkiem do renty posagowej, lub czemś podobnem. Kapitały bowiem całej rodziny spoczywają niepodzielnie w ręku starego pana Macieja.

Do najlepszych chwil dnia w Chojnogórze należy przejażdżka konna, a Dubieńscy zażywają jej równie dla tradycji, jak dla okazania swej biegłości w jeździe i swych koni, podobno najlepszych w kraju, potomków owej sławnej niegdyś polskiej rasy, o której nie wypada wątpić,

że istniała, gdyż różnymi czasy wiele o niej opowiadano. Kobryński, chociaż krytykuje po cichu sposób jazdy i chowania stada w Chojnogórze, lubi mierzyć się z Dubieńskimi, a ma też niepoślednie tytuły sportsmena: na torze warszawskim jeździł i wygrywał wyścigi, w Czechach zaś, w wielkim steeple-chase w Pardubicach, był raz dobrym trzecim, i to tylko z powodu zbiegu niepomysłnych okoliczności.

Ponieważ dzień po imieninach, 25 lutego, okazał się pogodnym, lekko mroźnym i bez wiatru, mężczyźni dosiedli koni, a księżna Teresa pojechała sankami z ciotką Pauliną. Pan Maciej miał pod sobą ulubionego siwka, nazwiskiem »Hetman II«, pięknego ogiera, trochę już posypanego hreczką, ale bardzo szlachetnego w ruchu, z wyrzutem i odsadą zupełnie w stylu Juliusza Koszaka. Na młodszych, dzielnych koniach siedzieli Romuald i Władysław, obserwując się nawzajem i życząc w duchu jeden drugiemu, aby mu się koń potknął albo zmarowił.

Do popisów mało było pola, gdyż nie pozwalała na nie zaśnieżona droga, miejscami śliska, a także nie wolno było wyprzedzać pana Macieja, który jechał na czele i miarkował tempo. Jednak Kobryński zboczył raz z drogi na łąkę, aby przesadzić niewielki rów, co mu się udało, a następnie stary płot trzy-żerdziowy, przyczem koń o górną żerdź zawadził i odwalił ją od słupa. Ojciec zatrzymał się i pospołu z Romualdem obej-

rzał nogi konia z fachowym namysłem, który był dla Kobryńskiego dostateczną wskazówką, że zachował się niestosownie. Po chwili rzekł Romuald:

— W skoku z długim rozpędem trzeba konia wcześniej podnosić.

A Władysław odpowiedział:

— Arabskie konie nigdy nie nauczają się skakać. Podnosić je, czy nie podnosić, wszystko jedno.

Odezwał się znowu Romuald:

— Ojciec i ja, skaczemy przez te płoty bez rozpędu.

Ale nie o te drobiazgi chodziło dzisiaj całej rodzinie, zabawiającej się przejażdżką. Wszystkim stał na myśli los Jerzego. Terenia, promień Dubieńskich, starała się spędzić groźne chmury z czoła pana Macieja i w tym sensie prowadziła rozmowę w sankach z ciotką Pauliną:

— Jerzy jest poetą, ma instynkty krańcowe. Taki surowy wyrok może podzielać na niego fatalnie. Czy ciocia nie myśli?

Panna Paulina myślała rzeczywiście, ale trochę o czym innym, pochylając głowę, owiniętą w czarny włóczkowy szalik, i strzygąc ku siostrzenicy okiem z lewej skroni. Ciotka miała oczy oddalone ku skroniom tak bardzo, że rys ten rodzinny stawał się estetycznie wątpliwym. Odezwała się poufnie:

— Tereniu! Chociaż mnie o tych rzeczach nie

mówią, mam posadzenia... Powiedz, moje dziecko, wszak to kobieta trzyma Jerzego?

Terenia zaostrzyła dowcipny swój uśmiech:

— Przed ciocią nic się nie ukryje.

Panna Paulina zaś pochwyciła wyznanie, przeknęła i pokiwała głową:

— To najgorzej.

— Tak, ciociu, niedobrze jest. Ale tem bardziej jestem zdania, że nie można działać gwałtownie. Chłopiec się uprze, *il va se buter*. Tu trzeba jakiegoś mądrego a życzliwego wpływu. Gdy się ma do czynienia z uczuciem, trzeba ostrożnie. Prawda, ciociu, że niema nic nad uczucie?... *il n'y a que ça*.

Stara panna naszkicowała jakiś uśmiech połączony z westchnieniem.

— Tu trzeba kobiecej ręki, ciociu... Mówiłam Władziowi wczoraj wieczorem, że gdybym ja mogła porozmawiać z Jerzym, byłoby dobrze. My z nim mamy różne rzeczy wspólne, on się ze mną porozumie.

— Trudnoby ci było jednak rozmawiać z nim o takich rzeczach. Jako mężatka, masz przywileje, ale zawsze... A wreszcie, gdzież go spotkasz?

— Żebyśmy mogli pojechać z Władziem do Nizy, ręczę, że wyrwalibyśmy Jerzego ze złego towarzystwa. Ale pojechać nie tak łatwo: podróż kosztowna i pobyt kosztowny...

— Przedstaw to ojcu.

— Może ciociaby wspomniała?

— Ja spróbuję, ale i ty powiedz. Jeżeli Maciej uzna to za potrzebne, gotów wam pomóc do podróży. Ja nawet...

Tu przerwała panna Paulina, a księżna rzucawszy szybko na nią okiem, przełknęła ślinę i czekała przez chwilę dalszych wynurzeń ciotki.

Panna Paulina miała jakieś pieniądze składane oddawna, gdyż pobierała niewielką pensję, a prawie nic nie wydawała:

— Ileż tak na przykład potrzeba na podróż do Nizzy?

— O! dużo, ciociu. Sama podróż ze służbą, bez dzieci naturalnie, bo na dwa, trzy tygodnie, sama podróż około tysiąca rubli; tam ze trzy tysiące. Tam się trzeba i stroić i płacić za wszystko drogo, bo to kraj wielkiego zbytku, a nie można odróżniać się i wyglądać, jak byle kto.

— Tyle pieniędzy! tyle pieniędzy!... Ale gdyby to odniosło skutek...

— Mnieby także przydało się na zdrowie. Jestem zwykle słaba wczesną wiosną; brak mi tchu, influenza mnie nawiedza. W przeszłym roku mieliśmy jechać na południe, ale skończyło się na Paryżu. Ten rok mamy ciężki; o własnych siłach nie moglibyśmy wyjechać.

Rozmowa, rozpoczęta na przejażdżce, rozgałęziła się po południu. Książę Kobryński zapalił się do ratowania Jerzego. Wdał się w bardzo

serdeczną rozmowę z Romualdem, a najprzód przyznał mu, że:

— Wy jednak doskonale rozumiecie konia i jazdę. Może nawet wasz sposób traktowania tego sportu jest klasyczniejszy, zgodniejszy z wielką tradycją.

Następnie starał się dowiedzieć, że on byłby bardzo przydatny w Nizzy. On zna się na kobietach i wie jak się z nimi obchodzić. Wybiłby z głowy Jerzemu różne urojone obowiązki, zgrabnie wprowadziłby go ze świata uciech, a oddał w ręce rodziny.

— Co potem z nim poczniecie, jest waszą rzeczą.

Skoro jednak przyszło do wniosku, że trzeba dać Kobryńskiemu pieniędzy na podróż, Romuald okazał mniej zapału. On sam mógłby też pojechać do Nizzy z siostrą, bez szwagra, jeżeli chodzi tylko o jej zdrowie i doraźne podziałanie na Jerzego. Ale temu sprzeciwił się książę stanowczo:

— Nie, żona bez męża nie może się znajdować w Nizzy. Jest ich tam dosyć tego gatunku, ale my jesteśmy innego i nie możemy Tereni pozwolić tak wyglądać. Znam Nizzę i wiem, że to niewłaściwe. Z bratem tam się nie jeździ, choćby z tak poważnym, jak ty. Jest na to sposób: jedźmy we troje! Dajcie tylko pieniędzy i jedźmy.

»Dajcie tylko pieniądze!« W tym drobiazgu

zawarła się, jak zwykle, istota sprawy, gdy wszechstronnie i dojrzałe ją rozważono. I znowu sprawa spoczęła, jak zwykle, w opatrznych rękach naczelnika rodu.

Wieczorem nikt nie wszczął zajmującej wszystkie umysły rozmowy. Wzięto się do czytania artykułu z *Revue des deux mondes* o poprzednikach Rasyna i Kornela w literaturze francuskiej. Przedmiot wydał się dzisiaj towarzystwu zupełnie obcym, Kobryńskiemu zaś tembardziej, że nie mógł się nigdy dopatrzeć wartości tych wielkich klasyków, a cóż dopiero miał słuchać o ich słabszych poprzednikach? Terenia, sławna lektorka, czytała z mniejszym wdziękiem, niż zazwyczaj. Ogarniające wszystkich nudy natężyły się aż do stanu znerwowania, pod którego wpływem można wyć podobno, jeżeli się nie należy do najlepszego towarzystwa. Temu nastrojowi uległ wreszcie i najodporniejszy pod tym względem pan Maciej, chociaż nigdy w życiu, jak sam zapewniał, nie nudził się.

— Odłóżmy czytanie — odezwał się po ziewnięciu księżny Teresy, stłumionem przez słodki aż do łez uśmiech. — Mamy głowy zaprzątnięte czem innem; myśl nasza nie zdolna dzisiaj odebrać się od sprawy rodzinnej, w której podobno macie mi do przedstawienia pewne projekty... Słucham... Któż to więc wymyślił projekt jechania do Nizzy, o którym mi w ciągu dnia coś wspomniano?

Zaległo zrazu milczenie. Po chwili mruknął Kobryński, rzucając szybkim, mijającym spojrzeniem po obecnych:

— Nie ja, w każdym razie.

Romuald jednym szerokim giestem odsunął wszelkie od siebie posądzenie. Panna Paulina zaś zdecydowała się wziąć na siebie odpowiedzialność:

— Kochany Macieju, przysła mi ta myśl, gdy rozmawiała z Terenią. Może uznasz w swej sprawiedliwości, że środki gwałtowne są niebezpieczne z takimi naturami, jak Jerzy. Przypomnij sobie, jak było z Tadeuszem.

— Prosiłem, żeby o Tadeuszu nie wieszczano rozmowy bez potrzeby!

— Masz słuszość, przepraszam. Ale jeżeli odejmiesz Jerzemu wszelkie środki, a on się poczuwa do jakichś obowiązków względem tej... tego towarzysza, możesz go popchnąć do... może się zbuntować.

— Zbuntować się?! przeciwko ojcu?!

Czoło pana Macieja marszczyło się coraz groźniej. Skąd ta krytyka jego wyroków? Kto śmiał powiadomić ciotkę Paulinę o drożnych stosunkach Jerzego? Powiódł silnemi oczyma po obecnych i oczy ich znalazł spuszczone. Tylko wzrok Tereni spotkał niby błagalny, niby natchniony.

— Papo! — rzekła Terenia — jam się nigdy nie poważyła wątpić o sprawiedliwości i dobroci papy. Ale wymyśliłam, rozmawiając z ciocią, tę

jazdę do Nizzy, bo sądziłam, że tak mogłoby być dobrze, i to dla wszystkich. I mnie doktorowie radzą wyjazd na Południe. Może więc prosty egoizm myśl tę mi nasunął? Ale równie szczerze myślę, że potrafilibyśmy nawrócić Jerzego na dobrą drogę. Niech papa to osądzi. Ja nie mam przed nim nic ukrytego. Jeżeli podróż niepotrzebna, a ja dałam się powodować swojej przyjemności, swoim interesom, to się wstydzę, okropnie się wstydzę.

Zerwała się z krzesła, przypadła do ojca, i przykleknawszy, ukryła twarz na jego ramieniu.

Pan Maciej przytulił ją i pocałował w czoło. Potem kazał jej powstać, a trzymając ją za rękę, okazał ją reszcie rodziny, jako żyjący przykład:

— Patrzcie! tak trzeba ze mną postępować. Prawda i zaufanie! Terenia odsłoniła mi całe swe serce, w którym są tylko godziwe pragnienia. Wolno jej zapragnąć czegoś dla siebie, skoro to i z dobrem cudzem, a przedewszystkiem rodziny, jest połączone. Otóż pochwalam wasz zamiar, moje dzieci, i pomogę wam nawet do podróży na Południe.

Zanim zaczęto dziękować, pan Maciej podniósł rękę na znak zastrzeżenia:

— Pamiętajcie o jednym: pojedziecie do krajów niebezpiecznych, gdzie rozkosz zapanowała nad obowiązkiem. Z tego odmetu trzeba wydobyć Jerzego — to jest waszem trudnem zadaniem; w tym odmetcie nie trzeba dostać zawrotu głowy,

ani w nim długo pozostać, choćby zamiar wasz chybił. Jerzy zabrnął zbyt daleko w życie bez zasad, aby go odrazu nakłonić do naszych twardego obowiązków. Umyśliłem więc dla was taki plan podróży: jedźcie do Nizzy i zabierzcie Jerzego do Rzymu. Tam ja byłem za młodu. Atmosfera tego świętego miasta posłużyła mi wiele do moralnego zdrowia. I ja miałem pokusy, i ja miałem zapędy. Opanowałem je, a Rzym bardzo się do tego przyczynił. Dam wam listy do znajomych moich księży. Monsignor Concomassa jeszcze żyje. Krewny nasz, Ojciec Melchior, otwórz wam również wszystkie drzwi do świętości i piękności rzymskich. Jerzy jest poetą, wrażliwym na piękno. Niech mu najwyższe dzieła sztuki pokażą ludzie równie wykształceni, jak świętobliwi. Na sztukę trzeba także patrzeć przez zdrowe zasady, inaczej dochodzi się do chaosu pojęć i upodobań. Niech więc was Bóg prowadzi! Ale zanim przekonam się o zwrocie w życiu Jerzego, nie będę go zasilął, ani popierał jego błędnych kroków.

Rozrzewnienie, wywołane przez tę przemowę pana Macieja, przeszło aż w zakłopotanie. Księżna Teresa miała łzy w oczach, panna Paulina płakała na dobre, książę Władysław był nadzwyczaj podniecony i ciekawy, do jakiej cyfry będzie się należała wdzięczność teściowi. Romuald zaś, pominięty w projektach wyjazdu, musiał poprzestać na zwykłej dozie uwielbienia dla ojca. Reszta wieczoru upłynęła na powtarzaniu tych samych

przestróg z jednej, a podziękowań z drugiej strony.

Okazało się nazajutrz, że Maciej dał Kobryńskim dwa tysiące rubli, sumę nie wystarczającą, ale jako zasiłek bardzo pomocną. Jednak Kobryńscy byli w wenie, gdyż panna Paulina wręczyła im od siebie tysiąc i sto rubli, z których tysiąc na podróż, a sto na zakup różańców i pamiątek w Rzymie.

Księżę Władysław był do głębi wzruszony, dziękował cioci, którą zawsze cenił, a teraz dopiero przekonał się, jak słusznie; w poufnej zaś rozmowie z żoną tak się wyraził:

— Od Pauliny tysiąc rubli to tak, jakby ojciec dał nam folwark z Chojnogóry. Do swej przemowy proporcjonalnie dał trochę mało.

— Papa zawsze daje połowę — odrzekła Terenia: — to należy do jego zasad. Ale może da znowu, gdybyśmy później potrzebowali. On taki dobry!

III.

W każdym organizmie, choćby najtrwalszym, są miejsca bolesne i chore. Potężny ród Dubieńskich nie jest wolny od tej ogólnoludzkiej skazy. Nie jeden tylko Jerzy jest »raną życia« pana Macieja. Istniała w rodzinie starsza, nie zagojona dotychczas rana. Tadeusz, stryjeczny brat pana Macieja, był wyznawcą najzgubniejszych idei, jak oto: socjalizmu, wolnomularstwa, liberalizmu i t. p. Zdawało się, że Tadeusz wybierał umyślnie i przyswajał sobie z postępem czasu wszystkie idee nienawistne Maciejowi, aby go doprowadzić do rozpacz.

Wistocie Tadeusz stracił majątek za młodu i puścił się na życie bez zasad, bez steru, bez gwiazdy przewodniej. Jak te wyrażenia, o nim używane, tak samo tajemnicze były przeguby jego istnienia, mieniającego się różnemi barwami po różnych miejscach świata. Przepadał, ukazywał się znów na powierzchni, mniej lub więcej ożłocony i w tych chwilach świetniejszych bu-

dził nawet wielkie nadzieje. Ale najgorszą jego przywarą była »niepewność«.

— Stryj Tadeusz jest niepewny!

Pozostawała bowiem zawsze ta dokuczliwa o nim wątpliwość, gdzie się znajduje, co zamyśla, ile ma pieniędzy.

Nie wiadomo dokładnie, co porabiał przed laty w Ameryce; zdawano sobie tylko sprawę, że tam nauczył się walczyć z życiem. Dochodziły wówczas wieści, że się z bogacił, uprawiając pożyteczne rośliny, jak ryż i trzinę cukrową; inni zaś przebąkiwali głucho, że popadłszy w biedę, imał się mniej zaszczytnych zawodów, że był nawet czasowo kelnerem w restauracyi. Tym ostatnim pogłoskom rodzina w Chojnogórze zaprzeczała jednak z oburzeniem.

Po kilku latach bez wieści okazało się, że jakiś Zebri-bej w Stambule, sekretarz i ulubieniec sultana, jest Polakiem i nie kim innym, jeno Tadeuszem Dubieńskim. Otucha wstąpiła do gniazda Chojnogórskiego.

— Stryj Tadeusz miał zawsze zdolności do dyplomacyi; może nareszcie odnalazł swe powołanie.

Otucha była tem raźniejsza, że stryj, razem z powołaniem odnalazł i żyłę złota; gazety wyliczyły jego zasługi, zaszczyty i podały wierny wizerunek jego gabinetu, urządzonego ze wschodnim przepychem.

Ale znowu po kilku latach Fatum, bardziej

czynne na klasycznym gruncie półwyspu Bałkańskiego, niż w reszcie świata, odmieniło koleje pana Tadeusza. Pozostał w Konstantynopolu, lecz nie przy wysokim Dworze; owszem, założył gazetę angielską opozycyjną, która przez pewien czas używała rozgłosu i posłuchu.

Wtem rozeszła się wieść, że dawny Zebri-bej, obecny redaktor, zbankrutował i trzema strzałami z rewolweru życie sobie odebrał. Inni mówili, że zginął w pojedynku z jakimś księciem serbskim, zazdrosnym o żonę. Jakkolwiekby, przywdziane już w Chojnogórze lekką żalobę, gdy autentyczna poczta przyniosła najnowsza wiadomość, że hrabia Tadeusz Dubieński znajduje się w Anglii i pisze tam obszerny memoriał o kwestyi wschodniej w zaciszu własnej willi w Charing-Cross, której wizerunek podały też niebawem pisma ilustrowane.

Takich niespodzianek było za wiele dla pana Macieja, przyrosłego do miejsca, do tradycyi, zajętego wychowaniem dorastających dzieci. Nie można było nigdy wiedzieć napewno, czy stryj Tadeusz jest chlubą, czy zaklął rodziny: czy go stawiać za przykład, czy za postrach młodemu pokoleniu? Przytem w całej tej awanturniczej historii był cień śmieszności, który korcił pana Macieja, gdyż ubliżał poniekąd powadze nazwiska. Przezorny naczelnik rodu postanowił zatem wykreślić rozmowę o stryju Tadeuszu z codziennego programu, wspominać o nim rzadko i po

dokładnem zbadaniu wieści, które o nim wybuchwały.

Jednakże wieści od lat kilku przycichły. Burza, miotająca tem życiem, przeszła w równiejszy wiatr, poczęła kierować nawę ku pewniejszym przystaniom. Pan Tadeusz obracał się w ogólnie znanej i dostępnej Europie, między Londynem a Rzymem, cieszył się zdrowiem i powodzeniem w przedsiębiorstwach finansowych, coraz mniej ryzykownych; pozostał zawsze w stosunkach ze Stambulem, któremu, jak powiadano, wiele był winien; zyskał i inne rozległe stosunki u Dworów panujących, osobom koronowanym dawał uczty i podarunki, pokryty był orderami wszystkich krajów. Zarysował się wreszcie stanowczo i należało się spodziewać, że ostatecznie: był to mąż polityczny wielkich zdolności, któremu tylko wyjątkowa pozycja człowieka bez ojczyzny nie pozwoliła welić swych pomysłów, zostać ambasadorem lub ministrem. Ograniczył się więc na zdobywaniu sobie środków do zajmującego i wspólnego życia.

Pan Maciej zapragnął wejść z kuzynem w stałą korespondencję. Ale Tadeusz okazał się znowu nieprzyjemnym: nigdy prawie nie odpisywał. Przysłał tylko do Chojnogóry portret swój, rytowany w Anglii, który znalazł pomieszczenie w gabinecie pana Macieja. Dyplomata przedstawiony był na nim w połowie postaci, w mundurze, w fezie, a tak był szczelnie przykryty orderami, że dumna

głowa zdawała się spoczywać na trofeach skorupastych, ułożonych w kształt piramidy. U dołu ryciny widniał herb Dąb, pod hrabiowską koroną między dwiema nieczytelnymi podobiznami podpisów, po angielsku i po tureku.

Pan Maciej wpatrywał się czasem w ten portret z rodzinną tkliwością:

— Co z ciebie jeszcze będzie? Czyś się już zatrzymał, bracie?

W duchu życzył gorąco, aby brat już się zatrzymał. Mogłaby z niego być pociecha i podpora.

Nie widzieli się od wieków. Ostatni raz spotkali się w Wiedniu, gdy Maciej, o pięć lat starszy, wracał ze ślubnej podróży, a Tadeusz grał resztką majątku, wcześniej odziedziczonych, w klubie wiedeńskim. Byli wówczas podobni do siebie fizycznie, choć bardzo różni moralnie. Teraz, sądząc z portretu, zatarło się i fizyczne podobieństwo: Tadeusz nosił krótko postrzyżoną brodę i powagę jakąś obcą, przepolerowaną zagranicą, miał nadto uśmiech trochę gorzki, jakby pamiętający ciężkie przedsmaki i smutne obrzaski rozkoszy.

Ktoś powracający z Londynu widział pana Tadeusza i opowiedział Dubieńskim, że stryj znacznie posiwiiał. Wywarło to wrażenie w Chojnogórze. Szron był rękojmnią stalszych zamiarów, chłodniejszych zapatrywań i wróżył o przyszłym, daj Boże, najlepszem porozumieniu między krewnymi.

— Wiecie, moje dzieci — odezwał się pan Maciej z rozrzwinięciem — już i stryj Tadeusz siwy... A młodszy ode mnie! Już starość nadciąga...

Terenia, naówczas młodzianka mężatka, zaprotestowała żywo:

— Papa jest zawsze młody i najładniejszy.

Przez kilka miesięcy stryj Tadeusz był przedmiotem najmielszych rozmów; zapomniano mu dawnych wybryków, przebaczone, jak chrześcijanom przysłało. Był niemal wielkim człowiekiem, bogatym i siwym.

Ale ów stryj zagraniczny przeznaczony był widać na udęczenie pana Macieja. Nadeszła bowiem wiadomość piorunująca: Stryj ożenił się.

List własnoręczny oznajmiał o dokonanych fakcie. Ożenił się z Estellą Varicot, »świętą kobietą« podobno, ale śpiewaczką teatralną. Zamieszkał w Paryżu, znowu we własnym domu, tym razem jednak gazety nie uznały za potrzebne odtwarzać go w swych ilustracjach.

Po tym wypadku stryj Tadeusz był na indeksie w Chojnogórze, zwłaszcza, gdy stwierdzono istnienie córki, Estelli Dubieńskiej, której wiek stanowczo nie zgadzał się z datą ślubu ojca.

Znowu odmienny powiew przyniósł do Chojnogóry wiadomość o śmierci pani Tadeuszowej Dubieńskiej i o ciągłym wzrastaniu majątku wdowca. Córka wychowywała się w klasztorze. Ale pan Maciej nie mógł już odnaleźć tego serdecznego

ciepła, które to uczuwał, to tracił dla niepoprawnego brata; przez ciągłe fluktuacje serce zmęczyło się i ostygło. Obecnie rozmowy o stryju Tadeuszu przybrały ten zwrot klasyczny:

— Oby Jerzy nie poszedł w ślady stryja Tadeusza! Inną ma wprawdzie naturę, jest poeta, ale... bez zasad, bez steru, bez gwiazdy przewodniej... jak Tadeusz!

Wyrazy, gdy się je bardzo często powtarza, nabierają ceny, jak stare sprzęty; nie ceny bezwzględnej, ale tego *practium affectionis*, które stanowi wartość starożytności, przyzwyczajęń, wygody osobistej.

Że Jerzy widywał stryja w Paryżu, że podobiał się staremu Zebri-bejowi i pozostał z nim w stosunkach, wiadomość ta zapadła głęboko w pamięci pana Macieja. Mogło to mieć i dobre strony, ale tymczasem było niepomysłne, zwłaszcza jeżeli Jerzy otrzymywał od stryja pieniądze. Sposoby działania na Jerzego byłyby znacznie utrudnione, może nawet daremne. To też jednocześnie z poselstwem córki do Nizy, pan Maciej napisał długi list do Tadeusza, kładąc nadgłówek »*tibi soli*«, który zapowiadał ważny i poufny charakter odezwy. Przewyciężył swe wstręty, raz jeszcze otwierał serce bratu w celu ratowania syna. Nad listem tym pan Maciej prześlęczał dwa wieczory.

IV.

W poranny sen Jerzego wmieszała się gorąca melodia taneczna. Otwierał oczy powoli, ostrożnie, jakby nie chciał ze snem się rozstać, ale uśmiechnął się niebawem, poznając, że na jawie dźwięczą mandoliny i lubieżne głosy włoskich śpiewaków.

Łóżko z baldachimem i muślinową firanką, po ścianach płyną nikle, zielonawe wełny od słońca przezierającego przez nieomknięte żaluzye...

— Prawda! — to Nizza!

Pospiesznie narzucił ranne ubranie, otworzył okno i odepchnął nazewnątrz żaluzye. Rozhulana piosenka wtargnęła do pokoju razem z oslepiającym blaskiem i z ciepłą falą pachnącego powietrza, w której panował ożywczy aromat morza.

Jerzy mieszkał tu już trzy tygodnie. Życie rozwinięte w tym rajskim klimacie dostarczało mu upoięń codziennych, a coraz nowych i kołysało do snu niepokoję sumienia. Dochodził do wniosku, że niepokój sumienia jest rodzajem ma-

laryi, właściwej strefom bardziej północnym. Tutaj czuł się nadzwyczajnie zdrowym i zdolnym do wielkich podbojów w rozległej krainie uciech.

Pod oknami, nieco na lewo, w przejściu między złoconemi kratami do głównych drzwi hotelu, stało pięciu śpiewaków, rozdzierając melodyjne gardła tem głośniejsze, że spostrzegli, jak okno od mieszkania Jerzego Dubieńskiego otworzyło się. Czarne oczy przodownika iskrzyły się w opasłej twarzy porządliwe, zuchwale razem i schlebające, podczas gdy sam przodownik przeginał wymownie gruby swój tors, przekreślony mandoliną, aby zaznaczyć, że serenada brzmi na cześć »del' conte Polacco«.

Rozejrzawszy się po Rivierze, Jerzy zadał sobie pytanie: czy lepiej nazywać się tutaj hrabią, czy poetą? Po namyśle wybrał jedno i drugie. Zrozumiał, że dla odznaczenia się w tym tłumie międzynarodowym istnieje jeden tylko radykalny sposób: mieć bardzo dużo pieniędzy. Tych nie miał, szukał więc sposobów drugorzędnych. Tytułów rodowych było tu wiele, prawdziwych i fałszywych, zawsze jednak ten dodatek, dobrze noszony przy nazwisku, ułatwiał stosunki towarzyskie, a Dubieńscy byli prawie hrabiami, byli nawet znakomitszego pochodzenia, niż wiele rodzin utytułowanych. Zatem Jerzy, pisząc się hrabią na obczyźnie, żądał tylko tego, co się Dubieńskim należało. Sam pan Maciej za toby go nie zganił.

Nazwa poety nie popłaca na Rivierze, to też nosi ją wypada oględnie. Jerzy lubił wiązaną mowę, posiadał w niej pewną biegłość, czuł nawet często potrzebę śpiewnego wyrażania swych myśli. Było to jego wdziękiem, zwłaszcza wobec kobiet, więc pozbywać się go nie chciał. Zachował zatem oba tytuły: hrabiego i poety.

Przyzwyczaił się poetyzować swoje wzruszenia i zapaly i uspokajał się, gdy je oblekł w rymowaną formę. Tym samym sposobem rozwiązywał czasem zawile kolizye obowiązków z upodobaniami: przerabiał je na wiersze, i wtedy w poezji jego przeważał pierwiastek dramatyczny.

Obecnie przeszedł także przez dramat. Poczta przynosiła do Nizzy płaczliwe listy panny Karoliny Kulig, trzyletniej już towarzyszkii, którą Jerzy opuścił, czując pragnienia, porywy, konieczności fatalne, jednym słowem to, co się mówi kobiecie, gdy się jej ma dosyć. Żale Karoliny budziły w Jerzym litość, cóż kiedy studia jego nad pięknem poszły dalej, wyżej, a przedewszystkiem gdzieindziej.

Nie skończył jeszcze ubierać się, gdy otrzymał list z miasta, nie z poczty, adresowany znajomem kobiecym pismem dobrego kroju. Hrabina de Sertonville dawała mu znać o projektach swych na cały dzień, o zajęciach łatwych do podzielenia we dwoje, z których rozkosz wyniknąć mogła w każdej chwili. Oprócz tej strony informacyjnej list był emalią ze słodkich wspomnień

dni poprzednich, z cytat wybornych autorów, z nieśmiałył pieszczoł i z hamowanył wybuchów temperamentu. Piękniejszył listów kobiecych Jerzy nie znał, ani piękniejszył autorki, i czuł się powołany do kochania tej nowej kobiety.

Wyszedł z hotelu, upojony od rana lekkiem, zdrowem winem młodości.

Zaledwie kilkadziesiąt kroków oddzielało hotel od morskiego brzegu, szerokość »promenade des Anglais«. Po tej białej drodze, gładkiej jak niezmierny, płócienny chodnik, przelatywała czasami żółta, dwukołowa bidka, szybkim kłusem korsykańskiego kuca pędzona, podnosząc lekkie obłoczki białego kurzu, sprawiając śmieszny brzęk grzechotek, niby automatyczna zabawka; śmigaly lub płynęły ciche bicykle, to znów samochód dudnił po szosie niepokojącym pędem. Na bidkach, samochodach, bicyklach, wszędzie postacie dokładnie wystrojone, dokładnie funkcyonujące, podobne do siebie z ogólnego pozoru, chociaż bardzo różnych typów twarzy, od czarnych południowców, do wysmukłych, jasno kolorowych Anglików. Stroje kobiet jaskrawe, wiosenne. Oprócz silnych zapachów płynących zewsząd, coś jeszcze panowało na tem wybrzeżu: śmiech. Jerzy łowił w przelocie śmiejące się głosy i rozbawione spojrzenia kobiet, zapakowanych z mężczyznami w ciasne bidki, słyszał urywki wesółch rozmów przechodniów pieszych w alei palmowej, a i gdzieś

z okien, otwartych na ten radosny poranek, i gdzieś od spokojnego morza dolatywały podniecone głosy kobiece, jak świegot ptaków, niezupełnie widzialnych wśród liści. Czuć było szal w powietrzu.

Zatrzymał się w alei dla pieszych i mimowolnie uśmiechnął się: przechodzące, nieznanym kobietą zaglądały mu w oczy śmiało, powitalnie.

— Nasz jesteś, podobasz się — mówiły te spojrzenia.

Oczy mężczyzn, gdy je na chwilę spotykał, wyrażały mniej przyjazne uczucia; owszem, widział w nich błyski zawiści lub pogardy. Ale Jerzy umiał już te wyzwania odpierać jasnym, twardym spojrzeniem, którego nikt nie stara się wytrzymać bez powodu.

Zszedł po kilku schodach na żwir wybrzeża, aby spojrzeć z blizka na Śródziemne morze. Było tego dnia takie, o jakim marzą zmęczeni ludzie Północy, dla zapomnienia trosk, dokuczliwych obowiązków i mgieł zimowych.

Jerzy zapatrzył się w dal roztoczoną i wsłuchał się w rytmiczny szept fali.

Morze przychodziło do brzegu pomarszczoną ławą szafiru potężnie, a jednak tak cicho, że regularne uderzenia fali o brzeg podobne były do równego oddechu ogromnej, uspięnej kobiety. Kobiecie było dziś niezmiernie i pełne współczucia dla rozkosznych pragnień ludzi. Śniło po starciu nad kolebką Europy, spoglądało wiecznie

mokremi oczyma na krótkie radości i bole, na mijające sławy i zwaliska ludzkie.

Nad szafirami srebrny pył,
Spokojne morze dyszy,
Więc będę śnił i będę pił
Przedziwną moc tej ciszy.

Widnokregowy zarys zmiękł
We mleczość tajemniczą,
W oczach mi cud i w sercu lęk,
Myśli ze snem graniczą.

Niebieskie pola gładkich fal
Tu — ówdzie łódka plami,
A kormoranów krótki żal
Przez ciszę brzmi czasami.

I rzekłbyś, że zblękitniał świat,
Gdyby nie żagla białość;
I myślałbyś, że sen nań padł,
Gdyby nie ptaka żałość.

Pośród leciutkich morza tchnień
Namowy dziwne słyszę:
W taki spokojny, modry dzień.
Pójść mi w wieczystą ciszę!

Pójść mi we mgłę, w krańcowy szlak,
Po drżącym wód kobiercu —
I niech mój skon opowie ptak
Jednemu tylko sercu.

Jerzy utrwalił sobie w pamięci ten wiersz, którego muzyka od kilku dni dzwoniła mu w gło-

wie, dobył ołówek i wiersz spisał na kawałku papieru. Rad był z utworu, żałował tylko, że nie może go ofiarować Fernandzie de Sertonville, gdyż ta pani, na pół Hiszpanka, na pół Francuzka, po polsku nie rozumie. W każdym razie poszedł szukać Fernandy, która miała dzisiaj jeść śniadanie u państwa Granowskich. Jerzy był także do nich zaproszony.

Willa Granowskich leżała dalej na tej samej Promenade des Anglais; Dubieński poszedł brzegiem morza, nie śpiesząc się, gdyż miał jeszcze pół godziny czasu. Rozmarzony wspomnieniami, podniecony dreszczem obietnic Fernandy, szedł powoli i nieuważnie, gdy głos kobiety odezwał się do niego po polsku:

— Panie Dubieński! prosimy o adres restauracji.

Głos był pełny, poważny, a jednak niby podszyty śmiechem. Jerzy poznał pierwszej głos, niż osobę pani Anny Oleskiej, która z drugiego równoległego chodnika rzuciła mu zapytanie przez pustą szosę. Towarzyszyła jej córeczka, Zosia, słiczna miniatuurka wysmukłej mamy, i Fabiusz Olecki, krewny nieboszczyka męża pani Anny.

Jerzy przeszedł śpiesznie przez szerokość drogi.

— Dzień dobry, pani! dzień dobry panu! Mówiono, że państwo mieszkacie w Cannes.

— Ja tam mieszkam z córką, a mój kuzyn w Antibes na skale. Przyjechaliśmy dzisiaj na

śniadanie do Nizzy i tak jesteśmy oboje zadowoleni, że nie umiemy trafić do London-House.

— Miło mi będzie służyć za przewodnika. Niestety, mam śniadanie proszone u Granowskich, więc doprowadzę tylko do drzwi restauracji. Dumny byłbym pokazać się przy stole obok pani, której tu jeszcze nie znają, a która zapewne wywoła należyte osłupienie...

Ani te słowa, ani poddańczy wzrok Jerzego nie znalazły łaski w oczach pani Oleskiej. Odpowiedział za nią Fabiusz:

— Jeżeli w London-House bardzo tłumnie, chodźmy lepiej do jednej z tych nadmorskich budek. I tu się dobrze jada.

— Owszem, mój kochany — odrzekła zaraz pani Anna posłusznie i zwróciła się do Jerzego:

— Panna Granowska ładna?

— O, bardzo ładna.

— Tylko tyle?

— Więcej nie wchodzi w zakres mych obserwacji.

— A na śniadaniu będą inne panie?

— Może być... — odrzekł Jerzy z zanadto wielkim gościem.

Fabiusz patrzył głębokimi oczyma na Jerzego, przygryzając krótką, ciemną brodę i nerwowo potakując głową, jakby chciał przyspieszyć cudzą wymowę. Sam zaś mówił nadzwyczaj płynnie i dobitnie.

— Nie nalegajmy, moglibyśmy na szwank narazić dyskrecję pana Dubieńskiego.

Jerzy chciał niby protestować, ale Fabiusz uprzedził go, zmieniając rozmowę.

— Przed chwilą spotkał się pan Hynko-Zakopiański. Może go pan zna?

— Znam, niestety.

— Porzucił rzeźbę i rytownictwo; trudni się już tylko haftem i poezją, od czasu jak został wieszczem laureatem po swym »Nieboskim balecie«. Zwierzył mi się, że chce zamknąć Nizzę w tryptyk i w tercyny. W każdym razie będzie trzy po trzy.

Pani Anna zaśmiała się wesoło:

— Powiedziałeś mu to prawie.

— Nie zrozumiał. Wogóle, jak jego koledzy, nie rozumie wagi, ani doniosłości słowa. Z filozoficzną kulturą jest tam słabiej, ale natchnienie ogromne, nieustające. Tylko natchnienie rozumnego człowieka różni się znacznie od rozgrzania bezładnego mózgu. A pan co pisze, panie Dubieński?

— Napisałem parę wierszy lirycznych, parę kart rymowanego pamiętnika, rzeczy nie do druku.

— To szkoda; pan ma kulturę i cokolwiek pan napisze, choćby o Nizy, nie będzie pan kolegował, ani współzawodniczył z Zakopiańskim.

Jerzy skłonił się i dworsko zapytał Fabiusza:

— Ze wszech miar ciekawe byłoby wiedzieć, nad czym pan obecnie pracuje?

— Jestem na wakacjach; warsztat mój pozostał na Śląsku. Tutaj bawię się obserwacją, trochę i pisaniem o barbarzyństwie, kwitnącem w naszej zarozumiałej epoce, o barbarzyństwie, które się mieni rozkwitem cywilizacji.

Oleski zaciął usta i natężył spojrzenie, a Dubieński skłonił się znowu, ale nie odpowiedział. Potwierdził w duchu zdanie swe o Fabiuszu; jest to dziwak, widzący życie przez jakieś szkła osobne, ale pod tym względem niebezpieczny, że ma zawsze słuszość, gdy się go dosłucha do końca.

Przyszedł czas na rozejście się. Pożegnano się uprzejmie; pani Oleska ładnie spojrzała na Jerzego, chcąc mu widać wynagrodzić zimne swe poprzednie zachowanie. Powiedziała mu nawet:

— Chciałabym poznać pańskie tutejsze wiersze.

Jerzy chwycił się za kieszeń od surduta, ale w czas przypomniał sobie, że wiersz do Fernandy nie może się pani Oleskiej podobać. Więc cofnął się, mówiąc, że się omylił, że zapomniał, że pozwoli sobie kiedyś nadużyć jej cierpliwości.

Idąc do Granowskich, Jerzy rozmyślał jeszcze o swem świeżem spotkaniu.

— Pani Oleska, która od śmierci męża gdzieś jak cień przepada, także tu przyjechała, i to z nieodstępnym Fabiuszem. Wprawdzie mieszka w Cannes, a on w Antibes, no, niedaleko... Ta wzorowa pani Anna!... Fabiusz jest bliskim krewnym jej męża, dużo starszym, nie tak znów stary

i dobrze wygląda. Albo to opiekun zwykłego rodzaju? Albo Argus? W obu wypadkach zbyt teczny.

Roześmiał się potem z własnych myśli, bo nie mógł na seryo marzyć o podboju serca pani Oleskiej, będąc od tak niedawna zapalonym wielbicielem pani de Sertonville.

— Fernanda piękniejsza. Ta jej skóra złota, gładka i odurzająca naturalnym zapachem... A pani Anna?... Twarz ma białą, rumieniec wschodzi na tej twarzy jak zorza, wzruszenie jak chmurka około ust i oczu. Postać taka prosta, giętka i energiczna w ruchu, a taka uczciwa... Fernanda za to ma ruchy wspaniałe, zapożyczone niby od wschodnich tańców. Fernanda ma więcej »tonu« ze swym kruczym warkoczem... Pani Anna ma włosy jasne, a oczy ciemne, to rzadka odmiana...

Zapamiętał się jeszcze dalej w odgadywaniu szczegółów piękności pani Oleskiej, wreszcie błysnął zębami, zacisnął wolno palce, jakby starając się objąć jakiś kształt nieujęty, i zaklął wesóło, jak człowiek szukający ujścia zbyt różnorodnym uczuciom i obrazom, które mu tłumnie napływają do mózgu.

— Do stu par dyabłów! Ile tu wspaniałych kobiet!

Ale razem poczuł trochę wstydu, przeprowadzając porównanie między temi dwiema kobietami.

— Pani Oleska nie jest damą... nicejską, a Fernandą?

Gdy wszedł do przedpokoju Granowskich, już płaszczy pani de Sertonville tak mu żywo przypomniawszy jej zapach, że nabrał znowu przekonania o wyższości jej nad wszystkimi kobietami świata.

V.

Dom hrabiny Tekli Granowskiej nie był w zasadzie wesoły, gdyż pani ta przyjechała do Nizzy na zimę, z synem i córką, rzeczywiście dla zdrowia. Stan jej polepszył się jednak znacznie. Groźne duszności ustąpiły prawie zaraz po zamianie słotnego klimatu późnej polskiej jesieni na wieczne lato nicejskie. Smutna kobieta zaczęła coraz chętniej oddychać zbawczem powietrzem, a nawet rozglądać się z upodobaniem po kraju i po ludziach. Głośne nazwisko i wielki majątek dawały Granowskim możność sprowadzenia do swej willi całej błyszczącej czerechy, która tu koczuje na wybrzeżu od Cannes do San-Remo, a z powodu nadzwyczajnych ułatwień komunikacyi, ma dwa niby wspólne salony: Nizzę i Monte-Carlo. Pani Granowska przywykła u siebie w kraju być oględną w wyborze towarzystwa, zwłaszcza, że mąż jej, pozostały w Polsce, był bardzo nieprzystępny i zajęty pracą na wsi. Ale w Nizzy wybredna pani doszła do przekonania, że stosunki

tutejsze na innych są oparte zasadach, że zresztą nie obowiązują na przyszłość. Tutaj mogą wszyscy znać się ze wszystkimi, bo wszyscy są niby na wakacjach, nie związani w towarzystwo, ani w społeczeństwo. Znajomych Polaków przesiewano jednak starannie, niż świeższych znajomych innych narodowości. Niektórzy mieli to pani Granowskiej za patryotyczną zasługę.

Śniadanie było dzisiaj na dwanaście osób. Hrabina, na wpół leżąc w głębokim fotelu, przyjmowała gości, wyciągając ciężkie swe, siwiejące włosy od adamaszku, tłómacząc się wreszcie trzecim, że powstać nie może. Wszyscy to rozumieli. W salonie znajdowała się najprzód obok matki Krysia, świeża blondynka z pięknymi włosami, zupełnie ładna, pomimo że nosek miała zmysłowy, ruchliwy, trochę za gruby. Syn, Antoni, nadzieja rodziny, był nieco smutny: podobny do siostry, ale bledszy, wysoki i wązki w ramionach, trzymał się trochę pochyło; wszystko w nim tłómaczono nieśmiałością.

Pierwsi weszli do salonu państwo Rubenson, tak ogromnie bogaci, że należeli do najlepszego towarzystwa. Zresztą tylko pan miał typ niezatarty bankiera z Frankfurtu, obecnie czynnego w Paryżu. Rysopis jego można przez grzeczność pominąć. Był zawsze usłużny i czasami podobno dowcipny. Pani, Belgijka, jeszcze piękna, ubierała

się wybornie i zajmowała się »celami dobroczynnymi«.

Hrabina de Sertonville przysłała oczywiście bez męża, bo nikt go oddawna nie widział w Nizzy, ani przy niej. O mężu tym mówiła rzadko i zawsze pochlebnie; ale przyjaciele jej roznosili wieści, że hrabia sromotnie ją wyzyskał i porzucił, co wywołało prawną separację. Fernanda wchodziła po raz pierwszy na śniadanie do Granowskich i wykonała swój ingres po mistrzowsku. Ktoby jej nie znał, domyśliłby się odrazu, że to kobieta bez oparcia, której własny rozum i serce powinny to oparcie zastąpić: tak coś falowało w jej ślicznej postaci, spowitej w płową suknię, niby w skórę lwicy; taka bolesna prostota leżała na jej śniadej twarzy, oprawnej w krucze, nizko uczesane włosy; tak pochód jej był płynny, stanowczy, a bynajmniej nie zuchwały. Gdy doszła do pani domu i do Krysi, obie odezwały się razem:

— Jaka pani piękna!

Fernanda skłoniła głowę, jakby pod ciężarem tej ciągle powtarzanej prawdy.

Jerzemu Dubieńskiemu nie udało się wejście, gdyż ledwie przejrzał się w lustrze, drzwi zewnętrzne otworzyły się gwałtownie i do przedpokoju wpadł, jakby wepchnięty, Hynko-Zakopiański, tracąc monokl z oka i wykrzywiając swą bladą, pomiętą twarz naksztalt gutaperkowej maskary. Włosy miał dłuższe niż zwykli ludzie

a wzrok krótszy. Gdy znów włożył monokl i podszedł do Jerzego, poznał go:

— Dubieński! Jak się macie? Prawda, że morze dzisiaj jest symfoniczne?

— Aha — mruknął Jerzy, potakując, ale choć pragnął odczepić się od Zakopiańskiego, ten mu dotrzymał towarzystwa przy wejściu do salonu, mówiąc jeszcze:

— Świątynia, prawdziwa świątynia ten kraj, błękitnym dachem nawspak przewrócona!

— Także pomyśl!... Po co go tutaj zaprosili?

Tak pomyślał Jerzy, i było to pierwszym wrażeniem owego śniadania, pogorszonem jeszcze, gdy ktoś odezwał się z głębi pokoju:

— Oto wejście poetów!

A Jerzy swą układną, zgrabną postacią, swą miną misterną, oczyma uprzejmie podsumiętymi pod powieki, chciał wyrazić tutaj, że jest hrabią, nie zaś poetą. Uśmiech pani de Sertonville przyjazny, choć powściągliwy, pogodził go wkrótce z życiem. Zakopiańskiego zaś pani Granowska przedstawiała, jako sławnego naszego poetę, wierząc w to sumiennie na zasadzie rezenzyi, pisanych przez braci tego samego zakonu.

Teraz weszli najlepsi znajomi.

— Przyjaciele zawsze się spóźniają — rzekła pani Granowska, powstając trudno z fotelu.

Margrabia d'Anjorant z żoną, piękną poprawną Amerykanką, siostra jej lady Cosway, bez męża, i nieodzowny uczestnik wszystkiego, co

się dzieje na Rivierze, Eustachy hrabia Słuska, weszli razem do salonu.

Dubieński wiedział, że na śniadaniu ma być Raul d'Anjorant, ów legendowy »król snobów«, ale go nie znał. Gdy spostrzegł wchodzącego mężczyznę średniego wzrostu, w szaro-różowym surducie, o rysach regularnych, młodych jeszcze, lecz ze srebrnym już odbłyskiem na czarnych włosach, pomyślał:

— Czy to ten??

Ale gdy zobaczył z bliska pogardliwe, zle skrzywienie ust, wzrok grzecznie zuchwały; gdy stwierdził niepomierną sympatyę, którą wszyscy odpowiadali na jego krótkie: *Bonjour, bonjour!* — wątpliwość ustała.

— Tak, to d'Anjorant.

Przekonał się zaś o tem ostatecznie, gdy go z nim zapoznano. Margrabia uderzył w niego zimnem spojrzeniem, które wydało się Jerzemu jakimś wyrokiem, poczem rzekł:

— Spotykam w Paryżu hrabiego Dubieńskiego, »wielkiego Turka«, jak go nazywamy. Czy to pański krewny?

— Tak jest, margrabio, jestem synowcem.

— Ale nie Turkiem, mam nadzieję. Jakże się miewa ten kochany wujaszek?

— Dziękuję, dobrze.

— Może za dobrze? Nie nie szkodzi. To sprytny człowiek, zna się na interesach. Im później, tem może się stać droższy.

Jerzy brwi lekko ściągnął, ale d'Anjorant zmienił ton na uroczysty:

— Poważnie mówiąc, bardzo cenię pańskiego wuja; należy do naszych przyjaciół.

Poczem przerwał audyencyę i zwrócił się w inną stronę.

Tymczasem Słuska tłumaczył długo i wymownie, dlaczego się nieco spóźnił. Mówił po francusku jak Francuz, wyglądał zaś jak Eustachy Słuska, czyli zupełnie oryginalnie: czarna, niewielka postać, starannie ubrana, z oczyma sędziego śledczego i z uśmiechem dziecka.

— Pani hrabino! Nie można mówić mi tego, co się wszystkim mówi. Ja się nigdy nie spóźniam, tylko mogę być w kolizyi obowiązków. Mym obowiązkiem jest stawić się na godzinę zaproszenia, ale nie możecie nawet zgadnąć, ile innych zadań miałem dzisiaj do spełnienia. Gdyby »kwadrans łaski« nie istniał, trzebaby go właśnie dla mnie wymyślić. Napoleon, ten wielki człowiek, z którym, mój Boże, mam niektóre wspólne cechy, powiedział...

— Jesteśmy legitymiści, kochany Eustachy — przerwał d'Anjorant — a śniadanie, które opóźniasz swą wymową, nie może być, jak tylko królewskie.

— Bardzo się o to boję — wtrąciła pani Gradowska.

— Jakto! pani hrabino?! — zawołał Słuska z oburzeniem — ja pani wynalazłem kucharza,

ja poświęciłem kilka godzin — a nie mam ich do stracenia, — na instrukcyę tegoż kucharza, ja ułożyłem treść dzisiejszego śniadania, i pani może wątpić?!

Pani Granowska uśmiechnęła się tylko pobłażliwie i rzekła:

— Kochany panie Eustachy! jesteś niezbędny, o tem wątpić nigdy sobie nie pozwoliłam.

— Nareszcie oddano mi sprawiedliwość!

Wznosił ręce w górę, biorąc niby niebo na świadka. Potem roześmiał się, pokazując szeroko zdrowe zęby.

Pani Granowska szepnęła pani d'Anjorant na ucho:

— Czy pozwoli pani na dzisiaj oddać ramię mego syna pani Rubenson, która pierwszy raz jest u mnie na śniadaniu? Zyska pani na zamianie, idąc do stołu ze Słuszką.

— Dziękuję za Słuszkę, ale i wasz Toni jest bardzo miły.

— Będzie go pani miała przy sobie po drugiej stronie.

— To doskonale; dziękuję.

— Pani taka dobra i uprzejma!...

Pochyliły ku sobie twarze, na znak i symbol pocałunku, poczem urządzono resztę ceremoniału. Pani domu podała ramię margrabiemu i posadziła go po swej prawej; na lewo miała Rubensona, który prowadził lady Cosway. Dubieński otrzymał panią de Sertonville, a dla Krysi przezna-

czono Zakopiańskiego, który, mimo sławy wielkiego poety był *après tout un jeune homme sans conséquence*.

Przed samem pójściem do stołu, Jerzy zauważył krótką uboczną rozmowę d'Anjorant'a z Fernandą, spostrzegł wyraz żartobliwy margrabięgo i dosłyszał taki urywek rozmowy:

— Uosabiam los pani na dzisiaj.

— Sprawy bez jutra nie są zajmujące; ale mogą być zabawne... Chodźmy — rzekła do Jerzego, przewijając swe ramię krągłe i płowe przez jego łokieć, ruchem tak kocim, że Jerzy się wzdrygnął.

W sali jadalnej został odłączony od swej damy z powodu innych jeszcze hierarchicznych kombinacyi; Fernanda usiadła między d'Anjorant'em a Krysią, Jerzy zaś znalazł się między lady Cosway a Słuszką.

Musiał się zająć bawieniem lady Cosway, która zrazu wydała mu się wcale niechętną do rozmowy. Była to pokaźna blondynka, podobna do siostry swej margrabinie, z nikłymi rysami i silną szczęką, świeża, różowa, bardzo normalna. Jadła w milczeniu i piła wodę mineralną, zaprawioną kilku kroplami wódki. Dopiero gdy Jerzy zatoczył parę kręgów około jej wyobraźni, zapytała:

— Czem się pan zajmuje?

— Chciałbym pisać... i piszę trochę.

— Prozą czy wierszem?

— Wolę wierszem.

— Czy pan ma już ustaloną pozycję poety w swoim kraju?

Jerzy spostrzegł, że tu trzeba dać jakąś dokładną informację o swojej kategorii, zdecydował się więc na małą przesadę:

— Czy mam pozycję, nie mogę o tem sądzić. Śmiem jednak twierdzić, że każdego mego tomu oczekują z pewną niecierpliwością.

— Au! a jak się wymawia pańskie nazwisko?

Jerzy nauczył ją bez trudności, jak się po angielsku wymawia »Count Dubieński«.

— Może pan zechce wpisać aforyzm do mego albumu?

— Z największą chęcią.

— Napisze pan po polsku i przetłumaczy na angielski.

— Nie dość dobrze władam tym językiem.

— To po francusku.

— Owszem.

Po ubiciu tego targu nastąpiło krótkie milczenie. Jerzy pomyślał: czyby nie wpisać ostatniego swego wiersza? A lady Cosway zaczęła się przyglądać towarzyszowi dużo łaskawiej. Była nawet ładniejsza z uśmiechem, odsłaniającym duże, wystawowe zęby. I zaczęła się nowa indagacja:

— Do jakich klubów pan należy?

Jerzy, już nauczony doświadczeniem, wyliczył parę klubów rzeczywistych i parę urojonych. Pomiędzy tylko angielskie.

— Czy pan poluje na bażanty?

— Przepadam za tem polowaniem. Te bukiety pięknych ptaków, z metalicznymi odbłaskami w słońcu...

— Nie. Ja mówię o dzikich bażantach. Niema bukietów.

— Lubię także. Są znowu niespodzianki lasu, ciemne głębie, z których niewiedomo, co wyjść może...

— O nie! są niskie krzaki na bagnie.

— Dla myśliwego i ten widok może być po-
netny.

— To niech pan przyjedzie do nas w tym roku na bażanty w listopadzie. Dam panu adres po śniadaniu.

— Bardzo dziękuję. Jeżeli tylko obowiązki moje mnie puszczą.

— Odpowiedzieć trzeba do 1-go lipca; 3-go lipca listę gości zamykamy.

Rozmowę tę przerwała głośna perora Słuszki, zwrócona zrazu do pani d'Anjorant, następnie do pani Rubenson i do wszystkich obecnych. Chodziło mu o rolę kobiet w nowożytnej cywilizacji.

— Kobieta nowożytna powinna studyować życie mężczyzn, — o! w granicach możliwości! — Jeżeli chce utrzymać swój wpływ na mężczyznę, musi być zdolna do towarzyszenia mu mniej więcej wszędzie. A do wpływu na mężczyznę ogranicza się cała rola kobiety w życiu.

Pani d'Anjorant zaprotestowała:

— Zaczął pan dobrze, ale źle skończył. My mamy swoją niezależną rolę w życiu.

— Pani! Pochlebiam sobie, że jestem pani przyjacielem. Otóż mówiłem zawsze i powtarzam: Ameryka ma najzdrowsze pojęcia o potrzebnej nam cywilizacji. W jednej rzeczy się myli: co do roli kobiety w społeczeństwie.

— Peuh! — wtrącił d'Anjorant — nikt nie jest doskonały. Jeżeli myli się Ameryka, i ty się możesz mylić.

— Raulu, bądź łaskaw dać mi skończyć. Kobieta ma swoje wieczne, o! i najszczytniejsze! zadania. Gdy je zaniedbuje dla męskich zajęć, dla męskich sportów, pozbawia się wdzięku, a wtedy jest skończona.

— Tylko co pan mówił, że ma studyować życie męskie — podchwyciła pani Rubenson — jakże ma je studyować?

Śluszka zatrzymał się na chwilę. Potem rzekł z nakazującym giestem:

— Powinna mnie słuchać. Ode mnie dowie się wszystkiego, co potrzebne, nie usłyszy nic nad to.

— O tem jesteśmy wszystkie przekonane — rzekła z nśmiechem pani Rubenson, prawie chórem z całym towarzystwem, przyzwyczajonem do groźnych peror Śluszki, które znoszono uprzejmie.

Śluszka był niby na wyjątkowych prawach między swymi przyjaciółmi; zwłaszcza panie pozwalały mu dawać sobie rady, gderać, oświadczać

najgorętsze lub najbardziej nienawistne uczucia, wiedząc, że to wszystko nie pociąga za sobą zbyt doniosłych skutków i utrzymuje się w granicach dozwolonych. Wszysey przyjaciele znali też jego serdeczną uczynność i zaufaną dobroduszość, kryjącą się pod pozorami wesołej tyranii i retorycznej wyższości. Od kilku już lat tracąc duży majątek między Paryżem a Rivierą, Śluszka utrzymywał się w sztucznym podnieceniu, do którego życie takie daje ciągłą sposobność.

Jerzy nie wypuszczał z pod obserwacji Fernandy, pomimo ubocznych i ogólnych rozmów. Stwierdził, że zachowywała się skromnie, mało rozmawiała z d'Anjorant'em, a ciemne swe spojrzenia kierowała bardziej do Krysi. Lgnęła niby do niej swą sympatją starszej, ale jeszcze nieśmiałej kobiety, porozumiewała się z tą ciekawą blondynką jakimś kociemi minkami, zwilżając czasem rąbkami języka swe palące czerwone wargi, jak to miała we zwyczaju.

— Mądra, mądra kobieta! — myślał Jerzy — jaka układna! Nie poznaję wcale mojej gwałtownej Fernandy.

Po śniadaniu miał z nią jechać do Monte Carlo.

VI.

Pociąg, zbierający pasażerów od zachodu na wschód, do Cannes, Antibes, Nizy, Beaulieu, do korony tego kraju, do Montecarlo, mknął samym brzegiem morza, mijając po lewej stronie niby ogród gęsto zamieszkany, oliwne gaje na rdzawych stokach skał, mury białych willi, kapiących od róż i geranium; ze świstem i grzmotem wpadał w krótkie tunele, osadzał się z rozpędu na małych dworcach, na których przybierał gorączkowo kilka osób, trzaskał drzwiami wagonów, świstał i ruszał dalej, bryzgając wesołą parą na szosę tuż obok rozciągniętą. Po szosie tej warczały samochody, śmigały bicykle na wyprzódki z pociągiem. Zaledwie gdzieś niegdzie ciężki, wysoki wóz, wleczony przez muła, przerywał ten pęd, jakby dla oznaczenia szybkości mijającego pościgu.

Wcześniej jeszcze — dzień cały przed nami. Może to dzień szczęścia, niebywałych wzruszeń, może ten oczekiwany dzień wielkiej fortuny?... Tymczasem dzień taki pogodny, aż się dostaje

skrzydlatych zachcianek. Można by się przejechać grzbietem tych wyżyn przez opalowe leciutki mgławice, można puścić się łodzią po tem ciepłym, przyjaznym morzu. Ale wstąpimy najpierw do sali gry w Montecarlo. Coś lechce, coś upaja, coś gna.

Tylko woźnica włoski w bluzie i w birecie, leżąc niedbale na ładownym wozie, mniema, że dzień jest zwyczajny, pracowity, i spogląda chmurnie ze swego wysokiego leża na szczęśliwych, którzy go pędem mijają.

W pociągu śmiechy i podniecony głos Słuszki. Nie siada nawet, obchodzi po przedziałach mnóstwo znajomych, bo ma wiele nauk do udzielenia. Tę zaś główną:

— Mówię wam, posiadam sekret rulety. Gnoimy rulety nawiedzają mnie. Kto chce być szczęśliwy, proszę za mną. Dzisiaj mój system gram do spółki z księżną della Robbia. Mogę jeszcze kogoś przybrać, mam jeszcze jedno miejsce.

Odezwał się baron von Schwind, Westfalczyk, wysoki, kościsty, rasowy, z oczyma zmęczonemi przez bezsenność i hamowaną chciwość:

— Każdy za siebie, mój drogi, to najlepsze. A jeżeli już spółka, to ją wolę z Rubensonem, tylko niech mi najprzód da kredytywę na pół miliona.

Wskazał głową w oddalony kąt wagonu, gdzie siedział Rubenson w towarzystwie pani de Ser-tonville i Jerzego Dubieńskiego.

— Patrz, jak opuchł od biletów bankowych. Jeżeli dzisiaj wygra, będzie je musiał ulokować z tyłu, z przodu już nie zmieści.

— Schwind! — odezwał sentencyonalnie Słuszka — traktujesz grę nadto lekko. Zobaczysz, przyjdiesz jeszcze na moje podwórko.

— Obiecuję ci solennie przyjść, jak tylko się splekam.

— Bah!

Przeszedł do przedziału, gdzie siedział d'Anjorant z żoną i jej siostrą.

— A pani margrabina czy gra dzisiaj?

Pani d'Anjorant dała gościom do zrozumienia, że nie ma pieniędzy. Słuszka już się ofiarowywał z pożyczką, gdy margrabia, ziewający w kącie, odezwał się sarkastycznie:

— Dziwię się, że kobieta piękna i z mojej szkoły może być pozbawiona środków.

Lady Cosway zarumieniła się. Pani d'Anjorant, pragnąca nabrać francuskiego dowcipu i stosować się do męża, śmiała się niby serdecznie. Ale Słuszka był zgorszony i nie znajdował odpowiedzi.

— Moje dzieci! — rzekł wreszcie d'Anjorant niecierpliwie — niema, na szczęście, panien między nami. Nie jesteśmy już u Granowskich. Przyznać trzeba Granowskiemu jedną zasługę; w naszym życiu nerwowem przedstawiają źródło odpoczynku, działają jak sen.

— Och, to sobie spokojni ludzie, bardzo porządni — rzekł Słuszka.

— Czy powiedziałem co innego? Właśnie to samo. Ty jednak, jako mentor całego świata, powinienbyś pani Granowskiej, którą także zapewne oświecasz, zabronić spraszać ludzi z czterech stron horyzontu. Horyzontalność kobiet naprzykład nie mogłaby być dowiedziona na lepszym podmiocie, niż na pani de Sertonville.

— Doprawdy, Raulu, jesteś niemiłosierny!

— Owszem, jestem wzorem miłosierdzia. Pani de Sertonville posiada różne podniecające specjalności. Stawia ją to w rzędzie kobiet wybitnych.

— Raulu! co ty gadasz? — odezwały się tym razem obie siostry.

— Zamilczmy zatem i przejdźmy do innych. Rubensonów nie wymawiam nikomu. Ludzie zupełnie przyzwoici, sto milionów razy przyzwoitsi, niż ci, którzy mają jednego franka. Ale któż to ten... ten, co się nazywa jak czkawka?

— Hynko Zakopiański... To poeta... zdolny podobno... waryat.

— U nas byli tacy na Montmartre, za czasów mego dzieciństwa. No, a pan Dubieński?

— Zupełnie porządny chłopiec, z doskonałej rodziny.

— Także poeta?

— Nie groźny.

— Ile ma renty rocznej?

— Mało. Ale rodzice bardzo bogaci, no i stryj...
Wszystko to przyszłość wprowadzie.

— Cóż on tedy porabia z piękną Fernandą?

— On z Fernandą?!

— Eustachy! jesteś aniołem! Wznies oczy ku niebu. Na wysokościach te palmy zwiastują nam raj, w którym możemy się spotkać bez rozterki.

Dojeżdżali do Montecarlo. Stroma skała zasłania od kolei żelaznej widok siedliska rozkoszy. Ale skoro służba kolejowa głośniejszym okrzykiem zwiastowała oczekiwaną nazwę, otworzyły się wszystkie drzwi wagonów, i potężne windy wzniosły jednych spragnionych na szczyt wzgórza, podczas gdy inni, zdyszani, biegli po łamanych schodach do tegoż celu, niebaczni na cudowne linie gór, przebłyśki szafirowego morza i ściany roślin najrzadszych odmian.

Żaden teatr w dni wielkich przedstawień, żadna katedra podczas morowej zarazy nie wchłania tak szybko ludzi w swe otwarte na roścież podwoje, jak to czyni złoty dom rozpusty. Siła magnetyczna złota, przewalającego się wewnątrz, jest tak potężna, że tylko ludzie, którzy pragną koniecznie okazać swą oporność, wchodzą powoli, a i ci czują niby wiatr pchający ich naprzód.

Rubenson, Słuszką, Schwind, d'Anjorrant ze swemi paniami znikli już w różnobarwnych czełusciach. Ociagała się jeszcze pani de Sertonville i Jerzy.

— Czy będziemy grali? — pytała Fernanda.

— Chyba tanio — odpowiedział Jerzy.

— Dla wielkich ludzi jest tylko wielka gra.

— Dla wielkich sakiew szczególnie.

— Takiś szalony? taki poeta?

— Zrobię wszystko, co każesz — rzekł Jerzy pod wejrzeniem Fernandy.

— Wiesz... mam przecucie wygranej dzisiaj. Poróżniłam się z d'Anjorrant'em, nie miałam szczęścia w rozmowie z nim; może to dla gry dobra wróżba?

— Jak to? co to?

— Z d'Anjorrant'em trzeba być dobrze. I ja się o to staram, bo to człowiek niebezpieczny. A był przyjacielem mego męża!... Dość, żem starała się przypomnieć mu dawną zażyłość, a on... To człowiek bez czci i wiary.

— Ależ cóż ci zrobił? co powiedział?

— Ach, to za długie... Niech mu Bóg przebaczy... Wiesz co? Daj mi grać za nas oboje... Ile przeznaczasz na grę dzisiaj?...

Dubieński dobył pugilares i oddał wszystko, co się w nim znajdowało: 1.200 franków.

— To niewiele. Ja mam tylko tysiąc franków.

Pokazała bilet tysiącfrankowy w portmonetce.

— Więc oddaję ci dwieście i dajemy po tysiąc. Teraz pozwól mi grać. I z tego można zrobić się fortunę. Na obiedzie w Grand-Hotelu, prawda, mój jedyny?

Weszła do domu gry, a Jerzy poszedł tym-

czasem nad morze. Tam omacał kieszenie i znalazł jeszcze bilet na tysiąc franków w kamizelce. Ta waryatka Fernanda przegrywa zawsze, więc po co jej dawać za dużo?... Ale jaka misterna kobieta! Pierwszy raz ją widział dzisiaj u autentycznie uczciwych ludzi... Jak ona umie stosować się do otoczenia!

Na tarasie od morza było stanowczo za gorąco, a szczególnie blaski i natężone barwy tak raziły oczy, że Jerzy poszedł szukać po mieście jakichś ciekawości, gdyż do sali gry nie chciał teraz wchodzić.

O kilkadziesiąt kroków pod górę, przy bulwarze palmowym, który już znał na pamięć, spostrzegł napis: »Wystawa obrazów«. Wszedł do rotundy, ale wkrótce ją opuścił: było tam kilkadziesiąt malowideł dekoracyjnych, bez wartości. Zlustrował następnie wystawy sklepowe przy niezliczonych ulicach mniej więcej poziomych na płaskowzgórzu montekarlijskiem. Dalsze uliczki, prowadzące pod górę, przypominały włoskie miasta; czystsze znacznie, ale bez indywidualności, bez życia. Miasto w tej porze dnia wyglądało puste; zaledwie gdzieś zdążał ktoś szybkim krokiem do Kasyna lub powolnym, zniechęconym, w stronę przeciwną. Kilka kobiet spotkał, nie mogąc sobie zdać sprawy, do jakiej należą klasy; wszystkie miały wspólną cechę niepokoju.

Wracał już po raz drugi do tych samych wystaw sklepowych, w których właściwie były tylko

dwa rodzaje: stroje i klejnoty, gdy zwabił go wielki sklep antykwaryusza.

— Może znajdę jaką dobrą miniaturę?

Przejrzał ich co najmniej setkę: wszystkie lepsze były fałszywe, wszystkie stare mało warte, a przecenione niepomniernie. Oglądał też gotyckie tryptyki z kości słoniowej, świeżo strugane kozikiem i rzymskie medale wykonane za pomocą galwanoplastyki, i stare niby kopie obrazów, malowane na fotografii. Gdy nareszcie antykwaryusz zrozumiał, że nie z frycem ma do czynienia, zaczął wydobywać rzeczy lepsze, choć drugorzędne. Po długich poszukiwaniach, napotkał nareszcie Jerzy przedmiot ciekawy: wziął do ręki miedzianą, złoconą blachę w formie malej tarczy. Na stronie wypukłej był przytarty nieco wizerunek, starannie rytowany, na odwrotnej stronie wklęsłej, po czerniale malowidło. Jerzy poznał ze zdumieniem polski ryngraf z końca XVII-go wieku. Odłożył go na bok, aby nie dać poznać po sobie, potem wziął blachę do światła, okurzył i szczegółowo obejrzał.

Na złoconej powierzchni widniała Matka Boska Częstochowska ze swemi dwiema bliźniami na twarzy; u dołu herb Nałęcz na działach i sztandarach z przedzieloną datą 16—83. Na odwrocie Męka Pańska.

— Co pan chce za ten fragment?

— Czy to fragment? — zapytał antykwaryusz, wpatrując się pilnie w oczy kupującego.

— Zapewne... stara blacha od zbroi...

— To jest jakaś świętość. Pochodzi od rodziny, która mi różne rzeczy sprzedawała w zaprzeszłym sezonie, a naostatku to...

— Cóż pan żąda za tę blachę?

— Dawano mi za nią dwieście franków. Ale że jeden pan, który ją targował, dawno nie wrócił, oddam ją za... sto.

— Ach, panie! Jabym kupił tak... aby nie zabierać napróżno czasu... za parę ludwików.

— No, niech pan da 60 franków dla pierwszej znajomości.

Jerzy zapłacił z pewnym pośpiechem żadaną sumę i ryngraf zabrał. Gdy go ukrył pod surdudem, poczuł chłód metalu, i lekki dreszcz go przejął.

Poszedł do kasyna, aby odszukać Fernandę. Znalazł ją odrazu w sali kolumnowej, zwanej »atrium«. Siedziała na ławce z Rubensonem i opowiadała mu prawdopodobnie bardzo zabawne rzeczy, gdyż pocziwy bankier zanosił się od śmiechu, licząc tysiącfrankowe bilety.

Skoro tylko Jerzy się zbliżył, Fernanda rzekła:

— Nie należymy do szczęśliwych. Wszystko przegrałam.

Twarcz jej, po której wrażenia przechodziły jak żywe obrazy, wyraziła nagle boleść i prośbę o przebaczenie.

— Ależ, kochana hrabino... na to byliśmy przygotowani. Taki drobiazg!

— Czy doprawdy?... Teraz umyśliłam grać na wspólną z panem Rubensonem, och! w dwudziestej części, bo on gra kolosalnie.

— My wygramy — rzekł Rubenson, podnosząc z kanapy swój krótki kadłub, którego kształtów trudno było się domyślić pod ubraniem, tak był dziwacznie złożony z wypukłości, z fałdów i nieokreślonych napełnień.

— Musi być ładny w stroju... kąpielowym — szepnął Jerzy do Fernandy, gdy Rubenson oddalał się do sali gry.

Dubiński rzekł to z pewną zaciętością, gdyż potworna prawie postać bankiera sprawiała mu fizyczną odrazę, zwłaszcza w bliskości Fernandy, która lubiła z Rubensonem rozmawiać dla jego dowcipu.

Pani de Sertonville podniosła oczy zrazu wystraszone, potem pełne miłosnego zawodu:

— Jak możesz wywoływać takie obrazy?!

— Ja go nie wywołuję, on sam zawsze się znajduje.

— Przy mnie? Możesz zazdrośny o niego?

— Zazdrośny być nie mogę, ale nie lubię, gdy jego kosmata łapa dotyka choćby twej rękawiczki, albo gdy brudny surdut otrze się o twoją suknię.

— Brudny nie jest; owszem, można przy nim siedzieć. A rozmawiać z nim lubię dla jego dowcipu.

— Żebym ja kiedy mógł zrozumieć, na czym polega ten dowcip! Gdy powie »dzień dobry«,

uśmiecha się jak smok po przełknięciu barana. Gdy do rozmowy wtrąci »to zależy«, znowu śmieje się, przymykając lewe oko. Ale ja się nie śmieję.

Pani de Sertonville obserwowała rozprawiającego Jerzego uważnie.

— Żeś dowcipniejszy, mój poeto, o tem nie wątpię. Ale dlaczego ludziom upośledzonym odmawiać przyjemności obcowania z nami?... Zwłaszcza szczęśliwi powinni być dobrzy i łaskawi — dodała z przechyleniem głowy tak wymownem, jak pocałunek.

Weszli razem do sal gry, przepełnionych, uroczystych i gorączkowo czynnych.

VII.

Zaledwie minęli pierwsze stoły, zwrócili uwagę na parę ludzi błakających się opodal od gry.

Mężczyzna nosił na sobie szare, źle skrojone ubranie, monokl w oku, a minę miał tak zuchwałą dawnego bywalca »po podobnych zakładach«, że każdy go brał odrazu za nowo przybyłego. Kobieta była ubrana lepiej, nosiła się z uprzejmą godnością i pilnie przeglądała zgromadzenie za pomocą szyldkretowej lornetki.

Jerzy, idący z Fernandą, stanął nagle, jakby przed gorączkowem przywidzeniem:

— Do licha! to moja siostra.

Instynktowo odsunął się od Fernandy, dając jej znak, że muszą się rozejść. Ale ona, tylko ruchem brwi wyraziwszy niespodziankę, odrzekła szybko i twardo:

— Głupstwo, zaraz, mnie jej przedstawisz.

W grupie obserwowanej powstał też mały popłoch, krótka narada i decyzja. Poczem obie pary skierowały się ku sobie z różnemi, stosownie do usposobień, oznakami zdziwienia i radości.

— Założyłam się z Władziem, że zdybiemy cię aż tutaj, w paszczy potwora — ozwała się pierwsza dowcipna Terenia.

— W paszczy... ha... ha!... Cóż to za projekt niespodziewany?... Pozwolisz Tereniu... pani hrabina de Sertonville pragnie zabrać z tobą znajomość.

— Tyle o księżnie słyszałam od jej brata, że pozwoliłam sobie odrazu narzucić się ze swą znajomością. Ciekawość i najlepsze me uprzedzenia niech mi posłużą za wymówkę.

— Ciekawość jest nam wszystkim wspólna, córkom Ewy. Miło mi poznać panią — odpowiedziała księżna Kobryńska, dystyngowanym zmruczeniem niewielkich oczu wywdzięczając się za pochlebstwo gwałtownych oczu Fernandy.

Książe Władysław, gdy go z kolei przedstawiono pięknej Hiszpance, uznał za stosowne stwierdzić swój hołd sumiennym pocałunkiem w rękawiczkę, a pani de Sertonville oderwała lekko rękę od tego uścisku, jak panienka, która dla igraszki dotyka się pierwszy raz maszyny elektrycznej. Potem rzekła:

— Usuwam się. Przedewszystkiem rozrzewnienia rodzinne.

Tych właśnie oczekiwał Jerzy z pewnem odretwieniem, jakby Kobryńscy przywieźli z sobą trochę mrozu z Chojnogóry, i mróz ten powarzył kwiaty jego wyobraźni. Zapytał nawet:

— Cóż tam u nas? zima?

— Sanna, mój drogi — odrzekł Władysław. — A ta hrabina co za jedna?

— Hrabina Fernanda de Sertonville, Hiszpanka, za mężem Francuzem. Jedliśmy razem śniadanie u Granowskich, a potem w licznej kompanii przyjechaliliśmy do Montecarlo.

— U Granowskich? Aa! to zatem pani z wysokich sfer?

— Czyś wątpił?... Powiedz mi jednak, skąd się tu nagle wzięliście?

Księżna Teresa przybrała wyraz tak misterny, że brat, który ją znał dobrze, domyślił się odrazu jakiejś misyi nieprzyjemnej.

— Przyjechaliliśmy trochę dla mojego zdrowia, trochę... dla ciebie.

— Bardzo rad jestem. A czy przywozicie mi pieniądze, których dawno oczekuję?

— Jeszcze nie.

— Jakto: jeszcze nie? co to znaczy?

— Aby wszystko wytłómaczyć, musimy gdzieś się odosobnić na rozmowę, bo tutaj trudno.

Rzeczywiście było trudno. Chociaż tłumy skupione były głównie około stołów rulety, a znaczna tych stołów odległość sprawiała, że przejścia po sali nie były zbyt zatamowane, jednakże ruch przechodniów był ciągły i niewygodny dla osób nie biorących w grze udziału. Wszystkie twarze były mniej więcej zaszepione, podniecone jakimś cichem pijaństwem; rzadko trafiała się twarz pogodna lub obojętna. Kobiety i mężczyźni

opuszczali nerwowo jeden stół gry, aby szybko zdążyć do drugiego lub ku wyjściu. Ktoś podczas takiej gwałtownej migracji potrafił księżną Kobryńską i uciekł, zaledwie przeprosiwszy. Kobiety, szeleszczące nadzwyczajnymi strojami, obwieszone łańcuchami i klejnotami, przechodziły szybko, tryumfalnie, mierzyły nowo przybyłych roztagonionem, często pogardliwym spojrzeniem; czuły się tutaj widocznie u siebie w domu.

Wogóle ciżba była nadzwyczaj strojna, bardzo różnobarwna i zajmująca, ale bynajmniej nie wesoła, owszem, jakaś groźna.

Jerzy chciał odrazu wyprowadzić siostrę na powietrze, ale księżna ociągała się:

— Zostańmy jeszcze trochę. Po raz pierwszy jestem w tych salach, a zapewne i po raz ostatni: muszę się napatrzeć.

— Dlaczego po raz ostatni? — rzekł Kobryński. — Tu przychodzą wszyscy: od głów koronowanych aż do... aż do najprostszych ludzi. Tu jest schadzka całej Rivieri i całego świata.

— Ale tyle niebezpieczeństw! — szepnęła Terenia, mrugając rozjaśnionymi oczkami. — Może nie dla mnie, choć i ja czuję się dziwną... ale dla Władzia na przykład. Władzio przegrał już dwieście franków.

— Postawiłem dziesięć ludwików „*contre le coup de trois*“. No, i powtórzył się trzeci raz ten sam kolor, więc przegrałem. Wielka rzecz! jutro, albo po obiedzie wygram.

— Widzę, że się znasz na tem — rzekł Jerzy, zadowolony, że szwagier niezbyt przesiąkł powagą swej misyi.

— Ja?! Mój drogi, ja tu byłem już dwa razy; w Baden raz bank zerwałem; prawda, żem się znowu zgrał w Ostendzie, ale na ogół mam wenę i grać umiem.

— Władziu! — rzekła żona z niewymowną słodyczą — czy przyjechaliśmy, o takich rzeczach rozmawiać z Jerzym?

— Ach, moja kochana! Jerzy jest dawno pełnoletni, a to, co mu powiemy, weźmie jak mu się spodoba.

— Władziu!

Władzio machnął ręką i przestano się spierać, a księżna Teresa upatrzyła w sali kąt mniej zapełniony i tam pociągnęła za sobą męża i brata. Lornetkę skierowała na architekturę sali.

— Powiedz mi, Jerzy, kto malował te freski?

— Freski?... Prawda, są jakieś; nawet ich dotąd nie spostrzegłem. Kto je malował, nie mam pojęcia.

— Ty? taki artysta?...

— Rzadko bywam w tej sali.

— Rzadko? więc mało grasz?

— Nie gram wcale. Czasem mi się zdarzy coś potrzymać do spółki, albo z nudów postawić parę sztuk złota, ale w zasadzie nie gram.

— Jurku! — zawołała księżna z entuzjazmem: — jam zawsze mówiła, żeś ty nie upadł, że się wznosisz

owszem, tylko się szamoczesz z niebezpieczeństwami twej bogatej natury! Jurku! jak się cieszę, że cię znajduję w dobrych dyspozycjach!

Jerzy obejrzał się, czy kto ze znajomych nie usłyszał niezwykłego wybuchu siostrzanego afektu, a potem uśmiechnął się:

— Jestem rzeczywiście w doskonałym usposobieniu. Niczego mi nie brak... a! owszem — pieniędzy. Mieszkam w Nizzy, piszę trochę, widuję najlepsze towarzystwo...

Siostra uspokoiła się i przybrała wyraz hamowanej czułości, pod którym jednak drżały jeszcze niektóre powątpiewania, obawy, społecznia, igrając z sobą nawzajem.

Kobryński zaś spojrział na Jerzego wzrokiem wilczym, z pode łba, obiecywał sobie bowiem zostać poufnyim sojusznikiem szwagra, tymczasem spotkał w nim wyznawcę wielu cnót, na teraz mniej potrzebnych.

Terenia przeglądała znowu chciwie barwną galerię osób, napelniającą salę.

— A ta wysoka, z piórami tonowanemi na kapeluszu, która ci skinęła tak zgrabnie głową, jak się nazywa?

— Ach, zapomniałem. To nie jest pani «z towarzystwa».

— I znasz ją?! Uciekam stąd, moi drodzy. Jeszcze do mnie gotowa zagadać.

— Niema obawy. Ale wyjść możemy na po-

wietrze, bo tutaj duszno i rozmówić się niepodobna.

W tej chwili grupa, złożona ze Słuszki, Rubensona i pani de Sertonville, zbliżyła się do grupy, rozprawiającej w kącie, z widocznym zamiarem zaczepnym.

Słuszka przypomniał się pamięci księżny Kobryńskiej, a potem trzęsąc wzniesionym palcem, jak kaznodzieja, zaczął mówić:

— Chociaż księżna nie poznaje mnie, miałem już dawno zaszczyt być jej przedstawiony. Otóż teraz, gdy państwo zjeżdżacie na Riviérę, musicie mnie znać i być przekonani o mojej niezbędności. To jest mój kraj, i beze mnie obejść się tu nikt nie zdoła. Chyba — rzekł z wielkim gięstem komicznie-desperackim — chyba, że chce tu przepaść! Kochana księżno! proszę mi wierzyć i poddać się memu kierownictwu. Zaraz na wstępie zapytuję: gdzie państwo dzisiaj jedzą obiad?

Księżna, trochę ogłuszona tym potokiem słów, obejrzała się na brata i na innych, ale widząc twarze wesole, tłómaczące, że Słuszka inny być nie może, odpowiedziała:

— Mieszkamy tutaj, w hotelu Paryskim, i tam zapewne będziemy na obiedzie.

— Składa się wybornie. Opatrzność to przewidziała, a ja zawsze mówię, że moja rola na świecie ogranicza się do pomagania Opatrzności. Nie zastępuję Jej, pomagam tylko. Otóż, upraszam o uważne posłuchanie... Panie Rubenson!

proszę mi nie przerywać! Pan Rubenson, przyjaciel nas wszystkich, daje dzisiaj obiad dla margrabiów d'Anjorant w oszklonej galeryi tegoż hotelu Paryskiego, w którym pani zamieszkała, i zapytuje najuprzejmiej, czy księstwo Kobryńscy nie zgodziliby się przyjąć zaproszenia na ten obiad?

Rubenson skłonił się i powtórzył zaproszenie, godząc w księżnę wzrokiem, na który tylko zdobyćby się mógł wyżeł, gdyby miał nos niepomiernie rzymski.

— Ależ... państwo zbyt są uprzejmi... ledwo wysiedliśmy z wagonu... nikogo nie znamy.

Słuszka przybrał znowu ton komicznego naku:

— Skoro śmiem do państwa się wstawić, trzeba mieć przekonanie, że propozycja jest możliwa i, co więcej, pożądana. Nie można lepiej rozpocząć tutaj sezonu, niż na obiedzie pana Rubensona, w galeryi hotelu Paryskiego.

Wtrącił Rubenson:

— Nie jemy dzisiaj u Noël'a i Pattard'a, bo całe towarzystwo przyjechało z Nizy po śniadaniu i jest w strojach porannych; nikt się nie przebiera. Zwykle jadamy u Noël'a i Pattard'a.

— Ja tu przyjechałam dla zdrowia, bez tualet — broniła się zakłopotana księżna.

— Właśnie dlatego prosimy księżnę o pozostanie w tej ślicznej sukni. Właśnie dlatego tak to urządzamy — dodał Rubenson zadowolony z pomysłu, choć było widoczne, że nie dla Ko-

bryńskich, lecz uprzednio postanowiono poranne ubrania z powodu niemożliwości ich zmienienia.

Księżę Władysław, rozejrzawszy się w sytuacji i zapewniony o udziale pięknej Fernandy, odezwał się stanowczo:

— Bardzo panu dziękuję za uprzejme zaproszenie; nie omieszkamy się stawić, księżna i ja.

Tę przemoc mężowskiej władzy księżna przyjęła z poddaniem, z nieokreślonym uśmiechem, w którym nad wielu, wielu dystynkcjami górowała jednak pogoda duszy.

Skoro po różnych jeszcze wymienionych grzecznościach, Kobryńscy znaleźli się z Jerzym na placu przed Kasynem, Terenia drżała od wrażeń, wzruszeń i od zapachu kwiatów, świeżo polanych wodą, roznamiętnionych przez nadchodzący wieczór:

— Co za wir! jaki szal w tym sztucznym raj! Czuje się tu podszepty wszystkich pokus, a przytem wdzięczność dla Pana Boga, że ten piękny kraj dla nas stworzył...

Ponieważ ani w sercu męża, ani nawet brata nie znalazła odgłosu, stłumiła westchnienie do Stwórcy, i stosując się do poziomu mężczyzn, zapytała:

— Ale czy wypada obiad przyjmować od Rubensona... od tak mało znajomego Rubensona?

— Tu się tak robi. Tu wszyscy żyją łatwo i razem, w salach gry, na tym placu, w tej galeryi...

Jerzy wskazał laską parterowy taras hotelu Paryskiego, na pół otwarty, na pół oszklony, Księżna spojrzała pożądliwie przez lornetkę.

— Więc tutaj to się odbędzie?...

Słońce znikło już i szafirowe przesłony padły na góry; na placu zajaśniały latarnie, zapaliły się oczy Kasyna, hotelów; galeria Karola III-go oznaczyła swój kierunek elektrycznym pasem, zawieszonym w pół góry; a na różnych wysokościach poczęły się iskrzyć światelka odosobnionych mieszkań ludzkich, tem czerwienie, im dalsze, tem bardziej nęcące, im wyższe, aż do grzbietu skał, nad którym blado-fosforyczne rozmnożyły się gwiazdy.

Na morzu, stalowo damascenowanym, srebrne ognisko księżycą ogromniało coraz jaskrawiej, a po pięknej linii wybrzeża, roztopionej już w spadającej ciemności, pobiegł wąż sztucznych światel i przystroił krainę do uciech nocnych.

Mimo chłodniejszego powiewu od morza, Kobryńscy z Jerzym przechadzali się długo, oddychając emanacyami klimatu, pasąc oczy widokiem, i Terenia, prawie natchniona, mówiła rzeczy bardzo podniosłe. Aż nareszcie Władysław odłączył się od grupy, a siostra pozostała sama sam z bratem.

Tymczasem obiad Rubensona przygotowywano w hotelu Paryskim z pewnemi modyfikacyami, których przyczyną było, że obie Amerykanki, margrabina i lady Cosway, wróciły pociągiem do

Nizzy. Słuszka, autor pomysłu, spierał się z d'Anjorant'em:

— Jak można Rubensonowi psuć obiad w ostatniej chwili?

— Dyabeł go wiedział, że nas zaprosi do tej oszklonej klatki, niby na pokaz wszystkim sezonowym gapiom, i że użyje nas do zareklamowania pięknej Fernandy. A nie! Dwa razy dziennie wystawiać moją żonę i bratową na takie towarzystwo, dziękuję.

— A na balu maskowym mogłeś na kolację z temi paniami zaprosić Emiliennę d'Alençon i de Vriès?... — ozwał się Eustachy rozgoryczony.

— Mogłem! To była ekscentryczność. Tutaj zaś widzę wyraźnie zamiar pani de Sertonville wkradania się do sfer, w których nigdy nie była i za moją pomocą nie będzie.

— Jakieś napadło cię katoństwo, Raulu. Z przeproszeniem jadałem już u ciebie obiady, w Paryżu i tutaj, z paniami, o których kronika...

— Eustachy! Naucz się jeszcze jednego pewnika. Nie zamykam swego domu przed naszymi krewnymi, które co do obyczajów współzawodniczą z kokotami; to jest miłosierdzie. Ale nie wprowadzam kokot, kandydatek na damy, do salonu mojej żony. *C'est une affaire de tenue.*

— Masz jakieś uprzedzenia co do pani de Sertonville, których nie rozumiem. Jest przecie dobrze urodzona i naprawdę zameżna. I ja wiem o jej niektórych wycieczkach do zakazanych ra-

jów, ale, mój Boże, tutaj... Nie możesz mnie mieć za naiwnego. Ja także coś wiem.

— Dowiesz się z czasem jeszcze dużo więcej.

Nie było sposobu zmienić postanowienia margrabiego. Zatem Słuszka poszedł tłómaczyć Rubensonowi, że pani d'Anjorant i jej siostra nie mogą tu zostać na obiedzie z powodu przeróżnych kombinacji dyplomatycznych, z których bankier zrozumiał tylko tyle, że nie będą, i zasepił się:

— No, a co teraz?

Słuszka wymyślił na poczekaniu dwie zastępczynie. Jedną była stara księżna della Robbia, autentyczna dama włoska, której namiętność do gry starczyła za wszystkie inne przyjemności i względy światowe. Ta przyjmie łatwo zaproszenie, bo już je nieraz przyjęła, a bliskość restauracyi od Kasyna znęci ją, bo będzie mogła, nie zmieniając sukni, prosto od gry wstąpić na obiad i zaraz po obiedzie do gry powrócić. Drugą kandydatką została hrabina Puckelswart, ładna Niemka, krewna Schwinda, który i tak już był proszony.

Obie panie przyjęły propozycję. D'Anjorant także pozostał i narzekał przed Rubensonem na swoje panie, że te Amerykanki mają swe przyzwyczajenia, od których nie odstępują. Nakręcone są jak zegarki. Dla nich obiad bez stosownej toalety równa się nieszczęściu.

Tymczasem Kobryński wstąpił do sali gry

i wyniósł z niej trzy tysiące franków. Był w wysokiej temperaturze ducha, zwłaszcza po rozmowie z Fernandą, bardzo obiecującej; szukał teraz żony, która, ciągle natchniona, włóczyła za sobą Jerzego po tarasach, po drogach płaskich i stromych. Gdy ich spotkał nareszcie, zauważył wyraz Tereni uroczysty, używany tylko w chwilach przełomowych, i wyraz Jerzego przybity, pośredni między żalem za grzechy a znudzeniem.

— Władziu — rzekła Terenia, nie zważając na inne słowa męża: — radosną mam dla ciebie nowinę: Jerzy, na moje nalegania, porzucił ostatecznie ową pannę Kulig. Uczynił to dla nas — i poświęcił ją.

— Winszuję — odrzekł szwagier i wstrząsnął ręką Jerzego.

— A teraz nasz pobyt tutaj...

— Co? nasz pobyt?!... — zawołał Kobryński srodze zaniepokojony. — Nie wyjedziemy przecie zaraz?!

— Nie rozumiałeś. Nasz pobyt tutaj ma jedynie na celu zdrowie. Nie mówię już o mojem, ale o moralnem zdrowiu Jerzego. Ja wyleczę jego serce; ty, Władziu, pomożesz mi.

— Ile tylko sił starczy! — wybuchnął Kobryński, odkrywszy w sobie skarby uczuć familijnych, z których dotychczas nie zdawał sobie sprawy.

VIII.

Chemik, któryby wziął pod obserwację małżonków Kobryńskich w dziesięć dni po przyjeździe, mógłby ciekawe zapisać spostrzeżenia, jak wielkie ognisko montekarlijsko-nicejskie okwasza i przekształca szlachetny skądinąd metal, wykopany w Polsce, zahartowany nawet w święconej wodzie ze źródeł Chojnogórskich. Zmiany te zresztą uwydatniały się głównie na powierzchni, nie dotykając wewnętrznej wartości kruszcu.

Władzio oględniej obchodził się z monoklem i swoją »wyższość« opierał już na innych zasadach, zapożyczonych trochę od Słuszki, trochę od d'Anjorant'a. Ubierał się dużo staranniej, popadł tylko w inną ostateczność: ubierał się za dobrze. Grał coraz grubiej, a pochop do tego dawały mu zwłaszcza częste wspólki z panią de Sertonville, która przegrywała zawsze; potrzebował więc i te straty powetować i na swój rachunek coś wygrać. A to, coby wygrał, oddałby także, gdyby nadarzyła się sposobność, pięknej współniczce na-

miętności do gry, towarzyszące różnych uciech, niestety niewinnych. Biedna Fernanda przyznała mu się bowiem do wielu wad, a między innemi do tej, że lubiła grę niepomierne. Ale była tak piękna, tak pociągająca tajemnicą swego życia, że wada ta uwydatniała tylko przez sprzeczność jej fizyczne i moralne zalety.

Księżna Teresa, bardziej wyrobiona od męża, zmieniła mniej swą powierzchowność: kupiła tylko kilkanaście kapeluszy i wynalazła mieszaninę perfum, zastosowaną do jej nowych pragnień. Czuli się bowiem znacznie zdrowszą i dużo młodszą; zakwitło w niej pragnienie jakiejś rozkoszy, jakichś obcować z nieznanymi duchami rodzaju męskiego w granicach przez zasady dozwolonych. Bo też otaczały ją liczne pokusy, z którymi postanowiła igrać, aby wypróbować swe siły, a sił swoich moralnych była zupełnie pewna. Słuszka, »miły tyran«, krytykował jej stroje, kierował jej dyetą, wybierał jej przyjemności, dyktował potrzebne wizyty, a chociaż czynił to samo dla wielu innych pań i dla niektórych mężczyzn, zdawało się, że dla niej miał serce miększe, że dowcip jej zastanawiał go, że ulegał jej dystyngowanemu wdziękowi, oddając mu hołd, rzecz dziwna, nieśmiały. Mawiał zresztą:

— Księżna Teresa jest jedną z moich najlepszych uczennic. Przechodzi nawet moje wymagania.

Inni też mężczyźni byli żywo zajęci postacią

księżny. Schwind, gdy mu brakło pieniędzy do gry, lubił z nią rozmawiać, bo mówiła bardzo dobrze po niemiecku. Zakopiański znalazł w niej »opalowe promienie naszych starych świątyń«, a nadto dziwne podobieństwo do jednej postaci, którą przypominał sobie z fresków gdzieś kiedyś widzianych, może w preegzystencyi. Zakopiański nie był zgrabny, i księżna go nie lubiła dla jego poufałości i wybryków retorycznych. Ale należał też do »podbitych«.

Tylko legenda o nabożeństwie Lenbacha do mistycznej piękności Teresy Kobryńskiej nie znalazła na Rivierze powodzenia. Nie chwytało tego subtelного stosunku między mistrzem, a wzorem. Prawda, że znano tu mało Lenbacha, widziano tylko wzór.

Do rzadkich mężczyzn, którzy nie ulegli wdziękowi księżny Teresy, należał d'Anjorant. Żałowała go, bo to człowiek wielkich zdolności, ale suchy, nieczuły na piękno, na bogactwa duchowe; pozytywizm i egoizm pochłaniają go.

Dużo też kobiet zaprzyjaźniło się z księżną Kobryńską, jedne poprostu widząc w niej niepodejrzaną sojuszniczkę dla wyzyskania tutejszych zabaw (o! jakże się myliły!); drugie, zaślepione swą pięknoscia, nie dostrzegały niebezpieczeństw współzawodnictwa z subtelniejszym, choć mniej wyraźnym typem piękności księżny. Pani de Sertonville okazywała jej tyle uległości i względów, że niepodobna było jej nie lubić; gniewało tylko

Terenię, że Fernanda zwracała się do niej zawsze z takim odcieniem uszanowania, jakby mówiła do starszej od siebie. Ile miała lat Fernanda? nie wiadomo; była w pełnym rozkwicie piękności. Ale Terenia była znów tak młoda sercem, no i w ogóle, że śmiało mogła się poczytywać za młodszą od braci, choć była najstarsza z rodziny.

Na pozór, pośród ciągłych zabaw, obiadów, wycieczek, pozostawało mało miejsca na zajęcie się głównym celem wyprawy do Nizy, ratowaniem Jerzego. Ale było to tylko pozorne zamieszanie. Terenia miała tego ćwieka głęboko zabitego w głowie, jeżeli tak godzi się wyrazić o najszlachetniejszym zamiarze.

— Dajmy wypadkom przepłynąć, dajmy zbliżnić się ranom — mówiła do męża. — Jerzy poświęcił już dawno swe uczucie, ale uczucia są jak arabskie wonie, które trzeba wywabiać innymi silnymi zapachami. Tutejsze życie go bawi, zagłusza i leczy. Może też wpływ pani de Sertonville, z którą Jerzy coś ukrywa, podziela zawiąziennię. Ta pani byłaby niebezpieczna, ale że to kobieta przelotna, zameżna...

Książę Władysław skrzywił się.

— Zdaje mi się, że masz błędne pojęcie o hrabinie de Sertonville. Mówiłem z nią o Jerzym; jestem przekonany, że nie tam nie było między nimi. To jest kobieta bardzo nieszcześliwa, a przytem bardzo piękna i wielkiej inteligencji. Nie dziw, że Jerzy, jak każdy, jest pod

jej urokiem. Poeta, a ona tak... do wszystkiego: do wiersza, do żartu, do rulety, do salonu... Jednym słowem: do wszystkiego.

— Jerzy taki piękny! — westchnęła księżna, tłumacząc nieubłaganą konieczność jego wpływu na kobiety.

— Piękny?... No tak — odparł Kobryński, wydymając pierś efektownie. — Zapytałem ją poprostu o Jerzego.

— Zapytałeś?!

— Dyplomatycznie objeżdżałam ten przedmiot, aż nareszcie dałem jej się domyślić, o co chodzi. Żebyś widziała, jakim wybuchła śmiechem! Tak, lubi poetów, bardzo lubi Jerzego, ma nadzieję, że i on dla niej ma trochę przyjaźni. Ale potem... no, nie warto opowiadać.

— Cóż potem? muszę przecie wiedzieć.

— Tylko nie mów nikomu Tereniu, bo mogłyby powstać plotki. Potem jak zaczęła naśladować Jerzego deklamującego, myślałem, że umrę ze śmiechu. Tak, wiesz? rączka na kamizelce i wzrok błędny...

— Ależ to wcale nieładnie z jej strony.

— Raz się tylko przytrafiło. Byliśmy pod ochoceni. Pamiętasz, wtenczas, kiedyś to ty pojechała z panią Puckelswart, a ja zostałem na śniadaniu w Beaulieu? Zresztą bardzo Jerzego ceni. A ze mną gada swobodnie, bo ja, wiesz? jestem dobrym towarzyszem, mnie tam amory nie

w głowie, ani poezya; mam umysł raczej filozoficzny.

Księżna zaczęła coraz pilniej przyglądać się mężowi.

— Moja Tereniu! patrzysz na mnie jak sędzia śledczy. Może mnie posądzasz o jakie niedozwolone stosunki z Fernandą? Mogę ci dać słowo honoru...

— Nie żądam, nie żądam. Zaciekawia mnie tylko ta pani. Muszę sama trochę bliżej jej się przypatrzeć.

Kobryński był nierad z siebie po tej rozmowie. Chciał być dyplomata, a odsłonił się niepotrzebnie. Pal licho Jerzego, ale on sam zwrócił na siebie uwagę. Chociaż nie obawiał się zazdrości Tereni, »wzorowej kobiety i bez temperamentu«, nie chciał bynajmniej jej oznajmiać, że do Fernandy czuł pociąg niepohamowany, codziennie gwałtowniejszy, nie uwieńczony jednak wzajemnością.

W parę godzin potem spotkał ją znowu przy grze w »trente et quarante«. Piękna Hiszpanka siedziała przy stole z Rubensonem i grała kupami biletów bankowych. Postać jej prosta, oczy szeroko otwarte i wpatrzone w palce krupiera, wargi aż krwawe od zagryzania, nie wyrażały słodkich uczuć; owszem, nadawały jej pozór walczącej Judyty.

Wspólnik był tuż obok i przez złote binokle

śledził równie uważnie układ kart i palce ciągnącego krupiera.

Kobryński poczekał na jakąś wygraną, aby nie narażać się na złe przyjęcie. Podeszedł z tyłu do krzesła Fernandy i szepnął:

— Ho, ho! co tu za gra!

Przechyliła się i w mgnieniu oka zmieniła wyraz twarzy; znowu stała się czarną kotką, pełną wstydliwych ponęt:

— To dla niego.

Wskazała głową na Rubensona.

Kobryński stanął cicho za krzesłem, przypatrując się dalej grze, której rozmiary zwracały uwagę całej skupionej czeredy ludzi. Wielu nawet przestało grać, aby się tylko przypatrywać. Na stole obok maksymalnych stawek Rubensona, błąkały się tylko rzadkie sztuki złota, przeważnie starych kobiet lub wyblakłych jegomościów, których tu znano od wieków. Inni starali się »iść za wena« grubego gracza i stawiać tam, gdzie on postawi.

Po rozegraniu »coup«, szwadron krupierów zbierał cicho pieniądze wygrane przez bank, lub wypłacał ostentacyjnie i głośno wygrane przez publiczność.

— Oto są, panie, dwanaście tysięcy za dwanaście tysięcy. Czy mam je podać pani?... Proszę robić grę... masa asekurowana... *Rien ne va plus!*

Właściwie grał bank z Rubensonem. Inne stawki załatwiano pogardliwie, w milczeniu. Cza-

sem zaszła sprzeczka o parę ludwików, które ktoś drobny chciał sobie przywłaszczyć z krzywdą innego gracza lub banku. Wtedy »naczelnik partii« szacował szybko tego, który wszczął sprzeczkę, mając mniej więcej o wszystkich obecnych dokładne policyjne informacje, rozstrzygał spór grzecznie i pospiesznie. W razie niepewności, krupier płacący rzucał żądane pieniądze z lekkim wzruszeniem ramion. Ale właściwa walka toczyła się między wysokimi stróżami złotego domu a Rubensonem. Do niego zwracały się głowy sześciu krupierów, gdy odzywał się krótkim rozkazem:

— Asekurować masę... Przeprowadzić na czerwony...

Do Fernandy, przewracającej zwinną rączką bilety, zdążyły pochlebne uśmiechy tychże wysokich stróżów.

— Czy pani raczyła postawić masę konno na *inverse* i czerwony, czy tylko na czerwony?

— Na czerwony.

— Rozumiemy.

I ćwierć miliona obrotu na kwadrans, w jednej talii, migąło się w oczach pożądlivego tłumu.

Do Kobryńskiego dochodziły ciche uwagi »galerii« po rozegraniu każdej stawki:

— Znowu wygrał? co?... kanalia! Bank roznieś.

— O co panu chodzi? Litujesz się pan nad

bankiem? nad panem Blanc? nad dobrym księciem?

— A niech ich dyabli! Ale dlaczego Żyd wygra, a porządny człowiek nigdy?

— Krupierzy są przez Żyda opłaceni.

— Co pan opowiada! Tutaj jest kontrola bezwzględna i nieomylna.

— Uważajmy. Znowu maksimum...

Rubenson wygrywał. Rączki pani de Sertonville uwijały się w kierunku od środka stołu do uśmiechniętego towarzysza i sprawiały się dokładnie, chociaż tak lekko i niedbale. Nareszcie Rubenson doszedł do zamierzonej na dzisiaj cyfry i odepchnął się od stołu. Rzucił paręset franków w formie gratyfikacji spoconym krupierom, którzy przyjęli je z głośnem »podziękowaniem panu baronowi«.

Fernanda pociągnęła Kobryńskiego za sobą do *atrium*.

— Wracam dziś z panem do Nizzy powozem.

— Ze mną?! Służę z radością. Pozwoli mi pani odpowiednio urządzić się.

— Mam swój powóz, obstalowany na godzinę jedenastą, po obiedzie.

— To już nie będę mógł powrócić pociągiem do Monte Carlo?

— Czy pan chce wracać?

Proste to zapytanie wypowiedziała naturalnie, nie zajrzawszy nawet w oczy Kobryńskiemu, ale

on patrzył ciągle w jej oczy i spostrzegł w nich fosforyczną iskrę niepewną, może trochę ironii?...

— Pojechałbym za panią na kraj świata i wiecznie z nią pozostał!

Teraz pani de Sertonville spojrzała na wielbiciela, który wysilił spojrzenie i wąsy podkreślił jeszcze wyżej, jakby je odgarniając do pocałunku.

Odezwała się łaskawie, ale zimno:

— Jesteś pan przyjemny.

— Pani nie może dostatecznie ocenić, jakiego ma we mnie przyjaciela i służę. Gdyby chodziło o największe poświęcenie, o życie, o zabójstwo...

— Tra la la... proszę mówić trochę ostrożniej, bo ludzie blisko. Nie wymagam poświęceń; proszę, aby mi pan towarzyszył do Nizzy w moim powozie.

— Któżby to śmiał nazwać poświęceniem! Ja mówię wogóle, że odkąd panią poznałem, nie marzę już o niczem, tylko o widoku pani; szukam sposobów zasłużenia się jej; chciałbym dowieść, że mogę się na coś przydać...

Fernanda przysłoniła oczy długimi rękami i przesunęła po wargach koniec języka, co było u niej oznaką zamyślenia o rzeczach ponętnych.

— Pomówimy w powozie. Będziemy mieli pięć kwadransów czasu.

— A godzina... nasza czy kiedy wybije?... Fernando? — szepnął Kobryński, tracąc zupełnie głowę.

— Mości książę! znam tylko moje godziny. Nie dzielę się niemi.

— Pani hrabino! Nie jestem zgrabny, ale gotów na wszelkie rozkazy.

— Niech się pan zatem napije limonady i będzie gotów przy »czerwonej bramie«, o jedenastej, na zgrabne wskoczenie do mojego powozu. Trzeba być zgrabnym — inaczej... pojedę sama.

Kobryński skłonił się już tylko. Przez resztę dnia chodził jak pijany, pożyczył pieniędzy zgranemu rodakowi, którego dotychczas starannie unikał, wymyślił konieczność jechania do Nizzy na partię klubową, która potrwać może aż do rana, a o pół do jedenastej tak serdecznie uściślał żonę, jakby jej miał do zawdzięczenia tę podróż nocną z Fernanda.

Puszczał się jednak na niepewne szlaki.

IX.

Fale życia, chociaż tak gorące i barwne na Rivierze, są przecie nadzwyczaj równe: strój ranny i wieczorny, uczta i gra, dzień i noc, szafir i księżycowy błękit, kołyszą się w ściśle określonych granicach odchylenia, w atmosferze nasyczonej durem upajającym. Bywają jednak nadzwyczajne wypadki w tem życiu. Nie to, że umrze czasem jaka młoda suchotnica w Mentonie, lekko, żegnając blademi oczyma świat błękitny. Nie to, że ktoś się zgry do szczytu i w łeb sobie strzeli. Nie to, że jakaś większa dusza, zabłąkana tutaj, trochę się zapomni, trochę się zaszarga i spodleje. To są wypadki pospolite, mieszczańskie, o których nie wspomina żadna nicejska gazeta, nikt nie mówi, nikt nie słyszy. Ale zdarzają się wypadki w prawdziwym wyższym towarzystwie, prujące monotonię fali jasną smugą; o tych się mówi, pisze, drukuje, o tych warto złożyć dokładną kronikę.

Do takich wypadków należała uczta, dana

przez d'Anjoranta na pokładzie jego własnego jachtu «Dieumafoi».

Margrabia nosił się już z tą myślą od tygodnia i raz w gronie znajomych pojechał obejrzeć śliczny swój statek, stojący w porcie Villefranche pod Nizzą. Włożył na tę okazję czapkę oficera marynarki francuskiej, nadającą mu pozór tak rycerski, że gdy wszedł na wysoką przrzutkę i ukazał się swemu narodowi, muzyka wojskowa w nadbrzeżnej cytadeli zagrała Marsylianekę. Powstało kilka patryotycznych okrzyków, margrabia zaś uśmieł się szczerze z całym swym towarzystwem. Doskonale śniadanie, niby codzienne, spożyto w sali jadalnej, mogącej pomieścić 24 osoby. Ale był tylko d'Anjorant z żoną i jej siostrą, hrabina de Nielles, Słuszka, Kobryńscy, Dubieński, dwaj malarze Włosi, właścicielka sklepu kwiatów z Nizzy, młoda jeszcze i piękna, której margrabia mówił: „*ma petite la Fleur*“ i kilka osób podrzędnych. Była to bowiem narada wstępna, techniczna nad urządzeniem zabawy na jachcie, na którą miały być zaproszone 24 osoby dobrze wybrane.

Ci, którzy znajdowali się dzisiaj, oprócz kwiatarki i osób podrzędnych, byli już przez to samo zaproszeni na przyszłą zabawę i czuli się dumni z tego powołania. Jacht d'Anjoranta miał się stać niebawem pływającym rajem, do którego wstęp będzie nagrodą za wybitne, osobiste lub dziedziczne zasługi, za życie pod pewnym wzglę-

dem nieposzlakowane. Kandydatów proponowali Słuszka i ładna hrabina de Nielles, posiadająca wpływ na d'Anjoranta. Za jej protekcją dostał się zaraz na pierwsze posiedzenie Jerzy Dubieński, a pośrednio i Kobryńscy. Jerzy miał powołanie u kobiet na Rivierze; dla jednych był przystojnym chłopcem, dla innych poetą. Miał też zwyczaj okazywać każdej ładnej kobiecie, że gotów jest dla niej posunąć się do szaleństw i poświęceń, a taka gotowość, zręczność zaznaczona, nie obraża nigdy tej, do której się stosuje.

Margrabia decydował oczywiście w ostatniej instancji o wyborze zaproszonych; margrabina zaś zachowywała się bierniej. Raz tylko dała swój głos za Zakopiańskim, którego niedawno zaprosiła do Francji na bażanty. Ale d'Anjorant oburzył się:

— Ani na polowaniach, ani na jachcie ten pan u nas nie będzie.

— Raulu! To jest znany pisarz, o którym czytałam nawet w naszych gazetach.

— Niech go drukuje, kto chce, ale *Monde Éléphant* nie umieści w sprawozdaniu, że na moim jachcie była ta nieostrzyżona małpa.

Wszyscy byli tego samego zdania. Jerzy zaś odczuł tem większą przyjemność, że na jacht jest już proszony, zaś do bażantów lady Cosway zniechęcił się ostatecznie.

Opuszczano już statek. Panna «la Fleur», do-

stawszy instrukcję, jak ma być przystrojony pokład, żegnała się z towarzystwem, zasypując je kwiecistymi słowami, z tą ładną szczebiotliwością Francuzek, której tylko brak treści, aby się stała wymowną. Mężczyźni podali jej rękę, za przykładem margrabiego. Panie łaskawie skinęły głowami.

Na lądzie, trochę opodał od gromady, przyglądającej się jachtowi, dwoje ludzi czyniło to samo: przyglądało się. Ale strojna postać kobieca była zbyt ładna, aby ująć uwagi znawców.

— Patrzcie, jaka pyszna kobietka na brzegu! — odezwał się żywo d'Anjorant.

Wszyscy zwrócili oczy na nieznaną, a najciekawiej spojrzali na nią panie.

— Malowana! — rzekła margrabina.

— Która to? — szukała księżna Kobryńska przez lornetkę — ta na boku? Nie szczególnego.

— *Effet de voilette* — dodała pani de Nielles.

Dubieński najprzód poznał mężczyznę po jego głębokim, daleko działającym spojrzeniu; niebawem obok Fabiusza poznał panią Oleską.

— To znajomi, Polacy.

— Prawda! — zawołał Kobryński — piękna pani Oleska i nieodstępny Fabiusz.

— *Bigrement jolie!* — syknął d'Anjorant przez zęby.

Amerykanka, Polka i Francuzka zgodziły się bez namysłu, instynktownie, na krytykę kobiety

stojącej na brzegu. Wszyscy mężczyźni byli wręcz przeciwnego zdania. Stąd wnosić można, jak wyglądała pani Oleska w jasnej sukni, z dużą woalką, odrzuconą na kapelusz. Wietrzyk tylko bezstronny, muskając po świeżej twarzy, chłodząc gorące jej ciemne oczy, znajdował przy tych zajęciach wdzięczną rozrywkę.

— Czy to mąż tej pani? — zapytał d'Anjorant Dubieńskiego.

— Nie, krewny tylko. Pani Oleska jest wdową.

— Przedstaw mnie pan.

Margrabia słuchał informacji o pięknej nieznanym z grzeczną pogardą, która była stałym wyrazem jego twarzy; lekkie tylko drganie około ust znamionowało niecierpliwość lub ciekawość. Wsiadł pierwszy do łódki, przewożącej towarzystwo na ląd.

Ponieważ wymieniono już z daleka ukłony, Fabiusz oczekiwał na lądzie zbliżających się mężczyzn, a twarz pani Oleskiej pokryła się widocznym rumieńcem, który namalować tak naprędce mogła tylko młoda krew na bardzo delikatnej skórze. Przedstawienie d'Anjorant'a odbyło się naturalnie, niby mimochodem. Kobryński poczuł się trochę dumnym, że zna panią Annę. Słuszka zapoznał się także i zanim obmyślił program wychowania nowej pupilki, milczał. Wkrótce spotkały się znajome panie, a mianowicie księżna Teresa z panią Anną, zaczęło wypadało przedsta-

wieć panią Oleską margrabinie, i po kilku minutach Fabiusz i pani Anna zostali niespodziewanie wciągnięci w kadry lekkiej marynarki francuskiej.

Niebardzo wiedziano z obu stron co mówić, ale kapitan okrętu d'Anjorrant objął i na lądzie dowództwo z bezczelną swobodą, która w jego ustach mogła uchodzić za wytworność. Rzekł do Fabiusza i do pani Anny:

— Kiedy los nas połączył przy tem szczęśliwym wyładowaniu, bądźmy towarzyszami. Proponuję państwu jakąś wspólną wyprawę, mam jacht, mam balon... samochód czeka na szosie...

Fabiusz nie odpowiedział nic, spojrzał na panią Annę, ona zaś na niego, przyczem zarumieniła się znowu mocno, zakłopotana może mniej przez propozycję, niż przez oczy wszystkich mężczyzn, poddańczo ku niej zwrócone. Panie zaczęły się nudzić i zabierać do odwrotu. Księżna Teresa zapytała słodko:

— Kochana pani jak przyjechała do Villefranche?

— Przyszliśmy piechotą.

Pani Oleska wysunęła z pod sukni zgrabny trzewik, pokryty białym kurzem. Zadzwonił śmiech jej młody, udzielający się, wstrzemięźliwy, niżby ogólna powaga jej postaci pozwoliła się spodziewać. Wszyscy na to hasło zmuszeni byli co najmniej uśmiechnąć się.

— Co za myśl! — zawołał wesoło d'Anjor-

rant: — wrócimy piechotą do Nizzy. W takim kraju nie chodzić piechotą, to wstyd.

Panie zaprotestowały. Iść przez brudne uliczki Villefranche, a potem przez zakurzoną szosę? A przytem wiatr dzisiaj. A przytem nie mają grubych trzewików.

Większa część towarzystwa wsiadła więc do samochodu i do dwóch powozów. Przy pani Oleskiej pozostali, obok Fabiusza: d'Anjorrant, Służka i Dubieński.

— Utworzymy pani honorową eskortę — rzekł margrabia i zabrał się sprężyć do marszu.

Okazało się, że pani Oleska wyniosła się z Cannes i mieszka od kilku dni w Nizzy, na boulevard Gambetta pod platanami. Mieszka tam z córeczką i starszą damą do towarzystwa. Fabiusz pozostał w Antibes.

— Cannes takie smutne miasto — tłumaczyła się pani Anna! — tyle tam wózków z chorymi, taki szpitalny spokój i obojętność dla pięknego kraju... Ja lubię życie.

— Nic od życia lepszego dotąd nie wymyślono — odpowiedział d'Anjorrant. — Jeżeli pani zechce, będziemy przewodnikami i nie najgorszymi. Mamy w ręku wszystkie bilety wejścia, jakich tylko pani zapagnie.

Na podobieństwo osób panujących d'Anjorrant używał liczby mnogiej, mówiąc wyłącznie o sobie, lecz czynił to nie dla majestatu, tylko przez

względ na towarzyszków, których miał za dzieci i za naiwnych naśladowców.

Ale pani Oleska przyjęła te ofiary bez za-
pału.

— Dziękuję panu bardzo. My tu jesteśmy dla odpoczynku, dla przyglądania się. Czy nie prawda, Fabiuszu?

Liczba mnoga w jej przemowie znowu co innego znaczyła. Margrabia obrzucił Fabiusza wstrzemięźliwym, ale złem spojrzeniem. Odpowiedział:

— My tu także odpoczywamy i przyglądamy się. Ale przyglądamy się życiu tutejszemu z wewnątrz, to ciekawsze.

Fabiusz, który dotychczas mało mówił, odezwał się i zadziwił nieznanego swą płynną, francuską wymową:

— Wielkie słowo, margrabio. Studyować życie można tylko z wewnątrz, trzeba je przeżyć. Ale życie tutaj jest zbyt gorące, a za mało ujęte w jakąkolwiek etykę. Tylko bardzo silne i dobrze opancerzone indywiduum może je zgłębić i wyjść cało z tych czeluści.

Margrabia, chcąc nie chcąc, zwrócił swą odpowiedź do Fabiusza:

— Proszę nas nie brać ze strony tragicznej. Nie jesteśmy niebezpieczni. Jak pani, jak pan, bawimy się, obserwując tutaj głupotę ludzką, ujętą w doskonałe ramy.

— Dlatego też mówię — odparł Fabiusz

dworsko — że znajdować się *wewnątrz* tych ram jest dla nas niepodobieństwem.

D'Anjorant zająknął się na sekundę, czując potrzebę jakiejś odpowiedzi, ale szybko obrócił rozmowę w żart:

— Bądźmy więc wszyscy na zewnątrz. Dość mamy dozwolonych rozrywek. Słuszka da pani cały ich program z nadzwyczaj barwnym komentarzem. Gdyby nawet pani pragnęła dotknąć jednym małym paluszkciem grzesznej zabawy w ruletę, Słuszka odsłoni przed panią tajemnice gry, gdyż gnomy rulety nawiedzają go, jak twierdzi, przyczem zabierają mu zawsze pieniądze.

— Pozwól, Raulu!...

— Na później, mój drogi. Pan Dubieński zaśpiewa pani o cudach tej ziemi i morza, które zresztą widzimy, ale które w jego wierszach mają być jeszcze piękniejsze, w co łatwo wierzę, znając autora, a nie rozumiejąc jego wierszy. Ja zaś także na coś się przydam, jeżeli usługi moje mogą być pani przyjemne.

Pani Anna obróciła się w marszu do Fabiusza, ale gdy ten nie dał żadnego znaku porozumienia, odpowiedziała margrabiemu:

— Nie można być uprzejmiejszym... Skorzystam przy pierwszej sposobności z protekcyi panów... Teraz wybieram się jeszcze z moim kuzy-nem na rozmaite wycieczki. Może potem... Czy margrabina mieszka w Nizy?

— W willi naszej na Promenade des Anglais, o kilkaset kroków od pani.

Tak płynęła rozmowa, a przestrzeń od Ville-franche do Nizy skracala się szybko, gdyż pani Oleska szła sporym krokiem, dając wrażenie, że albo jej wysoka i kształtna postać jest bardzo lekka, albo mięśnie, które ją poruszają, wybornie i estetycznie pełnią swe przeznaczenie. Silniejszy dzisiaj powiew od morza łagodził upał promieni słonecznych; po niebie przepływały zresztą rzadkie chmurki, od których szafir morza płowiął i plamił się, to znów się roziskrzył tak silnie, że piesza drużyna przymrużała oczy i osłaniała je czem mogła. A pani Oleska szła ciągle równym krokiem, z równym rumieńcem na białej twarzy, który dowodził, że suknia, choć tak ładnie leży, jest luźna w pasie i wygodna. Mężczyźni oceniali coraz bardziej, że prawdziwy a nieznany dotąd klejnot zjawił się na wielkiej wystawie sezonowej. Im więcej mówiła, im dalej szła, tem bardziej zajmowała sobą. Gdy podeszli pod wzgórek na szosie, a pani Anna nie dała po sobie poznać zmęczenia, Słuszka zatrzymał się, załamał ręce i zawołał:

— *Quelle marcheuse!*

— O! o! — bąknął d'Anjorant, udając zgorzelenie.

Porozumieli się między sobą tajemniczym półuśmiechem, który znikł im z twarzy, gdy pani

Oleska zapytała poważnie, wcale nie rozumiejąc dwuznacznika:

— O co panom chodzi?

— Niech nam wolno będzie podziwiać wspaniałe zdrowie, które tryska z pani królewskiego pochodz — wytłómaczył się margrabia z niskim ukłonem.

Dubieński bardzo mało mówił i bardzo nieśmiało zaglądał w oczy pani Anny. Ale szedł tak obok niej, jakby jej chciał kamyki uprzętać z drogi. Gdy jaki powóz lub bicykl zbliżał się do grupy pieszych, Jerzy rzucał się prawie na spotkanie, jak gdyby chciał pierś swą nadstawić w razie niebezpieczeństwa. Ofiarował się jej raz z podporą swego ramienia przy stromem przejściu pod górę, a gdy odmówiła, odsunął się niby zawstydzony, baczny ciągle i gotów na zawołanie.

Gdy jednak doszli do celu, i trzeba było się rozstać na dzisiaj, pani Oleska, podziękowawszy uprzejmie towarzyszom przechadzki, najserdeczniej uściśnęła dłoń Jerzego. O tę nagrodę, nie o nagrodę wymowy, chodziło też Dubieńskiemu.

Po rozstaniu się z panią Oleską i z Fabiuszem, mężczyźni wracali na promenade des Anglais, d'Anjorant w wybornym humorze, Słuszka niby wzburzony doniosłością nowego zjawiska, a Dubieński melancholичny.

— Dawno pan zna tę panią, panie Dubieński?

— Od wielu lat. Tutaj ją także spotkałem parę razy.

— Skryty z pana człowiek.

Jerzy lekko zaznaczył, że przymówki margrabiego brać nie może na seryo.

— A ten Rzymianin?... Fabiusz, jeżeli dobrze dosłyszałem... Cóż to za rola? *Père noble ou jeune premier sur le retour?*

— Stryjeczny brat jej nieboszczyka męża. Dziwak. Mieszka w Antibes i pisze tam coś.

— A zatem nie ciągle przy niej się znajduje?

— Owszem, prawie zawsze.

— Aa? to znacznie obniża wartość tej perły.

Słuszka marszczył czoło i zdawał się mówić sam do siebie; nowa niepospolita kobieta, zjawiająca się w jego urojonem królestwie, przyczyniała mu widocznie wiele przewidywanych zajęć i kłopotów. Jakby nagle olśniony prawdą swych wniosków, mozolnie wyprowadzonych, odezwał się uroczyście:

— Moi drodzy! wiem już wszystko, ja muszę wszystko wiedzieć: to jest kobieta, szukająca oparcia.

— Oparta jest tymczasem na ramieniu swego doktrynera.

— Pozory. Ona potrzebuje prawdziwego oparcia. Ja go jej dostarczę.

— Ładne rzemiosło! — rzekł drwiąco i wesoło d'Anjorrant.

Słuszka odskoczył i, kładąc obie dłonie na swą pierś rycerską, zawołał:

— A cóż ja?! Dlaczego ja nie byłbym dla niej tem oparciem?!

— To co innego. Nie śmiem winszować z góry, ale gdybyś ją potrafił świsnąć Fabiuszowi... phi!

— Raulu! nie porozumiemy się nigdy. Ja podejmuję się panią Annę Oleską oświecić, ubrać, wprowadzić w świat, dać jej dyрекcyę, której potrzebuje.

— To znowu co innego. Nie będziesz miał nawet wiele zachodu. Wydaje mi się oświeconą dostatecznie. Ubrana jest wybornie.

— Jesteś tego zdania?

Słuszka spojrział poważnie w oczy margrabiego, a ten również opuścił ton żartobliwy i potwierdził:

— Wybornie, bez zarzutu.

Słuszka jeszcze raz spojrział na d'Anjorrant'a i mileczącym giestem przyznał, że się w tym szczególnie pomylił.

— Ale obdarzę ją rzeczą najcenniejszą: moją wyjątkową opieką i dyрекcyą.

— Obdaruj ją, Eustachy. To jej zaszkodzić nie może.

— Mam zaś do niej prawo, bo pierwszy ją odgadłem. Dubieński ją znał dawniej, ale ja twierdzą i powtarzam, że ją odgadłem.

— Eustachy! jesteś równie uprawniony, jak

przenikliwy. Teraz więc, skoro od ciebie to zależy, zaprosz panią Oleską na mój jacht w przyszły wtorek, o 5-ej.

— Raulu! to właśnie chciałem ci zaproponować.

Roześmiał się głośno i, ręce wznosząc ku niebu, perorował:

— Mnie nigdy nikt nie uprzedzi w trafnym pomysle. A kiedy wam mówię, że ja także coś wiem...

Nazajutrz bilety wizytowe margrabiego znalazły się w stosownych godzinach u pani Oleskiej w Nizzy i u Fabiusza w Antibes. W parę dni potem pani Oleska poszła z Fabiuszem do margrabiny, a tegoż dnia wieczorem oboje otrzymali najuprzejmiejsze zaproszenie na zabawę, która miała się odbyć na jachcie «Dieumafoi» w przyszłym tygodniu. On odmówił odrazu, ona wahała się, czy przyjąć.

X.

Teraz już całe prawie koło naszych znajomych znajdowało się w Nizzy. Mieszkali tu stale państwo d'Anjorant, Granowscy, Rubensonowie we własnych willach. Kobryńscy przenieśli się, także z Monte Carlo, aby bliżej być Jerzego chociaż pilnować go było dość trudno; odosobniał się czasami, przepadał gdzieś, pozorując te ucieczki potrzebą ochłonięcia z wiru karnawałowego i skupienia myśli. Słuszka mieszkał w klubie. W Monte Carlo przebywali tylko zagorzali gracze w ruletę: Schwind i księżna della Robbia. Jak panią Oleską, tak i wszystkich pociągnęła Nizza, miasto większe od sąsiednich, tak bliskie od innych, tak doskonale połączone koleją żelazną i ciosanemi w skałę, gładkimi jak chodniki szosami, że właściwie mieszkając w Nizzy, było się we środku długiego, rozrzuconego po brzegu morza, rozkosznego miasta.

Gorąco popołudnia nie dochodzi do ocienio-

nego salonu Granowskich; okna otwarte wpuszczają przez żaluzje tylko zapachy pomarańcz i przegłuszony szum, niby rytmicznego wiatru: gadanie morza. W dużym salonie trzy kobiety: pani Granowska, wyciągnięta na wygodnym fotelu, obok Krysia z ołówkiem w ręce, zawieszona nad albumem rysunkowym. Obie patrzą na trzecią kobietę, siedzącą niżej, na poduszkach, prawie u ich stóp. Śniade jej ciało, spowite w ognisto-żółtą suknię, układa się miękko; czarne oczy spuszczone nad książką, gdy się nawpół podniosła na słuchające czytania towarzyszek, płoną gorącą wymową, a usta przybierają jakieś lubieżne zarysy. Rzekłbyś, niewolnica iberyjska wysokiej rasy u stóp dwóch patrycyuszek. Głos jej płynie, jak melodyjna fala, a matka i córka słuchają bardziej tego głosu, niż treści książki. Po skończeniu rozdziału lektorka podniosła piękne oczy, a ręce załamała nad książką, prawie do ziemi.

— Ślicznie pani czyta!

— Ślicznie, ślicznie! — powtórzyła Krysia zarumieniona, wpatrując się w panią de Sertonville, której wzrok płynny ślizgał się aksamitnie, nie zaglądając prosto w cudze oczy.

— Uczyłam się czytania i deklamacyi.

— Czy w jakim celu? — spytała wahając pani Granowska.

— Może być... ale to dla nas niedostępne. Scena jest jeszcze na tym poziomie, że osoba dobrego towarzystwa nie może wystawiać się...

Zresztą moi krewni w Hiszpanii, ani mąż mój nigdy by na to nie pozwolili. Teraz już za późno.

— O, cóż znowu!...

Rozmowa wkraczała w nieznaną, poufną strefę. Pani Granowska uczuła się nieco zakłopotaną.

— Hrabia de Sertonville zakazał stanowczo?

— Sertonville zajmuje się mną wtedy, gdy to obchodzi jego nazwisko. Ale ja sama nie chcę.

Po twarzy jej przebiegł uśmiech zniechęcony, a głowę wyprostowała z godnością, jakby dając do zrozumienia: »Nie oskarżam nikogo; moja skryta boleść do mnie samej należy«.

— Mówmy o czem innem, kiedy łaska — dodała błagalnie, z tak pieściotliwym pochyleniem głosu i głowy, że obie słuchaczki poczuły zawstyżenie z powodu swej niedyskrecyi.

— Proszę nam za złe nie brać naszej ciekawości: pochodzi ze szczerej sympatyi — rzekła pani Granowska, wyciągając rękę.

Pani de Sertonville ujęła tę rękę i gwałtownym ruchem przycisnęła do piersi, przyczem kilka prędkich poruszeń brwiami dało poznać jej wzruszenie i walkę z tem wzruszeniem.

— Biedne dziecko!

— Przepraszam bardzo...

— To my przepraszamy...

Chwilę ogólnego zakłopotania przerwało rozpoczęcie nowego rozdziału. Głos lektorki popłynął znowu, głębszy jeszcze, poważniejszy, jakby

w nim na dnie jęczała tłumiona skarga na świat i ludzi, a serca pań Granowskich wzbierały litością.

W tę melodyę wmieszał się wkrótce fałszywy ton: służący oznajmił przybycie księcia Władysława Kobryńskiego. Ponieważ ksiązę przyznawał się do pokrewieństwa, na co mu pozwalano, miał wolny wstęp do Granowskich. Trudno było dzisiaj wykręcić się od jego odwiedzin. Przyjęto go jednak tak, że rozumiał swą zbyteczność. Pani de Sertonville, przerwawszy czytanie, utkwiała obojętny wzrok w okno. Ale on chciał się utrzymać na wysokości wytrawnego światowca.

— Dzień dobry cioci i kuzynce. Dzień dobry pani. Wpadam niepotrzebnie, jak widzę. To się zawsze zdarza, gdy mąż goni za żoną. Czy Terenia tu była, jeżeli wolno zapytać?

— Pojechała z Antosiem do Monte Carlo — odpowiedziała Krysia.

— Przepraszam, jeszcze nie. Mielśmy wyjechać o 3-ej, właśnie za pół godziny; także Słuszka, Dubieński...

— Nikogo tu niema.

— A pani?... — zwrócił się Kobryński do pani de Sertonville z udanem roztargnieniem.

— Ja nie jadę.

— Pani czyta?... O, wiem, jak pani czyta! cudownie!

Chwyciwszy okiem monokl, pochylił się nad książką, którą trzymała w ręku. Fernanda rzuciła mu spojrzenie oburzone, prawie nienawistne.

— Przepraszam. Pójdę ich szukać gdzieindziej. Moje uszanowanie.

Wyniósł się szybko, niepyszny.

Kobiety pozostały znów same.

— Paniby zapewne wołała jechać do Monte Carlo, niż siedzieć z nami?

— Czy jestem tu zbyteczna? — odpowiedziała innem pytaniem pani de Sertonville pokornie i załotnie.

— Gdzieżby! tylko myślałam, że tamto zabawniejsze. Podobno pani przegrywa?...

Fernanda spuściła oczy.

— Nie trzeba grać. Wstydzę się tego upodobania... Bo nie mam nigdy miłego towarzystwa. Kiedym teraz znalazła tak wyjątkowo przyjemne i wytworne, kiedy mi okazano... dużo dobroci, pragnęłabym tylko, aby to nie zaraz się skończyło.

Musnęła wymijającym spojrzeniem twarz Krysi i przesunęła język po wargach. Gdy to czyniła, przypominała czarną kotkę, łaszącą się do mleka.

— Pani zawsze sama?... czy nie ma kogo z blizkich tutaj? — zapytała hrabina Granowska.

Hiszpanka spojrzała ciekawie i niespokojnie w twarz starszej damy, ale ta wyrażała tylko sympatyczną troskliwość.

— Znam wszystkich, ale z blizkich nie mam nikogo. Tutaj wszyscy są jednego gatunku: rozbawione »snoby«. Nawet ten ksiązę, który wychodzi... Przepraszam, może to przyjaciel?

— O tak, daleki krewny. Jestem pani zdania. Nigdy nie był poważny. Dobry chłopiec, ale nie-poczytalny...

— Mam go za porządnego człowieka i znam go nieźle. Ale to nie mój rodzaj, nie mój typ...

Pani Granowska brwi nieco podniosła.

— ...Jak się to mówi po nicejsku — dodała śpiesznie Fernanda.

Znowu służący oznajmił przybycie pani Anny Oleskiej. Gospodyni skrzywiła się, szukając wymówki, lecz pani de Sertonville zapytała ciekawie:

— Czy to nie ta ładna Polka, która mieszka w Cannes i przechadza się zawsze ze starszym mężczyzną?

— Zapewne ta sama. Czy pani pragnie ją poznać?

— Taka sympatyczna... Ale jakżebym miała wpływać na rozkazy hrabiny!...

— Prosić — rzekła pani Granowska do służącego.

Pani Anna wmieszała się już trochę w towarzystwo nicejskie, zaczęła musiała odwiedzić niektóre starsze damy. Wizyta jej dzisiejsza była banalną formą i nicby szczególnego w sobie nie zawierała, gdyby nie spotkanie dwóch wspaniałych kobiet, różnych jak dzień i noc.

Pani de Sertonville była nocą, bladą, bezsenną nocą południową, pełną gorących westchnień i odgłosów dalekich pieśni hulaszczycy. Panią Oleską

można było porównać do dnia letniego ze stref umiarkowańskich, lecz zdrowych i kwitnących.

Obie znały się z ulicy, dawno już zwróciły wzajemnie na siebie uwagę; rade były teraz naprawdę się poznać. Jednak zachowanie się Fernandy dało pani Annie zagadkowe wrażenie. Zalotna uprzejmość Hiszpanki wydała się tej kobiecie przejrzyściej nadto błagającą o jakieś przebaczenie, fałszywie pokorną. Pani Anna patrzyła prosto w twarz ludziom, z zaufaniem i swobodą; spojrzenia tamtej nie mogła ułować, czuła tylko, że promień tych czarnych oczu, gdy przesłiznie się po jej twarzy, pali ją jakimś wstydem. Mimo to z krótkiej rozmowy zdała sobie sprawę, że pani de Sertonville może się bardzo podobać, że to jakaś natura niepokojąca, ale nowa i ciekawa.

Rozmawiano o zabawach, bo rozmawiano w Nizzy. Głównie zaś uczta na jachcie d'Anjorant'a, mająca się odbyć za parę dni, dostarczyła materii do rozmowy.

Ta sama uczta wywoływała od kilku dni w innych miejscach dyplomatyczne zabiegi. Ponieważ liczba gości na jachcie musiała być ograniczona i przez miejsce i przez różne zasady, margrabia ukrywał się z listą wybranych i z terminem. Niektórych osób nie mógł pominąć, jak Jego Królewskiej Wysokości księcia Filipa z synem, stałych towarzyszy przy partyi klubowej, oraz arcyksiężny Fryderyki, dla której znowu trzeba było zaprosić pana Ciampi, artystę.

Szczególniej ważny był wybór dam zaproszonych: powinny być piękne i zabawne, a nie wypadać, o ile możliwości, z ram najlepszego towarzystwa. Census pod tym względem trudny był do przeprowadzenia. Wyłączono starsze, jak panią Granowską i księżnę della Robbia, to jest zaproszono je w taki sposób, że nie mogły przyjąć. Bo chłód morza w nocy mógł być zgubny dla hrabiny, a księżna straciłaby cały jeden dzień gry w ruletę, tem cenniejszy, że była na wyjeździe. Wprawdzie na wyjeździe była od młodości.

Ponieważ margrabia był z Rubensonem w najlepszych stosunkach, nawet w przyjaźni, którą możnaby nazwać »wzajemnym kredytem«, przyznał mu się, że bardzo pragnie mieć go na jachcie, ale żony jego nie prosi, bo wyłączył wogóle starsze panie.

— Rozumiem — odpowiedział bankier: — do takiej paradnej fety potrzeba paradnych kobiet, w rodzaju hrabiny de Sertonville.

D'Anjorant spojrział bystro na Rubensona, który mówił mało, lecz technicznie. Nazwisko pani de Sertonville nie mogło być tu wymówione przypadkiem.

— Kochany Rubensonie, pan wiesz, że należę do przyjaciół Fernandy. Ale mogę sobie narazić arcyksiężnę Fryderykę.

— Arcyksiężna raczyła sama wyrazić mi życzenie, żeby hrabina była zaproszona.

— Doprawdy?! — odparł d'Anjorant ironicznie: — pani de Sertonville zaczyna mieć stosunki bardzo rozgałęzione.

O tym przedmiocie nie powiedzieli już ani słowa. Zeszli się bowiem na inną rozmowę. Rubenson oznajmił margrabiemu, że operacja gieldowa, którą dla niego przeprowadzał, może się udać nadspodziewanie pomyślnie. Rozstrzygającej o tem wiadomości oczekuje w tych dniach, może właśnie w dniu przeznaczonym na morską wyprawę.

Jacht d'Anjorant'a był zatem ciągle celem westchnień i zabiegów; wzmianki o nadchodzącej zabawie zabierały dużo miejsca nawet w rozmowach, nie mających napozór nic z tem wspólnego.

Tymczasem pod gorącym słońcem tutejszem ogromne kwiaty wytryskały z agaw przez jedną noc, jakby zakłęte przez fakira; inne wędły, spalone; owoce dojrzewały lub schły w oka mgnieniu w pożarze słonecznym. Tak samo zakwitały i wędły uczucia, namietności, a nawet ściśle do nich dopasowane filozofie. Najgwałtowniejsze przewroty zauważyć było można w sposobie życia Jerzego Dubieńskiego. Od kilku dni stał się cichym, zamysłonym i nie bywał w gwarnych towarzystwach; natura poety brała widać górę nad innymi instynktami.

Tego samego dnia, kiedy pani de Sertonville nie pojechała do Monte Carlo, aby dotrzymać to-

warzystwa chorej pani Granowskiej, Jerzy spotkał się z Fernandą późnym wieczorem w Monte Carlo, w ubocznym małym mieszkaniu, które już nieraz służyło im za kryjówkę.

Rozstał się z nią o świcie i wyszedł na pusty plac przed Kasynem. Świeżość poranka rozrzedzała ciężkie zapachy roślin, jak kiedy powiew ze dworu wejdzie do sypialni kobiecej. Światło zupełnie białe rozkładało się po górach odartych z błękitu, twardej zarysowanych, po domach czysto umytych przez jutrzence, po surowej zieleni drzew, po skałach żółto-rdzawych, po morzu gładkiem jak polerowana cyna.

Dom gry, dziwaczny i pstrokaty, wydał się Jerzemu wytworniejszym w tej czystości, prawie greckiej, powietrza. Wschód zarumienił się nagle, błysły po morzu różowe smugi, różowy dreszcz przebudzenia pobiegł po białych willach, i pierwszy promień ognisty spoczął na szczytach Kasyna. Ta korona złota, w nowym tryumfie dnia, przykuła oczy Jerzego i wydała mu się symboliczną.

Przeskoczył myślą do analogii nieprzewidzianej: przypomniał dawne poranki wiosenne w Chojnogórze, łąki srebrne od rosy i siebie samego, wychodzącego ze strzelbą na kaczki. Przypomniał dawną świeżość swej własnej duszy, zaginioną niepowrotnie.

I poczuł nieokreślony żal do kraju, który go otaczał, do życia, które pędził, do kobiety, z któ-

rej objąć wychodził. Nie przesyt; życie wołało go, ciągnęło, ale ukazywało mu wyższe jeszcze odurzenia, subtelniejsze pokusy. Te pokusy nie miały twarzy niepokojącej, ani postaci grzechu; przychodziły owszem razem z pragnieniem poprawy, z dumną jakąś żądzą, w poetycznych zarysach.

Na ustach czując świeży smak najpiękniejszej ze znanych mu dotąd kobiet, marzył jednak o innej kobiecie. I tę inną, tę przyszlą pragnąłby teraz mieć przy sobie, paść jej do nóg i przeproszać za życie bez niej spędzone. Ta nowa była inaczej piękna i odpowiadała lepiej jego dumnym pragnieniom. Była też niedostępna, nie tak jak Fernanda, o której poczynął wątpić...

Dość już długo rozmyślał na pustym placu i zapadał w stan rozkosznego pół-pijaństwa, gdy go ocucili zbliżający się ogrodnicy. Był ich cały szwadron w roboczych bluzach. Jęli podlewać i muskać kobierce kwietne, podstrzygać gazony, zagrabić ślady kół na drogach. Przysrajali wielką otwartą salę na przyjęcie dzisiejsze, zanim stado gości zechce się obudzić po willach i hotelach, zanim nowe stada pierwszym pociągiem nadciągną.

Jerzy poczuł rzeczywiste znużenie i sennieść. Wynałazł powóz i pod nastawionym kapturem puścił się tegim klusem do Nizy. Rzeźwy powiew od morza skryształizował praktyczniej jego poezję. Gdy mijał Monaco, przypuszczał, że trzeba

będzie trochę oddalić się od Fernandy. Pod Èze doszedł do wniosku, że należałoby zerwać ten niebezpieczny stosunek, a gdy dojeżdżał do Beaulieu, już się rozrzewniał nad cierpieniem, które sprawi pani de Sertonville, gdy ją pożegna. I to wkrótce wywietrzało mu z głowy; myślał teraz o pani Oleskiej, jak student o pierwszej wyamarzonej kochance i jak dyplomata o trudnej misji, na którą się wybiera.

Dojeżdżał do Villefranche, gdy w zbliżającym się naprzeciw powozie poznał szwagra. Co on robi na szosie o tej wczesnej godzinie? Kobryński poznał go również; niebawem zatrzymali rozpędzone konie, wysiedli i zeszli się na drodze pod kapiącą żółtem kwieciami mimozą.

— Dokąd tak pędzisz? — zapytał prędko Jerzy, aby uprzedzić to samo zapytanie. — Błdy jesteś jak upiór.

— Grałem do tej pory w klubie. Splukałem się kapitalnie. I różne inne kombinacje pechnęły mnie do Monte Carlo. Jesteśmy braćmi, prawda, Jerzy? liczę więc na ciebie i na twoją dyskrecję.

— Oczywiście. Ale poco jedziesz o siódmej rano do tej budy, gdzie wszyscy śpią jeszcze?

— Najprzód chcę się tam widzieć z jednym zacnym lichwiarzem... a powtóre... tylko rozumiesz, że to zupełnie między nami...

Jerzy ruszył ramionami.

— Wyobraź sobie, wychodzę z klubu i mijam hotel Fernandy. Miałem jej coś zanieść jeszcze

wczoraj, więc mówię z portyerem i dowiaduję się że jak wyjechała wczoraj późno do Monte Carlo, tak jeszcze nie wróciła. Może jej się coś stało?!

Jerzy uśmiechnął się dwuznacznie:

— Ho, ho! co za troskliwość! Uspokój się: widziałem panią de Sertonville: śpi spokojnie.

— Widziałeś ją?

— Spóźniła się na ostatni pociąg, a powozu wczoraj nie miała. Wzięła numer w hotelu.

— Cóż to za obyczaje! — wybuchnął Kobryński.

— Masz słuszość — odrzekł Jerzy poważnie: — kobiety narażają się tutaj darmo na obmowę. Ale ona wytłumaczy się z tego. Ma poranną suknię; je śniadanie z księżną della Robbia i z panią Puckelswart.

Nadzwyczaj ściśle informacje Jerzego o pani de Sertonville uderzyły nagle Kobryńskiego. On teraz zaczął indagować, po krótkim milczeniu, z kwaśnym uśmiechem:

— No... a ty skąd wracasz o tej godzinie? Jesteś także dziwnie wyblakły.

— Ja mam swoje kryjówki. Pisałem przez całą noc.

— Pisałeś?!

— Nie masz pojęcia, Władziu, jak Monte Carlo wygląda o wschodzie słońca. Całe jakby pod szybą kryształową.

— Daj mi pokój. Domy publiczne tak samo wyglądają, gdy słońce zaświeci.

— Jest trochę i tego wrażenia — ciągnął Jerzy spokojnie, jak gdyby miał wiele czasu przed sobą — ale właśnie arcy ciekawy jest ten obraz bez ludzi, ten aparat bez...

— Jerzy! nie pozuj przede mną! to nie po bratersku.

— Skoro nie chcesz słuchać, przestanę.

Kobryński kręcił się: miał jeszcze coś do powiedzenia szwagrowi. Założył monokl i patrząc na paznogie, odezwał się:

— Czy Terenia mówiła ci, że wczoraj otrzymaliśmy dla ciebie pieniądze z Chojnogóry? Nam to zawdzięczasz, bośmy dali świadectwo o twoich lepszych dyspozycjach.

— Bardzo dziękuję. A gdzież te pieniądze?

— Widzisz, Jerzy... chciałem cię prosić, abys mi co możesz na parę dni pożyczył. Zgrałem się. Jutro ci oddam.

— Mój Władziu! mam długi... Czy przysłano za cały kwartał?

— Tak, 3.000 rubli, około 8.000 franków. Ale wczoraj zabrałem te pieniądze do klubu, niby na wene. I przegrałem. Naturalnie, masz je u mnie. Tylko właśnie proszę cię, abys trochę poczekał, najwyżej tydzień.

Jerzy spochmurniał, wiedział bowiem, że ksiązę Kobryński odznaczał się zasadniczą niesłownością w sprawach pieniężnych. Nazywało się to, że »Władzio jest niepoczytalny«.

— Daj choć 4.000. Potrzebuję ich natychmiast.

— Dam ci wieczorem. A z całości pozwolisz że potrącę 600 rubli za tego konia dla twojej damy... pamiętasz?

— Przecie za konia dałem ci parę strzelb angielskich!

— Aha?... to było jedno za drugie?... No, więc masz u mnie 8.000 franków. Cztery oddam ci dzisiaj, resztę wkrótce.

— Pamiętaj, Władziu. Ja naprawdę potrzebuję pieniędzy.

— Nie bój się. Nie zapomnę.

»Bracia« rozstali się dość zimno i podążyli w przeciwne strony, gdzie każdego z nich gnało życie niepohamowane.

XI.

Wyprawa morska d'Anjorant'a przeszła wszelkie oczekiwania, a była przedewszystkiem rodzajem porwania Sabinek w stylu nowożytnym. Margrabia, w ubiorze kapitana marynarki, ogłosił na pokładzie prawo morskie, mocą którego on, jako odpowiedzialny za życie i zdrowie gości, ośmiela się prosić ich o bezwzględne poddanie się programowi wyprawy i o posłuszeństwo jednodniowej swej władzy.

Zgodziła się pierwsza arcyksiężna Fryderyka, wyrażając to zezwolenie przez długi uśmiech swej długiej twarzy, która nad długą postać panowała, niby królewska agrafa do wysokiego kapełusza. Dla Jego Królewskiej Wysokości księcia Filipa XIII było obojętnem poddać się jakiegokolwiek obcej władzy, przywykł bowiem do tego, tułając się po obcych krajach, pełniąc u dworu pomniejsze, choć zaszczytne obowiązki. Ze swych prawowitych pretensyi do dworu Wenezueli ocalił tylko pierwszorzędne miejsce przy obiadach, kilka wysokich orderów, z których jeden miał nawet

prawo rozdawać, a także pewien nimbus w formie korony. Ten nimbus, nie zawsze widzialny i nie dla wszystkich, rozmarzał jednak wielu patryotów wenezuelskich, a tacy znajdowali się we wszystkich krajach. Syn pretendenta, właściwie królewicz, także Filip, nie nosił już w oczach, jak ojciec, tęsknoty za uszczęśliwieniem swego ludu, tylko wybujałą żądę wyzyskiwania swej pozycyi na polach ogólnie dostępnych: w klubach, w salonach i w alkowach. Z tego powodu nie bardzo się różnił od międzynarodowych pasorzytów; był od nich trochę gorzej wychowany, bo mógł sobie na ten oryginalny wdzięk pozwolić.

Skoro więc wysocy goście, arcyksiężna i pretendent, zgodzili się na posłuszeństwo kapitanowi d'Anjorant, reszta zaproszonych nie mogła inaczej postąpić. Wiadomem było zresztą, że program margrabiego zawierać będzie same wyszukane przyjemności, a rozkazy jego nie będą twarde, ani trudne do spełnienia.

O godzinie piątej, przed zmrokiem, gdy goście już się zgromadzili na pokładzie jachtu, setki ciekawych podziwiały w porcie Villefranche widowisko niezwykle. Jacht patrzył ku lądowi swym dziobem wyniosłym, na którym widniał herb d'Anjorantów: dwa anioły klęczące, zwrócone ku sobie. Na pokładzie wznosiła się wielka altana z purpurowym baldachimem i skrzyżowanymi proporcami; cały wierzchni przyrząd statku i lek-

kie wiązania altany pokryte były kwiatami. Pośród tych plam nieruchomych, migające barwy sukien damskich, mundurów posługi okrętowej, liberyi lokajów, sprawiały grę przedziwną, bawiąc oczy, a w wyobraźni wskrzeszając obrazy weneckie z owych czasów, gdy doża obchodził na Bucentaurze uroczystość zaślubin z Adryatykiem.

Wystrzał z moździerza dał sygnał odjazdu. Okwiecony, jak pływający ogród, tułów okrętu obrócił się wolno na sobie i zmierzył herbownym dziobem zamierzającą już przestrzeń morza. W tej chwili mnóstwo światła elektrycznych zabłysło, obrysowując gwiazdami linie tej czarodziejskiej łodzi, która żegnała przystań coraz słabszym gwarem, coraz dalszymi dźwiękami muzyki i nikła w oczach, tak sunęła szybko, bez wahania, bez trudu, w ciemniejący błękit nocy. Po kilku minutach jacht był już tylko promienną jakąś rybą, wyrzucającą z siebie strzeliste race. Roztopił się wreszcie i zginął w oddaleniu, jak sen co odchodzi.

Ponieważ noc była ciepła, a morze gładkie, jak jezioro, całe towarzystwo pozostało na pokładzie, zapatrzone na uciekające wybrzeże, odrazu upojone niezwykłością widoku i zabawy. Z kwiecistej altany utworzono przez zasunięcie bocznych płócien przewiewną salę, w której służba ustawiała pospiesznie stoły do obiadu. Tu będzie przyjemniej biesiadować, niż w sali jadalnej; sala służyłaby wówczas, gdyby pogoda nie

dopisała; tymczasem zaś urządzono w niej stały bufet.

Pod pozorem zwiedzenia statku goście rozsypali się po różnych kątach, krążąc wśród kwiatów i zmiennych światła iluminacyi. Okazały się różne wytworne pomysły margrabiego ze współudziałem malarzy i kwiaciarki. Kajuty były gotowe do odpoczynku dla dam lub do poprawiania nieładu w strojach: uperfumowane, zaopatrzone we wszystkie przybory gotowalne, przystrojone załotnie, przypominały tajemne pokoiki, urządzone przez zakochane ręce. Na całym pomoście statku pełno było parzystych foteli, kanapek, osłoniętych zielenią, gniazdek zapraszających do poufnych rozmów. I wszyscy poczuli od razu, że ta noc jest w życiu jedyną do upicia się tryskającą zewsząd rozkoszą.

Bez wina, bez sztucznej podniety, od samego zapachu morza i kwiatów zakołowało w głowach, w oczach zabłysło od pragnień.

Po obiedzie zaś, już gwarным, ogólne podniecenie wzrosło do stopnia, który możnaby nazwać stanem doskonałej błogości, gdyby mu nie towarzyszył dreszcz niepokoju. Wczoraj i jutro, dwaj wieczni nieprzyjaciele wszelkiej niepodzielnej uciechy, nie drzemali nawet tutaj.

Więc i arcyksiężna Fryderyka, choć zasłuchana w cudnym głosie Ciampi'ego, od czasu do czasu kiwała tęskliwie głową do siedzącej przy niej pani d'Anjorant.

— Komu on już śpiewał!... Komu jeszcze śpiewać będzie!...

Margrabina odpowiadała uśmiechem pełnym współczucia, niedobrze zgadując, o co chodzi. Włoch nucił półgłosem arję z »Dalili«, czasem tylko puszczać z szacownego gardła nutę pełną i wypieszczoną, która rozpływała się w powietrzu, nie mogąc się odbić od wysokiego stropu nieba. Kilka osób słuchało śpiewu, ale inne miały co innego do czynienia.

Pani Oleska usiadła po obiedzie w pełnym świetle i otoczona została przez mężczyzn. D'Anjorant od chwili jej przybycia na statek zajmował się nią zabiegliwie; posadził ją przy stole po lewej ręce, symetrycznie do arcyksiężny, co nawet nieco ubodło księżnę Teresę Kobryńską. W rozmowie z nią unikał bezpośrednich pochwał, ale traktował ją z szorstkiem jakimś zaufaniem, niby osobę zupełnie równą sobie w pojęciach o życiu i jego wytwornościach, niby kogoś zupełnie »z naszego kółka«. Było to w jego mniemaniu najwyższem dobrodziejstwem, jakie mógł okazać istocie ludzkiej. Ale po obiedzie nie mógł już przystąpić do »pięknej Polki«, bo miał za dużo do czynienia, jako naczelny wódz wyprawy. Wydelegował więc do pani Oleskiej Mikołaja Wiliaszewa, słynnego z dowcipu sekretarza ambasady rosyjskiej w Paryżu.

— Niech pani rozrusza swego sąsiada. Zabawny jest.

Wiliaszew mówił po francusku lepiej od Francuzów. Przystąpił więc do pani Oleskiej z międzynarodową dworskością. Miał zwyczaj wychwytywać z rozmowy słowa i oświeć je komicznie, przyczem dwoma złożonymi palcami wykonywał chwytający ruch odpowiedni, a twarz jego przytłusta, cała wygolona, energiczna, przybierała wyraz wesołego zakłopotania. Zdawało się, że chciałby parsknąć śmiechem, gdyby to wolno było dyplomacie. Choć jednak sadził się na dowcip przez kwadrans i zaimprovizował o towarzystwie nicejskiem istny felieton do *Gaulois*, nie obudził w pani Oleskiej szczerzej wesołości, ani rzeczywistego zajęcia. Gdy więc przysiadł się do niej książę Filip młodszy, Wiliaszew zgrabnie czmychnął.

— Tańczyć będziemy. Pani mi podaruje pierwszego walca? — rzekł królewicz, przechylając się zuchwale ku pani Oleskiej i zagryzając smacznie usta, zaledwie ocienione lekkim wąsem.

— Ani myślę. Niech Wasza Wysokość poszuka kogo innego. Ja na pokładzie tańczyć nie umiem.

— Przecie statek sunie jak tratwa. Nie wiemy nawet, że płyniemy.

— Dobrze. Ale ja tańczyć nie będę.

— Boi się pani morskiej choroby?

— Boję się tancerzy.

— Mnie przecie pani się nie boi? Proszę powiedzieć.

— Specjalnie pana... nie bardzo.

— Ja jestem wobec dam zupełnie... zupełnie prostym śmiertelnikiem... dobrym chłopcem i życzliwym sługą, nie więcej.

— Skoro więc za takiego pozwoli mi Wasza Wysokość się uważać, proszę mnie uwolnić od zaproszenia, gdyż nie lubię tańczyć w podochoconych towarzystwach.

Księżę Filip powstał i obdarzył panią Oleską jednym z tych wymownych królewskich ukłonów, których jeszcze nie zdążył przestudyować. Spotkawszy wkrótce hrabiego de Nielles, zaufanego kompana, rzekł mu cicho, wskazując oczyma opuszczoną damę:

— Nie radzę ci zbliżać się do niej. Drapie. Te kobiety wschodnie są zupełnie pierwotne.

Dawno już różnymi meandrami zmierzał do pani Anny Jerzy Dubieński. Teraz ona sama go zawołała i poprosiła, aby usiadł przy niej. Poczuła się spokojniejszą, mniej obcą w towarzystwie i zaczęła mówić swobodnie po polsku. Po kilku następczących się uwagach o uczcie dzisiejszej, Jerzy odezwał się cicho i ciepło:

— Przepraszam... Czy pan Fabiusz pochwalił pani zamiar należenia do dzisiejszej zabawy?

— O, nie pochwalał... owszem, nie radził. Sam zaś od razu nie przyjął zaproszenia.

— Śmiem być jego zdania... chociażby to mnie pozbawiło całej poezji wyprawy... Śmiem być

zdania krewnego pani, który zresztą ma zawsze słuszość.

— Doprawdy?... Wie pan, że ja o tem samem myślałam przed chwilą.

— To naturalne. Dla nas obojga — jestem śmieszny, ale szczerzy — dla ludzi bardziej skupionych w sobie, myślących o wyratowaniu swej człowieczej godności z tej powodzi szychu i brudu, takie zabawy są zbyt głośne, takie wzruszenia są obrażające.

— Ależ co znowu! Tu przecie nie dzieje się nic strasznego.

— Zapewne... Tylko ci ludzie, gdy się rozgrzeją, zaczynają moralnie cuchnąć.

Pani Anna skrzywiła się i wzdrygnęła.

— Ach! przepraszam. Tracę miarę w wyrażeniach, jak tamci tracą miarę w cynizmie. I sam mieszałem się często do ich towarzystwa, a dzisiaj dopiero widzę, co to warte, widzę, pod wpływem pani.

— Pod moim? Jeżeli nawracam pana, to zupełnie bezwiednie. Nawet tak mało się znamy, że ja nie wiem, co panu grozi i jaki rodzaj wpływu mógłby być dla pana zbawienny.

— O, niech mnie pani nie odsuwa od siebie! Wyobrażam sobie, że łatwiej niż inni mogę zrozumieć panią. Między tymi ludźmi, których poczynam nienawidzić, jest pani promieniem czystej piękności i dobra... przypomina mi się wszystko,

com kiedy kochał w pierwszej, niezamąconej młodości.

Pani Oleska знаła rozrzewnienia męskie i przywykła im nie dowierzać. Ale głos Jerzego wydał się jej szczerym. To ją zastanowiło. Nie mogła jednak odpowiadać w tej samej gamie, więc poszukała wykrętu.

— A ja mam teraz wrażenie, że pan tutaj urodził się i wyrósł. Kiedym pana spotykała dawniej w Warszawie, był pan innym człowiekiem, może mniej wyrobionym...

— Byłem inny, i dotąd jest we mnie inny człowiek lepszy, którego pani jedna obudziła, tylko pani, pomiędzy całą galeryą malowanych figur.

Pani Anna spojrzała na Jerzego żartobliwie, a głos jej zagrał śmiechem utrzymanym na uwieży, tą szeleszczącą podszewką jej słów prostych i niepodejrzanych.

— Czy wszystkie malowane?... I pani de Ser-tonville?

Jerzemu zadrgały rzęsy. Oboje spojrzeli w stronę, gdzie piękna Fernanda usiadła w towarzystwie paru dam, taka dzisiaj cicha i biała, jakby przemocą tylko wciągnięta do rozhulanego towarzystwa. Darma książę Filip i Kobryński i inni proponowali jej przechadzkę pod rozmaitymi pozorami.

Statek płynął dalej w noc ciepłą i gwiazdzistą. Nikt nie pytał o godzinę ani o kierunek drogi.

Mężczyźni odwiedzali często bufet i powracali znowu do altany na pokładzie, gdzie kapela Cyganów rżnęła od ucha coraz bardziej rozpasane melodye. Wszyscy tracili powoli świadomość, gdzie się znajdują, a szukali tylko jakiegoś wyższego jeszcze stopnia upojenia. Kilka zaledwie osób panowało nad pociągającym prądem, a do tych ostatnich należał przedewszystkiem margrabia d'Anjorant. Gościwym uśmiechem, słowem uprzejmem i trafem, zachęcał do zabawy, a za razem ją miarkował. Obchodząc statek, pomijał bez uwagi dozwolone uciechy, jak naprzykład parę, która od dłuższego czasu zapadła w ocienioną kryjówkę i w cichą rozmowę. Była to księżna Teresa i młody Antoś Granowski.

— Cóż to znowu za kombinacya? — pomyślał margrabia, gdy ich spostrzegł po raz pierwszy.

Księżna Kobryńska mówiła widocznie o poezyi nocy, gdyż rysowała ręką i lornetką wzorzyste linie po przestrzeni, naśladując zapewne konstelacye. Uśmiech jej zaś słodszy, wzrok natęhniony, kibić falująca kuszącymi przegięciami, zdawały się wyrażać, że księżna coś lubego wróży z gwiazd dla siebie i dla młodego towarzysza. On siedział nieruchomy, zapatrzony pogardliwie w gwiazdy, albo znów przez skrzyżowane ręce kontrolował krój swych spodni i lakierowanych butów. Miał bowiem ambicję najwyszukańszej elegancyi w ubraniu, a zarazem czuł przesyt życia i zasadniczą pogardę dla kobiet.

D'Anjorrant pomiął tę grupę z pobłażliwym uśmiechem, ale gdy znowu, w pół godziny później, zastał ją na tem samym miejscu, stwierdził czarodziejski skutek wymowy Tereni. Antos Granowski atakował wstępnym bojem przychylność księżny. Ona dotknęła ustami wina, a on, niemal klęcząc, rozplamieniony, dopraszał się o ten sam kieliszek. Księżna trzymała kieliszek dość wysoko, jednak dostępnie, a główka jej dowcipna odchyłała się wdzięcznie od bardzo natarczywej twarzy Granowskiego. Oczy ich trzymały się wzajemnie na odległości skrajnie blizkiej; lada mruknięcie ze strony księżny mogło wywołać iskrę porozumienia.

Margrabia, nadechodząc, zawadził silnie o linę okrętową, która wydała dźwięk dostatecznie ostrzegający, zwłaszcza, że spotkał księcia Kobryńskiego, który w tę stronę zmierzał. Księżna powstała, a idąc naprzeciw męża i d'Anjorrant'a, wydała się sama w ręce sprawiedliwości. Kapelusznik nieco skrzywiony obwiniał ją tylko pozornie, gdyż wzrok i postawa świadczyły niezaprzeczenie o uratowanej godności damy. Za nią postępował Antos, pochylony, z zastygającym na twarzy uśmiechem pożądlivym, niezbyt jednak zakłopotany, gdyż wino przyćmiło w nim sąd o grozie sytuacji.

— Jesteśmy w czarodziejskiej sferze, zaklętej przez pana... szalejemy wszyscy — rzekła księżna do margrabiego.

— Nawet moja żona wygląda jak bachantka — odezwał się Kobryński i parsknął śmiechem.

Terenia roztopiła swój nastrój bachiczny w żalosoj skardze do męża:

— Władziu!...

I odeszła z Granowskim, a Kobryński mówił do d'Anjorrant'a:

— Kochany margrabio! Przyznać trzeba, że zakasowałeś wszystkie uczty, jakie widziałem. A widziałem ich nie mało w różnych krajach, na przykład kiedy lord Dudley przyjechał do Ostendy...

D'Anjorrant przerwał:

— Cieszę się, że zyskałem uznanie księcia. Proszę mi pomódz zabawić papę Filipa, który siedzi w altanie. Służka dzisiaj osowiał zupełnie. Gdy się ludzi potrzebuje, są niezdadni.

— Zaraz pójdę. Ja go tam rozruszam. Zatem kiedy lord Dudley dawał ucztę w porcie...

— Kochany książę, lord Dudley nic mnie nie obchodzi.

— Aha... To też niema porównania. Jak tu pan umiał doskonale dobrać towarzystwo, aby wszystkim dogodzić! Powiedz-no pan, czy arcyksiężna zna już dawno tego Ciampi'ego?

D'Anjorrant skrzywił się i odrzekł sucho:

— Nie pozwoliłem sobie nigdy jej o to zapytać.

— No; naturalnie... Ja także pragnę bardzo panu podziękować, że zaprosił tę biedną panią de Sertonville.

Margrabia zmierzył Kobryńskiego wzrokiem, pod którym księżę, już nieco zachwiany przez wino, zachwiał się jeszcze bardziej.

— Chodziło panu o to? Nie wiedziałem. Pani de Sertonville należy do moich znajomych. Gdyby ją potrzeba było wpraszać do mnie, namyslałbym się może.

Księżę spostrzegł nareszcie, że zabrnął. Ażeby wycofać się, udał nadmierną wesołość:

— Prawda!... bredzę jak na mękach. Bo też można stracić głowę w tej Kapui. Pójdę zabawić księcia Filipa ojca.

W tej chwili d'Anjorrant spostrzegł Słuszkę.

— Eustachy! mianowałem cię dzisiaj adjutantem, a włączysz się po pokładzie i nie wiesz, że Jego Królewska Wysokość, opuszczona przez wszystkich, zapada w melancholię.

Słuszce wino działało na obniżenie humoru. Był zaś także podchmielony. Odpowiedział:

— Mój drogi! Odbywam generalną inspekcję, wartę nocną. Mam mnóstwo do roboty. Wyobraź sobie, zastałem panią Puckelswart...

Odprowadził d'Anjorranta, opowiadając mu coś na ucho. Kobryński pozostał sam i niezadowolony ze swych powodzeń, tem bardziej, że i Fernandę bolała dziś głowa, a teraz nie było jej nigdzie widać na pokładzie. Znikła i napelniła serce Kobryńskiego niepokojem.

Poszedł do altany, gdzie już siedzieli sami

tylko mężczyźni przy winie, a muzyka grała ciągle spazmatyczne węgierskie melodye.

Rzeczywiście księżę Filip starszy wyglądał osamotniony, ale nie było w tem winy niczyjej oprócz Jego Królewskiej Wysokości. Od godziny nie mówił z nikim, to jest odpowiadał z roztargnieniem na wszelkie propozycje mężczyzn i kobiet, które miały na celu wyrwać go z letargu. Wiedzano bowiem, że księżę podlega napadom dziwnej, choć słodkiej melancholii. Stał pośrodku altany, ręce włożył w kieszenie, a wzrok utkwiał w podłogę. Gdyby nie miniatura orderu Złotego Runa przy klapie od fraka, postać pretendenta nie nosiła na sobie żadnego piętna majestatu. Raczej wnosić było można, że wydziedziczony władca marzy o swej niewdzięcznej Venezueli i tłumy w sereu skarby miłości dla swego ludu.

A Cyganie po rozdzierającym wstępie czardasza wpadli w szalone tempo; prowodyr miotał się, przyklejony twarzą do skrzypiec, błyszcząc oczyma i zębami, przytupując, niemal płacząc z pijanego zapachu. Zauważono wówczas, że obie złączone pięty Jego Królewskiej Wysokości zaczęły drgać i w takt odrywać się od podłogi. Prowodyr przyskoczył do księżęcego ucha i zakłął jeszcze rzewniej rozkrzyczanym smyczkiem. Znowu kapela wybuchła szaloną nutą galopady. Księżę Filip uniósł się lekko na palcach i raczył wykonać cały obrót postacią. Odtąd ruchy Jego Królewskiej Wysokości stały się czemś choreo-

graficznie tak wytwornem, że tylko kinematograf zdołałby utrwalić wrażenie tego tańca. Książę, pogwizdując z lekka, z oczyma wciąż tęsknie zapatrzonemi i głową spuszczoną, podrygiwał na miejscu, od czasu do czasu obracając się szybko wokoło siebie, przyczem poły fraka tworzyły poziomy wiatrak, a baranek Złotego Runa przewracał na piersi książęcej wesołe koziołki. Nie był to czardasz, nie było fandango, lecz jakiś taniec wojenny wenezuelski, który widzów przejmował dreszczem.

W tej chwili książę Władysław Kobryński wszedł do altany.

— Cóż to! — pomyślał — a bośmy to jacy tacy?!...

I stanął do tańca naprzeciwko Jego Królewskiej Wysokości. Ale czy nie dosyć pojął i uszanował charakter tańca, czy zadziwił swą śmiałością i brakiem powołania, czy po prostu nadto się zataczał? — gdyż książę Filip starszy przestał tańczyć.

Kobryńskiego odsunięto.

— Dajże pan spokój! Nie przeszkadzać! Jeszcze, jeszcze, Wasza Królewska Wysokość!

Pędem dążyli do altany ciekawi, czując, że raz tylko w życiu zdarzy im się sposobność widzieć takie solo. Tak niegdyś Izraelici podziwiali widok tańczącego króla Dawida.

Ale książę Filip starszy nie dał się już na-

mówić na nowe popisy. Podrygując, opuścił altanę i poszedł spać do kajuty.

Kajut było dużo mniej, niż gości, a noc późna i nadmiar wrażeń zaczynały namawiać coraz gwałtowniej do odpoczynku. Wiele osób zniknęło już z pokładu.

U drzwi altany, po wyjściu księcia Filipa, stała pani Oleska blada, z szeroko rozwartemi oczyma. Jerzy Dubieński towarzyszył jej znowu.

— Panie! Nie spodziewałam się, że tak będzie... Kiedyz my wrócimy?... Nocować tutaj... to przecie aż wstyd.

— Pozwoliłem sobie obmyślić dla pani bezpieczne miejsce na odpoczynek. Lady Cosway czeka na panią w kajucie Nr 3. To najporządniejsza kobieta z obecnych, upewniam panią. Proszę mi wierzyć.

Pani Anna spojrzała na Jerzego zrazu błędnie, potem ze szczerem wzruszeniem.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję. Tego nie zapomnę, bo to ładnie z pańskiej strony. To mnie bardziej zobowiązuje, niż rozmaite pochlebstwa, które słyszałam... No, dziękuję i dobranoc.

Jerzy stał pokornie, z odkrytą głową, niby niepewny swego pomysłu. Potem odprowadził panią Oleską do schodów wewnątrz statku i pocałował ją w rękę z oznakami nieśmiałego uwielbienia. Sam zaś poszedł do bufetu, skąd już margrabia rozkazał sprzątnąć zastawę i wino.

Słuszka, Schwind, Kobryński i Wiliaszew pili

jeszcze kawę i dowodzili coś zapalczywie Rubensonowi, który odpowiadał stale: »To zależy«. Dubieński był zupełnie trzeźwy, więc wołał wyjść na pokład, gdzie mało już kto się znajdował oprócz posługi.

Oparł się o zewnętrzną poręcz jachtu i zapuścił wzrok w ciemność tem czarniejszą, że oczy przywykły uprzednio do jasności. Powoli zaczął coraz dalsze spoztręgać zmarszczki fali, a w oddaleniu linię wybrzeża, oznaczoną latarniami. Świeży powiew orzeźwiał go i rozmarzał. Bezpośrednio pod nim pasy światła równoległe na wodzie były od statku, jak rząd promiennych wioseł.

— To od kajut. Tam ona zapewne się rozbiera...

Ona?... Która? Cały ten wieczór był pełen pani Anny. Słowa jej srebrzyste, zdawało się, że jeszcze słyszy, ale to tylko fala łaskotała pancierz statku. W nozdrzach zachował wspomnienie jej zapachu — to tylko wietrzyk morski przewiewał przez kwiaty. Wyraźnie widział jednak ostatnie jej spojrzenie strwożone i wdzięczne, przy pożegnaniu. Te oczy majaczyły mu w nocnej fali, patrzyły gwiazdami z nieba i napeniały mu serce rozkoszną nadzieją. Zadowolony był z siebie: postąpił znacznie w zaufaniu, w przyjaźni Anny. Zachował się dobrze; odróżnił się wstrzemięźliwością, poważaniem, poezją od reszty towarzystwa. Jutro już będzie przyjacielem, pojutrze?... Jakie to ładne imię: Anna! A spieszczone: Anusia, Anulka...

Wtem tracił go ktoś i oddał kopertę, zawierającą jakiś twardy przedmiot. Posłaniec mały, zwinny, w nieokreślonym męskim stroju, z kobiecami oczyma, zniknął, nie czekając na odpowiedź.

Jerzy rozdarł kopertę, poznał w niej klucz, rozejrzał się wokoło i przy pierwszym spotkaniem świetle przeczytał:

»Kajuta Nr 8 ma dwa wejścia. Mniejsze od schodów służbowych zamknięte dla wszystkich, oprócz dla mnie i dla posiadacza klucza«.

Dubieńskiemu krew uderzyła do głowy. Nie poznał pisma, umyślnie skrzywionego, i nie zauważył od razu numeru kajuty. W szereg rozmyślań o pani Annie wpadł ten list tajemny, jak olśniewająca szczęściem błyskawica. Ale zaraz ocucił go styl pisma i numer 8-my. Tamta jest przecie z lady Cosway w numerze 3-im!...

— Jednak Fernanda dba o mnie. Szczególnie po wczorajszej rozmowie, w której byłem zimny i szorstki... Nie wiem, co ona warta wogóle, ale że warta nocnej przechadzki, to pewna.

Poczuł ciepły dreszcz i wyobraził sobie od razu złote ciało Fernandy, i cichutkie, ostrożne pieszczoty w rojnych od ludzi głębiach okrętu, i wiele pragnień cudzych, skierowanych do tych drzwi, poza którymi on tylko znaleźć się może.

— Szelma Władzio dałby coś za ten klucz. Otóż go nie dostanie.

Myśl odrwienia szwagra, który sądził, że go zwyciężył w sercu Fernandy, rozweseliła Jerzego i zdecydowała.

— A przytem Fernanda taka piękna! tak do niej blisko! Cóż robić? pójdę...

XII.

W niewielkim porcie Nicejskim, wczesnym rankiem panował ruch targowy. Smolne łodzie rybackie wróciły z połowu; przekupnie nabywali rybę. Na przeciw przystani murowany bazar zasłoniiony był stosami beczek, które wyładowywał z siebie statek świeżo przybyły z Algieru. Zapachy jarzyn i owoców na brzegu zlewały się z ostrą wonią stęchłej wody morskiej, zamkniętej w przystani między rozrzuconymi kadłubami większych i mniejszych łodzi.

Wśród zgielku i swędu, na murowanem cembrowaniu przechadzał się człowiek, nie mający tu pozorów nie do czynienia i zwracał uwagę handlującej rzeszy. Chodził tak od paru godzin, niektórym zawadzał, innym drażnił przez to samo, że był dobrze ubrany i nie nosił na plecach. Wkrótce jednak robotnicy i przekupnie, którzy tu łączą poufałość Włochów z szyderczą werwą Francuzów, zdali sobie sprawę, że ten pan oczekuje przybycia okrętu. Gdy kto nowy przybywał

na próg przystani, ci, którzy już wiedzieli, objaśniali:

— Frajer płacze się tu, bo czeka na wpłynięcie grubego komina.

— Agent od kwarantanny? Nie... jakaś obca facyata.

— A jacht d'Anjorant'a nie wrócił?

— Widzisz przecie, gapiu, że go niema.

— Ma tutaj przybić. Ale im nie pilno. Kobiety mają z sobą, nie nudzą się po kajutach.

— A ten pewno czeka na swoją.

— Taką ci ma gębę. Już mu kapelusz ledwo na łbie siedzi, aż mu się podnosi.

— Niby od czego?

— Głupiś! Zapytaj swojej Małgorzaty.

Fabiusz, gdy go doszedł wybuch śmiechu razem z okruciami tej brudnej rozmowy, przyspieszył kroku i brwi zmarszczył jeszcze silniej. Ci ludzie z gminu przedrzeźniali po swojemu coś podobnego do jego własnych myśli. Daleki był od posądzenia Anny, ale wyobrażenia nasuwała mu bolesne obrazy. Widział ją wśród orgii, stropioną, bez opieki. Nie trzeba jej było puszczać na tę wyprawę, która przedłuża się w sposób nieprzyzwyczajony. Ale nie miał prawa zakazywać. Jakże on wogóle ma do niej prawa?

Noc spędził w oberży portowej, gdyż przybył około północy do portu. Nie spał, a teraz długo już chodził pośród wstrętnego zgiełku i marnych ludzi.

Nareszcie przybiegła do niego ładna dziewczyna rybacka, której obiecał franka za wiadomość o ukazaniu się jachtu na horyzoncie.

— *Moussieu! votre bateau il arrive!*

Nagiem ramieniem z pod jaskrawej chusty wskazywała pióropusz pary po za groblą zamkającą port.

— *Dans venti minute.*

I spojrzała na Fabiusza czarnemi oczyma i wyraziste usta ułożyła tak miłośnie, że poczuł niby prąd kobiecego współczucia dla swej niedoli. Ale dziewczyna wyciągnęła znowu ramię do niego, a palcami przywoływała wymownie obiecaną nagrodę:

— *Moussieu!*

Oddając jej franka, Fabiusz uśmiechnął się i rzekł:

— Dusza twoja jest mała, ale oczy piękne.

— *Merci, moussieu!*

Jacht, zbudowany do lotu, zbliżał się szybko. Wkrótce zawitały do portu herbowe anioły d'Anjorant'ów i zawisły dumnie ponad ubogiemi łodziami.

Fabiusz namyślał się przez chwilę, czy stać i oczekiwać, czy oddalić się i przyjść na samo wylądowanie. Ale został.

— Śmieszny będę dla nich, to mi obojętne. Ci ludzie najwyżsi powiedzą o mnie to samo, co dopiero słyszałem z ust pospólstwa portowego. Powiedzą inaczej i będzie im się zdawało, że cywilizacja zawiera się w formie słowa i szaty, a ja

wiem, że uspołecznienie ludzi jest w pięknie i miłości. Niech będę śmieszny dla nich, bo nie wiedzą, co zacz są. Ale ona ucieszy się do mnie.

Girlandy i proporce na statku wyglądały z daleka jeszcze wspaniale, tylko ostre światło poranka nie wypadało korzystnie dla jachtu, pośród brudnych łodzi, ani dla zmęczonych twarzy biesiadników pośród przywiedłych kwiatów. Na pokładzie zalegało milczenie, tylko Cyganie rzępolili bez fantazyi, jak przez sen. Gdy dojeżdżano, d'Anjorrant kazał kapeli urwać.

Fabiuszowi mignął w pamięci dobry tytuł marnego poematu:

— »Pijana łódź«.

Jacht dobił do bulwaru i zaczęto lądować przez rzucony do ładu pomost.

Mężczyźni pokryli fraki płaszczami, a panie zakutane były w różne narzutki. Tylko hrabina Puckelswart ukazywała płowe swe włosy w dziwnym nieładzie i twarz zaczerwienioną, postarzałą. Pierwsi stanęli na lądzie obaj Filipowie, ojciec i syn, i arcyksiężna Fryderyka. Całe towarzystwo śpieszyło się w milczeniu, czasem tylko wybuchił śmiech nerwowy, odezwał się głos ochrypły. Ten szereg czarnych mężczyzn o twarzach białych i oczach zapuchłych, z kobietami zakapturzonymi, wyglądał jak ucieczka jakaś wstydliva. Tylko d'Anjorrant, świeżo ogolony, w nieposzlakowanym mundurze stał na pokładzie, żegnając gości wojskowym ukłonem. Jako kapitan, ostatni miał zejść

z posterunku, i sam jeden wyglądał zwycięsko i spokojnie.

Dubieński wyskoczył na brzeg i podał rękę pani Oleskiej, która teraz dopiero z pod nasuniętego kapturka spostrzegła oczekującego Fabiusza. Jerzy doprowadził panią Annę do opiekuna i oddał ją z rąk do rąk z wyszukaną troskliwością, niby skarb uratowany.

— Jak dobrze, że Fabiusz przyszedł! Kochany Fabiusz!

Po cichem uściśnieniu dłoni Olescy odeszli w milczeniu do powozu, najętego przez Fabiusza.

Dopiero po południu zjawił się Fabiusz w mieszkaniu pani Anny. W białej porannej sukni, niby w greckim chitonie, zastosowanym do wymagań dzisiejszych, była tak ładna, że widok jej utrudniał poważną rozmowę. Pewne omdlenie w giętkiej kibici i cień około oczu świadczyły o przebytych nerwowych wzruszeniach. Ale zarazem biło od niej pachnące, żywe ciepło, jak od kwiatu rozgrzanego w słońcu.

Fabiusz zabronił sobie uprzednio okazać się nudziarzem albo spowiednikiem. Przybrał się więc w uśmiech swój dobry, który był wdziękiem jego poważnej twarzy; zaglądał głęboko w dusze, ale dusz czystych nie przejmował trwogą. Począł opowiadać swobodnie:

— Jadłem wczoraj obiad w Monte Carlo u Ciro. I ja zaczynam się puszczać. Po obiedzie rozmawiałem z dziwną figurą; nazywa się »wielkim

poetą», Blandignère. Stary człowiek z rozwianymi na skroniach siwymi włosami, w wytartym fraku, osypanym orderami z kartonu. Za byle jaką sztukę monety układa ody, miłosne wyznania, pieprzne epigramaty; blaznuje, tańczy, co kto chce. Ma karty wizytowe z bajecznymi tytułami, z których podobał mi się jeden: »Émule de Mr. Émile Zola à l'Académie Française«. Zaprosiłem go do swego stołu, bo mu patrzyło z oczu trochę obłąkaniem, a bardziej nieszczęściem. I ten blazen powiedział mi rzecz godną uwagi: »Jestem cieniem poety, który się w jednej rzeczy pomylił: sądził, że zabawa jest szczęściem, podczas gdy zabawa jest przekleństwem«.

— To ciekawe — rzekła pani Anna.

— Jest to oczywiście paradoks, ale dobrze oświećta ten łaćman ludzki, który miał niegdyś jedwabne w sobie nitki. A także ilustruje szkiecowo gwałtowny rozkład pod tutejszem słońcem pierwiastków dobra i piękna w osobnikach słabszych. Gdybym chciał stworzyć galerię tych wszystkich ludzi wykołejonych, chorych, podejrzanych, sfalszowanych, jako winietę końcową narysowałbym tę marną głowę biedaka, wielkiego poety Blandignère. Dobry okaz nędzy, dobry wior odrzucony przez maszynę, wyciskającą tutaj rozkosz ze złota.

— Jaka szkoda, że nie jadłam wczoraj obiadu z Fabiuszem, zamiast na tym jachcie!

— Doprawdy?

— Doprawdy. Było mi tam bardzo źle.

Opowiedziała swe wrażenia, jedyne w życiu. Mówiła bezładnie, śmiesznie i poważnie, ale szczerze, z zupełnem zaufaniem do przyjaciela.

— ...I doprawdy, gdy ci pijani zaczęli tańczyć, a noc była późna, nie wiedziałam, gdzie się schować, do kogo uciec. Wyratował mnie, zgadnij kto? Nasz Dubieński.

— Nasz?!

— Myślałam, że go lubisz?

— Tak... nie znam go dostatecznie.

— To przecie inny człowiek. Prawił mi naturalnie różne pochlebstwa przez grzeczność, ale zachował się zupełnie przyzwoicie i względem mnie i względem siebie samego. Ani się nie upił, ani tańczył. Wyglądał nawet zgorszony i podał mi myśl stowarzyszenia się z lady Cosway, sztywną Amerykanką, ale przynajmniej... Cóż to? Fabiusz niezadowolony?

— Owszem. Pan Dubieński ma dużo taktu; sam to zauważyłem.

— Cóż lepszego mogłam zrobić w tak rozrzućkanem towarzystwie, niż trzymać się z ludźmi najspokojniejszymi?

— Kochana pani Anno! Niech cię Bóg strzeże od przyjaciół, mających tylko względną, nie zaś istotną wartość. Nie mówię tego o wymienionych osobach, bo je mało znam. Opowiedz raczej jeszcze coś o wyprawie. Zaczynam żałować, że tam nie był.

— Cóż mam dalej powiedzieć?... Towarzystwo dziwnie pomieszane. Książęta krwi i pan Ciampi... Także księżna Kobryńska nie podobała mi się. Zachowuje się dwuznacznie ze mną: zna mnie od dawna, a powiedziała wczoraj księciu Filipowi starszemu, że nie pamięta, jak się nazywam.

— Możemy ją podarować księciu Filipowi.

— Nie przyjmie! — zaśmiała się pani Oleska, pokazując ząbki wesołe, niepozbawione jednak kobiecego okrucieństwa.

— Któż więcej ci się *nie* podobał? Wyznaję, że wolę ten gatunek.

— Z kobiet jedna, która podobać się musi, bo jest bardzo piękna, ale jakoś mi strasznie zagadkowo wygląda, to pani de Sertonville.

— Pani de Sertonville była na jachcie?!

— Była. Cóż z tego?

— Przed tą muszę cię ostrzedz stanowczo. Jest to kobieta najgorszych obyczajów.

Fabiusz tego powiedzieć nie mógł bez gruntownego przekonania. Pani Anna spoważniała:

— Widzisz, jak tu trzeba być ostrożną!

— Jak tu trzeba być ostrożną — powtórzył Fabiusz.

— To jest, że źle uczyniłam, przyjmując zaproszenie d'Anjorant'a.

— Najdroższa! Nie możesz uczynić źle, tylko zło może za blisko znaleźć się ciebie.

Pani Anna wzruszona podała Fabiuszowi rękę. W tej chwili weszła służąca:

— Pan hrabia Dubieński zapytuje, czy go pani zechce przyjąć.

— Co? jak myślisz? — zwróciła się pani Oleska do przyjaciela, nie ukrywając nagłego wzruszenia.

Fabiusz spuścił oczy i rękoma dał znak, że nie nie radzi. Pani Anna zawahała się przez chwilę, poczem rzekła do służącej:

— Powiedz, że bardzo przepraszam, że mam lekcję z dzieckiem.

Nie było to zupełnem kłamstwem, bo pani Anna dawała codziennie lekcje swej małej Zosi.

Fabiusz nie podziękował, tylko po krótkim milczeniu, odrzucił w tył głowę, a rysy jego przybrały wyraz szlachetnej odwagi. Czuć było, że mówi to, co powinien:

— Myślę często, bardzo często, bo ciągle, czy nie nadużywam twojej dobroci, zabierając twe towarzystwo dla siebie, to towarzystwo, któreby dla innych było może równie cennem dobrodziejstwem. Czy postępuję samolubnie? nie wiem, bo jeżeli ci mogę przynieść jaką korzyść moją radą, to znowu korzyść twoja jest mi najwyższą uciechą. Ja wiem, że widzę życie jaśniej i przezieram lepiej maski ludzi, niż ty twojemi młodemi oczyma, zapatrzonemi jeszcze w dziecinne, najpiękniejsze wizye. Prowadzić cię mogę za rękę i odpowiadać mą siłą za twoje bezpieczeństwo, ale czy ręczyć mogę za twoje szczęście, lub choćby zadowolenie? Z samym sobą jestem w zgodzie, ale jaka jest zgoda między nami?

— Mój drogi, skąd dzisiaj to wątplenie? Wiesz, że mi jesteś najmilszym przyjacielem, najpotrzebniejszym. Od ciebie tylu rzeczy nauczyłam się; ciebie przywykłam zapytywać o wszystko, a nawet gdy cię niema przy mnie, pytam się cicho: co by Fabiusz powiedział? Naprawdę, radzę się ciebie jak sumienia.

— Wierzę ci, Anno, i to mi wystarcza. Ale ja cię prowadzę do cichego obowiązku, nie znam innej drogi, a życie ma różne ponęty, których ci może brak, które poświęcasz mojej starej niewolniczej przyjaźni?

Pani Anna zarumieniała się.

— Fabiusz dzisiaj mówi dziwnie... Najprzód, nie jest stary.

— Ha, wolałbym nie być!

— Czterdzieści sześć a dwadzieścia sześć to mała różnica. Już i ja postarzałam.

— Gdy się kobiety, za dobrych czasów, rozdziły dorosłe z piany morskiej, miały zapewne twój wiek.

— Ho, ho, ho! Takby to powiedział ktoś na jachcie... Nie, od mojego Fabiusza to więcej warte.

Fabiusz powstał, widocznie z żalem, ale i z energią.

— Rzeczywiście, mijam się z właściwym stylem. A teraz może naprawdę Zosia czeka na lekcję?

— Tak. Spałam po powrocie z Villefranche; dopiero co ubrałam się.

Uchyliła drzwi od sąsiedniego pokoju:

— Zosiu! do stryjaska!

Mała panna Oleska nie wbiegła, ale weszła do salonu elastycznym krokiem, już nacechowanym elegancją i podobieństwem do mamy. Rączki i ciemne oczęta dażyły prosto do ulubionego stryja. Ze słodką dziecięcą powagą pocałowała go w policzek, dała się głaskać po jedwabnych jasnych włosach.

— Czy była Zosia na przechadzce?

— Byłam. Pani Jabłońska kupiła mi nowego Gastona, ale jest tani i brzydzy.

— Gaston? poczekaj... to ten, co w morzu utonął?

— O! tamten od stryjka był ładny, jak żywy.

— Poszukam takiego samego. Jutro ci przyniosę.

— Niech stryjek kupi także starszego, z brodą

— Nie wiem, czy takiego znajdę.

— Jest, jest, na »venue de la Gare«, podobny do stryjka.

— Tak, jak Gaston do małego de Nielles?

— Tak samo.

— Zosiu! — przerwała pani Anna — nie trzeba przymawiać się o podarunki.

Zosia zaczerwieniła się mocno. Fabiusz objął oburącz jasną główkę, pocałował ją we włosy, a panią Annę w rękę.

— Wychodzę. Miło mi ustąpić miejsca w twym salonie tej kochanej istotce, nie komu innemu.

XIII.

— Mój kochany Jerzy! Musimy raz pomówić zupełnie otwarcie i postanowić coś wspólnie. Od mojego przyjazdu upływa miesiąc, a czy ten miesiąc dobrze podzielał na twoje dyspozycje?...

Jerzy chodził po pokoju, a księżna Teresa siedziała przy stole, oparta jednym łokciem, w pozie pani de Sévigné.

— Kochana Tereniu! Te wszystkie chojnogórskie wyrażenia, jak »dobre dyspozycje«, »brak zasad« — utraciły dla mnie znaczenie. Doprawdy zapomniałem, co to wszystko znaczy w szerokim życiu, które przepływa tędy i zdrowsze jest dla mojej piersi.

— Jurku! nie miej mnie za stronniczkę przesadnie może surowych zasad naszej rodziny. Giętkość nie jest przymiotem ludzi ze spiżu. Daruj więc im, a mnie miej za swą najbliższą, bom zdolna zrozumieć nawet twoje zapędy, nawet... namiętności. Z naszego gniazda my dwoje najbardziej podobni jesteśmy do siebie.

— Gdyby i tak było, czego ode mnie chcesz? spowiedzi jakiejś?

— Wyobraź sobie, że nie siostrą, ale towarzyszką... twojej myśli; towarzyszką najzaufańszą, albo chłopcem.

Jerzy zagryzł nieznacznie usta. Wyobrażnia nie dostarczała mu żądanych złudzeń.

— Moja kochana! Przedewszystkiem dążę swoją własną drogą do osobistych pragnień i celów. Rodzina przywiązywała mi zawsze kule do nogi, albo zagradzała mi drogę płotami, plecionymi ze starych przesądów. Nie dziw się, że się odsunął od Chojnogóry i jej kopalni cnoty.

— W Chojnogórze są też kopalnie srebra — wtrąciła dowcipna Terenia.

— Wiem, niestety, że materyalnie, do czasu, od nich zależę.

Wymówka siostry rozdrażniła Jerzego. Teraz on chciał mieć nad nią przewagę:

— Muszę ci się przyznać, że Władzio winien mi 4.000 franków z mojej pensyi. Obiecuje mi je codzień...

— Ach! — zawołała księżna, zakrywając oczy — i to jeszcze!

Zaległo krótkie milczenie, w ciągu którego oboje zapomnieli o sprzeczce; owładnęła nimi bowiem praktyczna ciekawość.

— Więc Władzio jest w złych interesach? — zapytał Jerzy.

— I w jak złych jeszcze! Przyznał mi się do dwudziestu tysięcy długów. Czy to wszystko?...

— Gra za grubo i ciągle, to niebezpieczne.

— Podobno partya w tym przeklętym klubie już się kończy? Mówią, że zwykle urywa się przed Wielkanocą.

— Nie będzie tej, będzie inna. Zresztą jest zawsze Monte Carlo, a to dom najgorszy, bo utrzymywany z regularnego podatku grających.

Terenia była istotnie zakłopotana i porzuciła nawet swą ulubioną dyplomację.

— To też w tych dniach musimy koniecznie wyjechać do Rzymu. Mieliliśmy zawsze ten zamiar; szkoda, że za późno go wykonamy. Dla ciebie nawet ojciec przepisał tę pielgrzymkę.

— Doprawdy! Toby mi nie było zachęta. Ale najprzód trzeba pieniędzy. Ja nie mam ani grosza, nawet na tych 4.000 już są poważne hy-poteki.

— Posłuchaj mnie, Jurku, i przyrzeknij mi sekret absolutny przed Władziem... Dziesięć dni temu, gdy spostrzegłam, jak tu idzie, napisałam do Chojnogóry, prosząc o dodatkową pomoc dla nas wszystkich.

— I dla mnie?

— Dla wszystkich. My tu przyjechaliśmy dla ciebie, więc ojciec pewnie pieniądze, które nam dał, zapisał na conto dobrych uczynków...

— Jak zapisał, mało mnie to obchodzi. Ale nie chcę, żeby sobie wyobrażał, że i ja korzy-

stam z jego dobrodziejstw. Pensję chyba mi winien, jako synowi.

— Jerzy! nie chodź tak po pokoju i nie zacinaj się. Usiądź i naradzimy się po bratersku. 4.000 franków oddam ci zaraz.

Jerzy usiadł.

— Otrzymałam wczoraj od papy pieniądze na Rzym, wprawdzie połowę tego, o co prosiłam, ale ja jeszcze mam coś ze swoich oszczędności, więc na podróż nam wszystkim nie zbraknie. Proszę cię o dwie rzeczy: nie mów Władziowi, że otrzymałam zasiłek z Chojnogóry, i pomóż mi wyciągnąć go stąd do Rzymu jak najprędzej.

— To będzie trudno. Zaplątał się...

— W co się zaplątał?

— W partię klubową, w ruletę, w lichwiarzy.

— Bądźmy szczerzy: i w kobiety?

— O tem nie wiem.

— Rozumiem twą delikatność, Jurku. Ale siostrze, takiej prawdziwej siostrze, możesz wszystko wyznać.

— I żonie Władzia?

— Ach, ja jestem żoną jego duszy. Jest mi drogi, ale nie znalazłam w nim równego sobie towarzysza. Słaby jest, i muszę być jego opiekunką. Wiem zresztą, co mi ukrywasz; mógłbyś mnie tylko objaśnić: co to jest za osoba ta pani de Sertonville?

Jerzy oparł głowę o rękę i wzrok ponury skierował ku posadzce. Był dawno przygotowany

na to zapytanie i wcale się go nie bał; obawiał się zaś indagacyi co do innej kobiety. Obmyślił odrazu plan działania wobec siostry.

— Pani de Sertonville jest osobą rzadką, tajemniczą. Twoja wątpliwość jest i moją wątpliwością, a nawet, przyznam ci się, cierpieniem i nocną zmorą. Odrazu, gdy tu przyjechał, zajęła mnie ta postać bolesna i wspaniała.

— Kochasz ją jeszcze?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — odparł Jerzy, wyniośle podnosząc głowę.

— O, nie wyzywam konfidencyi, rozumiem cię, mój szlachetny Jerzy!

— Nie rozumiesz. Mnie kobiety zajmują z wielu względów, których może nie oceniasz. Mam najprzód pretensję, że umiem grać na tych arfach, któremi są dusze kobiece, i dobywać z nich tony piękniejsze, czystsze od nich samych. Budzę w nich zapomniane drzemiące szlachetności.

— Jak pięknie mówisz! Ile z nas nie doczeka się nigdy w życiu takiego mistrza-poety!... Ale powiedz: czy pani de Sertonville nie jest trochę lekkomyślna? czy nie naraża na wydatki?

Jerzy odkładając na bok lirę, westchnął głęboko. Potem wpadł w zadumę, potem w rozdrażnienie:

— Ach, nie wiem!... Na jakie wydatki?... Ma wadę, że lubi grać i zawsze przegrywa. Może Władzio grał z nią do spółki?

Terenia mrugnęła kilka razy i wyprostowała

się, względnie zadowolona z tego przynajmniej odkrycia:

— Widzisz, Jurku, temu trzeba by przeszkodzić.

— Mogę ją o to poprosić. Jesteśmy dość zażyli z sobą. Powiem poprostu, że mój szwagier nie ma pieniędzy, i nie trzeba go wciągać do gry.

— Delikatnie tylko. Powiedz, żeśmy bogaci, ale ojciec...

— Wszystko jedno. Fernanda może grać sama, albo z kim zechce; każdy chętnie się zgodzi.

— Będzie to dobry uczynek z twojej strony. A inaczej... tak w życiu, w zabawach... czy pani de Sertonville nie pociąga za sobą wydatków?

— Ja nigdy o tem nie słyszałem. Może Władzio?... nie wiem...

— Ty jesteś bardzo piękny, Jerzy.

— Moja Tereniu! Znowu się nie rozumiemy. Władzio nigdy nie widział nawet rozpuszczonych włosów Fernandy.

Księżna spojrzała badawczo na brata i popadła w rozmaite wątpliwości.

— Jednakże...

— Tak, tak. Władzio sobie wyobraża, że wywarł na nią silne wrażenie. Trzyma się jej, gada z nią; ona go nazywa *mon dogue*, on ją czasem po imieniu, ale to wszystko są zaloty bez przyszłości. Zresztą, może Władzio nadto szanuje swoje gniazdo, aby się posunąć...

Temu już księżna Teresa stanowczo nie uwie-

rzyła i, stwierdziwszy zaślepienie Jerzego, przeszła do innej rozmowy.

— Myślałam, żeś się trochę odsunął ostatnimi czasy od pięknej Hiszpanki.

— Powinienbym. Ale niestety!...

— Widziałam cię często przy pani Oleskiej. Jerzy zaśmiał się głośno, uśmieł się prawie do łez. Aż siostra, naprawdę zdziwiona zapytała:

— Czego się śmiejesz?... Pani Oleska uchodzi przecie za piękność.

— Bardzo piękna, istotnie... Ha, ha, ha!

— No więc co?

— Żenić się tak odrazu z kobietą, dlatego, że piękna?

— Żenić się, żenić!... — odpowiedziała księżna nadąsana: — wasza męska logika bywa inna.

— W takim razie nie znasz zupełnie ludzi, Tereniu. Ci oboje Olescy to istne kwakry.

— Nie przeczę. Nie mam powodu źle sądzić o pani Oleskiej. Może nawet trochę przesadza swą pozę na kapłankę Westy.

— Może?

— Albo może u kwaków małżeństwa są tajemne i po śmierci męża krewni jego otrzymują w spadku wdowę.

— Także możliwe. Tutaj jednak nie sądzę.

— Doprawdy, świat jest dziwny. Mówią tu niestworzone rzeczy o każdej młodej kobiecie, a tę jakąś panią, która się włóczy po świecie z kuzynem, zgodzono się ogłaszać za świętą. Na-

wet wymyślili dla niej osobne jakieś stanowisko. D'Anjorant mówi, że to najdoskonalszy typ damy polskiej, jaki on napotkał, i wierzy, co mu ktoś tam opowiedział, że Olescy pochodzą ze znakomitej szlachty. To przecie prawie ubliża innym! A wszystko dlatego, że pani ma ładne oczy i pozuje na dziewczę, mając lat trzydzieści.

Jerzy patrzył na siostrę coraz chmurniej i miał już gotową odpowiedź:

— Pozujesz, kochanko, sama na to, tylko znacznie gorzej; a tamta ma lat dwadzieścia pięć i nie pozuje wcale.

Ale Jerzy szanował siostrę, a w każdym razie nie chciał się przed nią odsłaniać. Ziewnął tylko i rzekł:

— Co nas to wszystko obchodzi, moja Tereniu! Pani Oleska, choć dawniejsza znajoma, jest od nas bardzo daleka, a inna kobieta cudzoziemka, dużo bliższa. O tej trzeba naprawdę pomyśleć... od tej nawet może uciec wypadnie.

— Widzisz zatem, Jurku, że ze wszystkich względów musimy jechać do Rzymu, na ochłodzenie, na zapomnienie, a nawet, *disons le mot*, na pokutę. Od pojutrze zaczyna się Wielki Tydzień; ramiona świętego Piotra wyciągają się ku nam...

Oparła głowę na rękę, nagle rozmarzona.

— Ja sama czuję tutaj dziwne odurzenie. Wy, mężczyźni, tak tu jesteście rozpasani, tak natar-

czywi, że i nam przychodzą grzeszne myśli... Najsilniejsze indywidua kobiece ulegają...

— Gdyby to było prawdą! — zawołał niespodzianie Jerzy, który myślał o czem innym.

Mimo swą przebiegłość, Terenia nie zrozumiała i zastosowała wykrzyknik Jerzego do Fernandy.

— Biedny chłopcze!

Jerzy już nie tłumaczył się, przypomniał siostrze obietnicę wypłacenia za Władzia 4.000 franków, a gdy otrzymał pieniądze, westchnął i pożegnał się.

— Biedny chłopiec! — powtarzała księżna po wyjściu brata: — wyobraża sobie, że go ta Sertonville kocha, a ja wiem, co się dzieje między nią a Władziem. Nie odbierajmy mu złudzeń! Mam teraz dwóch ludzi do ratowania: brata i męża. Siebie jestem pewna.

Przypomniała sobie różne pokusy, wprowadzie dość dalekie, gdyż mężczyźni nie przysuwali się do niej zbyt blisko. Prawdziwa enota onieśmiela. Słuszka powiedział jej coś kiedyś... ale był mocno podchmielony. Schwind coraz rzadziej przychodził na jej popołudniowe herbaty, ha! pani Puckelswart jest zapewne wyrozumialsza. Miała też i inne sposobności oczarowania mężczyzn, ale nie chciała wyjść poza granice, przez jej wytworną naturę dozwolone. Gdyby zaś chciała tak się zachowywać, jak pani de Sertonville, jak pani de Nielles... mogłaby nawet łatwo tak, jak one, wyglądać. Je-

den Antoś Granowski, nieśmiały wogóle, a przez nią ośmielony, zdawał się wierzyć, że piękność i wdzięk księżny Kobryńskiej były czemś osobliwym. Lenbach i on! To zestawienie wypadło na korzyść estetycznego zmysłu młodzieńca. Tylko Lenbach widział księżną przez godzinę, a młody Granowski widywał ją często, przychodził na herbaty, siadywał w fotelu, milczał, czerwienił się, znowu milczał, słowem: zachowywał się jak zakochany.

— Taki młody, rasowy chłopczyk! Mam dla niego uczucie, którego nie chcę nazwać macierzyńskim, bo nie lubię nic udawać, nawet sama przed sobą. Ale chciałabym go wykształcić, rozbudzić do życia nerwowego i czynnego. Chciałabym być pierwszą kobiecą ręką...

Jednak nie pozwoliła sobie na żadną wyraźniejszą zalotność. Rozmowa na jachcie była skrajnie jej zapomnieniem. Tylko o tym chłopcu, proszącym oczyma o jakąś nagrodę za swą stałość, myślała często z przyjemnością.

— Taki drobiazg... i to jest grzechem.

Nagle, doszedłszy widać do świadomości, że w noc jakąś majową mogłaby przypuścić do siebie możliwość zapomnienia się, zerwała się z krzesła, wołając:

— Do Rzymu, do Rzymu, do Rzymu!

XIV.

Zdarzają się w powietrzu nieobjaśnione prądy, porywające ludzi, bez uprzedniego między nimi porozumienia, do jednego celu; taki wiatr wiał około Wielkiejnocy w Nizzy i pędził mnóstwo ludzi do Rzymu.

Państwo d'Anjorant i lady Cosway powzięli nagle ten zamiar, za nimi podążyć mieli państwo de Nielles, Schwind. Kobryńskim przepisano tę pielgrzymkę dla zbawienia rodziny. Słuszka poczuł się naraz powołanym do wiecznego grodu.

Dubieńskiemu zaś chodziło głównie o stwierdzenie, czy pani Anna pojedzie do Rzymu. Fabiusz namawiał ją już dawno do Włoch, obiecując cichsze, ale szlachetniejsze rozrywki, niż na Rivierze. Gdy teraz Jerzy przekonał się o stanowczym zamiarze siostry, chciał dowiedzieć się coś pewnego o projektach Oleskich i od tego uczynić zależną swą zgodę lub niezgodę na wyprawę włoską. Nie trudno mu przyszło pomówić o tem z Oleskimi, gdyż widywał ich prawie co-

dzień. Spoważniał nadzwyczajnie, pisywał naprawdę dobre wiersze i, popadłszy w wątpliwości o dotychczasowym sposobie życia, namyślał się nad swem udoskonaleniem, a za mistrza wziął Fabiusza. Ze był wykształcony i pojętny, nie nudził mistrza.

Zwykł był teraz szukać towarzystwa Oleskiego, zapytywać go o radę i wyciągać na długie rozprawy o istocie cywilizacyi. U pani Anny zjawiał się zwykle w towarzystwie jej opiekuna i zachowywał się wobec niej tak skromnie i wstrzeźmliwie, że mógł uspić wszelkie podejrzenia. Jeżeli czytał jej jaki swój wiersz, lub przepisany oddał, to zawsze «stryj» był lub mógł być przypuszczony do tej niewinnej konfidencyi. Upierał się nazywać Fabiusza stryjem, mimo tłómaczeń, że jest kuzynem pani Anny. W rzadkich rozmowach sam na sam, Jerzy porzucił pospolity sposób okadzania pochwałami piękności pani Anny, dawał tylko poznać po sobie, że widok jej działa na niego jak słońce: rozpromienia go, gdy wschodzi, zasępia, gdy odchodzi. A gdy czasem rozmowa zawadzała o rzeczy poufne, o jej lub jego aspiracye, usposobienia, przeszłość, Jerzy czuł się mniej pewnym siebie niż zazwyczaj: choć umiał rozmawiać z kobietami, nie napotkał w swej praktyce tej dziwnej trudności: pani Anna była zupełnie uczciwa w słowach i działaniach, i wymagała od niego równej uczciwości.

Zdarzyło się mu naprzykład mówić o swej rodzinie w ten sposób:

— Niech pani przypuści na chwilę, że wierzy w moją przyszłość jako poety, i wyobrazi sobie te pokarmy duchowe, którymi mnie pasiono w rodzinie: «obowiązki, zasady, stanowisko Dubieńskich...» Jak mógł rozwinąć się wolny talent w takiej atmosferze?!

— Dlaczego zasady i obowiązki przeszkadzają rozwojowi talentu? Nie rozumiem.

— Bo jest to tylko przebrane filisterstwo. Trzeba wrażeń, spostrzeżeń osobistych, życia własną piersią i własnem powietrzem... To tak, jakby się pani zachciało śpiewać i tańczyć w jakimś wielkim gmachu, a tu w każdym kącie albo stare, święte malowidło, albo stróż porządku publicznego, najeżony i głuchy... Żeby to jeszcze było szczere! Ale oni sami czują potrzebę życia i używania, a świętych i głuchych udają dla innych.

Jerzy zapędził się w zwierzeniach, ale miał nadzieję, że mu pani Anna powie na to przynajmniej:

— Biedny chłopiec!

Albo wyrazi innemi słowy swe współczucie, przyczem temperatura rozmowy rozgrzeje się aż do rozrzewnienia, a w rozrzewnionej temperaturze można polować na różne korzyści. Tymczasem pani Oleska odpowiedziała poważnie, patrząc mu prosto w oczy:

— W takim razie to nie zasady, ale hypokryzja. Nie wiem, czy pan chciał uczynić ten zarzut swojej rodzinie?

Jerzy nie miał tak stanowczego zamiaru, i rozmowa urwała się z obustronnem zakłopotaniem.

Jeszcze gorzej było raz, gdy Dubieński zapragnął przeniknąć uczucia pani Anny dla jej nieboszczyka męża i dla Fabiusza.

— Znałem bardzo mało męża pani. Był trochę podobny do pana Fabiusza, tylko młodszy.

— Owszem, zupełnie różny. Może coś podobnego w rysach twarzy, ale nie w charakterach. Fabiusz wszystko rozumie i wszystko tłómaczy, a tamtego biedaka świat oburzał do tego stopnia, że ciągle stan podniecenia przyprawił go o żółciową chorobę, na którą skończył.

— Tak. Pan Fabiusz jest prawdziwym filozofem. Zazdroszczę mu jego spokoju i pewnej... nieczułości, tak potrzebnej, gdy kto chce wzniesć się do zupełnego obiektywizmu.

— Myśli pan, że Fabiusz jest nieczuły?! Bardzo się pan myli.

— Chciałem powiedzieć: zimny, chłodno rozważający...

— Owszem, ma najgorętsze serce, jakie natykałam. Żyje tylko miłością bliźnich, zaczawszy od swego kraju. To wielki pracownik dla cudzego dobra. Pan go widzi tutaj w chwili odpoczynku, i nie zna go pan wcale.

— Przewiduję, jakim być może; bardzo go poważam.

Jerzy, widząc oczy pani Anny zaiskrzzone gniewem na samo przypuszczenie, że ktoś jej przyjaciela przedstawia w mniej korzystnem świetle, pomyślał o wartości prawdziwej przyjaźni kobiecej, przewidującej nawet najskrytsze zaczepne zamiary. Z rozmowy jej wyniósł dla siebie naukę i postanowił nigdy już nie malować słowami moralnej postaci Fabiusza Oleskiego wobec pani Anny. Ale tem bardziej wpływ nie dość starego opiekuna na młodą kobietę wydał mu się podejrzanym i drażniącym. Od tej pory zaczął w rozmowach z panią Anną traktować stosunek jej z Fabiuszem jako godną uszanowania tajemnicę, którą przeniknął; jako nieszczęśliwą konieczność, której on, człowiek pełen zasług, lecz skromny, poddaje się z bolesną słodyczą. Uczucie jego niecierpliwe, powściągnięte, nie pozwalało sobie na wyznania, czasem tylko na westchnienie, albo na niemy wyrzut oczu i bladość twarzy. Przez kilka dni nawet głodził się i połykał cytryny, aby schudnąć, mniemając, że stan jego zdrowia zwróci pożądaną uwagę. Podstęp zaś nie był przeciwny jego bogatej naturze, skoro cel wydawał mu się ze wszech miar upragnionym i sprawiedliwie do niego należącym.

Jednak ten system podboju serca pani Oleskiej był długi. Jerzy uchwycił się obecnie zamiaru wycieczki do Rzymu i tuszył sobie jak

najlepiej o zmianie stosunków z panią Anną w tej podróży. On, artysta, po klasycznym gruncie sztuki będzie równie umiętnym, jak miłym przewodnikiem, postara się być wzniosłym i zajmującym; spróbuje skorzystać ze wspólnej wędrówki po ruinach, z silnych i szlachetnych wrażeń, wreszcie i z ciągnącej wiosny, aby doprowadzić do pożądanego rozrzewnienia. Grot Amora może łatwiej trafi do serca pani Anny w jakichś termach Karakalli, gdzie róże kwitną w rozwalonych salach kąpielowych; albo w labiryntach pałaców, gdzie zgubić się tak łatwo wśród powodzi malarstwa i rzeźby; nawet w półmrocznych nawach ogromnych świątyń, gdy oczy zwiedzających biegają po wyniosłych liniach, a baczna ręka kochanka czeka w pogotowiu na podparcie jej ramienia lub na podziękę jej dłoni...

Tutaj, w Nizy, to, co zwa miłością, zbyt obficie spotyka się na rynku. Amor, dla olbrzymiego zapotrzebowania grotów, zdrobnił ich wymiary, rozdał je wszędzie, nawet w formie wykałaczek po restauracjach. Nie dziw, że tak spopolitowane pojęcie może przejmować panią Annę pogardą i wstrętem.

Choć jednak Dubieński dużo sobie obiecywał po wyprawie do Włoch, nie mógł zapomnieć, że tam, jak i tutaj, będzie miał do zwalczenia współzawodnictwo Fabiusza, pod jednym względem stanowczo zabójcze: gdy będzie chodziło o wnioski

ogólne, o umiejętne oświecenie nowych krajów, ludzi i dzieł ich.

— A przytem ten mantyka gotów się znać na sztuce włoskiej dużo lepiej niż ja?... Cóż u licha z tym Fabiuszem!

Za to Jerzy liczył na zmianę wrażeń, na swój powab męski, na swą gwiazdę. Miał także głęboko wpojone przekonanie, że ta kobieta, ponieważ mu się wyjątkowo podoba, powinna do niego należeć. Wszelkie kroki w tym kierunku poczytywał nietylko za stosowne, ale za zgodne ze swem powołaniem, za dobre i zbawienne dla nich obojga. Gdy czasem głębiej zapuścił się w rozważanie swych zamiarów, napotykał myśl dość prostą, a jednak najdalszą w jego zapędach:

— Ostatecznie mógłbym się z nią ożenić?...

Ale tu geniusz Dubieńskich, mający twarz pana Macieja, rękę jedną w kieszeni, a drugą wzniesioną ku szczytnym zasadom rodzinnym, stawał przed Jerzym widomie i groził. Syn marnotrawny wzdygał się.

— Nad tem trzeba jeszcze długo się namyslić. To na później.

Gdy Jerzy dowiedział się, że Olescy wyjeżdżają stanowczo w Wielkim Tygodniu do Rzymu, padł w dramatyczne zawikłania. Razem z nimi pojechać nie mógł, bo nie miał dobrego pozoru opuszczenia siostry, szwagra i innych znajomych, a podążenia za panią Anną. Nie łudził się na-

dzieją wyprawienia Kobryńskiego przed Wielką nocą, gdyż partya w klubie trwała w najlepsze. Jeżeli zaś z jednej strony nie chciał do czasu zwracać uwagi na zabiegi swe o panią Annę, to z drugiej — pragnął jej dowieść, że tylko dla niej wybrałby się do Rzymu.

Gdy pani Oleska i Fabiusz oznajmili mu zgodnie, że wyjadą pojutrze, Jerzy odrzekł z bolesną powagą:

— Jedzie i moja siostra z mężem, i państwo d'Anjorant, i Słuszką.

Pani Anna zarumieniła się nagle:

— A pan?

— Ja muszę tu pozostać.

— To szkoda... dla pana.

Odeła usta niechętnie, a wzrok jej, zwykle jasny i prosty, ominął trochę pogardliwie Jerzego, który patrzył posępnie, niby ofiara nieodgadnionych przeznaczeń.

Fabiusz nie namawiał Jerzego do wspólnej podróży, i rozmowa ogólna oziębla do tego stopnia, że wszyscy uciekli się do filizanek z gorącą herbata. Gdy już Dubieński miał wychodzić pani Anna znalazła chwilę na zapytanie, którego Fabiusz nie dosłyszał:

— Może pan wyjeżdża gdzieindziej?

— Nie, pani. Gdybym się mógł stąd ruszyć, z pewnością podążyłbym do Rzymu.

— Chyba obowiązek?... Ej, niech pan jedzie!...

— Dla tych słów pani, dla tych jednych na świecie, gotów jestem wszystko poświęcić.

Pani Anna chciała osłabić znaczenie tych słów mimowolnie czarodziejskich, ale niezręcznie było mówić dłużej na uboczu z Jerzym, więc rzekła tylko:

— W każdym razie zobaczymy się jeszcze przed wyjazdem?

— W każdym razie.

Trzeba było teraz namówić Kobryńskiego. Pocięchy religijne Wielkiego Tygodnia, wspaniałości sztuki starożytnej stanowiły dla Władzia pojęcia zupełnie oderwane, do których zgłębienia nie czuł wcale pociągu. Przytem pani de Sertonville zostanie z pewnością w Nizzy; Kobryński nie spodziewał się pociągnąć jej za sobą do Rzymu, widział bowiem z boleścią, że wpływ jego na nią, jeżeli jakkolwiek istniał, osłabia się z każdym dniem. Przegrywał stale w ostatnich czasach, wyczerpał wszelkie dozwolone i zakazane źródła kredytu. Był w prawdziwych opałach; za ledwie ratował swą »pozycję« pomysłowymi rzutami finansowymi, do których miał niejaki zdolności.

Jerzy wstrzymał się od powtarzania szwagrowi budujących przemów w rodzaju tych, które sam słyszał od Tereni. Utyskiwał tylko, że nie może jechać do Rzymu, dokąd wybiera się najlepsze towarzystwo. Każdy znajdzie tam to, czego szuka: jedni spokój, drudzy wrażenia artystyczne,

inni znowu doskonałą partyę w klubie »della Caccia«.

— Czy wiesz co o partyi w Rzymie? — zapytał przemysłny Władzio.

— Mnie to mało obchodzi, ale d'Anjorant i Schwind tylko dlatego jadą. Podobno nigdy tyle nie grano w karty »alla Caccia«, jak w tym roku. Jest duży zjazd bogatych ludzi. Schwind mówi, że tam dopiero można wygrać, bo ma się do czynienia z panami, nie, jak tutaj, z tłumem zawodowców.

Kobryński uznał tę wiadomość za ważną i pożyteczną. Nagle skłonił się do ogólnych projektów, pragnął tylko doczekać Wielkiejnoocy. Tego samego zdania był d'Anjorant, gdyż twierdził, że w Wielkim Tygodniu wszystko zamknięte w Rzymie, oprócz kościołów. Zamykają muzea, ustaje ruch towarzyski i klubowy, zwłaszcza w świecie »czarnych«, między którymi ma się oczywiście najwięcej znajomych. Margrabia był co do obozu katolikiem.

Tymczasem Olescy wyjechali, zostawiając Zosię w Nizzy pod opieką pani Jabłońskiej. Przyszedł czas wielkanocny, na Rivierze wyglądający inaczej, niż w innych zbiorowiskach ludzi. Nie słysząc tu nigdzie dzwonów kościelnych, życie nie rozgrzewa się wesoło i uroczyście, raczej nawet powszednieje. Ciągłe święto zmysłów, trwające tutaj, nie godzi się ze wspomnieniami obcych rocznie świątecznych. Prawdziwe »towarzystwo«

mniej się pokazuje w miejscach publicznych, a ta wstrzeźliwość pochodzi głównie stąd, że na pola zabaw, ogólnie dostępne, wylega rojnie mieszkaniacy miejscowi, zwykle pracowity, a teraz pragnący użyć trochę świata i przypatrzeć się zabawom panów. Panowie właśnie wtedy darzą go skąpo dobrodziejstwem swego widoku: wolą przebywać po domach i po klubach.

— Nie można już prawie jadać w restauracjach; goście cuchną czosnkiem — zawyrokował d'Anjorant.

Te wyrazy mistrza skazały wiele osób z »towarzystwa« na przymusowe rekolekcyje. Zaś księżna Kobryńska odprawiała przez trzy dni rzeczywiste rekolekcyje, w godzinach popołudniowej herbaty u »Dobrego Pasterza«, w jedynym kościele nicejskim, o którego istnieniu Władzio wtedy się dowiedział.

Pierwszego dnia Wielkiejnocy pani Granowska urządziła liczne śniadanie, któremu starała się nadać pozór święconego przez ciasta w rodzaju bab, pochodzące z cukierni Rumpelmayer'a. Ale tradycyjna uczta nie udała się, bo wielu rodaków przyszło za późno, z zapuchłemi oczyma, z powodu, że partya w klubie, zapewne ostatnia, przeciągnęła się od poprzedniego wieczoru aż do dziesiątej rano. Kobryński nawet wcale nie przyszedł i powierzył żonie trudne tłumaczenie wobec Granowskich, z którego księżna wywiązała się

ze smętną prostotą, gdyż kłamać nie mogła w pierwszy dzień Wielkiejnocy.

— Władzio nie przyjdzie. Darujcie mu ze względu na ogólne przebaczenie, które spłynęło na nas.

Zakopiański, gdy to posłyszał, zwierzył się Słuszcze:

— Rodaczka nasza zbudziła słowem trzepoty pokutne... Czy nie czujecie zapachu świętości, niby powiewu od naszych pól, od naszych pałaców strzechowych?

— Pachną panu może święcone baby? — odpowiedział Słuszka.

W drugie święto liczne towarzystwo z margrabią d'Anjorant na czele, oczekiwało na dworcu przybycia »Express'u de Rome«. Księżna Teresa mówiła do Antosia Granowskiego, który przybył tu bez kufra i miał minę jeszcze mniej wyraźną, niż zazwyczaj:

— Jak to? pan nie jedzie z nami? przecie mama pozwoliła...

— Nie mogę.

— A cóż będzie z wycieczką naszą do Ojców Zmartwychwstańców?

— Nie mogę.

W tej chwili Jerzy, spóźniony ostatecznie, błady od jakiejś wewnętrznej rozterki, przypadł do siostry:

— Tereniu! nie jadę dzisiaj. Jeżeli zdołam się uwolnić, będę w Rzymie za parę dni. Wierz

w mój najszczerzy zamiar, ale dzisiaj — niepodobna.

Księżna oniemiała. Kobryński spojrzał na szwagra wilczym wzrokiem, pełnym podejrzeń. Nareszcie odezwała się Terenia:

— Ależ, Jurku, bój się Boga! Dlaczegoż my zatem jedziemy? Jak zdamy sprawę ojcu?...

— Nie zdradzę was, nie skompromituję rodziny. Zaufaj mi, Tereniu!

Tymczasem pociąg, którego nawet margrabia d'Anjorrant nie zdołałby zatrzymać na parę minut dłużej, zajechał na stację z rozdzierającym świstem.

XV.

Fabiusz i pani Anna powracali pod wieczór z opactwa Kartuzów »alle Tre fontane«. Powóz toczył się równo po »via Appia nuova«, którą woźnica nazywał uprzednio »bellissima«, namawiając na wycieczkę, a teraz drzemał na koźle, znieczulony przez »vino romanesco« i przez ogromną senność, rozlaną po Kampanii.

Można już było patrzeć bez olśnienia na słońce zlagodzone, przecięte od góry chmurką, wiszące jak rubinowa czara nad ogromnem miastem. W zabarwionym pyłe stały rude mury zewnętrzne, dalej masy pospolitych domów mieszały się z kunsztownemi uwieńczeniami starych gmachów, głównie świątyń, odznaczonych wysoką poboczną dzwonnica. Na lewo zaś, w oddali, tam, gdzie słońce dobiegało dziennego kresu, gmach jeden, podobny symetrycznej górze, nakrywał miasto błogosławiącą kopułą.

Odezwała się pani Anna:

— Lubię już Rzym. Zaczynam nabierać rzymskiego patryotyzmu.

— A mówiłem, że trzeba poczekać tydzień. Kiedy wpadłaś w marne życie włoskie, pleśniejące na zwaliskach, a potem w przesyt od mnóstwa źle rozmieszczonych arcydzieł sztuki, mówiłem, że trzeba być cierpliwą i skupić się, zanim przemówią głosy wieków.

— Mówiłeś. Raz jeszcze masz słusność.

— Mniej dbam o to uznanie, niż o twoje wrażenie, Anno. Czy ci tu dobrze?

— Doskonale... dobrze... coraz lepiej. Dzisiaj szczególnie taki spokój!

Głośno wciągnęła do piersi łagodne powietrze i rzuciła okiem po równinie, miejscami zieleniejącej, której wiosenną wesołość mąciły jednak długie, połamane szkielety akweduktów, a na lewo w oddaleniu szereg małych grobowcowych zwalisk.

— Tam... to stara via Appia? nasza droga wczorajsza do Tivoli?

— Tak. O, masz ten największy, okrągły, grób Cecylii Metelli.

— Wolę drogę dzisiejszą; na tamtej zanadto smutno. Gdyśmy jechali wczoraj, cienie grobów kładły się co chwila na nas.

— A mnie — rzekł Fabiusz — ten cmentarz nie mówi nic smutnego. Jest już tak stary, że utracił wszelką woń śmierci. Patrz na przykład na ten kurhanek wśród pola. Przysypane zwali-

ska szczyry z pod niego spróchniałe zęby, ale na wierzchu jaka zdrowa pszenica! Właśnie tu-tejsza ziemia świadczy o wieczności i tryumfie życia.

— Ale nie żyje...

— Jest pełna dokumentów życia. Pokazywałem ci na Palatynie przekrój całej historyi świata, od murów przedkrólewskich aż do naszego baroku. Wszystkie cywilizacye leżą tu słojami jedna na drugiej, dają się zobaczyć, odtworzyć, zrozumieć. Najpodlejszej cywilizacyi, obecnej, jest tu najmniej. Dlatego Rzym jest mojem miastem.

— Jednak dokumenta historyi nie są życiem samem.

— Są treścią istnienia. Wszystko, co czynimy, czego pragniemy dzisiaj, jest drobiazgiem, dla nas bardzo ważnym, ale nieskończenie małym w ewolucyi wiecznego życia. To pyły, z których tworzy się kamień, a z kamieni wznoszą się gmachy. Zrozumieć, kim jesteśmy, o ile i na jaki pożytek budujemy, żyjąc — oto zadanie niedościgłe, lecz porywające, jedynie godne większych ludzi. A najprzód przyjrzeć się trzeba pilnie dokumentom ludzkim, to jest świadectwom tych czynów trwałych, które po sobie ludzie zostawili. Po tem można dopiero zacząć rozumieć życie obecne, czyli zbliżyć się do szczytu mądrości, a nawet odgadnąć przyszłość, czyli być najszcześliwszym z ludzi.

— Czy do szczęścia trzeba koniecznie wszystko rozumieć?

— Do wzniosłego szczęścia — jak najwięcej rozumieć.

— A do zwykłego czasem wystarcza piękny zachód słońca i pewność, że się wraca na noc spokojną do Rzymu.

— To dobrobyt, nie szczęście. Potrzeba go nam, bośmy słabi, bośmy dziećmi rozpieszczonej, sybarytycznej epoki.

Chłodniejszy powiew przeszedł przez zasy-piającą Kampanię, i pani Anna lekko się wzdry-gnęła. Fabiusz otulił troskliwie jej kolana ple-dem, który zabrał w przewidywaniu wieczornego powrotu.

— Zwiększasz mój dobrobyt — rzekła Anna, uśmiechając się z ponętą ironią do towarzysza: — uczysz inaczej, a postępujesz inaczej.

Fabiusz spojrzał wymownie i rzekł gorąco:

— Kochać mi wolno... dobro cudze.

Gdy wjeżdżali do miasta przez bramę święto-jańską, słońca już nie było na niebie, tylko po-zegnalne blaski, fioletowe i złote. Chociaż objęty już murem miejskim, ogromnie długi plac Late-raneński był pusty i przejmująco cichy. Jest to jeszcze przedłużenie Kampanii rzymskiej, na któ-rej historia, zmęczona tylu wysiłkami, chora na marazm starości, zdaje się spać snem wiecznym. I tu, na placu, rzadko przesuwał się człowiek, albo wózek zaprzężony mułami. Wieczór wypę-

dził już stada ciekawych z kościołów i muzeów, stojących na tej dziwnej połaci ziemi, obramo-wanej od południa poszczerbionym prastarym murem i rzadkimi ponad nim piniami. Od ko-ścioła Santa Croce in Gerusalemie do bazyliki św. Jana, na przestrzeni pół kilometra, wiatr ja-kiś przedwieczny wymiółł ziemię płową i powie-trze dziwnie puste.

Podróżni skierowali się od bramy miejskiej na lewo, ku bazylice, na której ogromni święci stali w łunie pozachodniej; przejechali między kościołem a wielką budową Scala santa i mieli teraz po lewej stronie część Lateranu najpiękniej-szą z bocznym kolumnowym przedsionkiem ba-zyliki i chrzcielnicą Konstantyna Wielkiego. Zda-wało się, że szaro-żółte ogromy gmachu, zrobione niby ze zgęszczonego zmierzchu i bladej zorzy, roztopią się i znikną razem z dniem umierającym.

Sen rozbudzony, który jest zapomnieniem bie-żącego życia, a wzlotem do płynącej ponad dro-bnemi umieraniami wieczności, sen wszechbytowy ogarnął milczących dwoje ludzi, w drodze po-wrotnej do Rzymu.

Zegary wieżowe poczęły dzwonić uroczyście po siedm razy. Wielkie głosy poważne, i mniej-sze, jęklive, przeciągnęły harmonijnie, wysoko nad miastem, jak ciężki lot spiżowych ptaków.

— Biję wieczności godzina — rzekł cicho Fabiusz.

Wjechali wkrótce w ludne ulice, gdzie zgłęb-

pospólstwa, dzwonki tramwajów, alarmowe trąbki samochodów, otrząsnęły z dusz ich sny wielkie i porównały Rzym z każdą stolicą europejską.

Olescy mieli już zwyczaj jadać obiad we dwoje w restauracyi; próbowali kilku miejscowych kuchni, a że wszystkie były złe, przenosili się codziennie do innej. Tego dnia pani Anna oświadczyła, że chce jeść obiad w hotelu Kwirynału.

— Znam i Kwirynał — rzekł Fabiusz. — Płaci się tam drogo, i panuje styl, którego nie lubię: zbiera się w sali arystokracja żołądka, najniższa z istniejących po wszystkie czasy. Sama zobaczysz.

— Ale może dadzą dobre mięso i bez pomidorowego sosu. Raz spróbować nie szkodzi.

Fabiusz odwiózł więc panią Annę do hotelu Londyńskiego, gdzie mieszkała, a sam poszedł się przebrać do swego mieszkania w innym hotelu pobliskim. Do Kwirynału trzeba było się trochę przystroić, aby nie odróżniać się od innych gości.

Pani Anna wchodziła na schody sama, powoli, myśląc o różnych rzeczach rzymskich i dawniejszych. Rzym ją zajmował, kołysał, przenosił w piękne dziedziny myśli, nie zapełniał jednak całkowicie próżni, którą czuła w sercu od czasu wyjazdu z Nizzy. Fabiusz był jej światłem, wybornym towarzystwem i coraz bardziej, czuła to dobrze, stawał się jej własnością. I ona go ceniła coraz bardziej. Pragnęłaby tylko widzieć go cza-

sem mniej rozumnym, mniej doskonałym, może trochę młodszym. Powłóczyłby się z nim po jakich weselszych kątach, niż muzea, kościoły i opactwa Kartuzów! Czyni wprawdzie co może: wymyśla wieczorne rozrywki, chodzi z nią do teatru, ale... Ci ludzie nicejscy, chociaż marne figury, inaczej umieją się śmiać i bawić. A nawet Dubieński, poważniej usposobiony, umie wynaleźć weselszą nutę rozmowy.

— Tak. Tylko Dubieński zalecał się do mnie, o ile mu na to pozwoliłam. Teraz, Bóg wie? może i zapomniał?... Dlaczego Fabiusz nie mówi mi nigdy poprostu o swych uczuciach, o swych zamiarach względem mnie?... Może sobie nie ufa? Dawniej, gdy jeździł po Śląsku i widywaliśmy się rzadko, nie przychodziło mi to do głowy, ale teraz, kiedy od paru miesięcy widzimy się codziennie, to dziwna. Zgodziłam się nawet powoli na takie życie wspólne, które musi zwracać uwagę ludzi na nas... Ale mogę mu zaufać. Ostatecznie, jest wolny, jest dobry, jest mi oddany, i ma coś w sobie takiego, że można ze wzniesionem czołem z nim mówić i z nim się pokazywać. Jeżeli się wkrótce nie oświadczy, oświadczę mu się sama i wyjdę za niego. Trzeba go kochać.

Zaledwie weszła do swego pokoju i zapaliła elektryczność, posłyszala nerwowe pukanie do drzwi; nie zdołała odpowiedzieć, gdy we drzwiach ukazał się Jerzy Dubieński. Był we fraku, płaszcz i kapelusz trzymał w ręku, ale oczy miał szeroko

otwarte, jakby sam się przestraszył swego niespodziewanego wtargnięcia do pokoju. Ten strach udzielił się pani Annie. Cofnęła się i zawołała:

— Co pan tu?...

Jerzy pozostał skromnie przy drzwiach, które cicho za sobą zamknął. Skłonił się pokornie:

— Pani!... Przyjechałem wczoraj wieczorem i przez cały dzień szukam sposobności spotkania...

Łapał trudno oddech i był naprawdę blady.

— Dlaczegoż nagle? wieczorem?...

— Chciałem wcześniej, ale nie było pani w domu... Dowiedziałem się, że państwo pojechali... i wracać będą przez bramę świętojańską... Stałem pod Lateranem, widziałem panią przejeżdżającą...

— Cóż to za romantyzm! Trzeba było powóz zatrzymać.

— Nie śmiałem.

— A teraz pan śmie wchodzić do mego mieszkania?

Jerzy przetarł czoło ręką.

— Rzeczywiście... jestem trochę oszołomiony swoim nagłym wyjazdem, szukaniem pani...

— Niechże pan na chwilę usiądzie. Dzień dobry!... możemy sobie chyba powiedzieć: dzień dobry?

Śmiech zaigrał w jej głosie i wyciągnęła do Jerzego rękę. Przycisnął ją do ust z takim upragnieniem, że pani Oleska rękę cofnęła.

— Co panu jest? Zdarzyło się jakie nieszczęście?

— Nic wcale. Pogoniłem tylko za swym snem, za losem, za koniecznością. Poświęciłem wszystko.

Wzrok jego rozplomieniał się. Pani Anna powstała z krzesła, na którym tylko co przysiadła i rzekła:

— Jutro zapewne się spotkamy. Teraz muszę się przebrać na obiad. Fabiusz zaraz tu przyjdzie.

— Odchodzę. Chciałem tylko zapytać: czy nie ściągnąłem na siebie gniewu za to, że przyjechał?

— Gniewu mojego?! Może inni gniewali się na pana, że odjechał, ale dlaczegoż ja miałabym wpływać na pańskie zamiary? Mnie to jest... obojętne.

— To wyrok najgorszy.

— Nie wyrok, tylko mówię bez gorączki. Zresztą bardzo się cieszę, że pana widzę.

— Dziękuję choć za tę jałmużnę.

— Panie Dubieński, mówmy poprostu, jak dawniej, jeżeli pragnie pan pozostać ze mną w przyjaźni. W dawnych warunkach możemy się spotykać. Teraz śpieszę na obiad do hotelu Kwirynału.

— I ja tam idę. Kobryńscy, d'Anjorant i inni znajomi mieszkają tam już od trzech dni.

— To pan nie razem z nimi przyjechał?

— Ja wcale przyjechać nie miałem. Dopiero przedwczoraj... poprostu uciekłem.

— Jednem słowem: zmienił pan projekt. Do widzenia.

Ubierając się, poczuła pani Anna, że nagle Rzym zakwitł jakimś nicejskiem, grzesznym kwieciami. Czy towarzystwo tamtejsze, które tu zjechało, czy sam tylko Dubieński przeniósł z sobą tę atmosferę?... Nie poczuwając się jednak do żadnej winy, rada z siebie, że przyjęła Jerzego jak należało, stroiła się wesoło. Służąca, która jej pomagała, wyraziła głośno uwagę:

— Pani dzisiaj jeszcze piękniejsza niż zwykle. Prawdziwa wiosna!

Pani Anna uśmiechnęła się do lustra, do służącej i do siebie, a gdy Fabiusz zjawił się w sąsiednim saloniku, nuciła jakąś piosnkę.

— Czy wiesz, mój kochany, że połowa naszych znajomych z Nizy przyjechała do Rzymu? Dubieński tu był przed chwilą. Obiadują właśnie w Kwirynale.

Po twarzy Fabiusza przeszedł wyrazisty skurcz, jakby szybko przelknął coś gorzkiego. Ale zaraz głowę podniósł odważnie:

— Będziemy zatem mieli zaszczyt ich spotkać.

Po kwadransie Fabiusz wchodził pierwszy do sali restauracyjnej w hotelu Kwirynału, aby rozejrzeć się, czy jest miejsce. Była to sala dostępna tylko dla bogatych, gdzie jadano »à la carte«. Ujrzał zaraz przy jednym stole Kobryńskich, lady Cosway, Schwinda i Dubieńskiego. Fabiusz widocznie nie spodobał się kelnerom, gdyż żaden

z nich nie ruszył się na usługi nowego gościa. Owszem, surowa twarz marszałka wyrażała powątpiewanie, czy nowy gość ma potrzebny census, aby być tu przyjęty.

Ale teraz we drzwiach ukazała się pani Oleśka w czarnym kapeluszu na jasnych włosach, różowa, ujmująca, wspaniała i przemówiła cicho do Fabiusza. Natychmiast służba rzuciła się do przybywającej, wynalazła miejsce z pomocą paru mężczyzn, którzy skwapliwie się usunęli. Poszanowanie dla nowo przybyłych wzmogło się jeszcze, gdy panowie od najpokaźniejszego stołu: Kobryński, Schwind i Dubieński, powstali, a panie uprzejmie się ukloniły. Pani Anna, trochę zakłopotana przez zamieszanie, które sprawiła, znalazła się nareszcie przy osobnym stoliku ze swym kuzynem.

W sali, obitej fałszywymi arabskimi makatami, z pięćdziesiąt osób, rozmieszczonych w różnych kombinacjach przy małych stołach, rozmawiało cicho, lub nie mówiło. Żuli i przyglądali się sobie wzajemnie. Nikt nie pozwalał sobie na wesołość, ani na zapomnienie swej godności, wystawionej na szwank i na pokaz. Trzeba było w wielkich liniach okazać zgromadzonemu, a nawet służbie, że się jest nie byle kim, że się przywykło do wszelkich wysubtelnień życia i że się używa normalnie znacznych dochodów. A przecież, jedna pani miała lepsze klejnoty, druga gorsze; jednym mówiono: »Ekscelencyo«, innym tylko:

»panie«; jedni byli wysmukli, drudzy nizcy i krzywi. Względne niedostatki trzeba było nagrodzić innemi zaletami; z tego powodu między nieznanymi współbiesiadnikami zachodził stosunek cichej zawiści i grzecznej, lodowatej pogardy.

Chociaż więc ci ludzie wyglądali na ogół źle usposobieni do trawienia, wnoszono raz po raz do sali wielkie aparaty, których zawartość nie zawsze odpowiadała kosztownym futerałom; często w hermetycznym rondlu znajdował się małeńki kawałek mięsa zaprawnego historycznem nazwiskiem, to znów na suto mchem wypchanej, ozdobnej liśćmi podstawie, rumieniło się tylko kilkanaście truskawek. Zajeżdżał za to czasem srebrzysty wóz z ogromną jakąś potrawą, do której krajania, podlewania i podania przystępowało czterech urzędników, dwóch w bieli, dwóch w czerni, z kapłańskiem namaszczeniem.

Fabiusz milczał i przez to samo nie odróżniał się od innych: milczenie było główną częścią uroku tej sali.

Ale gdy już kawa, z ceremonią należną takiej kawie, zjawiała się na stole Oleskich, wszedł do sali Eustachy Słuszka i rozprężył trochę nieubłaganą etykietę. Kilka uśmiechów zabłysło na twarzach; znano go już tutaj i ceniono. Kilka słów przemówił przy stole Kobryńskich, potem z oznakami niekłamanej radości zbliżył się do Oleskich i przysiadł się do nich.

— Nie mogłem się dowiedzieć, gdzie pani

mieszka. Jest to wcale niestosowne z pani strony, że nie oznajmiła mi dotychczas o miejscu swego pobytu i nie powołała mnie do usług, które, poehlebiam sobie, mogłyby być pani użyteczne.

— Nie wiedziałam również, gdzie pan stanął i czy wogóle znajduje się w Rzymie.

— Oto są właśnie skutki niedokładnego między nami porozumienia i lekkomyślności niewiast. Ale zapomnijmy o tem... Gdzie państwo jadacie, że tu pierwszy raz się spotykamy?

— W café di Roma, w café Colonna, gdzie się zdarzy — odpowiedział Fabiusz.

Słuszka rzekł dramatycznie:

— Ależ tam trują ludzi!

— Tak; kuchnia licha, ale przynajmniej sale zabawniejsze; coś się czasem posłyszysz, coś zobaczysz: jakieś słowo ludzkie nieskrępowane, jakiś ruch miejscowy, typ malowniczy. A cóż tu?

— Tu jesteśmy skrepowani przez cywilizację.

Fabiusz, który dawno już polubił Słuskę i odgadł inny, lepszy grunt pod jego frazeologią, spojrział mu teraz w oczy z przyjazną ironią.

— Panie Eustachy! nazywajmy rzeczy po imieniu. Czy cywilizacją nazywa pan tę haniebną pstrokaczną ścian, to zdzierstwo po franku za truskawkę, które się kupuje po pięć centów od przekupniów na schodach Trinità dei Monti? albo wytworność tego pana, który siedzi obok nas, a jest handlarzem wołów z Wrocławia?

— Teen?... doprawdy? Skąd pan wie to wszystko?

— Wiem, bo patrzę, uczę się i sędzę bez uprzedzeń. Jeżeli cywilizacją są te dobrowolne nudy, albo nie — źle mówię — to wzajemne rozkładanie przed sobą pozorych swoich wyższości, ten konkurs przed komitetem kelnerów, ten obrząd potwornie źle zastosowany do skromności funkcji, którą tu spełniamy?...

Słuszka zaśmiał się głośno, i śmiech ten, jak powiew na pustyni, ożywił znojną atmosferę sali.

— Ha, ha, ha! Szkoda, że niema tu d'Anjor-rant'a! Zaraz przyjdzie — byliśmy razem na obiedzie — trzebaby mu to na francuski przetłómaczyć.

Fabiusz krótkim machnięciem ręki odpędził od siebie nazwisko margrabiego i prawił dalej:

— W każdym objawie życia ludzkiego, by najmarniejszym, są źdźbła cywilizacji. Więc tutaj naprzykład, jest czysto. To zdobycz nowszych czasów, nie pierwszorzędną, ale i nie poślednią. Ale tutaj jest brzydko, jest... mogę to powiedzieć, skoro właśnie biorę w tem udział, jest głupio. Na dobro cywilizacji zapisawszy czystość, mamy na jej szkodę do policzenia brak estetyki, fałszywą pozę, zdzierstwo. To nie zarobek, lecz strata. Jedna jeszcze z cech dzisiejszego barbarzyństwa, że nie zna ono proporcji między wartościami społecznymi. Wielu jest takich, którzy

nie rozróżniają ciężaru gatunkowego czystości fizycznej i uczciwości, wygody i estetyki.

Mówił już przydługo i żywo. Zwracano uwagę od sąsiednich stołów na tę niezrozumiałą perorę w obcym języku, a szczególnie komitet kelnerów, z marszałkiem na czele, zebrał się u drzwi służbowych, dla narady nad dziwnym gościem. Kiedy Kobryńscy powstali od stołu, Olescy również i wszyscy znajomi zszedłszy się, pociągnęli razem ku wyjściu, służba kłaniała się wychodzącym ze zwykłą ostentacją, lecz oczy tych znawców biegły głównie za niepozornym człowiekiem, któremu prawdziwi panowie okazywali jednak dużo względów.

— *C'e un' professore* — zawyrokował starszy kelner i z zadowoleniem pociągnął nosem.

XVI.

Towarzystwo przeniosło się pod oszklony dach wielkiej sieni hotelowej, gdzie grała orkiestra i wolno było palić tytuń. Znajomi skupili się, i tutaj dopiero wymieniono informacye, kto kiedy przyjechał, gdzie mieszka, co widział, jak długo zamierza pozostać w Rzymie.

Księżna Teresa, dumna z tego, że zdołała zaprowadzić brata do świętego grodu, wyrażała jednak pewne ubolewania. Okazało się bowiem, że listy polecające z Chojnogóry nie posiadają wartości: Ojciec Melchior ma podagrę i, chociaż przyjął krewnych z rozrzewnieniem, nie może im towarzyszyć w żadnych ciekawych oględzinach, gdyż nie opuszcza mieszkania. Dał tylko kilka rad i adresów. Jeszcze gorzej było z drugą światobliwą osobą, do której wyprawił swe dzieci pan Maciej Dubieński. Księżna Teresa mówiła ze łzą w głosie do pani Oleskiej:

— Udaliśmy się do monsignora Concomassa. Proszę sobie wyobrazić: staruszek siwy, trzęsący

się, niezmiernej dobroci. Cokolwiek mu się powie, odpowiada: »si, si, si — gia, gia, gia...« i kiwa suchutką rączką. Należy już zupełnie do innego świata!... Prawda, Władziu?

Księżę Kobryński był oswiały, blady, nabył też ostatnimi czasy nerwowego kurczu w twarzy, który mu odsłaniał na chwilę zęby; wyglądał wtedy jak wilk osaczony, grożący klami. Teraz obracał cygaro w ustach, nie biorąc udziału w rozmowie. Odezwał się jednak:

— Monsignor Concomassa ma rozmiękczenie mózgu.

— Władziu! nie można tego o nim powiedzieć. Pamiętasz, jak się pięknie wyraził o naszym kraju? »Jesteście ukochanymi synami naszej świętej Matki!...«

— A potem dodał tylko: »si, si, si — gia, gia, gia«.

— Trudno więcej od biednego staruszka wymagać.

— Trudno.

Z powodu więc, że nie dopisały rekomendacye, Kobryńscy nie zwiedzili jeszcze nic; tylko księżna była raz u świętego Piotra, a księżę od pierwszego wieczoru w klubie, do którego wprowadził go d'Anjorant, członek rzeczywisty.

Margrabia odwiedził też znajomych w Rzymie i dzisiaj był na obiedzie u książąt Colonna, na który wprowadził tylko Szuszkę z pomiędzy osób importowanych z Nizzy. Zatem kompania

była rozprzężona i poniekąd bez dowódecy. Bolało to księżną Teresę, szczególnie teraz, wobec przyjazdu Jerzego, nie wiedziała bowiem, jak się wziąć do misji nawrócenia brata; zaprowadziła go do Rzymu, to prawda, ale wobec odpadnięcia spodziewanej pomocy dwóch światobliwych męczów, nie umiała nakreślić planu pobożnej i artystycznej pielgrzymki. Spotkanie Fabiusza nasuwało jej myśl, którą uznała za opatrnościową: ten pewno jest wybornym przewodnikiem po Rzymie! Myśl tę rozważyła przy obiedzie, oświadczyła ją bratu, który zdawał się zupełnie podzielać jej zdanie, a nawet dziwił się trafności wynalazku. Natychmiast więc po obiedzie księżna okazała wiele serdeczności Oleskim, chcąc wyzyksać Fabiusza dla swoich wysokich celów.

Fabiusz nie lubił Kobryńskich, ale trudno było dawnym znajomym, spotkanym w tak dalekich stronach, okazać niechęć, zwłaszcza, że księżna udawała się niedwuznacznie pod opiekę, z giełstem wygnanej królowej, która prosi o gościnę w domku jednego ze swych dawnych poddanych: »Patrzcie, oto ja, z Dubieńskich Kobryńska, proszę...« Mówiła zaś trochę prościej:

— Na nieszczęście, dwaj mistrzowie, którzy mieli nam przewodniczyć, monsignor Concomassa i Ojciec Melchior, są słabi. Łowimy więc pana, panie Oleski. Mam nadzieję, że nam pan nie odmówi i znajdzie w nas pojętnych słuchaczy. Jerzy zapewnia, że pan zna Rzym doskonale.

— Znam go nieźle, ale nie wiem, czy mój komentarz przypadnie państwu do smaku.

— Potrafi go pan do nas zastosować.

— Mój komentarz nie jest bardzo podatny do zastosowań; mówię zawsze to, co wiem, lub to, w co wierzę.

Po wymianie kilku zdań podobnych, stanęło na tem, że Fabiusz pokaże towarzystwu Forum i Watykan.

W tej chwili margrabia d'Anjorrant powrócił z żoną do hotelu i przywitał się z Oleskimi. Rzekł do pani Anny:

— Nareszcie ukazała się pani! Myślałem, że państwo powędrowali gdzieś w głąb kraju. Nie widać was ani tutaj, ani w operze, gdzież więc się gnieździecie?

— Pierwszy raz jestem w Rzymie. Zaczęłam dopiero zwiedzać.

— Ach! pani ogląda podług Baedekera. Przypomina mi to rzewne chwile mego dzieciństwa: program na dwa tygodnie — dzień pierwszy: — informacye ogólne — piazza del Popolo — cztery kościoły — jeden pałac — przejażdżka do willi Medyceuszów — panorama z belwederu — 50 centymów na piwo. Po kilku dniach takiego życia marmury i farba olejna ciążą na żołądku, jakby się ich sporo połknęło, a nogi się ma podcięte, jak po... konnem polowaniu co najmniej. Ja dawno porzuciłem ten system zwiedzania miast. Staram się żyć wszędzie po swojemu. Potrącam

o ciekawe rzeczy, tem lepiej; otaczają mnie dzieła sztuki, to zwiększa moją przyjemność pobytu. Ale uczyć się już nie chcę.

— A ja się przyznam, że mnie to zajmuje. Chcę się zorientować w tych skarbach. Zmęczona byłam z początku; teraz mogę łatwo oglądać przez kilka godzin i porównywać. Dumna jestem, kiedy poznam bez objaśnienia epokę lub autora. Znam się już coraz lepiej.

— Któż to ma szczęście służyć pani za przewodnika? — zapytał d'Anjorant z niejakim lekceważeniem.

Pani Anna zadziwiła się i zarumieniła.

— Przecież mój kuzyn...

— Aa! — odrzekł margrabia, skłaniając nieco głowę.

Księżna Teresa wmieszała się do rozmowy:

— Pan Oleski jest wybornym znawcą Rzymu. Obiecał i nam udzielić swych wiadomości. Jest podobno niezrównany.

— Nie dziw, że kto jest Fabiuszem, musi być Rzymianinem.

— Wystarcza mi być Polakiem — odrzekł Fabiusz — aby znać i cenić łacińską kulturę. Francuzi mieli ją także niegdyś w poszanowaniu. Czy pan należy już do »nowej Francyi«, margrabio?

D'Anjorant skrzywił się nieznacznie, ale rzekł z pozorną grzecznością:

— Widzę z żalem, że pan gorzej zna Francję, niż Włochy.

— Zaczynamy, niestety, coraz bardziej o Francyi zapominać — odpowiedział Fabiusz obojętnie.

— Jest to dla nas nieodżałowana strata.

— A dla nas poprawa z historycznego błędu.

Słuszka, miarkując, że rozmowa idzie krzywo, podniósł obie ręce:

— Kochani panowie! Wiemy wszyscy, ile winniśmy Francyi, jak dużo z jej stylu, z jej elegancji, z jej pracy umysłowej skorzystaliśmy przez wieki. Jej to przewadze cywilizacyjnej zawdzięczamy, że możemy dzisiaj naprzykład w obcym mieście, w międzynarodowym towarzystwie, porozumieć się jednym językiem, który posiadamy jak nasz własny...

— Ależ panowie są dzisiaj niezdolni! — zawołała margrabina: — karmicie nas jakąś polemiką zamiast wieczornej muzyki. Czy już za późno do opery?

— Która godzina na naszej wieży? — rzekł wesoło d'Anjorant, zwracając się do Schwinda.

Schwind z powodu wysokiego wzrostu i dziwnej dokładności, którą stosował do swego nieporządnego życia, miał wszelkie prawo nazywać się »zegarową wieżą«. Dobył poważnie zegarek.

— Za dwie minuty pół do dziesiątej. Koniec drugiego aktu, Ciampi już śpiewał wielką arję.

Było za późno. Całe towarzystwo wyraziło ubolewanie, gdyż całe było nawskróś muzykalne.

Gdyby nawet kto nie był, nie śmiał się do tego przyznać. Można było jednak stwierdzić, że ta sama opera działała zupełnie inaczej na każdego. Panią d'Anjorant, bardziej nerwową od siostry, muzyka rozmarzała; lady Cosway zachowywała się grzecznie i normalnie; d'Anjorant rozmawiał prawie przez cały czas przedstawienia, zwracając uwagę tylko na najgłośniejsze ary. Kobryński często tracił monokl z oka i bronił się od snu. Schwind stawał się nerwowo niespokojnym, a Słuszka ponurym, jak pod wpływem alkoholu. Zaś księżna Teresa na operze podlegała dziwnemu przeistoczeniu: zachwyty jej stawał się mistycznym, a nozdrza falowały jakby od przypływu jakiegoś niewidzialnego fluidu, który prosto od szczytów artyzmu trafiał do wybranki. Niektórzy wierzyli w nadzwyczajną jej wrażliwość i uzdolnienie, inni byli zdania, że pojmuje muzykę zbyt alegorycznie. Gdy powstawała dyskusja, księżna wyrażała się tak podniosłe, że zwykle słuchacze milkli. Lubiła zaś mówić o »tonach szlachetnych«, o »realistycznym lub symbolicznym kierunku« muzyki, o muzyce »wielkiej i małej«, słowem o rzeczach, na które wszyscy się godzą, bo nikt ich zrozumieć nie może. Dzisiaj zapragnęła tymi frazesami olśnić Fabiusza. Ale odpowiedział jej niezadowolająco:

— Proszę pani, ja o muzyce nie mówię, bo to się na nic nie zda. O funkeyach i wzruszeniach, nie mających umysłowej treści, o indywi-

dualnych przyjemnościach fizycznych, o poczuciach dźwięku, smaku i zapachu, nie znaczącego powiedzieć się nie da; można powiedzieć tylko: lubię, albo: nie lubię. O dźwiękach bowiem, tak jak o gustach i o kolorach, niema dyskusji.

— Ale o muzyce, jako o sztuce, dlaczegożby nie dyskutować? Pan może nie zna się na muzyce?

— Przynajmniej tyle, co inni. Ale muzyka jest tylko fragmentem sztuki, odłączonym od pierwotnego przeznaczenia, od poezji i od tańca, a rozdętym za naszych czasów do rozmiarów kolosalnej popularnej przyjemności, która ze sztuką bardzo niewiele ma wspólnego.

— Co pan opowiada?!

— Daję wynik długiego i sumiennego namysłu.

Na kilku mniej lub więcej oburzonych wykrzyknicach przerwała się ta rozmowa. Wkrótce państwo Olescy pożegnali towarzystwo i opuścili hotel Kwirynału. Szczególnie Fabiusz złe wywarł wrażenie na pozostałych w sali. D'Anjorant oświadczył:

— Rzeczywiście, ten wasz Rzymianin jest sztywny. Może to naprawdę jaki zgalwanizowany posąg z rodziny starożytnych Fabiuszów? Rodzina miała podobno niegdyś powodzenie. Dzisiaj taka toga pośród naszych fraków wygląda trochę nie na miejscu. Tych posągów wolę nie spotykać w salonach.

— To jest jednak człowiek, z którym warto gadać — rzekł Słuszka.

— Może na powietrzu?

— Gdziekolwiek, ale kiedy się chce myśleć.

— Powiedz raczej: kiedy się jest młody. Ja mam swoje przyzwyczajenia w myśleniu i w sposobie życia, przyzwyczajenia dostatecznie już sformułowane.

Wypadkiem, Jerzy Dubieński nie podzielał też dzisiaj zdania margrabiego; nieśmiało bronił Fabiusza, ale umilkł, gdy d'Anjorant zwrócił rozmowę w sposób niespodziewany:

— Ten pan mało mnie obchodzi. Żał mi tylko pani Oleskiej, bardzo miłej kobiety, że zostaje pod wpływem swego zagadkowego kuzyna. Nieprawdaż, panie Dubieński?

Księżna Teresa znalazła się znowu w trudnem położeniu. Niedawno powołała Fabiusza do udziału w swojej siostrzanej misyi; teraz ten wspólnik okazuje się niesympatycznym, nie dość dobrze wychowanym dziwakiem.

Wieczór dzisiejszy nie udawał się. Po paru sennych propozycjach na jutro, Schwind powstał i dość arbitralnie odezwał się:

— Panie są zmęczone i udadzą się zapewne na spoczynek, a my pójdziemy do klubu.

Kobryński się obudził i począł ruszać najeżonymi wąsami, d'Anjorant zaś wstał, wyciągnął rękę do Westfalczyka i rzekł stanowczo:

— Schwind, jesteś odważny; nie zapierasz się swych przekonań.

Obie Amerykanki uznały postanowienie mężczyzn za normalne i zabrały się do odwrotu. Tylko księżna Kobryńska, mniej przekonana o potrzebie klubów, próbowała walczyć i zatrzymać mężczyzn przy sobie. Nie było jednak rady: Władzio już przyniósł płaszcz i kapelusz; inni też z męską stanowczością wybierali się do klubu. W hotelu pozostał tylko Jerzy, którego zaciągnięto do gry w ping-pong, rodzaj małego tenisa na bilardzie. Amerykanki grały w to oczywiście doskonale, Jerzy wprawił się szybko, a Terenia i z niezgrabności jeszcze wdzięk potrafiła wydobyć. Że pusto było w tym pokoju, wszyscy się rozhulali i spędzili dobrze resztę wieczoru na wytwornym sporcie. Rozeszli się około północy, powtarzając, że Rzym to wesołe miasto.

XVII.

Parę dni potem umówiono się na obejrzenie Watykanu. Ale na schadzkę w hotelu Londyńskim stawili się tylko oprócz Fabiusza Dubieński i Słuska. Po wczorajszym cudownym śpiewie Ciampiego w operze, panie były zmęczone i leniwsze niż zwykle, zaś d'Anjorant'a i Kobryńskiego nie spodziewano się wcale. Fabiusz, zadowolony ze zmniejszenia liczby słuchaczy, wsiadł do powozu z panią Anną, a dwaj mężczyźni do drugiego. Jechali długo, gdyż konie rzymskich fiaków są chyba najgorsze w Europie, ale przyjemnie, bo wiosna rzymska jest upajająca i rzeźwa, taka jak dawniej, gdy w niej budzili się wielcy ludzie Odrodzenia.

Pani Anna, która wczoraj była także na operze, przetarła rękawiczką sine pod oczyma obwódki i odezwała się do patrzącego na nią Fabiusza:

— Takam zmęczona dzisiaj, jak rzadko. Całą noc śniły mi się melodye, melodye bez końca.

— Nie trzeba, kochana pani, nadużywać zmysłowych przyjemności.

Pani Oleska wykonała pół obrotu na siedzeniu i spojrzała ze zdumieniem na towarzysza:

— Co to znaczy?...

— Mówię o muzyce.

— Znowu o niej?!... A dobrze, wytłómacz mi nareszcie gruntownie, co cierpisz do muzyki. Muzyka jest dla mnie największą, najmiłą sztuką.

— Najmiłą, na to się zgadzam. Wiem, że żadna inna sztuka nie zdoła dać na razie tyle rozkoszy.

— Jeżeli tak, to przyznajesz, że jest i największą, bo o cóż chodzi w sztuce, jeżeli nie o wrażenie?

— O wrażenie pewnego gatunku. Wstrząśnienie nerwów, choćby najrozkoszniejsze, nie jest jeszcze wrażeniem artystycznym. Ale ta dyskusja zaprowadziłaby nas daleko, bo najprzód porozumieć się trzeba, czym jest sztuka.

— Sztuka?... tak naprędce?... wogóle sztuka jest pięknem, wymyślonem przez ludzi.

— Wybornie. Skoro myśleć zaczniemy, pójdziemy razem, a mówiąc o sztuce, tworząc sztukę, odczuwając ją, niepodobna nie myśleć. Określenie twoje takbym dopełnił: sztuka jest zdolnością ludzką wydobywania piękna z życia i utrwalania go w osobnej, równoległej do życia, formie. Do tego potrzeba talentu i potężnego, wyrobionego umysłu.

— Przypuśćmy, że rozumiem. Ale cóż to określenie ubliża muzyce? Dlaczego muzyka jest niby niższą?

— Dlatego, że nie znaczy nic, nie da się określić jasną myślą ludzką, która stworzyła całą sztukę i tryska z niej w formie oddzielnej, wyszlachetnionej. Wielka sztuka tworzy życie i przeżywa znaczeniem życia, muzyka zaś tylko układa dźwięki i, wstrząsając nerwy, budzi zmysłowe nastroje. Z tych nastrojów dopiero może się urodzić coś umysłowo znaczącego, ale zarówno zbrodnia, jak bohaterstwo, zarówno szaleństwo, jak namysł i dzieło namysłu. Gdy nawet z zaczynu sonaty urodzi się wielkie dzieło sztuki, naprzykład poezyi, to proces ten odbędzie się w duszy poety-słuchacza, nie kompozytora sonaty. Czy to leżało w muzyce? Nie. W muzyce nic nie leży prócz kombinacji dźwięków, a jeżeli wyraża ona coś myślowo określonego, to tylko najogólniejsze pojęcia, jak smutek, ochotę, gniew, prośbę. Kto się smuci, do czego ma ochotę, za co się gniewa, o co prosi, tego już wyrazić przez muzykę niepodobna, a cóż dopiero odtworzyć przez nią obraz życia i nad jego znaczeniem zastanowić słuchacza!

— Ach, mój drogi, całe światy widzi się przez muzykę, światy nieopisane, nienamalowane, niewyrzeźbione!

— Te same światy zobaczysz w sobie pod wpływem śpiewu słowika w noc księżycową, podczas gdy siano pachnie w łąkach.

— Ale zawsze będzie śpiew słowika.

— To głos przyrody, to nie sztuka.

— Więc dobrze. Niech sobie muzyka działa tak, jak piękna przyroda. Mnie właśnie najbardziej wzrusza piękna przyroda i muzyka.

— Dlatego jesteś dzieckiem swojej epoki sybarytycznej.

— Nie wstydzę się tego.

— A powinabyś. Ja nie powstaję przeciwko urokowi przyrody, albo muzyki, odczuwam je w wysokim stopniu. Ale są to poczucia pierwotne, zmysłowe, na których poprzestają tylko ludy nawpół barbarzyńskie. Nas, synów tak starej cywilizacji, stać na wyższe wzloty ku pięknemu. Do tych potrzeba nateżonej myśli, potrzeba twórczej potęgi i kultury. Powrót zaś do barbarzyństwa w narodach cywilizowanych jest objawem choroby. Mówićby można długo...

— Mówmy, mówmy jeszcze. Wcale mnie nie przekonałeś. Zawołam sekundantów.

Przejechali Tyber przez most św. Anioła i wkrótce wysiedli przed dwuramienną kolumnadą świętego Piotra na Watykanie, wołającą ich w swymach ogromne, pełne kapłańskiego dostojeństwa, królewskiego przepychu i artystycznych skarbów.

— Chodźcie tu, chodźcie! — wołała pani Oleśka na młodych mężczyzn. — Fabiusz tak potępia naszą cywilizację, że płonę ze wstydu za siebie i za nią. Panie Słuska! panie Dubieński! na pomoc!

— Ha! — zaśmiał się Słuszką — pan chodzi po Rzymie, jak święty Jan Chrzciciel: werbuje prozelitów, prostuje ścieżki Pańskie...

— Bodajby tak było! bodajby przyszło nowe Odrodzenie, bo żyjemy w niezdrowych ciemnościach! Ale przyjść musi.

— O co państwu chodziło, jeżeli zapytać wolno? — rzekł Jerzy.

— O muzykę! Fabiusz twierdzi, że muzyka jest zmysłowa, pierwotna, nawpół barbarzyńska, że jej rozwój dzisiejszy jest bardzo smutnym objawem... różne takie rzeczy.

Dubieński miał najlepsze wspomnienia z wczorajszej opery, do której zdołał zaprosić panią Annę za pośrednictwem swej siostry. Postanowił żarliwie bronić muzyki, którą i znał i lubił, tem bardziej, że wrażliwość pani Oleskiej podczas przedstawienia wydała mu się podniesioną i skierowaną na jego korzyść. Odezwał się do Fabiusza:

— Zauważyłem, że pan nie odwiedza opery.

— W Rzymie, panie! gdzie nawet dla mnie, który go znam dobrze, jest tyle jeszcze do obejrzenia skarbów mi nieznanych, gdzie wieczorami trzeba przecie coś przeczytać, jak tu znaleźć czas na operę? Mnie wielka sztuka pochłania.

— To pan muzykę uważa za małą sztukę?

— Przedewszystkiem za sztukę pomocniczą. Była nią zawsze i w tej roli ma doniosłość artystyczną i społeczną. Uprawiana od stu lat, jako sztuka samoistna, stała się groźną nie tylko dla

rozwoju innych sztuk, ale i dla naszych pojęć estetycznych, które doprawdy przedstawiają pomieszanie istic babilońskie.

— Ta teoria jest dla nas, muzykalnych, bardzo bolesna — odpowiedział Dubieński z grzeczną ironią.

— Pana mało ona dotyczy, wkłada pan bowiem w muzykę część tylko swych zdolności i czasu. Jest pan poetą, to najwyższe powołanie w sztuce. Miałem też sposobność przekonać się o pana wielostronnem wykształceniu. Gdyby ogół, tak jak pan, sumę zapalów, jaką ma do wydania, rozkładał równomiernie na różne gatunki twórczości i wrażeń artystycznych, nie miałbym nic przeciwko muzyce. Ale muzyka pochłonęła całą niemal naszą wrażliwość artystyczną, podczas gdy powinna zajmować podrzędne miejsce. Tak było w epokach wielkiego rozkwitu sztuki. Tak było na przykład w Atenach za Peryklesa.

— W Atenach?... Przecie Grecy mieli muzykę w wysokim poszanowaniu. Tej ich muzyki znamy wprawdzie tylko drobne okruchy, niedawno odkryte. Ale cała historia sztuki greckiej świadczy o wielkiej roli muzyki w ich życiu duchowem. A czemuż jest bajka o Orfeuszu? A dlaczegoż połowa muz greckich jest muzykalnych?

— Pozwoli pan sobie powiedzieć, że taka ocena mitologii greckiej jest powierzchowna. Ta mitologia jest najmądrzejszą ze znanych mi teorii estetycznych.

— Ale dokąd my idziemy? — zapytał Słuska.

Stali bowiem wszyscy około lewej fontanny, na środku placu, a rozmowa zanosila się jeszcze na długo. Odezwała się pani Oleska:

— Wiecie co? siądźmy sobie w cieniu, pod portykiem, i rozmawiajmy.

— Tak na schodach? jak te fiakry? — zaskrzyknął się Słuska.

— Tak samo. Dlaczego by nie? To będzie zabawne.

Fabiusz spojrział z rozrzuwieniem na młodą kobietę:

— Pani Anna nie jest tylko muzykalna; ma w sobie zatajoną renesansową duszę. Ten pomysł mi ją objawił. Bo portyki te, w które Bernini włożył największe swe natchnienie artystyczne, a kilku papieży miliony skudów, zbudowane są dla ochrony od deszczu i słońca gości świętego Piotra, rozprawiających na placu. Powinniśmy tam wejść i usiąść na stopniach.

Wszyscy zgodzili się chętnie. Pani Oleska usiadła na wyższym stopniu, u nóg jej dwaj młodsi, Fabiusz nieco z boku. Dziwili się kolumnom, że takie wyniosłe, gdy się jest pod niemi, i uśmiechali się do siebie. A Fabiusz swobodnie, jakby tam zwykł siadać oddawna, zaczął mówić. Zbliżyło się kilku mężczyzn z ludu, przywykłych do popularnych wykładów pod gołem niebem, lecz, posłyszawszy obcą mowę, odeszło.

— Możemy pomówić o muzach; to nie będzie

od rzeczy. Choć u Homera jest ich już dziewięć, są poszlaki, że jeszcze dawniej było ich trzy i wtedy, jak Gracye, przedstawiały przedewszystkiem wdzięk i piękno przyrody. To jest pierwszy stopień zapatrywania się społeczeństwa na piękno. Pani Anno! piję do ciebie.

— Tymczasem się poddaję, aby nie przerywać.

— Ale mówmy o muzach w epoce klasycznej, między V-ym a I-ym wiekiem, gdy te powabne, z pierwotnych trzech grup po trzy bez wyraźnych patronatów, stają się dobrami naszymi znajomymi i rozdzielają między sobą przedstawicielstwo stosunków myśli do piękna życiowego. Pochodzą od matki Mnemozyny, czyli pamięci, zatem od myśli lub namysłu. Dwie najstarsze piastują naukę, bo i ta jest stosunkiem myśli ludzkiej do życia, a poniekąd i do piękna. Urania — bierze astronomię, a przez to samo nauki przyrodnicze i ich zastosowania; Klio — historję, to jest dzieje przeszłe i politykę, to jest dzieje bieżące.

— Przepraszam — rzekł Dubieński — ale czy pan nie trochę dowolnie dodaje zajęcia starym muzom?

— Wcale nie, rozwijam myśl grecką. Nie twierdzę, że za Peryklesa Urania była też muzą elektrotechniki, albo Klio — patronką dziennikarstwa, ale gdybyśmy jeszcze dzisiaj, jak należy, czcili muzy, obie te nauki nowe należałyby do ich wydziałów. Dalej — sześć sióstr przedstawia

rozmałte odmiany poezyi: Kaliope, Erato, Talia Melpomena, Polihymnia i Euterpe. Wreszcie jedna, Terpsychora, jest patronką sztuki zmysłowej, choregicznego tańca, nie tego bezmyślnego tańca naszych czasów, lecz pięknie ułożonych pochodów, rzeźbionych układów ciała, zatem i sztuki plastycznej, do której dostarcza żywych wzorów.

— Widocznie znasz lepiej muzy, niż ja — odezwała się pani Oleska — ale uczyłam się przecie, że Polihymnia była muzą muzyki.

— Chóralnego śpiewu, ale ten był poezją, tak, jak śpiew liryczny, uosobiony przez Erato, był też poezją, jak epicka Kaliope była również muzykalna. Wszystkie muzy, oprócz Uranii i Klio, są muzykalne i noszą atrybuty muzyczne, ale to właśnie dowodzi, że osobnej patronki muzyki nie było. Cóż znaczy zresztą samo słowo: muzyka? Jest to przymiotnik od greckiego »Muse«. W tłumaczeniu brzmiałoby: należna do muz, stosująca się do sztuki funkcyja lub ozdoba. Muzyka była też nie czem innym wówczas, tylko deklamacją śpiewną, sposobem podniesienia rytmu i uroku poezyi, albo miarowym pobrzękiem choregicznego tańca.

— Można by to wytłómaczyć inaczej — odezwał się Dubieński. — Muzykalność wszystkich niemal muz w tej odległej epoce, narzędzia muzyczne spotykane w ich ręku, świadczyłyby o pochodzeniu ich wszystkich od muzyki w epoce jeszcze odleglejszej. A wtedy sztuka ta, której

znaczenie chce pan obniżyć, byłaby matką wszystkich innych sztuk pięknych.

— O to spierać się nie będę, czy na początku było wrażenie dźwięku, czy słowa, czy kształtu, czy barwy, bo tak postawiłby wypadło dyskusję. Zabłąkalibyśmy się w hipotezach. Mówimy o roli muzyki w okresie historycznym, o jej wartości w historii naszej cywilizacji. Dopóki była sztuką pomocniczą i podrzędną, położyła znaczne zasługi: weszła np. w budowę wiersza i jest nieodłączna od wiązanej, a raczej rozśpiewanej mowy — to już niemały tytuł do poszanowania. Ale obecnie stała się sztuką samoistną i ulubienicą publiczności. W tej fazie obniża poziom pojęć estetycznych.

— Dlaczego? Rozszerza owszem skalę tych pojęć. Dlaczego? — zawołali wszyscy słuchacze.

— Dlatego, że wrażenie estetyczne jest połączeniem poczuć zmysłowych z odkryciami w dziedzinie intelektu. Muzyka zaś daje same tylko poczuć zmysłowe, działa jedynie na nerwy.

— Nie wiem, czem się różnią poczuć zmysłowe od umysłowych — rzekł Dubieński. — Wszelakiego rodzaju wstrząśnienia otrzymuje człowiek przez zmysły i nerwy.

— Musi pan jednak przyznać, że poczuć wyrozumowane, jak np. miłość ojczyzny, różnią się diametralnie od poczuć przyrodzonych, jak np. wrażenie zapachu. Miłość ojczyzny nazywam uczuciem, a wrażenie zapachu pocuciem, i sta-

wiam te oba wrażenia na przeciwnych biegunach, choćby miały być połączone nieprzerwanym, stopniowo modyfikującym się łańcuchem. Muzyka daje nam same poczucia zmysłowe, których mieszać nie należy z uczuciami, mogącemi przez zaczyn muzyczny w danym osobniku wyniknąć. Do odczuwania, nawet do tworzenia muzyki nie potrzeba wielkiej duszy.

Wszyscy słuchacze zaprzeczyli, z niejakim nawet oburzeniem. Zarzucono Oleskiego nazwiskami wielu kompozytorów, a przede wszystkim Wagnera.

— Proszę odłączyć Wagnera-kompozytora od Wagnera-poety, miernego zresztą poety. Jego libreta mogłyby być jeszcze lepsze i oryginalniejsze, ale zwiększyłyby wówczas tylko jego zasługę literacką, nie muzyczną. Ja zaś mówię dzisiaj o twórczości i wrażliwości czysto muzycznej i twierdzę, że bardzo małe dusze są zdolne do produkowania dobrej muzyki. Przypominam wam np. cudowne dzieci, które tylko w zakresie muzyki są pełnymi artystami, w zakresie zaś innych sztuk dopiero obiecują, bo żeby dojść do pełni rozwoju talentu, potrzebują uniwersalnej kultury.

— Przyznam się — rzekł Dubieński — że nie trafia mi do przekonania podział dusz na wielkie i małe. Z pewnego punktu widzenia największemi można nazwać te właśnie, które tworzą muzykę.

— Nazwać można — odparł Fabiusz — ale

będzie to wbrew wszystkim naszym pojęciom o szlachetności duszy ludzkiej. Muzykalne są nawet zwierzęta i nie tylko wrażliwe na muzykę; ujawniają owszem pewną dążność do kompozycji. Na inne sztuki piękne: malarstwo, rzeźbę, architekturę, nie mówiąc już o poezji, zwierzęta nieczułe są zupełnie.

— A ptaki, które przyleciały dziobać winogrona Apellesa? — podchwyciła pani Oleska.

— Uległy optycznemu złudzeniu. Ale nigdy nie widziano wróbli, wzruszonych z podziwu przed obrazem. Żadnych też śladów twórczości artystycznej, oprócz muzycznej, nie odnajdujemy u zwierząt. Kunsztowne budowanie mieszkań przez pszczoły albo termity nie wykracza niczem poza rzemiosło: nie objawia dążności do symetrii ogólnej, ani do ozdoby symbolicznej, nie wchodzi więc wcale w dziedzinę architektury, jako sztuki.

— Rozumuje pan ściśle, ale nieco arbitralnie — rzekł Dubieński. — Niech sobie muzyka będzie sztuką pomocniczą, zmysłową, odczuwaną przez zwierzęta, ale my, ludzie, doprowadziliśmy ją do takiej doskonałości, że możemy przez nią wyrazić, jeżeli nie myśli określone, to najsubtelniejsze stany duszy.

— Stany nerwów — poprawił Fabiusz.

— Stany... czegoś, co jednak jest w nas, a inaczej w sztuce wyrazić się nie da, tylko przez muzykę. Muzyka jest naprzykład najwymowniejszą ze sztuk pięknych, gdy chodzi o wyrażenie

miłości. Jak się miłość wyraża przez rzeźbę, albo przez architekturę? Proszę mi powiedzieć.

— Prawda. Trudno, żeby portyk powiedział: Kocham! — wtrąciła pani Oleska z dzwicznym wybuchem śmiechu.

— Chyba przez echo — odrzekł Dubieński i zajrzał jej prosto w oczy.

Fabiusz zerwał się ze swego miejsca, rozkrzyżował szeroko ramiona, jakby na podobieństwo tych ramion Piotrowych, w których cieniu siedzieli, i zawołał:

— Jakto? portyk nie może powiedzieć: Kocham?! A cóż mówią te portyki?!

Wyglądał gniewny i natchniony. Inni spojrzeli na niego ze zdziwieniem, ale on sam poczuł niewczesną nagłość swego zapалу i rzekł spokojnie, trochę gorzko:

— Inną wprawdzie miłość wyrażają one, niż wasza muzyka, miłosna pośredniczka niższego gatunku. Nazwałbym ją...

— Niech pan nie nazywa, rozumiemy — zawołał Słuska.

Fabiusz sposepniał na chwilę, ale zaraz głowę podniósł i rzekł:

— Ażeby się tylko porozumieć, trzebaby długich jeszcze wywodów teorii. Dość ich na teraz, nie prawdaż? Potrzeba nam wrażeń. A żeśmy się już dzisiaj poświęcili wrażeniom artystycznym, proszę za mną.

Przeprowadził swych uczniów na drugą stronę placu i wszedł z nimi pod przeciwległy portyk. Szli długo po »królewskich schodach«, aż zatrzymali się u filaru z napisem: »Do kaplicy Sykstyńskiej«. Fabiusz przeszedł prędko przez »cappella Paolina« i »Sala reggia«, nie chcąc dawać towarzystwu żadnych wrażeń przed jednym, do którego ich prowadził.

Stanęli we środku kaplicy Sykstyńskiej, dość pustej tego dnia i dość jasnej.

— Panowie ją znacie?

Mężczyźni odpowiedzieli, że znają, ale pani Anna była tu po raz pierwszy i zawołała:

— Jak tu pięknie!

— Proszę nie zanadto rozglądać się. Całości dzisiaj nie obejmujemy. Ale wpatrzmy się w sufit przez Michała-Anioła. Co cię w nim na razie uderza?

— Nie wiem, gdzie się kończy architektura, a gdzie zaczyna się malowanie.

— Niema architektury. Wszystkie gzymsy, kapitele, cokóły, na których siedzą i klęczą te bliższe niby nam postacie, są malowane na gładkiem sklepieniu, tak zwanem zwierciadlanem. To pierwszy tryumf mistrza w twoim wrażeniu. Ale to dopiero nadzwyczajna biegłość techniczna i znajomość perspektywy plafonowej. To potrafiłada Tiepolo. Wchodzimy zaledwie w podwoje największego na świecie dzieła sztuki plastycznej...

Cóż dalej powiesz? ale szczerze, bez komplementów dla Michała-Anioła?

— Właśnie myślałam, że to wszystko blade, popękane, zapewne bardzo popsute...

— Słusznie. Najprzód Michał-Anioł nie był kolorystą, inaczej byłby chyba został półbogiem, powtórę barwy zanikły prawie na suficie. Mamy więc do czynienia tylko z rysunkiem i kompozycją. Ale to nam wystarczy. Ta więc architektura wypiętrzona w powietrzu, podtrzymywana przez karyatydy brązowe, po której gzymsach rozsiadły się te straszne, zmysłowe, zbrodnicze postacie niewolników czy potępieńców, otwiera się dziewięciu niby oknami na błękit nieba, w którym dzieje się historia świata aż do potopu, owa historia święta, symboliczna, pełna mądrości i piękna. Sztuka plastyczna nigdy wyżej się nie wzniosła w odtworzeniu i pojęciu tych scen, które tylko dzieciom wydają się dziecinnymi.

Fabiusz przeprowadził swych towarzyszków wzdłuż sali, pokazując kolejno dziewięć obrazów sufitowych, potem sześciu Proroków i sześć Sybilli na wklęsłych fasetach sklepienia, rozmyślających nad dziejami świata i ich odrodzeniem przez Chrystusa. Zwrócił uwagę i na sceny w narożnych trójkątach sklepienia, gdzie mistrz przedstawił przodków Zbawiciela.

— Poznaliście więc państwo myśl jasną, przewodnią myśl Chrześcijaństwa. Historia świata w najwyższych jej momentach, oczekiwanie Zba-

wiciela, którego przepowiedzieli Prorocy, przewidywały nawet Sybille. Czy ta myśl, poznana przez was, nie nabiera osobnego wdzięku i majestatu przez to wspaniałe wcielenie plastyczne?

Słuchacze potakiwali poważnie głowami.

— Powróćmy do pierwszych obrazów, aby zobaczyć inne bogactwa duszy mistrza. Patrzcie, jak osobiście i niezależnie pojął świętą legendę stworzenia świata. Obrazy nie odpowiadają nawet sześciu dniom biblijnym, chociaż nie naruszają w niczem tradycyjnego tekstu. Co ten człowiek musiał czuć i umieć, aby namalować choćby te pięć obrazów stworzenia! Jakie studia anatomii, rzeźby starożytnej przejść musiał, aby dojść do tych lotów porywających ciężkie postacie, do tych skrótów tak łudzących, że ciała obracają się w oczach widza, przechodzącego z miejsca na miejsce! Jak umiał połączyć Jowiszową grozę z gienialnym namysłem i potęgą twórczą w twarzy Boga-Stworzyciela! Korzystał ze wszystkich tradycji nauki i sztuki, a wetchnął w nie nowego ducha, wcielił je w dzieło swoje i niebywałe.

— Co za wiatr tam wieje ponad architekturą sufitu! — odezwała się pani Oleska.

— Przedwieczny wiatr, wir, chaos, szamocze szaty na Stworzycielu, który tam pływa mocą własną w przestrzeni, samotny najprzód, dzieląc wielkim ruchem obu ramion światłość od ciemności, potem oparty na mocach przez się stworzo-

nych, rzuca wszechmocnym nakazem ciała niebieskie w ich orbity, dalej dłonią miększą, opuszczoną, rozsiewa rośliny po ziemi, to znowu błogosławiąc oburącz, unosi się nad wodami... Patrzcie, jak wichry, sprawiony przez potężne obroty Stwórcy, uśmierza się stopniowo w każdym kolejnym obrazie, w miarę jak składa się dzieło. Tu jeszcze targa włosy i szaty i nieopisaną grozą przejmując skulone postacie, siedzące u ram okiennych, ponad którymi dzieją się sprawy twórcze; tu już wieje równiej, spokojniej, i postać Boga, otoczona siedmiu mocami, płynie, niby życiodajna chmura, ku dziełu największemu, ku stworzeniu człowieka.

— To najpiękniejsze! — zawołała pani Oleska.

— Tak. Tutaj mistrz wysilił swą wielką duszę na podobieństwo przedwiecznego Stwórcy. Zauważcie, że pominął realistyczną przenośnię biblijną o ulepieniu człowieka z gliny i ożywieniu go technieniem Bożem. W innej seryi wrażeń, w innym stylu kompozycji przenośnia ta byłaby równie piękna; tutaj zmyliłaby kierunek naszej wyobraźni. Michał-Anioł obiera inną formę, znaczącą myślowo to samo, i jedną chwilę, jak przystało malarzowi, najbardziej stanowczą, najpełniejszą plastycznego znaczenia, chwilę ostatnią powołania człowieka do życia. Na szczycie góry, wysoko podchodzącej pod horyzont, leży Adam, wpół powstając ze snu przedbytowego; jego wspaniałe kształty, idealnie do życia gotowe, zmaga jeszcze sen; tylko rękę, opartą na zgię-

tem kolanie, wyciąga wpół-omdloną i oczy tęskne, modlące się, kieruje ku zjawisku. Bo oto Bóg-Stwórca, zebrawszy w płaszcz tęczowo rozświetlony swe moce, spływa z góry ku niemu. Widać, jak ta grupa zwrotną zawieruchą przechodzi od rozpędu do zwolnionego lotu i zbliża się, zbliża ku ziemi?...

— Widać. Nie może być omyłki.

— Ten sam Bóg-Stwórca, który tam rozdzielał giestem ciemności i miotał w przestrzeń swe piorunowe rozkazy i ważył się nad wodami w swym potężnym namyśle. Ale tu, jaki uspokojony tworzeniem, które uznał za dobre! jak opiera się łaskawie na otaczających go tworach własnych! jaką niezmierną dobrocią technie ta głowa, nachylona ku dziełu ostatniemu, ku człowiekowi!... Bóg-Ojciec!... Patrzcie, teraz — jest to chwila cudu: Ojciec wyciągnął prawicę, stanowczo tworzącą prawicę ku mdłej ręce syna, powstającego z ziemi. Młode moce zagarnięte płaszczem Stworzyciela, zwracają głowy w stronę człowieka, szepeczą, że coś wielkiego się dzieje... Smukła anielica, na której spoczywa lewe ramię Stwórcy, spogląda na Adama płomiennymi czyma, olśnioną... może pierwowzór kobiety, może arcywzory przyszłych pokoleń?... I palec wskazujący Boga, energiczny, już, już dotyka senniejszej ręki człowieka... Stało się! duch Boży wstępuje w Adama, między Stwórcą a stworzeniem błysła iskra życia! Czyście ją widzieli?

— Widzimy — odpowiedziały chórem trzy głosy.

Fabiusz przetarł czoło, zmarszczył i rozmarszczył kilka razy brwi wyraziste, jakby chciał odegnać zbyteczny nawal myśli. Potem zapytał:

— Chyba dosyć na dzisiaj?

Pani Oleska i dwaj mężczyźni ścisnęli mu rękę, milcząc. Również w milczeniu wyszli z kaplicy i odbyli drogę powrotną na plac świętego Piotra. Dopiero tam odezwał się Fabiusz:

— Wracamy do portyków, które wysłuchały naszej dyskusji. Chciałbym, aby posłyszały jeszcze jedno. Powiedzcie mi państwo, czy ta potęga myśli, te skarby wiedzy, któreśmy dopiero co podziwiali w dziele malarza, dadzą się choć w części ujawnić przez muzykę? Niech mi to kto spróbuje zagrać.

Dubieński zaryzykował jeszcze opozycję:

— Gdyby pan był tak muzykalny, jak jest artystą i znawcą sztuki plastycznej, samby pan to zagrał.

— Nigdy! — odparł Fabiusz, trzęsąc energicznie głową — gdybym był nawet Michałem-Aniołem i Wagnerem w jednej osobie. Na coby mi się zdała historyozofia, studia anatomiczne, studia rzeźby i architektury, gienialna ekzegetyka starych tekstów, znajomość życia i ludzi? Do mojej opery lub symfonii użyłbym tylko z mych skarbów umysłowych: znajomości kontrpunktu i harmonii, coby w dziele Michała-Anioła

można porównać do jego wiadomości z perspektywy wykreślnej. Możeby zresztą ogólna kultura przydała mi się pośrednio? Człowiek, który wiele myślał i żył, nabiera i rozmaitych nerwowych subtelności. Więc na przykład znajomość nerwów własnych i nerwów słuchaczy przydałaby mi się do kompozycji. Ale duszy i myśli nie wypowiedziałbym w muzyce, bo to niepodobieństwo. Muzyka jest zbyt zacieśniona w swym zakresie pocznć zmysłowych, dźwięcznych; nie posiada na to sposobów.

— Dziwi mię jednak — próbował bronić się jeszcze Dubieński — że pan, który tak rozumie inne sztuki piękne, nie rozumie muzyki.

— Nikt jej nie rozumie, kochany panie. Można ją tylko lubić. Kochać ją wyłącznie jest już niebezpieczeństwem.

XVIII.

Innego dnia liczniejsze towarzystwo szło za Fabiuszem wolno pod górę, złożoną, zdawałoby się, z samych budowli, przywalających świeższymi ogromami starsze ogromy, której górze na imię jest Palatyn. Pałace Cezarów splotły się zwaliskami w jeden pomnik i pachną krwawą historią.

Kobiety szły ostrożnie po zrujnowanych posadzkach, pod sterczącymi ułankami łuków sklepiennych i przez mroczne korytarze.

— Na tem załamaniu korytarza Kaligula, uciekając przed zabójcami, został ujęty i zamordowany...

Księżna Kobryńska wydała maleńki okrzyk na znak wrażliwości, ale opanowała się i rzekła:

— Taki potwór nie był godzien lepszego losu.

A lady Cosway:

— Czy tu? na tem miejscu?

— Mniej więcej.

Amerykanka wydrapała kamyczek ze starego tyнку, schowała go do kieszeni i z zadowoleniem strzepnęła rękawiczki.

Książę Kobryński spojrział na mur, zamysłony:

— Otrzeć się, czy się nie otrzeć? A gdyby to przyniosło wenę?...

Fabiusz szedł na czele, mniej wymowny dzisiaj, gdyż trudno było nieprzygotowanym wcale słuchaczom dać choćby pobieżne pojęcie o najbardziej zagmatwanym pomniku starej Romy. Spuścił więc z tonu i czując się zwyczajnym pokazującym ciekawości, był z siebie i z towarzystwa miernie zadowolony. Przeszkadzano mu przytem ciągle. Słuszka był w jowialnym humorze i dodawał swój lekki komentarz do wykładu Fabiusza:

— Moi kochani! Gdybym miał mniej do roboty w życiu bieżącym, przestudyowałbym te ruiny i dowiodłbym, że nawet Cezarowie nie mieli pojęcia o komforcie. Jak mieszkali na przykład? Jak największe mrówki pośród mniejszych mrówek. Cóż to za rozkład pokojów?! Gdzież ubieralnie, gdzież łazienki?

— Jeżeli o to chodzi — odpowiedział Fabiusz — kąpiele rzymskie były większe, wytworniejsze i liczniejsze, niż za naszych czasów, a żadne miasto nowoczesne nie posiada tyle wody, ile jej miał Rzym starożytny. Rzym dzisiejszy posługuje się trzecią częścią tych wielkich wód, które plukały sztucznie starą Romę; niektóre akwedukty Cezarów jeszcze są czynne...

— Więc dobrze... Ale jak było z oświetle-

niem?... Przecie to komórki albo piwnice, nie pokoje!

— Rzymianie przebywali więcej na powietrzu: czuwali w dzień, a spali w nocy, życie ich nie płynęło naopak i naprzekór warunkom przyrodzonym.

— Bah! dla nas nie wystarcza dnia.

Fabiusz już nie odpowiedział i pozwolił Słuszcze dalej perorować.

Na domiar niepowodzenia, w malowniczym zakątku spotkano Zakopiańskiego, przybranego w płaszcz włoski, przerzucony przez ramię.

— Cóż to za maskarada? — zapytało naraz parę osób.

— Stosuję się do ruin. Nie chcę drażnić ech, drzemiących pod temi sklepieniami.

— Ale echa nie widzą — zauważył Słuszcza.

— Echa czują — odrzekł Zakopiański.

Daliby mu pokój, gdyby nie przyczepił się do Fabiusza.

— Chodzimy tu jak mądre cienie po cmentarzach sprofanowanych. Nie prawdaż, mistrzu?

— Nie prawda, panie.

— Dlaczego?

— Ja mam inne wrażenie.

— A ja właśnie takie.

— Zostańmy zatem każdy przy swoim.

Fabiusz rzadko bywał opryskliwy. Zakopiański odsunął się na flank orszaku, szukając u pań współzucia dla swych pomysłów stylowych.

Opóźniona nieco za innymi szła pani Oleska, słuchając przyciszzonej mowy Dubieńskiego.

— Dobrze to wszystko: i erudycya, i odtwarzanie dawnego życia, i nauka, mogąca wypływać z porównań, ale czemuż to dla nas, młodych, wobec jednego taktu, wybitego przez krew krążącą w żyłach teraz, właśnie w tej chwili? W życiu, którem żyjemy, jest źródło szczęścia i niedoli, temat do najgłębszych namysłów. Czy tak, pani?

— Życie nowoczesne jest marne, i my podlegamy tej miernocie otaczającej — odpowiedziała Anna z obcą jakąś powagą.

— Dlaczego marne?... To chyba pani przyzna, że formy życia naszej epoki są bogato rozwinięte. W tych formach mamy wybór, a ostatecznie każdy swoją dolę sobie stwarza, albo raczej: każda para ludzi stwarza sobie życie, wedługłączonych swych upodobań.

— To inna materya. Ja mówię o życiu ogółu.

— A jednak życie ogółu składa się z uderzeń sere pojedynczych ludzi. Nie dochodzi się zaś do wyższego zrozumienia siebie i swojej epoki inaczej, jak we dwoje. Parzystość jest przeznaczeniem ludzkości.

— Wątpliwa teorya... a może być?

Śmiech, tak zwykle skory na zawołanie, uwiązł w suchem gardle Anny. Szła wyprostowana, zarumieniona, nie patrząc na Jerzegó, lecz uporczywie przed siebie. Dubieński poczuł jednak, że

panuje magnetycznie nad całą jej postacią. Mówił więc dalej:

— I wierzę w to, że gdy dwoje ludzi, mogących stworzyć ową spójnię rozkoszną i mądrą, spotyka się z sobą, oboje czują to powołanie swoje wzajemnie, a jeżeli bronią się od niego, jeżeli nie dochodzą do porozumienia, do... uścisku, w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu, to popełniają grzech przeciwko życiu, które ich woła.

— Pan jest fatalistą?

— Nie wiem, do jakiej należę szkoły... może do żadnej. Ale mam o świecie różne swe pojęcia, których nie ogłaszałem nikomu. Tylko teraz czuję straszną chęć zwierzenia się pani, dlatego, że nie spotkałem w życiu kobiety równie... cennej dla mnie.

Pani Oleska, ciągle patrząc przed siebie, podniosła brwi i zeszytywniała, jakby gotując się do odparcia napaści.

— Pani nawet nie jest już dla mnie piękną..

— Taak?... — odrzekła machinalnie Anna, zwracając nareszcie oczy na Jerzego, oczy tak zawiedzione, tak szczerze piękne, że zwykły dyalektyk mieszałby się i cofnął.

Ale Dubieński spojrzał tylko na nią z poważnym uwielbieniem i nie cofnął się pozornie.

— Nie jest pani tą piękną, którą spotykałem dawniej, myśląc: nie można lepiej wyglądać, nie można śliczniej chodzić, mówić, uśmiechać

się. Jest pani tą jedyną, której obrazu już się nie widzi, bo się go ciągle nosi w sobie, tym lossem raz tylko spotkanym na ziemi, tem najcenniejszem, o czem mówiliśmy — tem Życiem...

Nie zmienił postawy, postępując wolno za innymi; tylko głos jego, choć przyciszony, zagrał i odbił się ciepłem echem o niskie sklepienie, pod którem całe towarzystwo przechodziło. Nikt jednak, oprócz Anny, nie wyłowił z ogólnego gwaru tego wyższego tonu.

A ona nie znalazła na odpowiedź ani słowa. Wzdrygnęła się tylko widocznie, aż Jerzy, śledzący jej każdy ruch, nie zrozumiał odrazu.

Wychodzili właśnie z długiego podziemnego przejścia na światło.

— Czy zimno pani?

— Trochę tu chłodno.

— Ale nie ja byłem przyczyną?...

— O nie!

Szybko, przed namysłem, wyciągnęła lewą dłoń ku Jerzemu, a ten ujął jej rękę, objął wzrokiem całą jej postać, wzrokiem ucałował, przymknął wreszcie powieki i zęby zacisnął, tłumiając przemożny napływ wyznań, niemożliwych na tem miejscu.

— Wchodzimy do domu Liwii — odezwał się głośniejsz Fabiusz, odwracając się do towarzystwa, które poprzedzał, i szukając ze zwyczaju oczu pani Oleskiej.

Ona zaś, zanim spojrzał na nią stary przyja-

ciel, uniknęła jego wzroku, strzepując pilnie z rękawa sukni pył, którego nie było. Poczem wyprzedziła parę osób i znalazła się obok Fabiusza, pokazującego ciekawe szczątki fresków w domu Liwii.

Ten manewr Jerzy słusznie poczytał za pierwszy swój prawdziwy tryumf, i serce mu zabiło gorącą radością.

W słońcu było parno. Czarna chmura wschodziła szybko ponad szczyt Palatynu, i zanim jeszcze przykryła słońce, prysnęły pierwsze krople nagłej ulewy.

— Deszcz, deszcz! — zawołały panie, otwierając jasne parasolki, po których zabębniły szeroko płamiące bryzgi.

— Wracajmy pod sklepienia Kaliguli!

— Nie, tam zimno i ciemno, lepiej pod dęby na górze!

— Pod dęby!

Wszyscy puścili się pędem na szczyt wzgórza, gdzie czarne dęby dały im pod zwartymi koronami schronienie prawie nieprzepuszczalne.

A wesoły szum cieplej ulewy zbliżał się; pół miasta objęła zasłona mglista, przetkana potrójną tęczą; druga połowa kapłała się jeszcze w słońcu. Już cień ogarnął Kapitol, a jeszcze kolumny stoją w czystym przezroczu na Forum; już płamić się zaczynają posadzki zwalisk i brukowce na *via sacra*...

— Teraz na nas kolej, trzymajmy się!

Całe grono znajomych zbiło się w małą kupkę pod najbogatszym w liście drzewem, z podnieconym chichotem i wielkimi giestami, grając komedę popłochu. Przycichli, gdy ulewa doszła zenitu i sprąła cały wierzch wzgórza, aż strumyki zaczęły podpływać pod nogi. Jednak masa liści nie dopuściła deszczu, który na szczęście trwał krótko i przenosił się gwałtownie po niebie pośród ciągłych tęcz i przebłysków słońca.

— Poczciwe dęby! — wołał Słuszka. — Wiedziałem o ich istnieniu i przyprowadziłem was tutaj. Nie mogę powiedzieć, że ja tutaj umyślnie dla was posadziłem, byłoby to przesada, ale wiedziałem, że będzie deszcz, że tu się schronimy. Ja wszystko wiem. Sprowadziłem wam też różnobarwną tęczę, która jest, według mitologii, podwiązką Wenery. Prawda, panie Fabiuszu? Stąd wnosicie możecie o wspaniałości bogiń rzymskich, które takie miały podwiązki.

Dał się słyszeć grzmot.

— Bogowie upominają się o lekceważenie Irydy, która jest ich posłanniczką — wtrącił wesoło Fabiusz.

— Może być — odparł Słuszka: — tutaj, wśród starej Romy, niema co żartować z bogami.

Tymczasem deszcz przeleciał i był już daleko poza Colosseum. Jak z pod stopniowo uchylanej zasłony wydobywał się stary gród połamany i nowsze porosłe na nim miasto. W świeżej, słonecznej rosie barwy odmłodziły, z ziemi wsta-

wał lekki opar, zaprawny woniami. W kilka minut było już sucho, między bujną roślinnością zdobiącą szczyt Palatynu zaczęły brzęczeć żuki i komary, zakolysały się pijane od zapachów motyle.

Nagle ucichli wszyscy, odurzeni dobrobytem i spokojem. W ciszy dziwnie zabrzmiał głos pani Anny:

— A tym bezmyślnym motylom jeszcze tu lepiej, niż nam...

Z kurzawy jej myśli jedna znalazła sobie ujście i wyraz.

XIX.

Pośród tych wędrówek, albo w teatrze, albo w salach restauracyjnych, Jerzy zamienił już z Anną kilka słów, nie obowiązujących ostatecznie do niczego, jednak takich, które wymagały dalszego ciągu i objaśnień. Dowiedzieli się oboje o wzajemnych swych uczuciach, ale ta świadomość, choć rozkoszna, nie dawała im spokoju, ani szczęścia. Owszem, tak jej, jak i jemu stała przed oczyma konieczność przyznania się przed własnym sumieniem, czego właściwie pragnę, dokąd zmierzają. Oboje, choć niby wolni, byli zawikłani w stosunki, które trzeba było zmodyfikować, lub poświęcić; w wątpliwości, które wypadało usunąć. Za młodu zaś i na wiosnę najmniej się miewa czasu na obrachunki z sumieniem.

Coraz widoczniejsze zabiegi Jerzego Anna przyjmowała teraz ze wzruszeniem. Nie było powodu odrzucać jego wyznań. Widocznie stara się o jej rękę, a gdyby został jej mężem, by-

łoby to ze wszech miar normalne i przyjemne. Jednak przezorny instynkt kobiecy, ten dar przewyższający często w wynikach męską logikę, mówił Annie, że bronić się trzeba, i to nie przez zalotność, lecz przez ostrożność. W tym Dubieńskim, który ma dużo powabów, a wady tak sympatyczne, — na przykład, ma nadto szczęścia do kobiet, ale zmonopolizować takiego mężczyznę dla siebie jest zadaniem ponętne, — w tym Dubieńskim są nieodgadnione głębie, wymagające prześwietlenia. Jego konkury, choć coraz bardziej stanowcze i szczerze, są jednak nadzwyczaj ostrożne, osłonięte czemś mglistym, co nie jest ani nieśmiałością, ani poezią... Czem zatem?...

Ponieważ jednak знаła wartość swej urody i wdzięku, ponieważ ufała także swej przenikliwości i niejakiemu doświadczeniu życiowemu, pani Anna nie wątpiła, że zupełnie odgadnie Jerzego. Nawet to studyum coraz bardziej ją roznamiętniało. Inny zaś wzgląd stawał w sprzeczności z tem pożądanem, wzgląd na Fabiusza.

Kim on był i jest dla niej, to wiedziała: kierownikiem jej umysłu, najszlachetniejszym przyjaciele, może nawet bardzo przywiązany do niej. Ale kim chce zostać? Dlaczego dotychczas nie powiedział jej wyraźnie, że pragnie nie tylko jej przyjaźni?... Dlaczego nie oświadczył się po prostu, zwłaszcza teraz, gdy zapewne spostrzega zabiegi innego mężczyzny?

Przez te rozumowania proste i uczciwe prze-

ciągał jeszcze jeden mniej uświadomiony prąd: pospolity, ale nieśmiertelny powiew młodości i wiosny, zabronione przepisami, ale nakazane przez życie pragnienie szczęścia dla siebie. Więc gdy pola fiołków pachnęły pod Nizzą, gdy włoska muzyka ogarniała ciepłym strumieniem jej zmysły, gdy Jerzy mówił jedynie dla niej w jakimś rzymskim poetycznym zakątku, Anna czuła, że krew lekko i rozkosznie przepływa jej przez serce, a wtedy nie rozumowała, tylko żyła raźniej, rozkwitała jak kwiat w swojej porze, naturalnie, przekonana, że jej się to słusznie należy od losu. I pograżała się coraz bardziej w ten rozczyn galwaniczny, w którym zasady kobiece, chociażby czystem były złotem, rozpuszczają się i osiadają na przedmioty stałe, umyślnie lub przypadkowo znajdujące się w tym samym rozczynie. Tymczasem jednak rozumowania jej i pragnienia, zasady i porywy, równoważyły się w jej uczciwym i gorącym sercu.

Jerzy miał pozornie dużo prostszy przed sobą kierunek, nie wystawiający go na sprzeczność z samym sobą. Kochał i ufał, że pokochany zostanie; każdy dzień dodawał mu ufności. Przeszkody do urzeczywistnienia pragnień istniały w trudnościach podboju; te trudności nie były nadludzkie, coraz się zmniejszały; za kilka dni, za parę tygodni mógł poprosić o rękę pani Oleskiej i zapewne ją otrzymać. Mógł nawet nie obawiać się współzawodnictwa Fabiusza, bo teraz

był już przekonany, że Fabiusz jest dumnym, a zarazem nieśmiałym wielbicielem Anny, że nie przeszkodzi jej wyborowi dla swoich osobistych widoków.

A jednak młody Dubieński nie był w zupełnej zgodzie z samym sobą. Nagle pośród najgorętszych zabiegów o tę kobietę nową, bardziej upragnioną, niż inne, poczęły mu snuć się po głowie wspomnienia nauk i zasad rodzicielskich, tych samych znienawidzonych »zasad«, które go wypędziły z gniazda. Zaczął rozpatrywać uważnie, czy pani Oleska, gdyby zmieniła swoje na jego nazwisko, odpowiedziałaby ideałowi żony, uświęconemu przez tradycję Chojnogórskie? Czy jest dość bogata? dość wysokiego pochodzenia?... Czy należy do tego nieokreślonego »koła«, w którego samym środku, z Bożej łaski, znajdują się Dubieńscy?

Co za dziwaczne myśli! Przecie on sam, Jerzy, wyzwolił się od wszelkich formuł cudzego wyrobu i użytku. Nie może być, aby takie cienie zwalczonych już, urojonych zresztą, przeszkód, stawały mu w poprzek drogi?... Są to fałszywe rozumowania, jakieś niefilozoficzne skrupuły, którym on się nie podda. Zaczął badać się w innym kierunku, aby wytłómaczyć sobie pewien dreszcz, który go mimowolnie coraz częściej nawiedzał. I znalazł. On, jako artysta, człowiek przeznaczony do wyższych celów, rzucony w świat

na wielkie burze i szczytne wzloty, poświęcony na ofiary, na całopalenia...

— To wyraz niedobry — pomyślał Jerzy nawiasem, przypomniał bowiem ofiary starożytnie, bydlę i ptaki zarzynane na ołtarzach bogów.

Jednem słowem: on, jako... on, nie zdawał się sobie stworzonym do życia małżeńskiego, do krzątań około domowego ogniska, które gdzieś jednak wypadałoby założyć. On potrzebuje mieć skrzydła wolne, aby kierować lot, dokąd go fatalność powoła...

— Fatalność!... to dobre słowo. Tem wszystko wytłómaczyć można, a obecnie przemożny poryw do Anny.

— Czy się z nią ożenię, czy nie, muszę ją kochać, muszę ją dostać. To mój los!

Na tym wniosku osadził się Jerzy, powracając do założenia, z którego wyszedł. Obleciał cały swój widnokrąg i powrócił do punktu wyjścia, zatoczył koło nie błędne, lecz fatalne. Tak jest, fatalne. Pokrzepiony na sumieniu, rozmyślał już tylko o sposobach dojścia do upragnionego celu, które nie były dość skuteczne dotychczas, ani dość szybkie. Sposób przyszedł mu do głowy jednego wieczoru.

Był to dzień nudny dla wszystkich. Nikomu nie się nie udawało. Księżna Kobryńska zawiodła się w swych nadziejach otrzymania audyencji partykularnej u Papieża, po której obiecywała sobie rozstrzygnięcie pewnych wątpliwości,

tyczących się jej samej, Jerzego i całej rodziny. Ponieważ spodziewana pomoc dwóch świątobliwych mężów, monsignora Concomassa i Ojca Melchiora, okazała się bezskuteczną, księżna udała się pod protekcję margrabiego d'Anjorrant. Margrabia miał także zamiar przedstawienia się Ojcu Świętemu z żoną swą i jej siostrą, ze Słuszką i parą książąt francuskich, niedawno przybyłych. Ale przeprowadził starania o audyencję bez namaszczenia, powierzył bowiem ten zachód dyrektorowi hotelowemu. Wkrótce przybyło oznajmienie, że Papież przyjmie margrabiego d'Anjorrant z jego rodziną i przyjaciółmi, w liczbie ogólnej ośmiu osób. Ponieważ sześć miejsc już było zajętych, Terenia otrzymała tylko dwa: dla siebie i dla Jerzego.

Z załem pozostawić miała w hotelu męża, na którego uświęcenie liczyła także przy tej sposobności. Chociaż więc w najlepszym towarzystwie, jednak nie osobiście, tylko poniekąd jako anneks, miała księżna Kobryńska być przyjętą przez Namiestnika św. Piotra. Przygotowywała więc żałobne szaty, wymagane przez etykietę Watykańską, z połowicznym tylko zadowoleniem.

Inni mieli także niepowodzenia. Lady Cosway popsuła całą paczkę zdjęć fotograficznych, sporządzonych przez nią samą do nowego albumu z czerwonym napisem: »Roma« na białej pergaminowej okładce. Słuszka potłukł się wczoraj, wypadając z samochodu, którym uparł się

sam kierować; miał wcale nieefektowny plaster na nosie. Schwind twierdził, że dostał malaryi, zwiedzając Colosseum przy księżycu, o czym jednak powątpiewano, tłumacząc sobie inaczej skutki nocnej wycieczki Westfalczyka, zauważono bowiem nieobecność jego w klubie przez całą jedną noc.

Wogóle nie wiodło się mężczyznom w klubie della Caccia: wszyscy mniej lub więcej przegrali, najwięcej Kobryński, najmniej d'Anjorrant. I Dubieński był tego dnia znerwowany: wprosił się na herbatę do pani Oleskiej, zastał tam lady Cosway i Fabiusza, ciągle Fabiusza, nie mógł cieplejszego słowa umieścić. Poszedł więc do klubu, gdzie znajdowali się, jak zazwyczaj, jego znajomi.

Około północy d'Anjorrant, Słuszka, Kobryński i Dubieński wracali piechotą z klubu do hotelu. Dzisiaj po raz pierwszy nie było partyi. Kobryński był wściekły.

— Zabrali nam, co mogli, a teraz nie przychodzą! Ładna buda ten klub! Mówiliście, że tu grają panowie, a ja spotkałem samych łapigroszów. Ładna buda!

— Nie znam innych klubów, mój kochany książę — odrzekł flegmatycznie d'Anjorrant. — Do końca partyi i do końca sezonu siedzą tylko ci, którzy przegrali, wygrywający dostają natychmiast migreny, albo telegramy powołują ich gdzieindziej. Pozostaje walka między zgranymi.

My na przykład moglibyśmy zagrać między sobą, gdybyśmy nie byli goli do cna. Prawda, kochany książę?

Kobryński był już wszystkim winien pieniądze, nawet d'Anjorrant'owi, który tego wcale nie lubił. Ironiczna uwaga margrabiego trafiła mu do przekonania i ostudziła oburzenie.

— Trudno mieć pieniądze, gdy się codziennie przegrywa, i to w obcym mieście. W Warszawie mogę dostać z dnia na dzień paręset tysięcy: tutaj brak mi stosunków finansowych.

— Ach! banki tutejsze są bardzo uczynne i z pewnością w stosunkach z Warszawą. Jeżeli pan ma łatwy kredyt tam, to tylko chodzi o parę depesz. Mogę panu dać adres.

— Nie, dziękuję. Nie chcę zbyt głośno i gwałtownie sprowadzać pieniędzy, aby nie nadwężyć swego kredytu. Napisałem.

— W takim razie trzeba czekać.

D'Anjorrant wiedział już, a Kobryński był przekonany, że jego kredyt warszawski był może jeszcze trudniejszy, niż rzymski, znano bowiem zasadniczą »niepoczytalność Władzia« w sprawach pieniężnych.

— Ostatecznie — głupie miasto ten Rzym — skreślił w bok Kobryński.

Odpowiedział mu Słuszk:

— Bo nie umiesz go używać. Siedziałbyś dzień i noc w klubie. To można robić i w Tarascon, jeżeli się partya zbierze.

— Siedzimy przecie razem.

— Ja nie psuję nigdy kompanii. Ale zawsze więcej bywam w salonach, w muzeach, na powietrzu, niż ty. Ja muszę mieć rozmaitość wrażeń, muszę studyować kraj, w którym się znajduję. Byłem na przykład w Tivoli — tam dopiero życie Cezarów stało mi przed oczyma, i teraz, gdyby mi powierzono urządzenie wielkiej letniej rezydencji dla króla, albo dla przyjaciela...

— Eustachy! nie napiłbyś się piwa w jakiejś smrotnej knajpie z damską usługą? — przerwał mu d'Anjorrant.

— Owszem, napiję się piwa.

— Znam jedną taką dziurę, gdzie po północy kobiety usługują w szkarłatnych płaszczach, a bez wszelkich innych osłon. To ci może da jeszcze pomysł do urządzenia owej letniej rezydencji?

— Gadaj zdrów. Ja także coś wiem. I wiem także, gdzie ta knajpa.

— No, to prowadź.

— Gdzieś w okolicach pałacu Propagandy... Zaraz.

— Ja zaś wiem, że jesteśmy od niej o sto kroków.

Wskazał czerwoną latarnię w bocznej uliczce i niebawem wprowadził towarzyszków do zadytmionego lokalu, w którym brzęk mandolin, śpiew ludowy i owe zapowiedziane piękności w jaskrawych płaszczach tworzyły atmosferę rozpasaną

i zaduszną. Wejście mężczyzn dobrze ubranych wywarło wrażenie i uciszyło trochę wrzawę. Ale nowo przybyli kręcili nosami, znajdując kobiety nie dość piękne, a powietrze zbyt ciężkie. Tylko Dubieński ożywił się i zaglądał po kolei w czarne oczy kobiet, jedyne naprawdę ładne szczegóły w całej wystawie. Usiedli jednak i zakomenderowali:

— *Quattro di birra!*

— Gdyśmy byli młodszy, jakoś to lepiej wyglądało — rzekł d'Anjorant. — Mówię za siebie i za Eustachego, którego już żadna piękność nie porusza, oprócz Wenery Kapitolijskiej i damy pik z dziewiątką.

— O! mój kochany, mów tylko za siebie!

— Co innego Dubieński. Ten już się dowiedział, że ta, która nam usługuje nazywa się Bianca. Patrzcie, jakie do niego stroją miny, a on jak wstępuje w natchnienie. Pewno popełni tej nocy jakąś... poezję. Piękna rzecz młodość.

— Pan zaś źle udaje wiek stateczny — odpowiedział Jerzy. — Właśnie tę najładniejszą, zapewne Rosinę, uszczypnął pan, a teraz ona pana widocznie wyróżnia.

— Sapristi! dobrze patrzy młodzieniec. Jest pan, na szczęście, poetą tylko w wolnych chwilach.

Do ogólnie znanych przymiotów margrabiego należało też wyrafinowane zepsucie, z którym wcale się nie tał. Widok tych kobiet chociaż go

mało nęcił bezpośrednio, pobudzał jednak jego zmysłową wyobraźnię.

— Mówię ci, Eustachy, że w twojej letniej rezydencji moglibyśmy coś wspaniałego urządzić na wzór tej niewinnej zabawki. Żeby na przykład w bardzo ścisłym kółku nasze wytworne znajome tak ubrać, a nas samych pozostawić, jak jesteśmy, we frakach? Co?

— Hm — mruknął Słuska, nie decydując się, mimo swej wymowy, zagłębiać się w tak ryzykowny pomysł.

— Wyłączmy nasze żony, bo są za chude. Zresztą żony...

— Raulu! — zawołał Słuska, zerkając na Kobryńskiego, który śmiał się swobodnie i na Jerzego, który jednak zarumienił się.

— Wyłączyłem je. O cóż ci więc chodzi? Ale na przykład pani de Nielles, blondynka różowa w niebieskim płaszczu z gwiazdami, a kochana Fernanda, śniada i czarna — w purpurze, z lilią w ręku. Koniecznie z lilią. Albo żywy obraz na wzór Wiosny Botticellego. Na postać Primavery...

Spojrzał po towarzyszach, wszystkich już zgorzonych, bo i Kobryńskiemu nie w smak poszło lekceważenie Fernandy.

— Prawda! jesteście Słowianami, rasą sentymentalną. Nie zgodzicie się nigdy patrzeć na świat bez złudzeń, ani nazywać rzeczy po imie-

niu. Dubieński zaś, poetycznie zakochany, widzi pewną osobę tylko w obłokach.

— Ja? zakochany?

— Panie Dubieński! pan widzi dobrze, co się naokoło dzieje w knajpie, a ja, stary ówik, nie miałbym widzieć, co się dzieje naokoło mnie w życiu?

Jerzy tego wieczoru wymyślił właśnie mawer, który wydał mu się potrzebnym. Domysły margrabiego utwierdziły go teraz w postanowieniu. Rzekł, spuszczając oczy, z dobrze udanem zafrasowaniem:

— Ja wracam jutro do Nizy.

— Wyjeżdżacie we troje?

— Nie wiem. Siostra moja i Władzio?...

Zwrócił się naiwnie do Kobryńskiego i zadrwił wszystkich, nawet d'Anjorant'a. Kobryński podejrzliwy bardziej, niż przenikliwy, wilczym wzrokiem spojrzał na szwagra.

— Masz słusność — rzekł — tutaj niema już co robić. Tylko jeszcze ta audyencya za trzy dni...

— Ja muszę wyjechać — powtórzył Jerzy stanowczo i tajemniczo.

Nikt nie zrozumiał dobrze tej konieczności, a ponieważ zagadki nie wpływają orzeźwiająco na rozmowę i tak już znudzonych ludzi, wesołość ich, sztucznie podniecona na chwilę, zgasła. Skończyli piwo i wynieśli się z lokalu.

W urywanych słowach porozumieli się, że ostatecznie nudno w Rzymie, że wszyscy wkrótce

powrócą do Francji, a nim rozpocznie się na dobre piękny maj paryski, zatrzymają się jeszcze w Nizy, gdzie, podług gazet, pogoda jest idealna i mnóstwo jeszcze wytwornego towarzysztwa.

XX.

Jerzy postanowił użyć raz jeszcze fortelu, który mu już oddał w życiu niejaki usługi: osłonić się mgłą i zniknąć. Mimo, że podróż z Rzymu do Nizzy nie jest ani nadludzkim wysiłkiem, ani bohaterstwem, ani zbrodnią sama przez się, zagadkowe zniknięcie w stosownej chwili dobrze działa na wyobraźnię kobiet. »Dlaczego tak nagle? do kogo jedzie? od kogo ucieka? Czy do tamtej zatęsknił? Czy się na mnie obraził?...«

Jerzy wiedział, że wytworzenie takiej atmosfery lubego niepokoju jest korzystne, a także wiedział, że chwila jest dobra, bo gorączka poczęła ogarniać Annę; wreszcie obliczył z łatwością, że najdalej za kilka dni pani Oleska musi powrócić do Nizzy, do dziecka. Nie chciał jednak nie stracić z postępów, które uczynił w łaskach Anny; owszem była ona dla niego obecnie jedynym celem, tem goręcej, tem zaciętej pożądanym, im trudniejszy był do osiągnięcia. Przed wyjazdem więc zdołał umieścić kilka pożytecznych

frazesów. Wyjeżdża, aby pokonać swe obrażunki w Nizzy, obrażunki sumienia. Wzywają go gwałtownie, jechać musi natychmiast. Razem z Rzymem porzuca najpiękniejsze, najlepsze dni życia, które mogą się odnowić, jeżeli ona, Anna pozwoli. Tam, w Nizzy, będzie jej oczekiwał na prawdę jak zbawienia, jak wyzwolenia... Część prawdy, zawarta w tych wyznaniach, wystarczyła mu na dobry akcent zapалу i dramatycznej boleści.

— Nie rozumiem pana — odpowiadała pani Anna — a jeżeli mam przypuścić, że jakieś obowiązki w Nizzy są najważniejszym czynnikiem w pana obecnym życiu, to znowu... nie mogę współczuć pana kłopotom...

— O! nie żądam tego, nie chcę. Za parę dni powiem wszystko, jeżeli tylko pani pozwoli... Proszę przybyć tam jak najprędzej!... Proszę mi zachować choć trochę dobrych uczuć, które zdołałem od pani wyżebrać.

Wzruszenie pożegnania i nagłość wyjazdu były powodem, że Anna nie próbowała nawet bronić rąk swych od namiętnych pocałunków, którymi Jerzy je okrywał; ścisłała owszem jego dłonie i rzekła, patrząc mu prosto w oczy:

— Pamiętaj pan... jestem szczerą, dobrą przyjaciółką, trzeba mi mówić prawdę.

Jerzy targnął się rozpaczliwie, chwycił się za głowę, ucałował jeszcze jej ręce i wyjechał.

Siostrę i znajomych zaledwie pożegnał. Ulotnił

się, zostawiając ich z otwartemi ustami, jak ludzi, wpatrzonych w znikające nadprzyrodzone zjawisko.

Najbardziej zadziwiona, zawiedziona, zgorzszona była księżna Teresa Kobryńska. Ów brat, który był przedmiotem jej misyi, całem uzasadnieniem przedłużonego już i bardzo kosztownego pobytu na Południu, ów brat odciągnięty przez nią od zgubnych »dyspozycji«, prowadzony umiejętnie i mozolnie po drodze prawdy do grobu świętego Piotra, ów Jerzy, o którym posłała już do Chojnogóry kilka obiecujących raportów, nagle pryska z Rzymu, i to na trzy dni przed audyencyą w Watykanie! Oczywiście powraca do pani de Sertonville, do życia bez zasad, i lekceważy wszystkie obietnice, których sam wprowadzić nie dawał, ale które Terenia za niego poczyniła, pisząc do ojca.

Do tego moralnego bankructwa przyłączyło się i pieniądze. Władzio grzązał w długi trochę już skandaliczne; zaczęto delikatnie dowiadywać się od księżny: czy nie miałaby zamiaru kontrasygnować pewnych finansowych zobowiązań księcia? Terenia poczuła groźbę zachwiania swej pozycji, niotyle wobec tych ludzi obcych, których ostatecznie tak prędko znowu się nie spotka, ale wobec ojca, o którego ze wszech miar dbała.

W kilka godzin po wyjeździe Jerzego, oceniwszy powagę sytuacji, taki napisała list do Chojnogóry:

»Najdroższy mój Papo!

»Nie mam dzisiaj pomyslnych nowin dla papy, ale posyłam te, które są, które nas wszystkich obchodzą, bo nie umiem ukrywać nic przed papą, a także czuję potrzebę, aby ktoś prawdziwie mądry i dobry, prawdziwie mój, wysłuchał mnie i odczuł. I tak mi się zdaje, że choć Chojnogóra daleko, a słowa moje dopiero za jakie pięć dni dojdą do oczu i serca papy, że już mi trochę lepiej w sercu i jaśniej w głowie z chwilą, gdy usiadłam do tego listu. Niech papa jednak nie myśli, że coś się stało, właśnie nie się nie stało, i w tem cały dramat. Najprzód, raz jeszcze mam sposobność podziwiać trafność sądu kochanego papy, przypominając to, co nam mówił na wyjeździe. Riviera jest niebezpiecznym krajem rozkoszy, w którym nie trzeba ugrzęznąć, a Rzym jest świętem i błogosławionem miastem. Tak czują i sądzą indywidua zdrowe, silne, jak papa, i ja skromnie przyłączam się do tego zdania. Ale ci mężczyźni nowi, jak Władzio, jak Jerzy, niestety!...

»Pisałam już, że mgr. Concomassa i ojciec Melchior nie mogli być nam użyteczni. Usilnie starałam się ich zastąpić. Świeckiego przewodnika w oglądaniu rzymskich arcydzieł znalazłam w osobie pana Fabiusza Oleskiego. Może go sobie papa przypomina? *Pas tout-à-fait un homme de notre monde*, ale uczony i przyzwoity człowiek. Jerzy zdawał się bardzo zainteresowany oglądaniem

i dyskusyami z p. Oleskim; poważna Roma wywierała swój wpływ kojący na tę wrażliwą naturę. Nie zapomniałam jednak o Rzymie naszym, chrześcijańskim, o wpływach wyższych i uświęcających. Za trzy dni mamy zostać przyjęci przez Ojca Świętego w audyencyi partykularnej, w liczbie ośmiu osób z najlepszego towarzystwa. Nie piszę o emocjach osobistych, które przebywam, o tem, co sobie po audyencyi obiecuję. Pan Bóg nas skierował do Rzymu (za pośrednictwem najdroższego papy), Pan Bóg wie także, co z tego będzie. Ale ja nie wiem, bo dzisiaj właśnie, i to jest moją boleścią i skargą, dzisiaj, najniespodziewaniej Jerzy uciekł nam do Nizzy! Czy prosty kaprys poety, czy gorsze jakieś wpływy kobiece wyrwały mi z rąk tę duszę, którą już, już sądziłam, że przyprowadzę do równowagi i do naszego gniazda? Stało się to nagle, przed paru godzinami. Jestem w rozpacz.

»Już z Nizzy pisałam papie o jednej kobiecie groźnej dla Jerzego, hrabinie S. Obawiam się, że to po prostu jej intryga. Jest to aż nadto prawdopodobne, a jak oplakane! Przedewszystkiem dla Jerzego. Pewne dary natury są tak niebezpieczne! Ale i dla mnie jaki zawód! *Quel dépit d'échouer, après avoir dépensé tant d'ardeur et, j'ose le dire, de finesse!* Co teraz mamy czynić, kochany papo? Wracać, czy jeszcze próbować?

»Zaraz po audyencyi wyjedziemy z Rzymu; w Nizzy być jeszcze musimy dla niektórych rze-

czy tam pozostawionych i dla interesów Władzia. Nie mogę też utaić, że te interesy są złe. Władzio nigdy nie przestanie być dzieckiem, ulega bardzo wpływom otoczenia, jest trochę lekkomyślny, i gdyby nie szlachetne w gruncie serce i rasa, która jest mu pancerzem, mógłby się zsunąć po jakiej pochyłości... I o nim ciągle myśleć muszę — *j'ai une double charge d'âmes*. Trzeba mu stworzyć jakieś zajęcie. Czy nie skorzystać z owego mająteczku, który mamy w Poznańskim, aby go wykierować na posła do parlamentu? Ale to na później troska. Teraz główna, jak mamy wybrnąć z naszej wycieczki, jak wracać? czy najspieszniej? czy jeszcze mam dobyć sił na dalszą walkę i odzyskanie Jerzego? Czekam na stanowcze instrukcje i rozkazy kochanego papy, do których, jak zawsze, zastosuję się z posłuszeństwem, miłością i przekonaniem, że tak najlepiej. Rączki kochanego papy i t. d.«

XXI.

W górach francuskiej Rivieri są miejsca, stworzone dla radości serc i oczu, a z powodu wybornych szos tak łatwo dostępne, jak wszystkie tutaj rozkosze. Po drodze z Nizzy do Grasse leży parów rzeki Loup, tryskającej tam ze skały, jak ongi zaklęty strumień pod uderzeniem laski Mojżesza. Wodospad leje się bogatą strugą z góry, wpada potokiem w kamieniste łozę pod ogromne arkady mostu kolejowego i płynie dalej już uspokojoną rzeką przez świeże łąki między dwiema ścianami gór o grzbietach szczybatych, o zielonych stokach gobelinowych, przetkanych szaremi i rudemi wioskami.

Blizka owego mostu kolejowego restauracja jest słynnym celem przejażdżki do »Gorges du Loup«.

Do tego celu po gładkiej taśmie szosy sunęły w oddaleniu pół kilometra jedno od drugiego dwa rozpędzone pudła. W pierwszym siedziały dwie straszne postacie, ubrane w wilcze kudły i w okulary z czarnych łbów wytrzeszczone.

Gdyby je pierwszy raz spotkał, chłop-by się przeżegnał, a człowiek cywilizowany takżeby się wzdrygnął. Ale kto choć raz przejeżdżał między Monte Carlo a Nizzą, musi pogodzić się z tą estetyką, jest to bowiem najwłaściwszy ubiór dla »palacza«, dla właściciela samochodu, dla tej nowej arystokracji, rozbijającej się po starych drogach. Groźny sygnał alarmowy fałszywą trąbą, smuga benzynowego swędu, tuman kurzu, — z drogi pospólstwo piesze, konne i kołowe! — jedzie książę jakoweś automobilizmu.

Najlepszy znajomy nie poznałby Słuszki i de Nielles'a pod postaciami wilkołaków, które pierwsze dojechały do restauracji. Z pewną lubością zrzucili z siebie wilczury i odkryli głowy. Słuszka spojrział na kelnera, stojącego we drzwiach restauracji:

— Czy wszystko gotowe?

— Dla kogo, jeżeli wolno zapytać?

— Mój przyjacielu! jeżeli mnie nie znacie, li-tuję się nad wami.

— Zapewne z klubu Nicejskiego?... Gotowe, panie hrabio.

— Nareszcie!

Jako wnioskodawca i naczelnik wyprawy, Słuszka zwrócił teraz oczy na drugi, większy samochód, który dojeżdżał. Rzekł do towarzysza:

— Dobry tamten palacz. Zdażył za naszym »wyścigowym«.

— Nie rozwinąłem całej szybkości — pośpie-

szyl odpowiedzieć de Nielles, kierownik pierwszego samochodu i zapamiętały zwolennik nowego sportu.

Zawarczało, zajechało i buchnęło śwędem. Z pod osłon płaszców i welonów wydobyły się cztery osoby: lady Cosway, pani de Nielles, pani Oleska i Jerzy Dubieński. Damy ukazały się w krótkich sukniach krawieckich, nadających im pozór chłopięcy i ponętny, a mężczyźni w strojach turystów, które przywdzieli w przewidywaniu jakiejś pieszej wędrowki po górach. Szczególnie Słuszką odznaczał się kurtką o wielu kieszeniach i aparatem fotograficznym nakształt ładownicy; obok należnego mu zawsze uznania, o którym szeroko mówił, zdawał się wymagać dzisiaj dodatkowego podziwu dla swego londyńskiego krawca.

Ale przekorna pani de Nielles, zrzuciwszy płaszcz, na którym osiadł kurz biały, jak mąka, próbowała zachwiać powagę Słuszki, rzucając mu na ręce ów płaszcz zapyłony:

— Ładna przyjemność, jakbyśmy wyszli z młyna!... Masz to sobie!

Słuszką złapał płaszcz, rozkrzyżował ręce i zawołał:

— Ależ piękności przyrody, powietrze, pęd, szal... czy to za nic? Doprawdy, nikt pani nie zadowoli.

— Mam kurz we włosach, w zębach, w oczach, w duszy!

— Proszę się wznieść ponad te drobiazgi, jesteśmy na wyżynach.

— Powinien był pan poetyczniej nas przeinieść tutaj. Stanowczo brak panu skrzydeł, panie Słuszką.

— Niech pani rozwinie swoje, a podążę za nią; z pewnością nie dam się prześcignąć.

— Wykręty!

— Bo masz złą woalkę — tłumaczyła lady Cosway pani de Nielles, okazując swoją, arcytechniczną osłonę głowy, opatrzoną przeźroczystym wizymerem z celuloidu.

— W tem się wygląda jak nurek podwodny.

— Ale za to nie ma się piasku w duszy. To jest kapelus normalny naszego automobil-club'u.

Amerykanka zżyła się już z automobilami, jak z końmi, podczas gdy pani de Nielles była świeższą adeptką, a pani Oleska pierwszy raz w życiu próbowała tej jazdy.

Pani Anna wróciła już z Rzymu do Nizy, podczas gdy Fabiusz zboczył do Sieny. Stało się to naturalnie. Wycieczka do Sieny zapisana była od dawna w programie wakacyi Fabiusza, których w tym roku użył inaczej, niż zwykle, z powodu przyjazdu pani Anny na Riwierę. Zwykle szukał pięknych i ciekawych zabytków historycznych, w tym zaś roku pozostał długo w Antibes, około Nizy, pod pozorem pisania książki, która mało postąpiła. W Rzymie był przewodnikiem, nie takim jednak, jak zamierzał: nie dla Anny

tylko, lecz dla całego grona osób roztargnionych, obcych. Gdy zaś spostrzegł, że Anna bez zapału wspomina o Sienie, pojechał sam do pięknego umarłego miasta, zostawiając Annę w towarzystwie, z którym razem powróciła do Nizy. Nawet słowo przyzwoitości zostało wymówione: przyzwoiciej było dla pani Oleskiej trzymać się ze znajomymi kobietami i powrócić wcześniej do dziecka, do Nizy. Z tych powodów pani Anna pozostawała już od kilku dni bez kontroli ex-szwagra i przyjaciela.

Dzisiejsza wycieczka, nie zbrodnica wcale, była jednak dla Anny czemś nowem i trochę grzesznem. Pierwszy raz podażyła stanowczo i bezwzględnie za przykładem rozbawionego towarzystwa i za namową Jerzego. Pierwszy też raz nie żałowała, że nie ma przy sobie Fabiusza. Ten wspólny pęd przez kraj pachnący i malowany na pokusę zmysłów, ta słodka komitywa z człowiekiem, którego już odłączyć nie mogła od swych młodych pragnień, godziny fizycznego szczęścia z nim, bez słów prawie, złożone tylko z kilku porozumień oczyma i ze świadomości, że obojgu jest dobrze i tak samo dobrze...

Rozmowa rozpoczęła się właściwie dopiero przy śniadaniu w restauracji Gorges du Loup. Odezwał się Jerzy do pani Anny:

— Przyznaję się do pospolitego gustu: lepiej mi w Nizy, niż w Rzymie. Gdyby cały maj był

taki, jak ten pierwszy dzień dzisiejszy, zostałbym tu jeszcze... A pani?

— Ja?... nie wiem doprawdy. Póki tu dobrze, zostaję. Nie mam tak bardzo do kogo ani do czego wracać...

— Właśnie miałem to pani doradzić — rzekł Słuska. — Zostaniemy tu jeszcze dwa tygodnie, a potem zabieramy panią do Paryża. Ja także sądzę, że tak na dystans, na stałe, powietrze francuskie jest dla nas zdrowsze, że lepiej tutaj prosperujemy. Nie powiem, żebym nie lubił Włoch, Rzym wywiera na mnie wpływ poważny...

Przerwała mu pani de Nielles:

— Dlatego po powrocie czuje pan potrzebę być tem bardziej lekkomyślnym. Niech pan na chwilę przestanie pozować i przyzna się, żeście się wszyscy potężnie znudzili w świętym grodzie.

— Ja?! Doprawdy ma pani o mnie mizerne wyobrażenie, ale nie zniechęcam się: doprowadzę panią kiedyś do uznania mnie i prawdy, co właściwie jest tem samem. Padnie pani kiedyś wzruszona na łono prawdy.

— Więc i na pańskie? Wątpię. A co się dotyczy waszych wrażeń rzymskich, mam takie relacje: d'Anjorant powiedział mi, że była to wycieczka »katedralnie piłująca«. Kobryński wy-czerpał już wszystkie przekleństwa, jakich mu dostarczył nasz piękny język, aby wymyślać na Rzym, na Włochów, na jakichś »łapigroszów...« Co się stało szwagrowi, panie Dubieński? Gdy

tu przyjechał, pełen był fantazyi i najlepszych chęci towarzyskich; teraz znacznie spochmurniał, a nawet zauważyłam, że wasy jego, podbójczo najeżone, opadły?...

— Zgrał się — odpowiedział Jerzy.

— Nie tak znów bardzo — rzekł Słuszka. — Ma duży majątek, może to wytrzymać. Jest trochę znerwowany, nie więcej.

Słuszka wiedział, że majątek osobisty Władzia był nieznaczny, że Władzio głęboko zabrnął, i że nadto winien jemu, także zgranemu, znaczną sumę. Ale nie lubił o niewyraźnych rodakach mówić zbyt obszernie przed cudzoziemcami, choćby nawet przyjaznymi.

— Partya trwa jeszcze tutaj? — spytała pani de Nielles, nie dość dobrze pod tym względem powiadomiona, gdyż mąż jej, zawołany sportsmen, nie grywał w karty.

— Jak za najlepszych czasów. Przyjechało trzech spóźnionych Hiszpanów czy Portugalczyków i co wieczór jest po pięćdziesiąt tysięcy w banku.

— To dobrze; póki grają w klubie, póty Nizza jest naprawdę Nizza. Od waszych tam wzruszeń pulsuje życie przez całe miasto.

Skoro rozmowa stoczyła się na grę i na komentarze o znajomych, trwała bez przerwy, swobodna, lekka i ciekawa, różniąc się odcieniami zaledwie od najniższych porozumień między najniższymi twórcami rodzaju ludzkiego: od szwar-

gotu wekslarzy i od »Kafféklatsch'u« Niemek. Wymieniono kilkanaście grubych cyfr, dodano je, a wynik, jeszcze grubszy, wywarł poważne wrażenie na rozprawiających. Przenicowano również godność osobistą kilku mężczyzn i cnotę kilku kobiet, przyczem plon dowcipu był tem obfitszy, im tańszy.

Słuszka, kierujący wyprawą, nie pozwolił na zbyt długie przedłużenie śniadania. Wkrótce ozwały się pod oknami restauracyi przeraźliwe sygnały obu samochodów.

— Godzina druga. Za trzy kwadransy będziemy w Grasse; za godzinę dyrektor fabryki perfum w Grasse, mój przyjaciel, zawiadomiony przeze mnie, odsłoni przed nami tajemnice fabrykacyi pachnideł. Koncert zapachów będzie muzyką przyszłości. Mówią to niektórzy, ja zaś jeszcze się pod tym względem nie wypowiedziałem, ale twierdzę i powtarzam, że...

■ Zmiarkowawszy, że mało kto go słucha, a panie zabierają się do dalszej podróży, Słuszka powiódł oczyma po zgromadzeniu i urwał przemowę:

— No, co tam... siadajmy.

Wkrótce towarzystwo wpadło pędem w płatnowe aleje i zatrzymało się około fontanny na wielkim tarasie we środku nowego miasta Grasse, które stylem domów, przepychem ogrodów, zatęczało swój charakter górskiej malowniczej miejsciny, a jest już siedliskiem urządzonym przez

zręcznych przedsiębiorców dla przyjemnej wygody ludzi bogatych, jak wogóle wszystkie większe miasta tej okolicy.

Po kąpieli w wonnym wietrze, w nieźrównanej piękności przyrody pierwotnej, podróżni uczuli jednak przyjemność powrotu do tak zwanej »cywilizacji«.

— Tuby nawet można mieszkać — rzekła pani de Nielles.

— Zupełnie »confortable« — dodała lady Cosway.

— A co?! — cieszył się Słuszka, jakby sam stworzył to Grasse, do którego zaprowadził przyjaciół.

Zwiedzenie fabryki odbyło się jak zwykle w tych warunkach: mało kto co zrozumiał, każdy zaś zanotował kilka nazw i ostatecznych wyników, o których dowiedzieć się można w pierwszym lepszym składzie towaru przerobionego. Ale panie były zadowolone z pouczającej natury tej wycieczki, mężczyźni kiwali poważnie głowami, Słuszka był wesół i dumny.

Przy zwiedzaniu towarzystwo rozpadło się też na trzy pary wyraźne, na trzy sympatyczne przymierza: Lady Cosway z hrabią de Nielles przedstawiała związek sportowy; Słuszka i pani de Nielles utworzyli zgodną sprzeczkę retoryczną, Dubieński zaś z panią Oleską zacieśniali węzły trwalszego i donioślejszego przymierza. Udało się nawet Jerzemu tak urządzić powrót, że sam po-

został z panią Anną w mniejszym samochodzie, prowadzonym przez zawodowego palacza.

Teraz, przy znizeniu słońca i upału, podróż przybrała charakter romantyczny. Szeroka wstęga szosy owija skały tak wolnym i równym spadkiem, że nie ciągnie prawie na dół, tylko koła wydają się same rwać naprzód, jak wypoczęte rumaki. Potężne motory rzuciły powozy w ruch szybki i łatwy, poczem ucichły, gotowe tylko, jak siły uśpione i czujne, na zawołanie do pomocy. Pęd stał się zawrotowo szybkim, spadającym, ale opanowanym.

Pani Anna skuliła się trochę i przycisnęła do siebie łokcie. Od czasu do czasu przechylała się w bok na zewnątrz samochodu, mierząc rozwartymi oczyma drogę, którą jej nieco zasłaniał siedzący przed nią palacz, nieruchomy kudłatym torsem, dłońmi i nogami oparty na kierownikach i hamulcach, grający lekko i wprawnie na swem groźnem, doskonałem narzędziu. Od spokoju, od umiejętności tego woźnicy zależało jednak życie...

— To dobry palacz? prawda?

— Najlepszy w Nizzy — odpowiedział Jerzy.

Z rosnącym zaufaniem oddawała się Anna temu upojeniu pędu. Gdy czasem białą wąż drogi wyprostował się na kilometr przed samochodem, zdawało się, że potrwa choć parę minut w tym kierunku. Ale zaledwie chwila mocniejszego wiatru przy twarzy, zaledwie trochę szczypania w nozdrzach, i prosta szosa już znika odmierzona

sprężystą gumą wartkich kół, a biały wąż ucieka w przeguby między sadami, zatacza wielkie łuki około siedzib ludzkich, przez łąki, skały, mosty, znów sady. Na prawo przepaścisty jar rzeki, na lewo blizkie góry rdzawe i dalekie błękitne.

— To zupełnie lot!

— A jaka potęga! i na usługi nasze, wyłącznie dla nas!

W takim pędzie mało się mówi, ale jest rozkoszne współnictwo wrażeń. Tylko przy najsilniejszych zamienia się krótkie uwagi, najczęściej wykrzykniki.

— A to co? Tego nie zauważyłam jadąc?!

Za wioską Tourette, w okolicy dzikszej i bez ogrodów, leżą przy drodze czarne, gładkie, regularnie pomarszczone skały, niby skamieniałe bochenki czarnego chleba. Jerzy zaledwie coś odpowiedział o formacyi aluwialnej, ale znowu kraj się zmienił w osiadły, rozkwitły i zaczarowany woniami, przeważnie zapachem fijołków.

Były to uprawne pola kwiatów, których setki snopów żęto codzien stąd na ubranie wystawnych stołów tam nad morzem, gdzie rzucają złotem. Tylko tutaj kwiaty miały żywy zapach niepokalany, zaprawny wonią ziemi i zmieszany z lechcącymi wyziewami jarzyn.

Znowu platany, wille, ogrody.

Pędem wpadli do miejsciny Vence. Na środkowym placyku mieszkańcy włoskiego typu bawią się rzucaniem kul drewnianych pod zwisającą kaskadą

żółtych kwiatów mimozy. Przystanęli, aby nabrać w oczy tego obrazu na pamiątkę.

I jazda niepohamowana przez strefę fijołków.

Kraj się roztacza i zmienia w pędzie. Na prawo nagie góry, znowu przepaść zielona, za nią na wzniesieniu śliczna kamienna wioska. Dalej droga się zacieśnia, wpada w gąszcze sosnowe i oliwne, w kwitnące sady.

— Już Cagnes! jak szybko.

Stare Cagnes śniło na szczycie góry pod kilku kitami palm, pod niebem rozjaśnionem, wieczornem.

I morze, które już przeblysnęło parę razy, pokazało się teraz bliżej za drobnymi porostami domów i ogrodów, oblanych pochyłym słońcem. Przez wyziewy cedrów i pomarańcz szedł już wieczorny powiew, nie szemrząc po liściach wyrazów zakochanych, jak w uciechszych krajach północnych, lecz ziejąc pokusą niemą, przemożną, nieuchronną.

Skoro dostali się na płaską szosę nadmorską, pełną ludzi, wozów i zgrzytu elektrycznych tramwajów, zmuszeni byli znacznie zwolnić szybkość jazdy. Dekoracya spowszedniała, upojenie znikło. A zarazem zbudziła się w obojgu potrzeba jakiegoś wniosku z tej pierwszej przejażdżki we dwoje, potrzeba i zakłopotanie.

Pani Anna nerwowo zwracała twarz ku morzu, Jerzemu zaś nie dopisywała poezya. Odezwał się wreszcie:

— ...Znowu obiad, fraki, pospolitość... I ci ludzie, którzy nam zamagają tak piękne wspomnienia!

— Niema na to rady — odpowiedziała pani Anna.

— Jest rada. Zjedzmy obiad we dwoje.

— To niepodobieństwo. Gdyby był Fabiusz...

— Czy pani nie może nigdy obejść się bez niego?

— Jak widzi pan, obchodzę się.

— Ale z wielką biedą?

— Nie... tylko z wyrzutami sumienia.

— Więc ja w niczem, nigdy nie mógłbym pana Oleskiego przy pani zastąpić?

— A czem pan jest dla mnie? Proszę mi raz to powiedzieć.

Na tak wyraźne wyzwanie Jerzy, zamiast dać folgę tłumionym zapalom, zakłopotał się. Rzeczywiście, ta kobieta jest zbyt kategoryczna...

— Od pani zależy dać mi nazwę. Mogę być wszystkim, czem pani być mi rozkaże. Sługą przecie jestem najwierniejszym.

— Sługą?... to się mówi. Zresztą ja nie szukam panowania... Ale najwierniejszym? tego już wcale nie rozumiem.

Jerzy pomyślał: »Dobry zwrot rozmowy!« — i od razu odzyskał potrzebny zapal.

— Tak jest: najwierniejszym. Żadnej myśli, żadnego zajęcia, żadnej ambicyi nie kładę na równi z pragnieniem oglądania pani, służenia jej i zasłużenia na jakiegokolwiek względy.

— A ten nagły powrót z Rzymu? Miał mi go pan wytłómaczyć...

— Jeżeli wolno wobec uczuć świętych wspominać o uczuciach zdrożnych i żalosnych, powiem, że zerwałem wszystkie więzy, które mogły mnie oddalać od pani. Cokolwiek stało na przeszkodzie, zdruzgotałem; com ceniał w zaślepieniu, zanim poznałem panią, poświęciłem.

Ręką wykonał wielki zamach, jakby mieczem zgładzał coś lub kogoś ze świata. Pani Anna spojrzała mu w oczy i powtórzyła giest jego w mniejszych rozmiarach:

— Jednem słowem, zupełnie?

— Jakichże pani chce przysiąg?!

— Wierzę. A zatem jest pan wolny?

Ten zwrot znowu mniej się spodobał Jerzemu. Obliczył, że do mieszkania pani Oleskiej już niedaleko; ten czas postanowił zapełnić monologiem.

— Wolny... o ile człowiek, podległy, jak ja, namiętnościom, może być wolny. Wolny, o ile znowu nie zależy świadomie od cudzej woli, która jest dla mnie prawem, a zarazem zagadką. Nie będę udawał, że nie cenię swojej wolności; owszem, szukałem jej w życiu; starałem się wyzwolić od przemocy tradycyi, od tak zwanych przyrodzonych obowiązków, od szablonów, przygniatających rozwój osobistości. Przyznam się pani jeszcze do jednego: mam intuicyę losu, który mnie czeka; odczuwam czasem powiew mego przeznaczenia. A wtedy przestaję mieć wolną

wolę, idę za skinieniem bóstwa czy Fatum i dla posłuszeństwa temu skinieniu gotów jestem poświęcić wszystko, wszystko...

Pozostawał jeszcze spory kawał drogi do drzwi pani Oleskiej, ale Jerzy nie potrzebował mówić dalej, gdyż Anna posmutniała, skłoniła głowę i zamyśliła się widocznie o czym innym.

Dzień zakończyli w tej pospolitości, przed którą wzdrygał się Jerzy: na obiedzie w licznej towarzystwie znajomych. Ale Jerzy już się nie skarżył; ten obiad leżał widocznie także w pasmie jego przeznaczeń, a zarazem dawał mu czas do namysłu. Skoro pozostał sam, zważył swe położenie i doszedł do wniosku, że chwila jest stanowcza. Trzyma już Annę pod władzą swych magnetycznych nakazów: ona już myśli o nim i tylko o nim, zwłaszcza gdy myśli o fizycznym szczęściu. Pora jest oświadczyć się i być przyjętym. Ale właśnie co do tego szczegółu, co do przejścia przez kościół i kancelaryę, Dubieński nie był jeszcze powiadomiony przez swe głosy wewnętrzne, których słuchał. Powiew przeznaczenia był pod tym względem niemy.

— Jednak ślub zdaje się jedyną drogą... Małżeństwo w moim wieku, na progu szerszego życia, jest ofiarą wielu innych aspiracji. Jest także początkiem i źródłem wszelkich kłopotów. Pozytywa moja towarzyska nie polepszy się przez małżeństwo z wdową, mającą już dziecko, noszącą nazwisko nieznane w Europie.

Dubieńscy zaś byli już w Europie znani: pradziad kasztelan wychowywał się w Wiedniu, w Theresianum, razem z księciem Józefem Poniatowskim... A ojciec??... A stosunki majątkowe??...

Jak natrętne muchy powracały te konsyderacje do rozpalonego czoła poety, chociaż bynajmniej nie opuszczał swego powołania. A powołanym do posiadania Anny czuł się wyraźnie. Tymczasem zaś, nieustraszony nawet przypuszczalną kapitulacją, mówił do swego gieniusza, jak jeden z marszałków Napoleońskich:

— Co możliwe, wykonane; niepodobieństwo mnie nieci.

I czuł się rycerzem.

Na dzisiaj zaś, aby jeszcze rozgrzać temperaturę dnia, której zauważył wieczorem obniżenie, zapragnął posłać Annie list albo wiersz. Wiersz przyszedł mu łatwiej. Ze świeżych wrażeń wyćieczki wyłowił same zapachy, rozpędy, żdźbła szaleństwa; starannie ominął dramatyczne wahania jej lub swoje.

Wiersz ułożył się w nocy, a rano był już w ręku pani Anny.

Pędzim tak drogami
Śród kwitnących drzew,
Wiosna pędzi z nami,
Pędzi woń i śpiew.

Pachną cedrów gaje,
Śpiewa morska toń,

Już ja nie poznaję,
Co jest śpiew, co woń.

Piosnki dziś nie złożę,
W ten pachnący czas,
Bo znów pachnie morze,
A zaśpiewał las.

Pachną twoje słowa,
Śpiewa luby głos,
Wstaje nuta nowa
Z nadwieczornych ros...

Wszystko jedno, Boże!
Czy to woń, czy śpiew...
Pachnie głośno morze,
Śpiewa zapach drzew.

XXII.

Fabiusz przyjechał ze Sieny do Antibes na godzinę przed dziesięciu dniami umówioną, ani wcześniej, ani później, i wkrótce potem był już w Nizzy, u pani Anny.

— Mizernie wyglądasz — rzekła Anna po przywitaniu.

— Gorąco już na południu, bardzo dużo chodziłem i pisałem nocami.

— A zresztą, jakże Siena?

— Wieża Babel nie dokończona, ale i nie rozwalona, najciekawszy może z posągów średnio-wiecznych rzeczypospolitych włoskich...

Opisał Sienę: przejmującą atmosferę ratuszowego placu i naszkicowane w kamieniu olbrzymie projekty katedry, cały gród zastygły przed zupełnem rozkwitem. Pomiął tylko to, co czuł sam, chodząc po tych wielkich grobowcach nie-nasyconej, upokorzonej dumy. Powracał zrezygnowany. Oświadczył Annie, że za parę dni wyjeżdża do domu.

— Daleś sobie przecie urlop do 15-go maja?

— Dałem, alem go nadużył. Zanadto się bawiłem, a szczególnie za dużo przestawiałem z bawiącymi się ludźmi. Przyznaję się do manii nawracania; chciałem pociągnąć za sobą niektórych znajomych, wmówić w nich swoje teorye. Ale nie wskórałem nic i sam zostałem poniekąd wciągnięty w obcy mi sposób życia. Dlatego wyjeżdżam wcześniej, bo czuję, że jestem tu bez pożytku dla siebie i dla innych, że nawet mogę swoją obecnością nudzić i zawadzać.

— Nieszczercze mówisz Fabiuszu; tak gorzko jakbyś szydził.

— Wobec ciebie, Anno, nie poważylbym się używać ani szyderstwa, ani obludy. Powtarzam poprostu: niema tu co robić.

— A mnie namawiają, żebym tu jeszcze została.

— Czy wolno wiedzieć, kto namawia?

— Zawsze ci sami.

Pani Anna zarumieniła się swoim zwyczajem, a Fabiusz nie korzystał wcale z jej zakłopotania, aby ją wybadać, gdyż odgadł już wszystko, w miarę jak zabiegi Dubieńskiego i skłonność Anny rozwijały się pod jego doświadczeniami oczyma. Wiedział, że z urokiem młodości walczyć nie warto, że porywów uczuciowych nie tamuje się najmědrszymi słowami. Ale z drugiej strony, ponieważ całem sercem pragnął dobra Anny i pragnął nieskazitelności jej moralnej, postano-

wił pomówić z nią otwarcie, zapominając zupełnie o sobie.

— Od czasu jak was nie widziałem, czy zaszła jaka stanowcza zmiana w zachowaniu się pana Dubieńskiego?

Fabiusz postawił to nagle pytanie jak spowiednik, nie patrząc w oczy penitentki. Nie mógł też zobaczyć na twarzy pani Anny odbłyśku nie tylko zdziwienia, lecz i nieprzyjemnego zawodu.

— Nie rozumiem, co Fabiusz chce przez to powiedzieć.

— Może mieszam się nie do swoich rzeczy, jednak tyle się znamy, tak serdecznie zajmuje mnie twoja przyszłość, że pozwalam sobie jeszcze raz zapytać: czy Dubieński ci się oświadczył?

— Nie.

— To źle. Takie rzeczy winny być jasne.

— Co Fabiusz chce przez to powiedzieć? — zawołała żywo pani Anna, rumieniając się mocno.

— Droga Anno! masz we mnie więcej niż sługę i przyjaciela. Nie wątpię nigdy o tobie, mówię tylko o ważnych względach światowych, które, mojem zdaniem, trzeba wziąć w rachubę. Świat powinien wiedzieć odrazu: ten pan stara się o rękę tej pani. Nie można dać wątpić o tem nikomu, bo poważanie należy się nawet od ludzi byle jakich, ludziom tak uczciwym, jak ty i ja, na przykład.

Anna przeszła od oburzenia do ironicznego trochę uśmiechu.

— Pierwszy raz Fabiusz wydaje mi się niekonsekwentnym. Znam kogoś, który podróżuje ze mną, jest u mnie codzień, a jednak... czy ja wiem w jakich zamiarach? Nie naszą rolą jest zapytywać o to.

Po twarzy Fabiusza przeszła nagle bladeść, opanowana kurczowym wysiłkiem brwi i policzków. Uśmiechnął się prawie zupełnie wesoło:

— To co innego! Starzy krewni nie liczą się... stare mentory, dziwaki... Ci mają tylko prawo... lub pretensję pilnowania korzyści i szczęścia pupilki, i dlatego ja troszczę się o to, jak został określony rodzaj zabiegów pana Dubieńskiego? Co ci powiedział? Gdzie zaszliście w zwierzeniach?

— Bardzo trudno to określić...

Przez chwilę Fabiusz wpatrywał się wzrokiem przenikliwym, ale i błagalnym w panią Annę, która, powracając do roli powolnej uczennicy, spuściła oczy.

— Ponieważ więc mówicie z sobą dużo, widujecie się coraz częściej, ponieważ on nie tai się ze swem uwielbieniem... Wszak nie inaczej?... Dotychczas powinien był już się oświadczyć. O twojej odpowiedzi nie przesądzam; ale co on powinien był uczynić, to wiem.

— Anna spojrzała na Fabiusza tak, jak umieją spoglądać tylko kobiety, pewne swego uroku i działania na mężczyznę: z drażniącym zaufa-

niem, w którym zalotność przybiera postać pokory.

— Co sądzisz o panu Jerzym? — rzekła.

— Nic złego o nim nie wiem; to mi wystarczy, żeby go mieć za porządnego człowieka. Mężczyźni są dla siebie instynktowo tak źle usposobieni, zwłaszcza w pewnych wypadkach, że muszę się wstrzymać ze swem zdaniem o Dubieńskim, bojąc się sądzić go niekorzystnie.

Anna spojrzała jeszcze przymilniej, jakby rozczulona pół-wyznaniem, które się Fabiuszowi wyrwało. Ale on nie pozwolił sobie na rozrzuwanie.

— Łatwo zrozumieć, że gdy chodzi o tak ważne dla ciebie projekty, mam uczucie prawie ojcowskie i chciałbym cię oddać w ręce zaufane.

— Wcale jeszcze tak nie jest... nie proszę o błogosławieństwo... sama nie wiem — rzekła Anna z nadąsaniem.

— Ja powiedziałem tylko to, co mi się wydało mym obowiązkiem.

Po wyjściu Fabiusza Anna chodziła sama po pokoju dziwnie podniecona. Więc i ten człowiek bezwzględnie prawy, na którego uczucia liczyła jak na światłość dzienną, w stanowczej chwili nie prosi o jej rękę, nie błaga o odpowiedź, jakby się należało, tylko zapewnia ogólnie o swem przywiązaniu i ostrzega o przyzwoitości w stosunku do innego konkurenta... Ach, ta miłość własna

męska, ta oględność, ta obawa, aby ktoś nie powiedział: dostał odmowę!

— Może też ja nie mam szczęścia? Może nie wzbudzam zaufania jako małżonka?... Może nie jestem dość dobrą partya?...

Splonęła wstydem na to przypuszczenie, a zarazem poczuła przypływ niechęci ku całej płci silnej, ku ich wyrachowaniom, ich kupieckiej logice. Obaj, dawny i nowy wielbiciel, zatrzymywali się namyślnie przed stanowczym krokiem; obaj, tak różni, ważyli swoją wygodę pierwej, nim osądzą, czy warto posunąć się do ostateczności. Fabiusz i Jerzy porównali się teraz w jej niechęci, a z tego porównania wychodził zwycięsko Dubieński. Ten ma przynajmniej wiele do poświęcenia, młody jest, rozpieszczony przez życie, przez kobiety... jest poetą, potrzebuje wolnych skrzydeł...

— A Fabiusz?... Przecie to byłby zaszczyt dla niego, gdybym została jego żoną. Nieby mi nie poświęcił, niezegoby się nie wyrzekł, nawet tych tam spraw społecznych... I on także namyśla się, nie na moją łaskę się zdaje, lecz na swoją niechybną metodę. Ja i moje szczęście także coś wartę!...

Łzy kręciły się jej w oczach, niedobre łzy gniewu i upokorzenia.

A Fabiusz tymczasem szedł ponuro, ciężko po ulicy, nie potrzebując już układać twarzy do swo-

bodnego uśmiechu. Oczy świeciły mu siłą rozpaczliwego postanowienia.

— Próbowałem być młodym, próbowałem szczęścia dla siebie. Stary jestem... Głowa i ręce jeszcze się przydadzą; nie mogę ich oddać na usługi młodej kobiety, chociażby najlepszej... Fałszywy kierunek...

Od paru już tygodni walczył z sobą, czując nieuchronność stanowczego kroku: albo oświadczyć się Annie, albo oddać ją Dubieńskiemu za żonę. Wstręt swój do tego młodzieńca tłómaczył sobie przez samcze współzawodnictwo, które starał się zrównoważyć bezstronnym namysłem nad dobrem i pożytkiem Anny. Ostatecznie nic zarzucić nie można Jerzemu: jest młody, zdolny, będzie miał majątek. Chodzi o to jak się podoba Annie. Ze smutkiem stwierdzał Fabiusz, że Anna inaczej, goręcej, z rozkosznem pomieszaniem przyjmuje obecność i słowa Dubieńskiego, gdy tymczasem jej uznanie dla dawnego przyjaciela jest już uczuciem dojrzałym, nie potrzebującym dalszych rozkwitów. Na takim istotnem powążaniu ze szczyptą jeszcze rozrzuśnięcia, można oprzeć wspólne pożycie, ale gdyby ustała współzawodnicząca gorączka młodości, z której albo przyszłe szczęście, albo zguba wyniknie. Gorączka wzmagala się, niestety. Walczyć z nią było interesem, ale nie obowiązkiem Fabiusza. A nawet wzdrygał się przed walką, choćby dlatego, że przewidywał na teraz przegraną.

— »Za błękitami był bój i zwycięstwo« — przypomniał sobie słowa wielkiego poety. — Dopiero za błękitami?... To otucha innych miłowań, niż miłość dla kobiety.

Tymczasem powołaniem jego jest inny bój, inne zwycięstwo na ziemi. Pomyślał o swym Śląsku, o cichym podboju ludu polskiego, który budził się po wiekach zniemczenia i poznawał z radością swych prawdziwych krewnych. Tam trzeba było jechać dla organizacyi szkół, dla walki wyborczej. Oczekiwano go i wzywano listami.

— Pojadę. Chciałbym jednak, aby Anna wyjechała także jak najprędzej, nie ze mną, ale jak najprędzej. Chyba, że zaręczyny?...

Przelknął westchnienie i szedł brzegiem morza, bez celu, nie mogąc odzyskać moralnej równowagi. Mijał obojętnie przechodniów, udał nawet, że nie widzi spotkanych znajomych. Ale para kobiet, idących naprzeciw niego, zadziwiła go i wyrwała z zadumy. Pani de Sertonville i Krysia Granowska, ubrane jednostajnie w białe suknie i marynarskie kapelusze, trzymały się pod rękę, poufale chichocząc. Fabiusz uklonił się i otrzymał w zamian od Fernandy lekkie skinienie głowy, a od Krysi ukłon trochę zakłopotany.

Minał je, obejrzał się jeszcze, wreszcie usiadł na ławce pod palmami, goniąc oczyma za oddalającą się parą kobiet.

— Co się tu dzieje jest zdumiewające! Żeby

pani Granowska mogła córce pozwalać na zażyłość z taką jejmością?! Pewno nie wie co to za jedna? Przecie Granowscy powinni dbać choćby o pozory!

Przyszła mu myśl prosta i uczciwa: ostrzedz panią Granowską. Będzie to usługą oddaną porządnym ludziom i rodakom, a niedyskrecją do przebaczenia, gdyż pani de Sertonville nie zasługuje na względy. Tylko sam gatunek postępu, rodzaj delatorstwa, nie przypadł Fabiuszowi do smaku; ale oburzenie zapamiętałego moralisty wzięło górę, i Fabiusz podążył do willi Granowskich.

Hrabina była zawsze w domu i przyjmowała chętnie. Chociaż Fabiusza znała bardzo mało, przyjęła go, sądząc, że po powrocie z Włoch, lub przed wyjazdem składa jej ceremonialną wizytę.

Zastał ją w oszklonej galeryi bardzo gorącej, gdyż chorej zalecono »kąpiele słoneczne«. Była właśnie pora takiej kąpieli; lokaj i służebna zasłaniaли stopniowo szyby małymi ekranami, urządzonymi, jak w pracowni fotografa, aby głowę hrabiny pozostawić w cieniu, a resztę osoby pod palącymi promieniami słońca. Te ciche i powolne krzątania się nie przeszkadzały pani Granowskiej przyjmować gości, których wystawiała na niebezpieczeństwo upieczenia żywcem. Służyło to za wstęp do rozmowy.

— Proszę tu usiąść. Leonio! proszę ocienić

pana! Temperatura jest wysoka, ale bardzo zdrowa. Trzeba ją znieść, aby uczynek miłosierny odwiedzin u chorej był zupełniejszy.

— Jak zdrowie pani hrabiny?

— Dużo, dużo lepiej. Te kąpiele słoneczne działają na mnie wybornie. Jestem silniejsza i gotowa do zniesienia kilku miesięcy w naszym miłosiernym klimacie... Pan powraca z Włoch — proszę mi coś powiedzieć o tych pięknych Włoszech.

Fabiusz pomyślał, że to wezwanie do elokwencji było albo dziecinne, albo impertynenckie. Opowiedział coś, ale bardzo mało; śpieszył do wykonania swego zamiaru i skręcił do niego obcesowo:

— Bądź co bądź, Włosi, choć mniejsi od swych przodków, są społeczeństwem normalnem. Nie spotkałem tam nigdzie takiej narośli społecznej jak Nizza, gdzie wartość ludzi moralna i towarzyska jest tak fałszywie oceniana, tak problematyczna, że ludzie szanowni ryzykują na każdym kroku zbratanie się z niegodziwcami.

— Bardzo surowo dla tej kochanej Nizy, której winnam powrót do zdrowia.

— Dom pani nawet, ta oaza dobrej krwi i dobrych zasad...

Fabiusz wykształcił ten frazes ze ściągniętymi brwiami, kłopotliwie, sądząc, że potrzeba masażu przed zadaniem cięcia. Hrabina słuchała bez zdziwienia, przyzwyczajona do hołdów, przypomina-

jąc sobie nawet podobne wyrazy innych gości, a teraz stwierdzała tylko, że ten Oleski jest zupełnie dobrze wychowany.

— Dom pani nie jest wolny od niebezpieczeństw.

— Oo...? co mi też pan mówi?

— Przyznaję się, że przyszedłem z zamiarem ostrzeżenia pani. Nie wiem, czy mogę mówić swobodnie?...

Rzucił okiem na lokaja i pannę służącą.

— Słowa po polsku nie rozumieją. Niech pan mówi po polsku. Tylko, jeżeli to coś przykrego... jestem bardzo jeszcze osłabiona... lepiej może nie wiedzieć?

— Nic tragicznego; proszę się nie obawiać. Proszę także mi wierzyć, że jedynie życzliwość i uszanowanie dla państwa przyprowadzają mnie tutaj, nie zaś osobista niechęć dla jednej osoby, którą pani przyjmuje.

Pani Granowska z rosnącym niepokojem przyglądała się gościowi, zaczynając żałować, że go przyjęła.

— Mówię o pani de Sertonville, bardzo zręcznej osobie, skoro potrafiła pozyskać miejsce w pani salonie i oddalić dotychczas bliższe wiadomości o swem awanturniku życiu.

— Co pan mówi?! czyż doprawdy?

— Jeśli pani może poprzestać na tem com powiedział, i oddalić na przykład od swej córki

tę niebezpieczną osobę, wolę nie zapuszczać się w wyliczanie różnych szczegółów.

— Przecie najpierwsze domy tutaj ją przyjmują...

— Za grubą opłatą. A zresztą najpierwsze te domy nie są jeszcze przykładem dla nas.

Pani Granowska nie wiedziała co począć ze stanowczością Fabiusza, którego oceniła jednak niepodejrzaną szczerość. Czy pytać dalej? czy ująć się za sympatyczną Fernandą? czy poskromić śmiałość tego obcego człowieka, który »nas« zdaje się mieszać z »nim«?

Przedewszystkiem ją samą, rekonwalescentkę przyzwyczajoną do pieśczenia się, drażniło przewidywanie jakiejś akcyi, jakichś rozporządzeń, wymagających nieprzyjemnych wysiłków energii.

— Jednak — chociaż oceniam pańskie intencje — zrozumieć nie mogę, dlaczego ta pani, spokojna, dobrze wychowana i szukająca oparcia z powodu swych nieszczęść, zasługuje na sąd tak surowy. Przytem — jesteśmy w Nizy — to ni-
by table d'hôtes w wagonie — rozmawia się z sąsiadami, póki się przy nich przypadkowo siedzi.

— Ale córka pani... spotkałem ją przed chwilą w towarzystwie pięknej Fernandy na ulicy...

— Tak, wyszły stąd razem. Niech mi pan jednak coś powie, coś zacytuje pewnego, gdyż od plotek kobiety piękne nie są wolne...

Fabiusz namyślił się przez chwilę, co wybrać za »status causae« pani de Sertonville, o której

zebrał dokładne informacje już dawno ze względu na możliwość jej bliższej znajomości z Anną.

— Czy pani wystarczy, gdy powiem, że ta Francuzka nie jest Hiszpanką, pochodzi z Marsylii, nazywa się Louise Martin, a kupiła tytuł hrabiny de Sertonville za pieniądze Rubensona, z którym dotychczas utrzymuje najściślejsze stosunki?

Nie mógł wybrać lepszego sposobu zgubienia Fernandy w opinii pani Granowskiej.

— Panie Oleski! Ufam, że to sprawdzone, zupełnie pewne, gdyż inaczej...

— Może pani wierzyć, że podobnych zarzutów nie stawiałbym bez niezbitych dowodów.

— Mój Boże! — zawołała pani Granowska — Krysia w towarzystwie osoby z fałszywem nazwiskiem! Mój Boże!

— Nie powiedziałem, że nazwisko jest fałszywe, tylko nabyte prawnie przez małżeństwo od zrujnowanego birbanta za grube pieniądze.

— Wszystko jedno! osoba tak niskiej ekstrakcyi...

— A jeszcze niższych instynktów, o których zamileczę.

— Dosyć, dosyć mi tego, co wiem. Leonio! — zwróciła się po francusku do służącej — proszę iść zaraz poszukać panny hrabianki... powiedzieć... że przyszły ważne wiadomości z domu, od pana hrabiego... żeby wracała natychmiast.

Skutek był osiągnięty. Pani Granowska nie tylko przełamała swą apatyę, lecz zdawała się

wpadać w gorączkę. Aż Fabiusz poczuł się w obowiązku zwrócenia uwagi, że nieostrożność już popełnioną należałoby naprawić ostrożnie, że nie warto dawać rozgłosu zerwaniu stosunków, aby nie nadto mówiono o samych stosunkach.

— Tak, tak... dziękuję panu. Ale jeżeli wypadnie mi powołać się na świadectwo czyje, choćby wobec mojej córki?...

— Odpowiadam za to, com ogłosił.

— Raz jeszcze dziękuję.

Czując się już zbytecznym, Fabiusz pożegnał się i wyszedł.

XXIII.

Trudno obliczyć, czy większe sprowadza spuszczenie profanacya świątyni, czy na odwrót — słowo uczciwe głośno wymówione w domu publicznym? W jednym i drugim przypadku powstaje popłoch, psując równowagę i harmonię stosunków. Wtowarzystwie nicejskiem kamień rzucony przez Fabiusza, wzburzył całą gładką powierzchnię, zanurtował nawet do głębi tę toń umiejętnie ułożonych prądów, starannie zatopionych mętów. Rzecz rozgłosiła się szybko, a choć dla wielu nie była nową, zgodzili się niemal wszyscy, że takich rzeczy — nie mówi się.

Najprzód Krysia, wezwana przez matkę do zerwania stosunków z panią de Sertenville, okazała silny, buntowniczy prawie opór, którego skutkiem bezpośrednim było tajemne zawiadomienie Fernandy, że Fabiusz opowiedział o niej »niestworzone rzeczy, nie wiem dobrze co, gdyż mama wszystkiego nie powiedziała«. Następnie obie przyjaciółki zdołały jeszcze pomówić z sobą, w ukryciu, za pośrednictwem służącej Leonii

która po zachodzie słońca nie była już czynna przy kąpieli słonecznej pani Granowskiej. W dalszym ciągu Fernanda wezwała do siebie Kobryńskiego, a w nocy, w klubie już kilkanaście osób dowiedziało się o postępkach Fabiusza, jedni z oburzeniem, drudzy z wybuchem śmiechu, wszyscy zgodnie przyznając, że takich rzeczy — nie mówi się.

Rozprawa pani de Sertonville z Kobryńskim była dramatyczna. Książę, coraz mniej przyzwyczajony do uśmiechów Fernandy, stawiał się na jej wezwanie nagle, późnym wieczorem, z ciekawością i obawą. »Czyżby zatęskniła do mnie?... Ale czy przypadkiem nie potrzebuje pieniędzy?...«

Od progu przyjęła go wielkim ruchem ręki, odrywając chustkę od oczu, choć oczy błyszczały raczej zawziętą jakąś gorączką, niż rozżaleniem.

— Wystaw pan sobie, co mi się zdarza!

— No? co takiego?

— Jeden z waszych rodaków, którego unikałam instynktowo, jak dotknięcia gadu, okazuje się rzeczywiście, wężem, kąsającym po cichu. Rzucił na mnie potworne oszczerstwa...

— Niezmiernie ciekaw.

Fernanda powstała nagle i rzuciła naprzód sprężystą swą postać, mierząc Kobryńskiego oczyma zranionej pantery:

— Ten, ten wasz filozof, którego bredni słuchacie! ten stary intrygant, rajfur pani Oleskiej!

Nawet Kobryńskiego, choć był wyrozumiały

na drobne błędy Fernandy, uderzył dobór wyrazów i odmienna jej postać. Zesztywniał trochę, a pani de Sertonville pohamowała się, usiadła i, zakrywając twarz jedną ręką, drugą wyciągnęła do gościa.

— Czy pan nie zechce stanąć w mojej obronie?... w obronie biednej, osamotnionej kobiety?...

— Jakież byłyby rozkazy? — zapytał Kobryński, całując podaną rękę, ale strzelając w bok oczyma. — A najprzód, co powiedział?

— Poważa się rozgłaszać o mnie, że noszę fałszywe nazwisko, że ktoś mnie... Nie zdołałam jeszcze dowiedzieć się o wszystkich jego wymysłach. Dość, że potrzebuję bata na niego, że chcę ukarać tę... kanalię.

Z trudnością panowała nad wyrazami i nad głosem, który od szlochania przechodził do twardej, ochrypłych wybuchów.

— Jesteś pan krewnym Granowskich?

— Jestem. Cóż z tego?... Aha, może im właśnie coś o pani wyjawiał?

— Wyjawiał?...

— Chcę powiedzieć: nakłamał.

— Zwąchał łotr, że najboleśniej mnie tem dotknął.

— Więc przed Krysią coś wyśpiewał?

Zmierzyli się wzrokiem. Kobryński miał minę dowcipną, a Fernanda trochę ostygła, starając się wybać z tej miny, czy Władzio nie jest zbyt domyslny.

— Oczernił mnie przed panią Granowską, to jeszcze gorzej. Wiedział, że najłatwiej zaniepokoić chorą i skrupulatną kobietę. A ja dbam o ten dom, w którym mi okazano bezinteresowną dobroć.

— Gdyby wiedzieć napewno, co tam nagadał, możnaby odrobić.

— To nie dosyć! Tego pana muszę ukarać, a sama nie mam na to doraźnego sposobu. Potrzebuję ręki i serca przyjaciela.

Kobryński pomyślał, że obiecać zawsze można. Rzekł więc z gięstem skromnie bohaterskim:

— Jeżeli rękę i serce moje poczytuje pani za godne, są zawsze na usługi.

— Spodziewałam się tego. Z mojej strony, jeżeli wdzięczność moja jest jeszcze dla pana coś warta, będziesz ją miał...

W czarnych jej, rozlanych oczach przebiegła lubość drapieżna.

— Mówią o mnie, że jestem lekkomyślna, a jednak na obietnicy mojej nikt się nie zawiódł.

Władzio rozpromienił się, chociaż bowiem nie wiedział jeszcze, czego od niego właściwie żądała, wiedział czego sam oddawna się doprasza.

— Powiedz, co zrobić?

— Nie śmiem dyktować, jak się ma zachować mój rycerz. Trzeba mnie pomścić, a pohańbić moich nieprzyjaciół.

— Pozostaje mi więc tylko przypiąć do hełmu barwy pani. Czy nie dostanę za moją goto-

wość jakiego odznaczenia? Gdyby tak order podwiązki?

— To bardzo wysoki order, jeszcze nie zasłużony.

Narada przybrała inny kierunek, sentymentalny. Kobryński wyszedł zadowolony i pełen rycerskiego ducha.

W klubie opowiedział kilku przyjaciółom postępek Fabiusza, dodając szczegóły obciążające. Według tej wersji, Oleski, obrażony na panią de Sertonville za okazane mu lekceważenie, starał się podkopać jej pozycję towarzyską, opowiadając Granowskiemu o jej fałszywym nazwisku. Ale on, książę Kobryński, nie tylko znał osobiście hrabiego de Sertonville, lecz był wtajemniczony w historię tego małżeństwa. W którym strona żeńska miała bardzo piękną rolę.

Potem usiadł do gry i pierwszy raz od kilku tygodni wygrał znaczną sumę. Doszedł do wniosku, że Fernanda »przynosi wenę«, i że jego kampania tegoroczna zakończy się spełnieniem wszystkich życzeń, praktycznych i sercowych. Zapłacił z wygranych pieniędzy należność d'Anjorant'owi, najpilniejszą; czuł jeszcze bilety bankowe w kieszeni i siedział do późnej nocy w gronie przyjaciół przy winie, rozprawiając z wyższością o teorii gry i o prawach towarzyskich, których, niestety, styl i władza są w upadku z powodu, że zbyt łatwo przypuszczamy do towarzystwa osoby, nie zalecające się ani przez

urodzenie, ani przez wychowanie. Naprzykład Oleski popełnił więcej niż głupstwo: zamącił spokój towarzyski i napadł na bezbronną kobietę.

Znajdował echa mniej więcej zgodne. D'Anjorrant, dobrze dziś usposobiony dla księcia, był jego zdania; tylko nie brał zająścia ze strony tragicznej, ograniczał się na niemiłosiernem szydze- niu z Fabiusza:

— Widocznie wasz Rzymianin, pod koniec sezonu, zapragnął urzędu cenzora. Bywali już i tacy Fabiuszowie. Temu możeby kto zawczasu doradził rejteradę do wiejskiego zacisza, bukoliki, zbiór siana, pisanie pamiętników?... Inaczej mogliby go konsulowie skazać na wygnanie.

Schwind zważał rzecz ze stanowiska czysto ry- cerskiego: nie napastuje się kobiet. De Nielles podążał w szyderstwie za d'Anjorrant'em:

— Możeby się Fabiusz zgodził na dobosza do »armii zbawienia«. Byłby imponujący na tem stanowisku.

Jeden Słuszka, choć nie pochwałał Oleskiego, nie cieszył się z jego pomyłki:

— Musiał mieć pobudki, o których nie wie- my. To człowiek uczeiwy. Pod tem coś się kryje...

— Gdyby nawet kryła się prawda, — rzekł d'Anjorrant — ogłaszać ją w tej formie jest ka- pitałnem głupstwem.

Odezwał się znowu Kobryński:

— Kiedy i prawdy niema. Pani de Serton- ville jest zameżna. Jakie były jej stosunki z mę-

żem, to do nikogo nie należy. Pozycya światowa jest regularna. A przytem chciałbym wiedzieć, dlaczego Oleskiemu mielibyśmy zdawać sprawę z naszych obyczajów?!

— »Naszych« to znów dla nas za pochlebne, kochany książę — rzekł d'Anjorrant. — Nie je- steśmy dość piękni, ani dość... Hiszpanami, aby w pogardzie opinii dorównać słynnej Fernandzie. Każdy ma swoją specjalność. My mamy inną.

Kobryński zmiarkował z rozmów, że wpraw- dzie Fabiusz niema tu przyjaciół, ale pani de Sertonville, jeżeli ich ma, to bardzo podejrzanych. Tem trudniejszą wydała mu się misya upokorze- nia, zgnębienia lub nawet wygnania Oleskiego, i nie wiedział, jak się do niej zabrać.

Liczył na swą intuicyę. Żałował tylko, że Fa- biusz nie bywa w klubie. Żeby go miał tutaj, teraz, potrafiłby go »urządzić«. Trzeba było je- dnak czekać do jutra.

Nazajutrz trzeźwe powietrze poranne przy- niosło mu trochę ostrzeżeń. Gdy spotka Fabiu- sza, nie może wyraźnie ujmować się za Fernandą z dwóch powodów: popierwsze nie wiadomo, jaki w tym dziwaku mieszka animusz wojowniczy? powtóre: oficjalnie występować jako obrońca pa- ni de Sertonville byłoby trochę śmiesznie, a tro- chę też zuchwale ze względu na żonę. Dubień- skich i tak zwane »gniazdo«. Że jednak był w wenie, wynalazł dobry wstęp do działania. Przystąpi do Fabiusza nie groźnie, lecz z rozża-

leniem, i nie wyraźnie w obronie Fernandy, lecz niby od krewnych swych, Granowskich.

— Wybornie! Władzio ma jeszcze głowę na karku.

Powiodło mu się spotkać Fabiusza samego w restauracyi, na śniadaniu. Usiadł przy innym stole, także samotny, i pilnował wyjścia swej ofiary; gdy Oleski wyszedł, Kobryński dogonił go na ulicy.

— Pragnąłbym otrzymać od pana pewne objaśnienia w dość delikatnej materii.

Mówił ze spuszczoną głową, zamyślony, czy zakłopotany? gniewny, czy przygnębiony? Nie można było nic wyrozumieć z tej twarzy. Fabiusz, choć bez przyjemności odpowiedział:

— Służę panu.

— Krewna moja, hrabina Granowska, bardzo żywo odczuła pewne... odkrycia, któremi panu znał za stosowne z nią się podzielić.

Fabiusz stanął jak wryty. Błyskawicznie przebiegł myślą drogę, odbytą od wczoraj przez jego wyznanie, i zgadł, że Kobryński był uwiadomiony nie bezpośrednio, lecz przez panią de Sertonville.

— Czy pani Granowska poleciła panu rozmówić się ze mną?

— Och, nikt mi nie polecił — rzekł Kobryński niedbale; — ciekawość tylko mnie zdjęła do wiedzieć się, w jakim celu zechciał pan rzucać

niepokój w serca aż trzech kobiet, pozostających tutaj bez zwykłej męskiej opieki?

Fabiusz zaciął wargi; pohamował się i rzekł spokojnie:

— Jeżeli pan ma wyraźne zlecenie od pani Granowskiej, wytłomaczę. Jeżeli zaś nie, tłomaczyć się nie widzę powodu.

— Jednak dobro i zdrowie moich krewnych żywo mi obchodzi. Także dla pani Sertonville mam wiele przyjaźni i znam lepiej jej historię, niż ludzie daleko od niej stojący i powiadomieni... fałszywie.

— Mości książę! najgorszym sposobem porozumienia się jest retoryka. Czy pan chce porozumieć się ze mną?

Kobryński zmiarkował, że Fabiusz uniknąć chce sprzeczki. Mówił zatem coraz twardziej:

— O porozumienie z panem chodzi mi... że tak powiem, nawiasowo. Ale niesprawiedliwość wyrządzona oburza każdego sumiennego człowieka...

— Przepraszam, o tem ja sam będę sądził, czy miałem prawo ostrzedz panią Granowską o niewłaściwości dla jej domu takiego towarzysztwa, jak pani de Sertonville.

Kobryński uśmiechnął się gorzko, ironicznie:

— Doprawdy, sądzi pan trochę powierzchownie, panie, Oleski! Na pozorach i plotkach, za których fałszywość ja ręczę, — słyszy pan, panie Oleski? osnuł pan niewielką akcyjkę moralną,

której wynikiem jest, że hrabina Granowska zachoruje z niepokoju, a hrabinie de Sertonville nikt drzwi nie zamknie, co mogłoby się przeciwnie innym przytrafić.

Fabiusz wyprostował się. Poważna twarz jego powlokła się bladością uroczystą. Odpowiedział dobitnie:

— Przyszła chwila, w której pan spodziewał się usłyszeć ode mnie słowa wyzwania. Nie usłyszysz ich pan. Proszę to sobie poczytywać za tryumf.

Zauważył teraz dopiero, że Słuszka zbliżył się i słuchał mocno zdziwiony.

— Panie Eustachy! — zwrócił się do niego Oleski — książę Kobryński udzielił mi nagany w imieniu pani Granowskiej i pani de Sertonville. I nie pociągam za to księcia do odpowiedzialności. Inaczej zapatrujemy się na przyzwoitość i obowiązki; postanawiam więc odtąd unikać rozmów z księciem, jego krewnymi i przyjaciółmi.

Uklonił się sztywno i odszedł.

Kobryński zaś wziął Słuszkę pod rękę i, nie znajdując po polsku formuły na swe oburzenie, zawołał po fransusku:

— *Joli coco! quoi?*

Słuszka nic nie odpowiedział.

XXIV.

Kobryński nie omieszkiał ogłosić wielu znajomym, że »zmył głowę« Oleskiemu. Gdy mu nie dowierzano, zasłaniał się świadkiem:

— Niech Słuszka wam opowie; był obecny.

Słuszka jednak wzbraniał się; mówił, że nie słyszał całej rozmowy, a Władziowi radził poufnie, aby się nie chwalił, gdyż, jeżeli postępowanie Oleskiego było niejasne, jego rola, Kobryńskiego, była natomiast trochę śmieszna.

Kobryński poszedł jednak pochwalić się Fernandzie ze względu na obiecaną wdzięczność, ale doznał przykrego zawodu, gdyż dama, dowiedziawszy się, że ani pojedynku nie będzie, ani Oleskiego nikt dotąd nie obił, nie zbecześcił, nie oczernił w gazetach, okazała swemu rycearzowi najwyższe niezadowolenie. Była zaś w czarnym humorze, gdyż pani Granowska nie przyjęła jej dzisiaj, a nawet oczekiwanego od Krysi listu zabrakło.

Władzio rozkrzyżował ręce:

— Cóż pani chce? sztyletami już się w naszych czasach nie wojuje.

— Tak. Mężczyźni bez nerwów nie są do tego zdolni.

Kobryński wyszedł obrażony.

— Niech, dyabli porwą tę...

Przyznał Fernandezie po raz pierwszy tytuł jej należny i pomyślał, że dosyć zabiegów o nią. Wykreślił ją gwałtownie z szeregu swych ambicyi. Teraz tylko odegrać się, a wyprawa na Południe udałaby się niezgorzej.

Poszedł do klubu.

Wypadki zatem ostatnich dni miały skutek obosieczny. Pani de Sertonville była blizką bankructwa z powodu Fabiusza, a Fabiusz podrzucony w opinii z powodu pani de Sertonville. Skąd wynika, że nie trzeba nic poruszać w towarzystwie dobrze ułożonem.

Oleski nie był powszechnie lubiony w Nizzy, ale budził instynktową obawę; jest to zasada do poważania skuteczniejsza za naszych czasów od przestarzałej cnoty. Teraz zaś dowiedziano się z radością, że można go lekceważyć: jest niezgrabny i nie dość buńczuczny w odpieraniu napści. Może tylko chrześcijanin i nie więcej?... Moralisci klubowi skrzętnie zanotowali te spostrzeżenia.

Szczegóły drażliwych rozmów i komentarze o nich prędko rozniosły się po mieście. Doszły i do pani Oleskiej przez lady Cosway. Zadziwiła

się, że nic o nich nie wie od Fabiusza, którego zresztą od dwóch dni nie widziała. Zakopał się w Antibes dla dokończenia jakiejś pracy przed wyjazdem. Sprowadzony telegramem, przybył do Nizzy, smutny i zimny, potwierdził obiegające wieści i nie odzyskał w rozmowie z Anną tego tonu wmawiającego gorące uznanie, który był mu pozyskał serce przyjaciółki.

Anna posmutniała także, gdyż poczuła jakieś oddalenie moralne od Fabiusza, a może i dlatego, że pierwszy raz postępowanie jego nie budziło w niej owego gorącego uznania. Kobiety lubią rycerzy.

W godzinę później zjawił się Dubieński, gość coraz częstszy, mający już »swoje godziny« od czasu, jak przerwały się »godziny Fabiusza«. Zrazu pani Anna zapragnęła pomówić z Jerzym o wypadkach wczorajszych i przedwczorajszych.

— Co mówią o tem?

— Mówią rozmaicie, niechętnie, jak zwykle próżniacy i ludzie, mający sobie dużo do wyrzucenia. Ja zaś bardzo krytykuję zachowanie się mego szwagra.

— Doprawdy?

— Tak dalece, że postarałem się prywatnie i oczywiście tajemnie, nakłonić go do naprawienia swej nierozwagi.

— W jaki sposób?

Jerzy dobył z kieszeni list niezapieczętowany z adresem do Fabiusza Oleskiego.

— Niech pani będzie łaskawa przeczytać.

Anna rozwinęła arkusz. Niema na świecie kobiety, któraby nie przeczytała dozwolonego świeżego pisma.

Kobryński oświadczał w tym liście Oleskiemu, że żałuje słów w nerwowem podnieceniu wymówionych i że, uprzedzając wszelkie rekryminacye sam poczuwa się do odwołania swego sądu o akcyi, którą źle oceniał pod wpływem fałszywych ubocznych informacji. Zapewniał wreszcie o swem poważaniu i prosił o zachowanie mu przychylności, którą wysoko ceni.

List był odruchowo szlachetny, rycerski i wcale do Władzia nie podobny. Anna, mocno, zarumieniona, zapytała:

— To pisał księżę Kobryński?

— Przyznam się, że dyktowałem.

Anna chciała dziękować, ale zatrzymała się. Oczy jej dosyć mówiły Jerzemu, a dziękować wydało jej się ubliżającym dla Fabiusza. Po chwili rozrzuconego milczenia rzekła:

— Bo pan sądził, że Fabiusz ma rację i że mu się to należy?

— Najzupełniej.

— Działał w szlachetnym zamiarze, ostrzegając panią Granowską, a potem nie chciał sprawy rozmazywać.

— Oczywiście. Postąpił uczciwie i poważnie, ale trafił na ludzi, którzy go nie umieli zrozumieć.

— Pan jednak rozumiał go?

— Pochlebiam sobie.

— I panby tak postąpił na jego miejscu?

Tu Jerzy złożył ręce w małydrzyk, skrzył się całym torsem i wreszcie skromnie wymówił:

— Nie. Jabym się na to nie zdobył.

— A więc?...

— Nie mam dosyć powagi. Może w jego wieku... Nie umiem kłamać przed panią. Jabym się pewno nie mieszał najprzód platonicznie do cudzych stosunków, a potem zapewne nie utrzymałbym nerwów na wodzy.

— Jednak pan przyznaje słuszość Fabiuszowi?

— Z jego stanowiska, zupełną.

— A ten list wymógł pan na szwagrze dla czego?

— To już pani niech zgadnie.

— Dobry z pana przyjaciel i dobry człowiek.

Niezwyczajnie ciepło biło od jej postaci, dzwijało w jej głosie. Jerzy rozpromienił się; aby nie spłoszyć wrażenia, które wywarł, był cichy, naturalny i skrócił odwiedzin, mówiąc, że list musi natychmiast wysłać do Antibes.

Pani Anna pozostała w słodkiem harmonijnem zadumaniu: popędy jej sercowe dostrajały się do wymagań sumienia. Człowiek, który tak szlachetnie myśli, tak się różni od pospolitych spekulantów życiowych, może mieć tylko pożądane zamiary. Myśli zaś ciągle o niej, zgaduje i uprzedza jej życzenia, podbija serce jej i sza-

cunek, nietylko zmysły. A piękny przytem i towarzysz... Dojrzały także, roztropny, umiejący znaleźć sobie drogę pośród ludzi. Po co bronić się od niego? Jest już swój, bliski i kochany. Trzeba chwycić szczęście, które w jego postaci przechodzi. Trzeba...

— Wyszedł... Dlaczego wyszedł? Chciałabym mu głowę położyć na ramieniu...

.....

Tego dnia był silny upał, niedogodny zwłaszcza dla ludzi otyłych, którzy mają dużo do roboty na mieście. Dawał się też we znaki Rubensonowi. Poczciwy bankier, wzięwszy do serca krzywdę wyrządzoną pani de Sertonville, był u niej dzisiaj już dwa razy, potem szukał kogoś w różnych miejscach, w klubie, zajrzał do Crédit Lyonnais i powracał do Fernandy po raz trzeci. Trud oblał go strumieniami potu, ale oczy mrugały zadowoleniem dobrego uczynku.

— No i co? — przyjęła go Fernanda z ciekawością, która z jej oczu biła namiętnymi iskrami.

— W porządku. Rzymianin dostanie nauczkę, po której albo cię publicznie przeprosi, albo nie będzie mógł się pokazywać w Nizy.

— Któż mu da tę nauczkę?

— Ktoś, z którym on będzie się musiał liczyć.

— Może d'Anjorant?! — zawołała Fernanda, wstrzymując oddech aż do odpowiedzi.

Rubenson przetrzymał ją trochę, poczem wymówił wolno:

— Tak jest, sam pan margrabia.

Fernanda pachnącemi dłońmi ujęła twarz Rubensona, w której zwichrzonych zaroślach ruszały się mokre, mlaskające wargi.

— Jesteś kochany! Inni mogą być piękniejsi, aleś ty mój.

I trwała chwilę ta scena, prawdziwie miłosna, której słowami oddać nie można. Trzebaby chyba złożyć fantasy czną sielanekę o syrenie zakochanej w polipie morskim. Nietylko piękne twory umieją kochać, a gdyby mierzyć siłę uczucia z wewnątrz, nie z powierzchownego stanowiska estetyki, Fernanda i Rubenson, syrena i polip, byłiby może najlepiej dobraną parą.

Kochanek lubował się dalej w wystawianiu swych zasług, ona zaś słuchała ze współczuciem gorącym, jakby obliczali razem wspólne skarby.

— Nie pomógł nic Kobryński — książę, tani książę — nie pomógł Dubieński — faworyt mojej królowej. Tylko jeden Rubenson wynalazł sposób.

— Nie udawałam się do Dubieńskiego. Nudzi mnie.

— On mnie już dawniej nudził. Ale wolno pani, wszystko jej wolno...

— Mój dobry przyjacielu! zamiast udawać głupich, powróćmy do najciekawszej sprawy. Jak wzięłeś Raula? Opowiedz szczegółowo. Twój dowcip mnie zachwyca.

Rubenson rozparł się w fotelu i zabębnił palcami po kamizelce.

— Trzeba znać psychologię... Raul nie jest w dobrych interesach. Ja wiem to: on nie jest w dobrych interesach. Potrzebuje dużo na takie życie w Paryżu i Nizy, więcej niż dwa razy swój dochód, bo papa d'Anjorant także dużo potrzebował i zostawił długi. Majątek margrabiny będzie dobry dopiero po śmierci jej rodziców. Dlatego on musi robić operacje. A ktoś je zrobi za niego, jeżeli nie ja? On się na tem tak zna, jak ja na... doprawdy nie wiem, na czym ja znam się tak źle, jak on na giełdzie. Dlatego ja Raulowi jestem bardzo potrzebny. Ja na niego mam duży wpływ...

— To wiem. Ale jak przystąpiłeś do przedmiotu? Przecie nie robi on odrazu wszystkiego co każesz?

— To zależy...

Nawet Fernandę niecierpliwił ten zwrot mowy właściwy Rubensonowi.

— Od czego zależy? Mnie przecie wszystko możesz powiedzieć.

— Ja to wiem. Ale są rzeczy nieprzyjemne, o których nie warto mówić. Miałem bardzo nieprzyjemną rozmowę z Rauliem...

Skrzywił twarz pooraną już tak wyrazistymi fałdami przez namiętne walki, że najbliższy do datek zamieniał to »zwierciadło duszy« w tragiczną maskę.

Fernanda знаła swego Rubensona. Gdy mówił o »rzeczach nieprzyjemnych«, znaczyło to, że interes był kosztowny. Wiedziała również, że Rubenson ma wstręt do wymieniania cyfr, że operuje pewnie i tajemnie. Zapytała jeszcze:

— Powiedz przynajmniej, czy grubo cię to kosztowało?

Maska tragiczna rozplynęła się w potwornie lubieżnym uśmiechu:

— Nie tyle, ile warte twoje zadowolenie.

XXV.

Na skrajnym cyplu przylądka Antibes, słynnego pięknnością ogrodów, stoi pałac w stylu francuskim, niedawno zbudowany, wkrótce zaś opuszczony przez właściciela i zamieniony na hotel. Od pałacowego tarasu szeroka aleja prowadzi przez gąszcze drzew południowych do miejsca nad morzem, gdzie można śnić pod pałacem słońcem. Mimowolnie śni się tu o Afryce, której przeciwległe dalekie wybrzeża, choć niewidoczne, muszą tak samo wyglądać. I tutaj wśród bogatych zagajen sterczą gdzieś tam palmy, a bliżej bieli się mały meczet, pod nogami zaś na złomach rudnej skały rozkładają się symetrycznym haftem kwiaty portulaki, karmazynowa na zielonem tle. podarta arabska makata. Przez mleczno-błękitne, gorące opary widać na morzu wyspy Leryny.

Ten kąt ziemi wspinały, a jednak mniej ludny, obrał sobie za mieszkanie Fabiusz Oleski. Tutaj, w pachnących gąszczach ogrodu, albo wczesnym rankiem nad morzem, snuł zwykle i spisywał swoje rozmyślenia, poczem przenosił

się do gwaru nicejskiego, w którym znajdowała się Anna. Od powrotu zaś ze Sieny cały prawie dzień spędzał w swoim Antibes, ociągając się jeszcze z wyjazdem dla ukończenia dzieła, które dawno rozpoczał.

Wypadki i ludzie tutejsi dostarczali mu wątku, jako negacya jego ideałów i pragnień społecznych. Tak żyć nie można i nie trzeba; tego był pewien. Myślał już dawno o zdemaskowaniu, o nazwaniu po imieniu prądów wstecznych, panoszących się pod tytułami: pozytywizm, utylitaryzm, kosmopolityzm. Tutaj, mając pod oczyma najbujniejszy rozkwit życia opartego na tych zasadach, notował objawy rozkładu groźnie plamiące to życie. Czuł jednak, że trudniej niż gdzieindziej zdobywa się na sąd spokojny: sam miał swą sprawę sercową tutaj, przeto i wiele kierunków, a nawet osób nienawistnych. Czuł w sobie rosnący niepokój gorzki i niepłodny, ten stan nerwowy, który jest wrogiem szczęścia ludzkiego.

Dzisiaj było mu i fizycznie źle, bo skwar leżał ciężki przy ziemi i burza wisiała w powietrzu. Przez wierzchołki drzew przechodziły od czasu do czasu podmuchy niepokojące, dramatyczne. Morze parowało widocznie mgłą gęstą, prawie szafirową, i pomruk fal stawał się silniejszym.

Fabiusz otrzymywał też od rana listy drażniące. Najprzód od pani Anny list przyjazny, zapytujący o wyjazd, o projekty, z wymówką za

dwudniową nieobecność w Nizzy. List ten był mu przykry. Takie, widać, odczepne dla starego sługi, którego się nie odprawia, ale też i nie potrzebuje... Jak się masz, Fabiuszu? dokąd tak sobie idziesz?...

— Powinienem był przewidzieć, że ten przekłety kraj zaczadzi ją zapachami albo i otruje... Dubieński?... Żeby miał więcej wad widocznych, możnaby działać przeciwko niemu, ale nie ma wad... Jedną tylko kapitalną, że za łatwo godzi się z tutejszymi ludźmi, z ich trybem życia. Kto inny nazwie to talentem.

Przyszedł potem list od Kobryńskiego.

Fabiusz przejrzał go, odczytał i zarumienił się.

— Co to jest? Jakaś protekcyja! Sam Kobryński nie wymyślił tego listu.

Nieproszona szlachetność tego wystąpienia wzburzyła Oleskiego.

— «Uprowadzając wszelkie rekryminacje...» Wiedział przecie, że rekryminacyi nie będzie. W tych wyrazach jest nie tylko nowa krytyka mojego postępowania, lecz i dowód cudzego współpracownictwa... Komuż miałbym zawdzięczać? Przyjaciół mam mało. Anna nie mieszałaby się do tych rzeczy. Może Słuska?... Bez porozumienia ze mną?... A gdyby przypadkiem... Dubieński?...

Samo to przypuszczenie obraziło go bardziej, niż natchnione przez zemstę pani de Sertonville słowa Kobryńskiego, niż krytyka, którą przecz-

wał w klubie nicejskim. Żałował też naprawdę swych działań ostatnich: ostrzeżenia pani Granowskiej i puszczenia płazem Kobryńskiemu jego pretensjonalnej perory.

— Jedni mnie ostro sądzą, inni mnie bronią, nie wiem co wolę z dwojga; jestem pod opieką tego nienawistnego stada, które już zabierałem się pożegnać na zawsze. To doprawdy zbyt śmieszne dla mnie. Tylko kobieta może poważnego człowieka zapędzić w takie opaly!

Gdy spostrzegł, że czyni zarzut pani Annie, z tego, że sam za nią podążył i pozostał w Nizzy, cofnął się przed własną niesprawiedliwością, ale znów powracał do gorzkich poprzednich rozmyślań. Opanował go niepokój i niezadowolenie z siebie. Nie mógł odzyskać równowagi.

Przed wieczorem przyszła wielka koperta z herbem, którego rysunek Fabiusz pamiętał: te dwa anioły klęczące, zwrócone ku sobie wystudyował na jachcie d'Anjorant'a w pamiętny ranek, gdy oczekiwał powrotu Anny z uczty na morzu. Znak i ten, który go nosił, był dla Oleskiego symbolem sił nienawistnych.

— A to co? zaproszenie jakiegoś?

List brzmiał jak następuje:

»Panie!

Zmuszony widzieć się z panem dla objaśnień w sprawie osobistej, upraszam o możliwe rychłe oznaczenie mi miejsca schadzki. Udałbym się

do pana lub zaprosił go do siebie; ze względu jednak, że rozmowa nasza właściwiej i dogodniej odbyć się może na gruncie neutralnym, proponuję klub nicejski, w którym oczekiwać będę do wieczora pańskiej odpowiedzi lub, w razie zgody, przybycia.

Z poważaniem
Margrabia d'Anjorrant.»

Celu tego listu ani przedmiotu rozmowy Oleski nie odgadł. Ale doznał raczej przyjemnego wstrząśnienia, które wyrwało go z koła trapiących wspomnień. Coś się objaśni, coś stanowczego może wyniknąć; nadarza się nawet sposobność potraktowania tych ludzi jak na to zasługują. Zdał sobie sprawę, że z pomiędzy «tych ludzi» najchętniej potraktowałby d'Anjorrant'a.

Po krótkim namyśle zajrzał do rozkładu jazdy pociągów i otelegrafował, że stawi się w klubie w Nizy o pół do dziesiątej.

Gdy margrabiemu oddano kartę Fabiusza, siedział przy partyi écarté. Kazał gościa prosić do pustego gabinetu i, przerywając grę, udał się tam.

Podali sobie ręce, jak znajomi, jednak bez żadnych formalnych serdeczności, i usiedli.

— Oszczędzę panu i sobie wstępu o delikacności materji, gdyż pan może zgaduje w jakim celu ośmieliłem się go niepokoić?

— Nie mam pojęcia!

— Sądzilem, że już panu mówiono o tem...

Ale skoro nie, muszę zacząć od przypomnienia pewnej rozmowy, którą pan miał przed trzema dniami z panią Granowską o pani de Sertonville.

Oleski nie spodziewał się, ażeby d'Anjorrant podjął się dublowania roli Kobryńskiego. Skoro się o tem dowiedział, uradował się i uczuł się panem położenia.

— Więc to ma być naszym przedmiotem! w takim razie jestem już powiadomiony: pani de Sertonville czuje się obrażoną. Bardzo żałuję...

Margrabia wpadł w ton poufniejszy:

— Przepraszam, że przerywam. Chcę przed panem usprawiedliwić moje wmieszanie w tę sprawę. Z pozycyi mojej tutaj wynika, że zapytywano mnie o zdanie w tej kwestyi; udzielałem go oględnie, jednak utaić nie mogę, że wyraziłem sprzecznym z pańskim poglądem. Pani de Sertonville nie zasługuje na sąd tak surowy, i gdyby pan znał ją tak dobrze, jak my wszyscy, z pewnością zmodyfikowałby swe zdanie o niej.

— Czy mam zaszczyt mówić z sekundantem? nie... to się jeszcze nie zdarzyło... więc z przyjaciелеm, z parlamentarzem pani de Sertonville?

D'Anjorrant spojrział z niedowierzaniem na Oleskiego, pozostał jednak przy tonie swobodnym:

— Rzeczywiście nie sekunduje się kobietom, bo niema też w naszym towarzystwie zwyczaju publicznego ich obrażania. Ja zaś tłómaczę się, że sam jestem mocno zainteresowany wyrażoną

przez pana wątpliwością, czy pani de Sertonville może, lub nie może być przyjmowana przez Granowskich. Jak panu wiadomo, pani de Sertonville bywa u nas wszystkich. Odkrycia więc skandaliczne o niej zaniepokoiłyby i mnie, ze względu na mój własny dom. Ponieważ jednak te odkrycia są mylne, oparte na domysłach, które łatwiej zburzyć, niż uzasadnić, przyzna pan, że całe towarzystwo tutejsze może mieć pewną pretensję do pana i żal, który wypadłoby jakoś ukoić.

— Ja powiedziałem tylko, — rzekł Fabiusz z okrutną prostotą — że ta pani nazywa się Louise Martin i że kupiła swój tytuł za pieniądze Rubensona, z którym żyje oddawna.

D'Anjorant podskoczył na krześle.

— Ależ panie Oleski! Jak można wierzyć?!...

— O innych jej skłonnościach, niebezpiecznych dla młodej panny Granowskiej, o wielu szkodliwych kochankach, o fantazyach przygodnych, jako rzeczach trudniejszych do stwierdzenia, nie wspominałem wcale. To zaś, co powiedziałem, mogło być niewiadome tylko kobietom, zostającym tu bez męskiej opieki, jak pani i panna Granowskie. Te ostrzedz wydało mi się obowiązkiem; tamtą oszczędzać — niedozwolonem pobbazaniem.

Margrabia tyle naraz usłyszał rzeczy wymagających odpowiedzi, a tak mało się ich spodziewał, że wolał trzymać się jeszcze zamierzonego z góry planu swej przemowy.

— Rozumiem pana oburzenie, ale zgaduję za-

razem, że musiał pan natrafić na jakiegoś zakłętego wroga pani de Sertonville, który ułożył potworną o niej legendę. Te rzeczy są mi znane; połowa ich jest z gruntu nieprawdziwa, druga należy do rzędu tych podań, które krążą o wszystkich kobietach pięknych, separowanych i będących... w ruchu. Chyba Inkwizycya hiszpańska zdołałaby wykryć i osądzić te tajemnice i zagadki kobiece, a my żyjemy w czasach wyrozumialszych, może nawet lepiej pojmujemy istotę chrześcijaństwa.

— Skoro zaczynamy żartować, możemy powiedzieć i o chrześcijaństwie — wtrącił Fabiusz ze swobodną ironią,

D'Anjorant siłił się już na cierpliwość:

— Żarty byłyby tu nie na miejscu. Nie cofam wcale wzmianki o ideach chrześcijańskich, które, mimo życie bardzo świeckie, wysoko cenię i staram się wedle możności stosować. Do tych idei należy miłosierdzie i zaniechanie sądzenia bliźnich, aby i nas nie sądzono. Gdy jednak pan nie chce słyszeć tych przypomnień ode mnie, czemu się nie dziwię, gdyż kaznodzieją nie jestem, może pan zechce zapytać się swego *criterium* moralnego i honorowego: jakie zadośćuczynienie należy się osobie pokrzywdzonej przez pana?

— Nie krzywdzę nikogo, — odrzekł Fabiusz ponuro — tylko oddaję każdemu, co się komu należy.

— Powtarzam po raz trzeci, że posądzenia

pańskie są niesłuszne. A że dotyczą osoby, która należy do naszego towarzystwa, to samo towarzystwo śmie pana upraszać o naprawę swej błędnej... oceny.

— Czy mogę powrócić niewinność pani de Sertonville?

— Nie chce mnie pan zrozumieć. Mówię o zadośćuczynieniu należnem tej pani, które mogłoby przybrać formę listu, przyznania pomyłki wobec świadków...

Oleski powstał sprężyscie i zmierzył zapalonym wzrokiem d'Anjorrant'a, który wstał także.

— Ja teraz poproszę usilnie, aby pan zaprzestał żartów. Wiem dobrze, com uczynił, i pan wie, że mam słuszość. Moich zasad etycznych nie będzie nikt kontrolował, względy zaś waszego towarzystwa nie obchodzą mnie bynajmniej. Proponować mi w jakiejkolwiek formie zadośćuczynienie tej awanturnicy jest zuchwalstwem.

D'Anjorrant nie spuścił z przeciwnika zimnego spojrzenia oczu, nawykłych do rozkazywania; uśmiech jego stał się jadowitym, a głos smagał jak biczem:

— Panie Oleski! był pan dotychczas znajomym moich znajomych. Z tego tytułu używał pan pewnej swobody. Dzisiaj odkrywam w panu zapędy do nadużycia tej swobody, wynikające z naszej pobłażliwości. Jest u nas zwyczaj, że w rozmowie nie podnosi się głosu.

— Podnoszę głos na pożegnanie z panem

i jego znajomymi. Proszę pozostać w swoim dobranem kole, ja zaś pozostanę z uczciwymi ludźmi.

— Powiedz pan: z rycerzami groźnymi dla kobiet.

— Pan zaś z obrońcami kobiet publicznych.

Tego było dosyć dla Oleskiego, a nadto dla d'Anjorrant'a, którego ta zniewaga zaskoczyła niespodziewanie. Oleski wyszedł bez ukłonu.

Margrabia stał przez chwilę samotny, z zaciśniętą pięścią, wściekły. Nietylko nie wybrnął z przyjętej na siebie misyi, ale zaplątał się w dziwną awanturę. Śmiałka poskromi łatwo. Dobrzeby nawet zgładzić człowieka, który wie za nadto, a mówi za głośno.

Ocknął się i pomyślał, że przedewszystkiem, w każdej chwili trzeba dobrze wyglądać, zwłaszcza wobec przyjaciół, zapatrzonych na jego nieomylność. Mozolnie przybrał wyraz taki, jakby tylko co pękał był od śmiechu i powrócił do sali gry, do swego «świata».

— A moi drodzy! ludzie jaskiniowi jeszcze nie wymarli... gnieżdżą się w Polsce... trzeba będzie od nich założyć kwarantannę... Na czem więc stanęliśmy? Aha... mamy jeszcze trzy partye do zagrania. Jestem na posterunku. Kto daje karty?

Skończył zamierzoną liczbę partyi écarté z uwagą i swobodą ogólnie podziwianą. Wielu

bowiem zmiarkowało po niektórych szczegółach, po paru wybuchach głosu, które doleciały, że rozmowa w gabinecie nie należała do zwyczajnych.

Po skończonej grze d'Anjorant odosobnił się ze Schwindem i de Nielles i tak zaczął:

— Moi kochani! spada mi dachówka na głowę...

Natychmiast i Fabiusz pomyślał o poszukaniu sekundantów, nie wątpił bowiem, że jutro d'Anjorant przyśle mu swoich. Odrazu wydał mu się najodpowiedniejszym Słuszka. Ale czy zgodzi się sekundować przeciw codziennemu kompanowi? Nie było jednak wielu ludzi do wyboru, więc Fabiusz zdecydował się przedstawić przynajmniej swą sprawę Słuszce. Znalazł go bez trudności, gdyż bawiące się towarzystwo na Rivierze kręci się po kilku udeptanych ścieżkach.

Usiedli na ławce w ogrodzie publicznym, w kącie powietrzu południowej nocy, patrząc na morze, oblane księżycowym światłem.

— Panie Eustachy! chciałbym panu opowiedzieć jedno zajście osobiste, które wywołałem sam przez niewczesną może prawdomówność, a które zapewne będzie miało poważne skutki.

Słuszka był trochę sztywny. Fabiusz odczuł to nieprzyjemnie.

— Nie będę powtarzał swojej rozmowy z panią Granowską, którą niestety zna cała Nizza, przez co moje życziwe zamiary mogą być zwichnięte. Sądzę, że miałem obowiązek ostrzedz,

Ale chodzi teraz o skutki mojego wystąpienia. Za panią de Sertonville ujmuje się, jak widzę, cała Nizza.

— Przepraszam — rzekł Słuszka; — ja wcale nie należę do tych, którzy się ujmują. Myślałem długo nad postępkiem pana (ja wiele myślę) i może postąpiłbym tak samo, gdybym zauważył coś groźnego.

— Spotkałem przecie na ulicy pannę Granowską i tamtą osobę, trzymające się pod rękę, jednakowo ubrane, jak dwie siostry!

— Tego nie wiedziałem... tego jeszcze nie było przed moim wyjazdem do Rzymu. Wypuściłem ich z pod obserwacji. To bardzo niestosowne dla panny Krysi, i teraz rozumiem zupełnie pański postępek. Ja sam nawet chciałem się w to wmieszać...

— A widzi pan. Szkoda tylko, że słowa moje dotarły do pani de Sertonville i pobudziły jej zemstę, szkodliwą dla Granowskich z powodu rozgłosu, a dla mnie kłopotliwą.

— Tak. Tu znowu szkoda, że pan pozwolił tak się rozgadać Kobryńskiemu, który taktu nie ma za trzy grosze.

— Z Kobryńskim skończona sprawa. Mam dużo poważniejszą z d'Anjorant'em.

— Co? jaką? nie nie wiem.

Oleski opowiedział dokładnie o świeżej burzy w klubie.

W miarę jak mówił, Słuszka rozpromieniał

się, tak, że nawet Fabiusz spoglądał na niego, nie rozumiejąc, co go tak raduje w tem zajściu. Gdy skończył, Słuszka zawołał z najżywszem zajęciem:

— I powiedział mu pan tak: «Pozostań obrońcą kobiet publicznych?!»

— To były ostatnie słowa.

— A zatem?

— Zatem... bić się będziemy tymi dniami.

— Brawo, panie Fabiuszu!

— Dlaczego? co pana tak cieszy?

— To jest... nie cieszy mnie pojedynek, ale postawienie kwestyi. Bo przyznam się, że co do sprawy z Kobryńskim... miałem wątpliwości. Teraz znikły. Niech to pana nie dziwi: nie cierpię, gdy przy mnie krytykują naszych poważnych ludzi. Ale mówiłem ciągle: wy go nie znacie. O to mniejsza. Teraz, jeżeli pan jeszcze nie wybrał sekundantów, ofiaruję poprostu swoje usługi. Byłem świadkiem w kilkudziesięciu sprawach, zawsze pochlebiam sobie, umiejętnym. Znam ja ich wszystkich, a pańskiego przeciwnika lepiej niż ktokolwiek. Ja przeglądam ludzi do głębi.

Fabiusz słuchał i odróżniał łatwo wielkie rysy szlachetne w tem zaplątaniu małych, nieszkodliwych śmieszności, zapożyczonych pozorów. I pomyślał:

— Przecie jedna dusza!...

A powiedział, wyciągając wdzięczną dłoń do Słuszki:

— Dziękuję całem sercem. Nie śmiałem sam proponować, znając blizkie pana stosunki z margrabią.

— Ależ on postąpił sobie jak błazen, a pan ma szlusność! — odpowiedział Słuszka naturalnie i gorąco.

— Niewielu ma te zasady działania, panie Eustachy. Winszuję sobie i ja, żem pana odgadł w tym tłumie.

Przystąpili do rozmowy praktycznej. Słuszka miał zaprosić na drugiego sekundanta pewnego Polaka, nie będącego «w ruchu», który używał wakacyi w Nervi. Zatelegrafowano do niego. Okazało się potem, że Oleski nie umie bić się na szpady, ale z pistoletu strzela nieźle. Ponieważ będzie miał wybór broni, wybierze pistolety. Na zapytanie Słuszki, czy zgodzi się co ustąpić ze swego zdania w razie skromniejszych wymagań d'Anjorant'a, Oleski odpowiedział, że tym razem w żadne układy pokojowe wdawać się nie chce.

— Nie uprzedzajmy wypadków — rzekł Słuszka: — nie znamy jeszcze żądań strony przeciwnej. O godzinie 10-ej rano będę u pana w Antibes.

Przygotowania nie były zbyteczne, gdyż przed południem nazajutrz Schwind i de Nielles stawili się w mieszkaniu Fabiusza. Margrabia żądał przez nich zadośćuczynienia od pana Oleskiego za wy-

razy obrażające, a zupełnie pozbawione zasady. Zdziwili się niepomału, gdy Fabiusz jako jednego ze swych sekundantów wymienił Słuszkę. On i drugi sekundant są w Antibes i oczekują na świadków margrabiego.

Wszelkie układy pokojowe okazały się daremnymi, ułożono więc ostre warunki pojedynku na pistolety, który miał się odbyć pojutrze.

Gdy Schwind i de Nielles oznajmili d'Anjorant'owi o wyniku rozpraw, margrabiego zadziwiła tylko rola Słuszki.

— Oduczmy mnie to od Polaków na wieczne czasy. Gdyby nie ja, pan hrabia Słuszka pozostałby dotychczas jedną z tych figur, które, gdy się spotka na liście hotelowej albo klubowej, zapytuje się portyera, co to jest: czy Brazylijczyk, czy pomyłka w ortografii nazwiska? Myślałem, że można go przypuścić do wyboru międzynarodowego; tracę jedno jeszcze złudzenie, a niewiele mi ich zostaje.

— Trzeba zważyć, — rzekł Schwind — że Eustachy jest rodakiem pana Oleskiego. Nie mógł odmówić.

— Wszystko jedno — poświęcił stosunki ze mną. Nie wiem, czy mu to wyjdzie na dobre. Pokażcie mi protokół.

Przeczytał.

— Dobrze.

— Jak kazałeś, niema w nim wzmianki o treści rozmowy, tylko ogólnie o wyrazach użytych

przy pewnej dyskusji, dotyczącej polityki Francji — legitymował się de Nielles. — Zgodzili się na to dość łatwo.

— Bardzo są łaskawi — odrzekł pogardliwie d'Anjorant.

XXVI.

W ogromnym ogrodzie rozkoszy kilku zaledwie ludzi myślało o poważnych i groźnych rzeczach, paru o możliwej śmierci. Reszta chodziła pijana po drogach, przystrojonych pachnącą roślinnością, nad morzem chłodzącem zbyt upały, po domach i zakładach urządzonych dla wszystkich zachcianek. Było tylko mieć pieniądze, można posiadać tu wszystko, a nie dbać o nic.

Późna wiosna na tem wybrzeżu jeszcze bardziej upaja niż wczesna. Mnożą się kwiaty afrykańskie, rozmarzające egzotycznie; upał, choć natężony, jest lekki z powodu przesycenia słonym oddechem morza i rzeźwą wonią pomarańcz. Nikt nie opuszcza tego kraju z powodu, że już za gorąco, albo niezdrowo dla ciała, lecz że za gorąco i niezdrowo dla duszy. Jeżeli kto nawet nie czuł nigdy duszy w sobie, poczuje ją tutaj przez ból rozkoszny i trwożny, który zadrga w nim po dłuższym pobycie na Rivierze. I wtedy silniejsi zrywają się: dość tego! prędko pakują kufry i, nie oglądając się na rozplakaną z tęsknoty

Amfitrytę, uciekają. Słabsi zaś siedzą jak najdłużej, a kiedy już upały lata, albo brak zupełny pieniędzy, albo nieuniknione domowe obowiązki wypędzą ich, odjeżdżają, płacząc.

Szał Rivieri niepodobny jest do innych szarów: nie zgiełkliwy ani męczący. Ogarnia powoli i miękko, usypia i podnieca zarazem; podnieca apetyty i pragnienia, usypia zaś tylko pamięć o nudnych obowiązkach. Powietrze tutejsze perswaduje wymownie, kusi nieustannie, a tak łaskotliwie i przemożnie, jak przez sen bezsilny.

Pani Anna zapadała coraz bardziej w taki sen, zwłaszcza od czasu, jak silna przewodnia ręka Fabiusza oddaliła się od niej. Jerzy był mistrzem innego rodzaju. Niedawno miała go pani Oleska za uosobienie zmysłowej pokusy. Teraz już nie. On poprostu kocha i obawia się tylko, czy dawniejsze uczucie w sercu kochanej osoby nie jest jeszcze groźne dla niego. Obawia się niepotrzebnie: Fabiusz pozostanie zawsze doskonałym przyjacielem, rodzajem ojca; sam zresztą tego tylko pragnie... A Jerzy będzie mężem, mężem-kochankiem, trudnym może do utrzymania na wodzy, ale tem ponętniejszym.

Wczoraj powiedział:

— Życie moje do pani należy.

A ona zapytała:

— Gdybym to wzięła na seryo?

On znowu, z wyrazem twarzy tak szlachetnym:

— Mówię poważnie i szczerze; a jeżeli nie zupełnie jeszcze wyraźnie, to tylko dlatego, że oczekuję odpowiedzi na pewien list.

— Jaki znów list?!

— Do ojca.

— Czy pan nawiązał lepsze stosunki z ojcem?

— Na ważnym przełomie życia poczytałem to za swój obowiązek.

Ona zamilkła, napół zadowolona, a on dodał:

— Czekam na tę odpowiedź. Ale jakkolwiek będzie, szczęście moje zawisło na odpowiedzi pani.

— Nie słyszę zapytania.

— Przez wszystkie dni od czasu, jak panią tu spotkałem, przez każdą myśl i każde słowo mówię to samo. Czy pani nie rozumie mnie? nie zgaduje?...

— Na zagadki nie odpowiadam.

— Może on nieśmiały z kobietami? — myślała pani Oleska, wspominając ostatnią rozmowę. Jednak to wyraźne, co mi powiedział; tylko dlaczego ten zbuntowany poeta tak metodycznie czeka na odpowiedź ojca?...

.

Gwałtowne uderzenie w dzwonek. Po chwili, bez anonsovania, wpadła pani de Nielles, niepokojąca przez swe pomieszanie. Była godzina dwięta wieczorem.

— Proszę się nie dziwić. Czy pani wie, że

d'Anjorant bije się jutro na pistolety z pani kuzynem?

Anna pobladła silnie i opadła na krzesło.

— Nie wiem... to nie może być.

— Jakto nie może być? Będzie! za kilka godzin. Ale my temu przeszkodzimy. Gdzie jest pan Oleski?

— Powinien być w Antibes.

— Wracam stamtąd, niema go w domu. Wszyscy gdzieś poznikali. Mój mąż także ma gdzieś noc przepędzić poza domem... d'Anjorant także. Kryją się... Niech pani sprowadzi do siebie Dubieńskiego.

— Tutaj?... ale noc zapadła...

— To proszę iść do niego... Niema co się namyslać; ostatnia chwila do działania.

Anna powstała instynktownie, ale zachwiała się niezdecydowana i bezradna.

— Albo niech go pani sprowadzi do mnie. Mnie to wszystko jedno.

Ten projekt wydał się odrazu dobrym Annie. Napisała drżącą ręką kilka słów do Jerzego.

— Proszę mi to dać. Mam posłańca, który go znajdzie natychmiast. A my wychodźmy. Powóz czeka przed drzwiami.

Za chwilę dwie kobiety przeniosły się nieopodal do mieszkania pani de Nielles.

W kwadrans później zjawił się Dubieński.

— Zostawiam was samych, porozumieście

się — rzekła pani domu, oddalając się z salonu do swego pokoju.

— Panie Jerzy! — rzekła Anna zdławionym głosem: — Fabiusz strzela się jutro... trzeba temu przeszkodzić... Pan to uczyni!

— Jakim sposobem? Na to niema rady.

— Pan znajdzie... Mam tyle do pana zaufania! Pierwszy raz o coś proszę naprawdę, usilnie...

Jerzy wziął ją za obie ręce i patrzył prosto w błagające oczy: jakie piękne! — ale zarazem poczuł zazdrość, że kto inny jest przyczyną tego lubego niepokoju.

— Zawsze tamten? — rzekł dramatycznie.

— On nie może umrzeć. On z mojej winy zaplątał się w te intrygi. Gdyby mu się coś stało, ja włożyłabym wieczną żałobę. To prawie ojciec!

— Proszę jednak powiedzieć... czego pani po mnie się spodziewa? Co mam uczynić? Czy stanąć za niego?

Anna cofnęła się, przerażona.

— Nie!... jak można myśleć!... Pan mi jesteście jeszcze droższy... inaczej.

Jerzy posunął się ku niej, wyciągnął ręce, a ona, nie broniąc się, dała się wziąć w objęcia. Złożyła głowę na jego ramieniu, cała drżąca. Teraz on tracił głowę.

— Najmilsza moja! najcudniejsza! Skoro tak jest, gotów jestem na wszystko teraz i zawsze...

Daj mi ust skosztować... nie broń się, jam twój na wieki. Skoro więc mamy się pobrać... Anno...

Odsunęła się od niego silnie, ale tak miłośnie i łaskawie, że nie mógł podejrzewać szczerości jej słów:

— Nie pora. Pan wie, że mu ufam i dawno już oddałam mu serce... Ale teraz trzeba ratować tego człowieka. Pan robi co tylko możliwe... Zrobisz to dla mnie, Jerzy?

— Co tylko w ludzkiej mocy, ale pozwól... pobłogosław mnie na tę wyprawę, daj mi stopy swe ucałować, powtórz raz jeszcze...

I klękał i znów wstawał, aż Anna rzekła stanowczo:

— Panie Jerzy! — jesteśmy w cudzym domu i każda chwila droga. Jeżeli mnie kochasz, idź i działaj.

Dubieński zerwał się i poszedł szybko ku wyjściu. Zawrócił się:

— Dokąd mam dać znać, jeżeli coś uzyskam?

— Zapewne tutaj...

Pobiegła do drzwi, za którymi znikła pani de Nielles, i zawołała:

— Hrabino! czy tutaj czekać będziemy?

Pani de Nielles wbiegła żywo do salonu; dowiedziała się, że Dubieński wybiera się do tych panów.

— Czy pan wie, gdzie się znajduje d'Anjorant?

— Wiem. Jest w Beaulieu ze swymi sekundatami.

— On wszystko wie! Kochany z pana chłopiec! Ruszajże i niech nasze gorące życzenia panu sekundują.

Sciskany za ręce, kołchany, a razem wypychany za drzwi, Dubieński znalazł się wkrótce na ulicy.

Obie kobiety spojrzały na siebie.

— Czy pani myśli, że on potrafi odwrócić pojedynek?

— Jest bardzo zręczny — odpowiedziała Anna.

— A Raul? któż zręczniejszy od niego?! I zapłatać się w taką głupią historię!... Mądre te przepisy honoru męskiego, niema co mówić!... Płakać można ze złości nad tą tragi-komedią honoru!...

Pani Oleska spostrzegła rzeczywiście łzy w oczach pani de Nielles i teraz dopiero zdała sobie sprawę, że powierzechowna, obca elegantka ma także serce, które bije dla d'Anjorant'a. Poczula nagłą sympatią dla niej. I między temi dwiema, które niepokoiły się każda o innego przeciwnika, powstała konieczność zwierzeń.

Dubieński stał długo na ulicy, nim doszedł do postanowienia. Był najprzód oszołomiony przez ostateczne wyznania, które zapadły między Anną a nim prawie przypadkiem z powodu elektryczności obcej, przesycającej powietrze. Czuł też w ży-

łach ogień niezwykły, nowy, pomimo wszelkich porównań. Pomyślał jednocześnie, że ma «pecha». Gdyby taka chwila gdzieindziej i z innego powodu! Wreszcie zdawał sobie sprawę, że coś heroicznego zdziałać mu wypada, aby ukoić niepokój Anny.

— Właściwie to niedorzeczne. Kazała mi ocalić mego współzawodnika... Wprawdzie go się już nie boję. Ale ona drży o niego?... Gdy się ożenię, ten Fabiusz nie usunie się od niej. Nie groźne to, ale śmieszne. Teraz jednak trzeba coś począć... Ale co?...

Poszedł przed klub, wybrał najlepszy ze stojących tam powozów i kazał pędem jechać do Beaulieu.

Gdy się to działo, Fabiusz przyszedł do mieszkania Anny. Służąca oznajmiła mu, że pani przed kwadransiem wyszła z hrabiną de Nielles, nie powiedziała dokąd idzie i kiedy wróci.

Fabiusz sposepniał, pomyślał chwilę i rzekł:

— Tak, tak... przypominam sobie, że pani miała dzisiaj spędzić wieczór z państwem de Nielles... A czy panienka już śpi?

— Jeszcze nie.

— Proszę powiedzieć pani Jabłońskiej, że chciałbym zobaczyć się z dzieckiem.

Chciał zaczerpnąć skądkolwiek spokoju, którego nie znajdował dzisiaj we własnem sumieniu. Zawikłał się w skutki najlepszych swych zamią-

rów, a teraz nie miał już dość siły, aby konsekwentnie stanąć w rozterce z całym światem, urządzonym wstrętne i wadliwie. Zresztą było za późno. Od paru miesięcy ustępował ze swych pragnień i teorii na rzecz obcego porządku, teraz płaci za to niebezpieczeństwem życia i wstydem przed samym sobą. On, Fabiusz Oleski, wmieszany w awanturę pojedynkową w Nizzy!...

Przyszedł tutaj, aby na chwilę zapomnieć. Los jednak był przeciwny, bo do trwającego niepokoju dodawał inny: niepewność o zachowaniu się Anny w tej atmosferze niebezpiecznej... Może lepiej, że jej nie zastał: nie pora na rozmowy zasadnicze, a tem bardziej na rozrzewnienia. Ostatecznie zaś był już postanowił iść dalej samotny przez życie, jeżeli życia, które dziś tak lekko naraża, nie zwichnie, lub nie zakończy.

Po chwili pani Jabłońska wprowadziła do salonu Zosię, tłómacząc się usilnie, że dziecko ma już warkoczyki na noc zaplecione.

— Nic to, owszem, wygląda jak osoba. Chodź tu, Zosiu, do światła; chcę z tobą trochę pomóc przed wyjazdem.

Bona oddaliła się dyskretnie.

— Wujaszek wyjeżdża?

— Jutro, moje dziecko. Nawet, jeżelibym nie miał już czasu wstąpić do mamy, pożegnaj ją odemnie. Będiesz pamiętała, Zosiu?

— Będę... Ale wujaszek nie wyjeżdża?

Dziewczynka miała dziś rzeczywiście pozór

dojrzałej osoby; włosy inaczej uczesane uwydatniały kształt jej główki i wielkie podobieństwo rysów do matki. Była przytem podniecona, jak bywają nerwowe dzieci przed nocą, i smutna zarazem, bo nie uściśkała na dobranoc matki.

To wszystko czyniło jej oczy tak wyrazistemi, że Fabiusz uwierzył w intuicję tej małej kobietki.

— Jeżeli będę mógł, wyjadę. Mam dużo do roboty u nas, w kraju.

— Co wujaszek ma tam do roboty?

— Nie wiem, czy zrozumiesz... a może zrozumiesz: pojadę odbierać naszą ziemię Niemcom.

Zosia głęboko zamyśliła się. Potem ogłosiła poważnie wynik swego namysłu:

— To pewno Śląsk?

— A jak ci to przyszło do głowy?

— Wujcio zawsze mówi o Śląsku.

— Dobrze zgadłaś, Zosiu. Pojadę tam, jeżeli Bóg da zdrowie.

— Eh! wujcio będzie zdrow! — zawołała Zosia żywo i z przekonaniem.

Fabiusz popatrzał z lubością na to sliczne stworzonko, może jasnowidzące. Potem objął dłońmi główkę i ucałował.

— Więc dobranoc, Zosieńko. Dzisiaj mówię ci dobranoc za siebie... i za mamę.

XXVII.

Jerzy bez trudności znalazł w Beaulieu d'Anjorant'a i jego świadków. Znajdowali się w osobnym pokoju restauracyi, zwanej La Réserve. Choć służba miała wyraźny rozkaz nie wyjawiania ich tam obecności, Dubieński poznał zaprzęg margrabiego, a służba poznała Dubieńskiego, i wątpliwość ustała.

Po chwili de Nielles, wywołany przez Jerzego, wyszedł z gabinetu, w którym słychać było śpiew Włochów i głosy kobiece.

— Dubieński! co pan tu robi?

— Chciałbym koniecznie rozmówić się z margrabią o jutrzejszym pojedynku.

— Z margrabią? A to po co?

— Mogę rozmówić się i z panem; pan ma większy wpływ na niego. Czy ostre warunki?

De Nielles patrzył z rosnącym zdziwieniem na Dubieńskiego, który wydawał się srodze zaniepokojonym. Po krótkim wahaniu opowiedział jednak warunki pojedynku:

— Dwie kule, dwanaście metrów.

— Ależ to zabójstwo! Oleski z rzutu ręki trafia niechybnie w bilet wizytowy!

— Co pan opowiada?

— Jak to opowiadam?... widziałem go dzisiaj w strzelnicy, a znam go przecie nie od dzisiaj. Miał z dziesięć pojedynków; w każdym postrzelił przeciwnika, a jednego zabił. Od tego czasu nikt mu się nie naraża. To najsławniejszy u nas paliwoda i awanturnik.

De Nielles patrzył z niedowierzaniem na wzburzonego Dubieńskiego; pomyślał jednak, że choćby w tej przesadzie była tylko część prawdy, Raul zaplątał się w ładną historję. Nie mógł jednak jeszcze zrozumieć wmieszania się Jerzego, więc zapytał:

— Przepraszam pana. Rozmowa nasza jest tak niezwykła, że musimy zrozumieć się najdokładniej. W jakim celu pan nas ostrzega?

Dubieński odrzekł z szorstką nieco szlachetnością:

— Panie de Nielles! W każdym razie nie można mnie posądzać o nieżyczliwość dla margrabiego. Jest to człowiek, którego znam od niedawna, ale go cenię wyjątkowo. Wiele mu zawdzięczam przez samo przyjrzenie się jego stylowi. A jeżeli obcy nawet odczuwają jego wartość i szacowność, własne społeczeństwo mogłoby tem bardziej go ochraniać i nie wystawiać na tak groźne niebezpieczeństwo.

De Nielles pomyślał, że Dubieński jest poetą i młodzieńcem. Jednak ziarno niepokoju o przyjaciela zaczęło kiełkować. Nadrabiał tylko miną.

— Jeżeli chodzi o umiejętność strzelania, d'Anjorrant wygrał niedawno międzynarodowy konkurs strzelecki.

— Tem gorzej. Tamten wie zapewne o tem i strzeli odrazu na komendę: ognia! To jego sposób.

De Nielles rozkrzyżował ręce:

— Trudna rada... A dlaczego pan Oleski tak miękko obszedł się przed kilku dniami z księciem Kobryńskim?

— To długa historia. Muszę się przyznać panu, że dobrze pracowałem, aby się Oleski zadowolił listem przepaszającym od mego szwagra.

— Kobryński pisał list?! Nikt przecie o tem nie wie!

— A ja wiem dobrze, bo sam ten list... no-silem.

— Nie nie rozumiem... O la la!... Cóż zatem? Jakie jest pana wrażenie?

— Trzeba zmienić warunki.

— Protokół podpisać.

— Ze Słuszką da się to zrobić.

— Hm... W każdym razie, panie Dubieński, nasza rozmowa zostanie bezwarunkowo między nami.

— Co do tego, słowo honoru.

Rozstali się. Jerzy usiadł w ogrodzie, w miej-

scu mało oświetlonem, z którego mógł dobrze obserwować wyjście z restauracyi. Zauważył najprzód, że śpiewy w budynku umilkły; wkrótce potem spostrzegł d'Anjorrant'a wychodzącego do ogrodu ze swymi dwoma sekundantami. Cofnął się w cień i zręcznie skierował kroki ku wyjściu. Na szosie wsiadł do swego powozu, ujechał paręset kroków w stronę Nizy i kazał stanąć. Wy-siadł, ukrył się przy drodze i czekał.

Wydało mu się, że długo czekał. Woźnica, wietrzący jakiś pościg, jakieś miłosne śledztwo, stał się odrazu współnikiem, bez umowy, przez zamilowanie do podobnych zajęć. Choć drzemał niby spokojnie na koźle, dawał znak lekkim trząśnięciem z bicia, gdy kto się zbliżał po szosie. Ale przejechało kilka powozów nieznanomych, jeden z zakwefiowanemi damami.

— Jeszcze nie oni... a może i nie pojedą? może nie zdołałem trafić im do przekonania?

W wyziewach ciepłej nocy Jerzy drżał z oczekiwania, ze wzruszenia i tak gorąco pragnął po-myślnego skutku swych zabiegów, że zaczął się modlić. Do kogo, o co się modlił? — ta świadomość była w nim mętna; ale cisnęły mu się do ust stare, uświęcone słowa, podczas gdy właściwie modlił się do życia o szczęście.

Nareszcie drgnął na głośniejszy turkot rozpędzonego powozu. Schwind i de Nielles jechali w stronę Nizy. Zapewne jadą zmieniać warunki pojedynku.

Jerzy podążył za nimi opodal. Jeżeli wejdą do klubu, jeżeli zapytają o Słuszkę, który tam mieszka, wszelka wątpliwość ustanie. Świadkowie zmodyfikują protokół.

Z radością stwierdził Jerzy trafność swych przewidywań. Dowiedziawszy się dokładnie, że sekundanci margrabiego są w pokoju Słuszki, odszedł od drzwi klubu, odprawił powóz i stanął na ulicy, przeciągając się rozkosznie.

Spojrzał w niebo księżycowe, kuszące, jakby szukając i radząc się swej gwiazdy. Była godzina pierwsza po północy.

— Zabrąłem trochę w kłamstwo. Ale gdy chodzi o zbawienie człowieka...

Konsekwentnie trzeba było pójść do pani de Nielles.

Dowiedział się od portyera, że pani, która tu przyszła wieczorem, przed północą odeszła. Napiął przy świetle latarni olówkiem na kartce:

»Wszystko dobrze, niebezpieczeństwo usunięte«.

Chodziło teraz znowu o uspokojenie kobiety.

Tę kartkę posłał przez portyera na górę, sam zaś poszedł do mieszkania pani Oleskiej. Spostrzegł odrazu przyćmione światło w jednym z okien drugiego piętra, gdzie mieszkała Anna i namyślał się:

— Jeżeli zadzwonię, obudzę służbę, zadziwię wszystkich, że przychodzę w nocy, i będę zmuszony wyjść natychmiast, powiedziawszy byle co

bo wiele nie mam do powiedzenia... To na nic. Spróbuję inaczej.

Przejrzał ulicę w obie strony: była pusta. Zagwizdał wyraźnie polską piosenkę, której tu zapewne nigdy nikt nie słyszał.

Nie omylił się w rachubie: otwarto okno, i Anna wychyliła się z niego.

— Co? co się dzieje?

Jerzy bardziej gościem niż głosem odpowiedział, że nie może mówić z tego oddalenia. Po kilku usiłowaniach porozumienia się, Anna położyła palec na ustach, wskazała potem ręką na drzwi od ulicy i znikła z okna. Nie trudno było zgadnąć. Jerzy z bijącym sercem stanął pod drzwiami.

Ostrożny obrót klucza w zamku i szept jej samej, Anny:

— Wejdz pan. Proszę cicho za mną po schodach.

W ciemności postępował Jerzy za szelestem sukni.

— Zakręć, znowu schody.

— Wziąłbym ją na ręce, poniósłbym aż do sypialni... wpiliłbym się w jej usta, w szyję — myślał Jerzy, dzwoniąc zębami, wyciągając ręce za uciekającym pod górę cieniem i zapachem.

Pręga światła od uchylonych drzwi oświecała coraz lepiej ten pościg. Anna wbiegła jak kot na ostatnie piętro i wsunęła się szybko do swego mieszkania. Tylko lepsza znajomość gruntu wy-

ratowała ją od objęć goniących za nią w ciemności.

Gdy stanęli na górze, w oświetlonym już po-koju, Jerzy pohamował się nieco i przypomniał, że zdać musi sprawę.

Jednak źrenice Anny rozszerzone, usta napół otwarte nie wyrażały jedynie ciekawości. Patrzała mu w oczy, blisko, a oddech jej gorący dawał Jerzemu przedsmak jakichś poufałości niezna-nych, rozkoszy zawrotowych. Te posiąść za byle- jaką cenę!...

— I cóż?... mów pan, mów nareszcie!

— Wszystko załatwione, usunięte...

— Jakim sposobem? kto się cofnął?

— Nikt. Ale zmienili warunki, i pojedynek odbędzie się tylko dla formy...

— Czy być może?! czy to możliwe u was?

— To tajemnica, którą wyjawiam. Musi mi pani dać słowo honoru...

— Daję, daję. Wiesz, że jam zdradzić nie zdolna. Ale kto to uczynił? Czy Fabiusz zgo-dził się?

Jerzy odwrócił oczy na chwilę.

— Zgodzili się za niego sekundanci.

— Więc niebezpieczeństwa niema?

— Tyle co na polowaniu dla myśliwych. Mu-siałem wielu użyć sposobów. Nastraszyłem świad-ków d'Anjorant'a.

Tu Jerzy przypomniał, że de Nielles wziął

od niego słowo honoru... Ale i pani Oleska dała także słowo... To niby antydotum.

— W tej chwili — ciągnął dalej Jerzy, ośmie-lony pierwszym krokiem — Schwind i de Niel-les zmieniają w klubie umówiony protokół, a są jeszcze inne sposoby: sekundanci nabijają prze-cie pistolety...

— Rozumiem. Ale czy pan ręczy mi za to?

— Ręczę... Tylko pamiętać trzeba, że to ta-jemnica, o której nikomu wiedzieć nie wolno!

— Jerzy! mój Jerzy! to szlachetnie ocalić człowieka, to pięknie zbawić kogoś, który był niby... współzawodnikiem.

Garnęła się do niego z palającymi oczyma, bezbronna, wzruszona. On zaś ją, jak pewną zdo-bycz, brał w ramiona wolno, z rosnącym szale-m, aż złączyli się ustami i pozostali przez chwilę w uścisku.

— Nie teraz — wypraszała się mdlejącym głosem, oblewając mu twarz swym oddechem — aż odbędzie się tamto, aż tamci wrócą... mój jedyny!...

— Na co czekać? Co może stanąć między nami a szczęściem?... Świat nie istnieje, tylko ty, tylko my, połączeni na wieki. Anulko, żono du-szy mojej, Anulko...

Uniósł ją jak dziecko w silnych ramionach i przepadł z nią w ciemnościach sąsiedniego po-koju.

XXVIII.

Komedia, kochany Eustachy! komedia życia, komedia cnoty, honoru... A pod tą śmieszną maską zgnila krew w społeczeństwie. Źle mówię: w społeczeństwie — w tłumie, który zapomniał zupełnie, co się społeczeństwem nazywa.

Fabiusz, bardzo podniecony, chodził po pustym tarasie w Antibes, wczesnym rankiem, po powrocie ze szczęśliwie odbytego pojedynku. Przeciwnicy spudłowali obaj, i zatarg przez to samo został usunięty; stało się zadość honorowi i sprawiedliwości.

Słuszka próbował uspokajać Oleskiego, który teraz dopiero, po pojedynku, był dziwnie wzburzony.

— Kiedy strona wyzywająca proponowała w ostatniej chwili jedną kulę zamiast dwóch i pistolety bez wizyerów, cóż to nas mogło obchodzić? Myśmy wyszli z tego znakomicie, z całą rycerską stanowczością i dyskrecją. Nie można było lepszego nie wymarzyć.

— Czy mnie o to chodzi?! Jedna kula, dwie kule... co mi to wszystko! Co mi to znaczy, że tacy ludzie powiedzą: stał dobrze, wyszedł z honorem! Ja nie mogę wyjść bez honoru; tu go mam, w sumieniu, nie w ich marnej cenzurze. A mnie wstyd, poprostu wstyd, że się uniósł aż do zapomnienia o swoim skromnym, ale uczciwym stanowisku. Kiedym Kobryńskiemu puścił płazem jego napaść, dałem dowód odwagi; teraz, gdy wywołał prawie zajście z d'Anjorant'em, uległem... poprostu stehórzyłem.

— Tego już nie rozumiem wcale. Chciałeś zamknąć usta ludziom, którzy pozwalali sobie głośno cię ganić, i uczyniłeś to w sposób zupełnie rycerski.

— Tak się to jeszcze nazywa. Ale pomyśl, zastanów się, co to znaczy.

Usiadł i mówił dalej:

— Mówię z tobą otwarcie, jako z godnym poważania przyjacielem. Miałeś wybór między przyjemnymi stosunkami a przyjściem z rzeczywistą pomocą uczciwemu człowiekowi, który, według ciebie, miał słuszność i tej pomocy potrzebował. Nie wahałeś się poświęcić przyjemności dla uczynku miłosiernego.

— Ależ, Fabiuszu, dajmy temu pokój! Ja postąpiłem, jak każdy inny na moim miejscu. Ciekawy jestem: czego ty w swoim postępowaniu tak żałujesz?

— Zmierzam do tego właśnie. Przełożyłeś

względy moralne nad swą przyjemność i wygodę; stałeś się przez to użytecznym komuś, przez zapomnienie o sobie samym; jest to jedyna zasada cnoty społecznej. Ja zaś wręcz przeciwnie: poświęciłem swoje przekonania dla dogodzenia swojej niecierpliwej zachciance. W tej więc historii ty masz zasługę, a ja jestem, co najmniej, lekko-myślny.

— Doprawdy! — zaśmiał się Słuszka: — gdybym cię nie znał, nazwałbym cię sofistą.

— Ale mnie znasz, więc nie nazywaj tak. Powiedz mi: co to jest honor?

— No... utrzymanie w każdej okazyi godności osobistej.

— Za słabe, za dalekie określenie. Honor znaczy tyle, co cześć lub zaszczyt, i był dawniej zaszczytem należnym cnocie. *Honor virtutis prae-mium*. Jakiejże cnoty zaszczytem jest honor pojedynkowy? Można być sybarytą, leniwcem, pijakiem, egoistą do szpiku kości, nawet zbrodniarzem w zakresie obyczajów, a przytem tak zwanym »człowiekiem honorowym«. Takiego pana trzeba poważać dlatego, że nigdy nie dał sobie powiedzieć prawdy w oczy, że umie strzelać, kłuć albo rąbać, że nazywa się tak a tak i nosi modne ubranie. Ten pan nie posiada ani jednej zalety obywatela, ani żdźbła użyteczności, ani iskry cnoty, owszem jest publicznem zgorszeniem, chwa-stem nie do usunięcia, bo... bo ma honor! Przyznaj, że to potworne.

— Cóż robić?... świat tak już poszedł, tak jest urządzony.

— To nie godna ciebie odpowiedź, Eustachy! Ty masz honor, bo masz serce. Ludzie bez serca nie mają honoru.

— Tak byćby powinno...

— Przypatrz się dalej, co się stało ze starożytnym człowiekiem, zasłużonym w społeczeństwie, który używał dobrej sławy, był honorowany. Ludzie pracujący dla dobra ogółu, ludzie broniący podstaw naszej cywilizacyi, prawdziwi chrześcijanie, wyznawcy i nauczyciele cnoty — to (grzecznie mówiąc) marzyciele, idealisci — pofu-niej nazywają ich głupcami. Nadto zaś, o dziwo! ci ludzie mogą wcale nie mieć honoru! Jeden z nich nie strzelał się za doznaną obrazę, drugi naraził się wyższemu towarzystwu, mówiąc głośno o jego przywarach. Wychodzi więc na to, że ludzie godni wszelkich honorów nie są honorowi, a ludziom godnym zgładzenia ze świata dla dobra tegoż świata, nie pod względem honoru zarzucić nie można.

— Rozumowanie trochę absolutne — rzekł Słuszka. — Ze zbyt wysokiego stanowiska sądzisz świat, i dlatego nie się w nim z twoją teorią nie zgadza.

— Przypominam owszem zasadnicze idee społeczeństw: miłość bliźniego i składanie pracy na wspólny użytek. I dlatego, że wysychają te idee w mleczu naszych współczesnych, boję się o przy-

szłość świata. Patrz naokoło siebie, a poczynisz spostrzeżenia zatrważające. W jakiej epoce idee społeczne używały gorszej reputacji, niż za naszych czasów? Patryotyzm — to szowinizm; altruizm — to poza nienaturalna; sprawiedliwość — to igraszka wobec najjaśniejszego prawa pięści. Nie mówię zaś jedynie o towarzystwach, przeważnie bezmyślnych, jak tutejsze, lecz o bardzo szeroko rozpowszechnionych mniemaniach. Kto dziś na przykład rozumem nazywa co innego, jak tylko zręczność w zdobywaniu sobie środków na wygodę i użycie, lub umiejętność kłamania?

— Odeszliśmy od przedmiotu — zauważył Śluszk: — mówiliśmy o pojęciu honoru.

— Wszystko to się wiąże. Marne społeczeństwo potrzebuje marnego honoru. Ubiór dawnego dobroczyńcy ludzkości lub przynajmniej rycerza przywdział człowiek bez serca, napół zgniły i żyjący tylko zwierzęcymi apetytami. Ale ubiór pozostał ten sam, nie zmienił nazwy i ludzi swym pozorem. Straszne są te łańchany, obiegające świat, poruszane przez żywe trupy. Teraz rozumiesz, dlaczego wstydzę się i żałuję, że się owinał w taki płaszcz bohaterski.

— Najbardziej wyrobionych zasad niepodobna stosować ciągle; trzeba z nich coś ustąpić. Uniosłeś się, oburzyłeś się głośno na ludzi; później już innego wyjścia nie było.

— Wyjście jest zawsze. Ale siły zabrakło. Wystawiony też byłem na straszną pokusę: »Przy-

jaciele moi obrócili się naprzeciwko mnie i stanęli« — jak w Psalmie; w oczach ludzi, o których dbam naprawdę, widziałem niepewność, czy postępuję godnie i uczciwie. To mnie złamało. To mnie popchnęło do pojedynku i do poddania się niedorzecznym przepisom, którymi gardzę. A ja miałem o sobie mniemanie, że potrafię przez kałużę nicejską przebrnąć bez plamy na rękę i na czoło!...

— Doprawdy przesadzasz trochę, Fabiuszu! Pojedynek z d'Anjorran'tem »postawił« cię tutaj. Choć o tę pozycję nie dbasz, lepiej ją jednak mieć dobrą, niż mierną.

— W tem właśnie tkwi zasadnicza różnica naszych zapatrywań. »Pozycya«, o której mówisz, jest dla mnie czemś tak drobnem, tak bezużytecznem, że prawie nie istniejącem. Najwyżej: biletem wejścia na widowisko, któremu i bez tego mogłem się przypatrzeć dostatecznie. Dla ciebie zaś, pozwól sobie to powiedzieć, kochany Eustachy, ta »pozycya« jest smacznym narkotykiem, niebezpieczeństwem. Młodszy jesteś ode mnie, bogatszy, głośniejsze nosisz nazwisko; to wszystko tłómaczy twoją należność do tak zwanego »wyższego towarzystwa« i przyjemność, którą w niem znajdujesz. Ale ty, ze swemi szlachetnemi zasadami, z poczuciem obywatelskiem, które masz w żyłach i w sercu, nie rozumiem, jak znosisz ohydłą filozofię społeczną tych panów? Czy próbowałeś kiedy pracować lub tylko

pomyśleć: jaki z twego życia pożytek dla innych?

Słuszka spochmurniał, a nawet nadął się.

— Ach, nie wszyscy powołani są do jakiejś roli, misyi... Dla mnie wystarcza przestrzegać pewnych nieodstępnych prawideł uczciwości i przyzwoitości...

— Kochany Eustachy! Jestem nudziarzem. Skwitowałem już z powołania uśmiechniętego moralisty, bo śmiać się coraz mi trudniej. Wybacz mi. Bez ujmującego talentu mówię, co mi się wydaje słusznem i prawdziwem. Miej mnie więc tylko za logiczną książkę i jeszcze: za nie-podejrzanego przyjaciela. Według mnie, wszyscy jesteśmy powołani do życia pożytecznego, nie-tylko do przyjemnego. Co dziwniejsza, jedynie przeświadczenie, że działamy dobrze i pożytecznie, daje nam radość spokojną, równą, której napróżnobyśmy szukali w nerwowych rozkoszach egoistycznych, opłacanych zawsze reakcją niezadowolenia z nas samych. Może nie znam dość twójgo życia i źle wnioskuję. Gdybym jednak cię zapytał: czy jesteś z tego życia zawsze zadowolony? — cobyś odpowiedział?

Słuszka odnalazł swą wymowę:

— Och, mój kochany, ja nie mam złudzeń. Ja także coś wiem. Towarzystwo, w którym się obracam, przeniknąłem na wylot; oni przede mną nie nie ukryją. Wiem, że nie można z takich złożyć społeczeństwa; oni są tylko pianą kultury

i jako tacy bawią mnie. A także boją się mnie, bo im nie oszczędzam słów prawdy. Może nawet utrzymuję niektórych w rygorze, szczególnie kobiety... Gdyby nie kobiety, dawno porzuciłbym tę międzynarodową koteryę. Sądzę jednak, że pozostając w niej, umiem być pożytecznym.

— Objaśnij mnie, proszę — rzekł Fabiusz: — co ty właściwie robisz pomiędzy nimi?

— Co?... reguluję, trzymam, stłumiam, wyróżniam...

Słuszka wykonał parę odpowiednich giestów, ale zatrzymał się przed postawą Oleskiego, który, oparłszy obie dłonie na kolanach, kontrolował go życzliwym, ale przenikliwym spojrzeniem. Nareszcie Słuszka roześmiał się:

— Tak... tybyś powiedział, że czas tracę.

— I zdrowie duszy — dodał Oleski.

— Może...

— Wiesz co? Wyjedźmy stąd razem! Masz jeszcze dużo ziemi. Na swojej ziemi można wiele pięknych rzeczy urządzać.

— Teraz nie mogę. Oczekują mnie różne zajęcia w Paryżu.

— Wyścigowe?

— Nietylko.

— Żadnego nie mam prawa mieszać się do twójgo życia. Jednak tak głęboko przekonany jestem, że nasze powietrze służyłoby ci lepiej, niż tutejsze, że śmiem nalegać.

Nie jednak nie postanowiono. Służka opuścił tymczasem Oleskiego, bez werwy, ale z żywym uczuciem przyjaznem.

— Nie wyjeżdżaj ty jeszcze. Pomyślę. Mam i tutaj niektóre zawikłania.

Uściskał serdecznie nowego przyjaciela.

XXIX.

Pani Anna dowiedziała się natychmiast o wyniku pojedynku. Czy pojechać do Fabiusza?... Nie śmiała. Napisać siłała się, lecz nie znalazła słów stosownych. Ograniczyła się na posłaniu depeszy, której słowa gorące były szczere, a krótka forma dawała sposobność do ominięcia tłumu innych uczuć, przepelniających jej serce. Nad wszystkim górował jednak niepokój, namiętny, kochany i złowrogi niepokój. Stało się: jest zaręczona, więcej niż zaręczona z Jerzym. Należy ten zwrot stanowczy oznajmić Fabiuszowi, który go przyjmie jak pomyślną wiadomość, czy jak cios?... W depeszy nic o tem nie wspominała jeszcze.

Czas do południa spędziła w podnieceniu, któremu nie mogła położyć tamy przez żadne zajęcie, ani osadzić się na jakiejś myśli, konsekwentnie radosnej. Bynajmniej nie leniwa, ani miękko rozmarzona, ubrała się wcześniej i uczuła potrzebę ruchu, przechadzki, czynności. Wybiegła nad morze. Dobroczynny powiew wiał od rozkołysanej nieco wody ku miastu i wypierał z ulic leżące

zapasy ciężkiego, pachnącego upału. Wracala młoda wesołość wiosny. Nad samem morzem było rozkosznie, szumnie i lśniaco od pian, dążących do brzegu na elastycznych wałach szafiru. Zagle białe, niektóre czerwone, rozsiały się jak motyle po czarodziejskiej łące, a wiatr morski wlewał się do piersi ciepły i pożywny, gasząc i podniecając razem pragnienie. Pociągnawszy tego napoju, Anna lży poczuła w oczach i takie bicie serca, że albo krzyczeć, albo całować...

Wolała odejść i odnaleźć spokój w drobnych zajęciach. Przypomniła sobie różne sprawunki, podarki dla przyjaciół w kraju, i poszła po głównych ulicach, przeglądając wystawy sklepowe. Zaraz przyszedł jej pomysł, zaćmiewający inne: znaleźć podarek dla Jerzego.

— Potrzebny mi przecie zaręczynowy pierścionek!

Zawróciła więc na quai S-t Jean Baptiste, dążąc do znajomego jubilera, i skoro weszła do sklepu, ujrzała Jerzego, nachylonego nad szufladą z klejnotami.

Zarumieniła się tak silnie, że i na twarzy Jerzego wywołała rumieniec. Podali sobie ręce, bez słów powitania i zatrzymali je przez chwilę w drżącym uścisku. Dubieński odezwał się nareszcie:

— Pierwsza wspólna troska...

Właściciel magazynu dobył inną szufladę, rozłożył szybko różne kosztowne stroje, zapewniając,

że ma «okazy» niebywale, przeznaczone na Paryż, ale które tutaj zbyłby chętnie z powodu «końca sezonu». Dodał też, że służy kredytem.

Nowy powód do zakłopotania Anny.

Zwróciła się do Jerzego:

— Za kogo mnie tu mają!... O! żadnych wspańiałości... Coś zastosowanego do mnie. Mały pierścionek, taki, abym mogła się odwzajemnić...

Pochylili się oboje nad wyborem pierścionków. Podczas gdy Anna zawieszoną ręką zdawała się haftować kosztowne wzory po aksamicie, Jerzy, oparty o stół, nachylony blisko do jej twarzy, przeplatał prozę cyfr i karatów gorącym szepem:

— Doskonale... szmaragd... rubin, wszystko jedno... Moje najukochańsze dziecko... Dobrze. Ten ci się podoba?... Mnie podoba się wszystko, czego rączką dotkniesz, na co spojrzysz, moja gwiazdka szczęśliwa...

Jubiler, trafnie oceniając sytuację i zamiary kupujących, oddalił się nieco, dyskretnie.

Wybrali nareszcie dwa rubiny po kilku słodkich napomnieniach ze strony Anny, która okazała się praktyczniejszą i trzeźwiejszą od Jerzego. Gdy pierścionki znalazły się już odosobnione na stole, w dwóch otwartych pudełkach, Anna podsuwając nieśmiało pierścionek ku Jerzemu, rzekła cicho:

— Weź swój.

Cała w bieli, niby w ślubnej sukni, dysząca

młodością i szczęściem, ofiarowała ten rubin, jak kroplę krwi własnej, i nawet w tej kramarskiej ramie przejęła Jerzego czystym wzruszeniem. Popatrzał na nią długo i rzekł:

— Nie tutaj, najdroższa. Zamieńmy je nad morzem.

Wyszli zatem, unosząc symboliczny zadatek szczęśliwej przyszłości. Skoro mieli razem iść przez życie, mogli i dzień ten we dwoje przeżyć.

Nad morzem, kryjąc się, jak dzieci, za jakąś budkę, oddali sobie pierścionki. Nie czuli jednak ani naiwnego komizmu kryjówki, ani bezpośrednio nie chwyтали oczyma niezmiernej ucztę szafiru i słońca, ani świadomie nie łowili słuchem dyszącego rytmu fal, lecz byli zachwyceni sobą i życiem, i wyżsi, i lepsi, i zatopieni w rozkoszy kochania. Ona zauważyła tylko w przeblysku świadomości miejsce zaręczyn: tutaj węgiel drewnianego domku, tam profil większej palmy, miejsce, do którego powróci. On zaś objął raz pamiętnym wzrokiem jej postać tak smukłą i białą, tak portretowo stojącą w dreszczach lekkiej bluzki, na tle niezmiernej rozigranej przestrzeni wód. Błękit i światło roztopiały zarysy, porywały ją z ziemi. Jerzy odezwał się nagle:

— Moja mewa srebrna!...

— Ale nie lotna, schwytana na zawsze — odpowiedziała.

I znowu, milcząc, trzymali się za ręce, tulili

się do siebie ramionami, patrzali sobie blisko w jasne lub omdlewające oczy.

Znowu razem poczuli głód, a nawet wilczy apetyt, i wstąpili do nadmorskiej restauracji, szukając odosobnionego miejsca. Znaleźli je na drewnianym pomoście, z otwartym widokiem na wielką wodę, kochanego sprzymierzyńca. Przy wyborze potraw powtórzyły się czule nieporozumienia, jak przy wyborze rubinów, ale weselsze.

Pani Anna gderała już swobodnie, jak gdyby to nie pierwsze było ich śniadanie, jakby już praw nabrała do tyranii.

— Ach, mój Boże! — zawołała nagle — nie powiedziałam w domu. Zosia czeka.

Jerzy, przestając się śmiać, kazał podać papier i pióro. Występował i on już trochę jako naczelnik rodu:

— Napisz do bony, że nie wrócisz.

— Naturalnie.

Po usunięciu tego wyrzutu sumienia nie było znowu żadnych. I pogoda powróciła niepodzielna.

Śniadanie było zachwycające. Każdy, najprostszy występ we dwoje, każde nowe «ty» wymówione, każdy zwrot służącego do «pani» z odzieniem przypuszczalnej należności tej «pani» do «pana», były źródłem rozrzewnienia lub uciechy. Albo topili w sobie spojrzenia mokre, całujące, albo znów wybuchali szczerym śmiechem. Przeważnie jednak było im doskonale z sobą nawza-

jem i nabierali do siebie nieograniczonego zaufania.

Dopiero przy kawie, gdy służba przestała się koło nich krzątać, sprowadzili rozmowę na poważniejszy i pilny przedmiot. Podniosła go Anna.

— Kiedy spodziewasz się odpowiedzi od ojca?

— Ech! — machnął ręką Jerzy i odwrócił oczy.

— Przecie bardzo chodziło o tę odpowiedź...

Jerzy zapadł w milczenie dość niepokojące. Nareszcie, podnosząc oczy, wyciągnął obie ręce do Anny, ujął obie jej dłonie i, trzymając ją tak, jakby z bojaźni, aby nie uciekła, rzekł:

— Nie pisałem wcale do ojca.

Anna pobladła.

— Więc dlaczego mówileś?...

— Pisałem ten list... chciałem pisać i nie wysłałem. Oni mnie sami nauczyli kłamać. Im nie można odkryć całego serca... Anno! jedyna moja! nie wrywaj mi rączek... Jestem twój, zupełnie twój... Przebacz mi niektóre wybiegi.

— Na cóż jednak liczyć będę mogła, jeżeli w takich chwilach, w tak ważnych epokach życia...

— Anulko! nie spowiadam mnie z życia, w którym mam, jak każdy, plany. Zresztą nie kłamałem ci nigdy w uczuciach. Kocham cię od pierwszego dnia, gdy cię spotkałem tutaj, ot, niedaleko od miejsca, w którym jesteśmy. Ukrywa-

łem tylko prawdę w kilku szczegółach. Cięży mi to na sercu. Odtąd zawrzyjmy układ, aby mówić sobie nawzajem bezwzględna prawdę.

— Ja nigdy nie czyniłam inaczej.

— Jesteś najdoskonalsza. Ja się do ciebie dostrzegę. Tak rozkosznie będzie oddychać prawdą we dwoje, pośród tego targowiska świata, stojącego na fałszu!

— Jerzy! a gdybyś i teraz nie był szczery?...

— Nie, Anno. Pierwszy raz w życiu czuję potrzebę prawdy, i to tak silnie, jak pragnę ciebie.

Mówił szczerze. Anna uwierzyła, patrząc w jego jasne, nie uciekające oczy. Jednak cień nie ustąpił zupełnie, i wysoki nastrój radości zniżył się. Trzeba było pomówić o rzeczach praktycznych i ostatecznie je określić.

— Więc kiedy i komu ogłosimy nasze zaręczyny?

— Ogłosimy je zaraz wszystkim. Także ojcu, naturalnie. Może to i lepiej oznajmić mu o fakcie spełnionym, niż uprzednio pytać się o zdanie.

— Więc... przewidujesz opór ze strony ojca? Dlaczegoż wcześniej i wyraźnie o tem mi nie mówileś?

— Kochałem, droga moja. Nie czyniłem zależnym pozyskania ciebie od kaprysu ojca, który przecie sankcjonować musi, bo nie może nam nic zarzucić.

Pani Anna smutnie opuściła głowę, Jerzy zaś mówił dalej, gorąco:

— Cokolwiek powie, my pozostaniemy z sobą. Prawda, Anno? Dla swojego szczęścia zawarliśmy nasze przymierze, nie dla jakiejś rachuby, tembardziej cudzej, familijnej, lub tym podobnej. Jeżeli tylko twego uczucia mogę być pewny w każdym wypadku, reszta nie istnieje dla mnie.

— Nie możesz wątpić o mnie. Jednak powiedz; dlaczego przewidujesz niechęć ojca? Cóż ja jestem? Czym nie warta... serdecznego przyjęcia do waszej rodziny?

Duma zabarwiła policzki Anny. Jerzy złożył ręce jak do modlitwy.

— Najukochańsza! wartas królewskiego tronu i całego życia wdzięczności. Jam ciebie nie godzien. Jeżeli mówię o jakichś trudnościach w stosunku z ojcem, to tylko, aby być zupełnie szczerym. Ludzie, przyzwyczajeni do samowładztwa, bywają często przeciwni danemu projektowi jedynie dlatego, że nie powstał w ich głowie. Nie mam zresztą naprawdę zasady do przewidywania oporu ojca.

— Dlaczegoż jednak nie napisałeś przed... dniem wczorajszym?

— Ten dzień jest najpiękniejszym i decydującym dniem życia mojego. Do niego zastosuję resztę życia. Oznajmię natychmiast ojcu o swem szczęściu, a najprzód siostrze i szwagrowi. Do Chojnogóry nie wiem, czy pisać, czy telegrafo-

wać, czy uczynić to za pośrednictwem Tereni?... Ona umie najlepiej porozumiewać się z ojcem.

Jak gdy po upojeniu winem przychodzi na jutro ból głowy i niepokój, tak w sercu Anny rosło niezadowolenie. Ujrzała we właściwym świetle różne wyniki wczorajszego szaleństwa. Siostrzana rozmowa z księżną Kobryńską wydała jej się trudną.

— Mam nadzieję, że siostra twoja przyjdzie do mnie?

— Postaram się o to — odpowiedział Jerzy.

— Czy i z jej strony przewidujesz?...

Dubieński załamał ręce i rzekł gwałtownie:

— Ach, mój Boże! Gdybym mógł mieć inną rodzinę!

Akcent głosu był szczerzy i gorący. Pani Anna stwierdziła to z wdzięcznością. Ostatecznie na świecie niema wymarzonych stosunków, ani niepodzielnego szczęścia. Byle on ją kochał naprawdę, życie da się urządzić.

Powrócili do pełnego porozumienia, zacieśnili jeszcze węzeł przymierza ze względu na możliwą walkę za wspólną sprawę. Pozostaną z sobą, we dwoje, nie dadzą się, choćby świat cały stanął w poprzek ich drogi.

XXX.

Nazajutrz po południu pani de Sertonville oglądała w swym salonie kartę wizytową z napisem: «Romuald hrabia Dubieński».

— Nie pan Dubieński, który był u mnie? — zapytała służącego.

— Nie, jakiś inny.

— W jakim wieku?

— Młody. Bardzo prosi, aby go pani hrabina przyjęła. Musiał przyjechać niedawno i z daleka. Surdut ma czarny jak sutannę.

— Dobrze już, dobrze... prosić.

Oddaliła się do sypalni.

Tymczasem do pachnącego saloniku wszedł Romuald Dubieński, uroczysty. Laskę i kapelusz trzymał w ręku. Stał we środku pokoju.

Ponieważ pani nie zjawiała się natychmiast, gość miał czas rozejrzeć się po ścianach, przystrojonych świeżo i jasno, jak balowa suknia, zobaczyć w lustrze własną postać i stwierdzić, że jest równie dostojna, jak ujmująca.

— Nie zanadto powagi, aby nie spłoszyć ko-

biety... Nie nadto uprzejmości, aby nie spaczyć charakteru posłannictwa. Stanowczość, spokój, wytworność wielkopańska. Jeżeli to istota, która nie zatraciła lepszych uczuć, cnota i rozum potrafią ją rozbroić. Jeżeli Mesalina, pozostają inne sposoby: przebiegłość, wreszcie hojność.

Program, naszkicowany w Chojnogórze, Romuald wypracował w ciągu długiej, samotnej podróży. Ażeby nie uległ wpływom, natychmiast po przyjeździe, przystąpił do wykonania swej misji, nie dając nawet znać o sobie Jerzemu ani Kobryńskiemu. Spadał z nieba jak błysk ojcowskiej sprawiedliwości, był bowiem piorunem z ramienia pana Macieja...

— Piękniejsza niż sobie wyobrażałem!

Romuald błysnął mimowolnie rozstawionymi oczyma, poruszył nosem i otworzył nieco usta na widok Fernandy, która bez uprzedniego szelstu ukazała się w postaci swej odurzającej. Zaciśnął jednak pancierz zasad na sobie i po ceremonialnym ukłonie pozostał we środku salonu, mimo zapraszającego skinienia, aby usiadł. Pani de Sertonville patrzyła jak na zamorskiego ptaka, o którym miała pewne zoologiczne wiadomości, ale na oczy go nie widziała. Nie wątpiła jednak, że tego ptaka równie łatwo spłoszyć, jak usidlić.

— Wybacz pani niezgrabność człowiekowi, oderwanemu od pracy dla zamiarów, które będę miał zaszczyt wyluszczyć. Jestem starszym bratem Jerzego Dubieńskiego, niejako opiekunem

i przedstawicielem ojca, który mnie tu wysłał. Jeżeli pani choć trochę dobrze życzy Jerzemu...

— Bardzo miły człowiek — wtrąciła swobodnie Fernanda.

— ...Sympatye, które sobie zyskuje, wciągają go w niebezpieczeństwa, a sposób jego życia zagroza poważnie jego przyszłości nie tylko pod względem moralnym, lecz i materyalnym. Ojciec przezemnie, żąda natychmiastowego powrotu Jerzego do kraju i do obowiązków naturalnych. Instynktowo może mając zaufanie do szlachetnych pani uczuć, przyszedłem ją upraszać, aby mi zechciała pomódz w namówieniu Jerzego do uznania woli ojca.

Pani de Sertonville do swego boleśnie lubieznego uśmiechu przydała trochę dworskiej ironii:

— Państwo tam dużo jeszcze czytają Dumasa? Scena z «Damy Kameliowej» jest klasyczna, ale już wyszła u nas ze zwyczajów. Z Duvalów, ojców i synów, znamy już tylko... bulion. Co gorsza, źle pan trafił do mnie, gdyż nie jestem ani Małgorzatą Gautier, ani aniołem stróżem brata pańskiego.

Romuald trochę się zmieszał:

— Złe mnie pani rozumie. Dla naszych celów rodzinnych pragnąłem użyć tylko przyjaznego wpływu pani na mojego brata. Chyba że przyjaźń nie istnieje, w takim razie...

— Owszem. Brat pana bardzo mi się podoba. Do całej pańskiej rodziny mam najlepsze uprze-

dzenia. Nie wiem tylko, czy mój wpływ byłby skuteczny, a w każdym razie mój rozkaz nie podziała na niego.

Romuald, straciwszy wątek przygotowanej mowy, chwał się równie w zamiarach, jak w swej stojącej postawie.

— Niechże pan usiądzie, i pomówmy jak lepsi znajomi. Znamy się bowiem trochę, choćby tylko pośrednio.

Ordynat Dubieński usiadł, sztywny jeszcze, ale coraz lepiej usposobiony dla pięknej nieprzyciółki, która, podparwszy twarz ręką, patrzała na niego poufale.

— Rozumiem troskliwość pana. Powiem więcej: wszystko, co dotyczy Dubieńskich, a więc i pana, gorąco mnie obchodzi. Chociaż więc pan obraża mnie przez swe przypuszczenia, nie chcę być mściwą.

— O! bynajmniej! Zamiar obraźliwy nie powstał w mojej głowie!

Fernanda wyciągnęła rękę do Romualda, a razem wychyliła szyję, a usta jej bolesne, czerwone, pełne były kobiecej prośby o słodkie przymierze. Dubieński pochylił się nad jej ręką, zaledwie jej nie pocałował. Przysunął krzesło i poczuł się zupełnie rozbrojonym.

— Mówmy zatem otwarcie — odezwała się pani de Sertonville. — Nietylko dla Jerzego, lecz dla wszystkich Nizza jest próbą ogniową.

— To, co powtarza mój ojciec! zawołał Romuald ożywiony.

— Naturalnie, kobiety są głównem niebezpieczeństwem, ale te są wszędzie. Gorsze są intrygi, grasujące tutaj, gorsze te ciemne figury, które w zamieszaniu międzynarodowem uchodzą za zupełnie co innego, niż są w istocie. Czy pan zna Oleskich?

— Spotykamy ich czasami — odpowiedział Dubieński; nie należą do naszych bliższych znajomych.

— Mam nadzieję. Pani nie sądzę, ale jej opiekuna nauczyłam się cenić, jak na to zasługuje. Tam pan powinien był się udać, jeżeli przyjechał w zamiarze ratowania brata.

Romuald nie zrozumiał i prosił usilnie o bliższe wytłómaczenie. Fernanda wzbraniała się:

— Pierwszy raz w życiu znajduję się w takiej pozycji. Mówić o mało znajomym człowieku z nieznanym zupełnie jego bratem i wyjawiać różne brudy, które mnie nie dotyczą!

— Ależ pani ma sposobność spełnić dobry uczynek, pomóż mi do ratowania nierozważnego młodzieńca!...

— Dobry uczynek?... to tak elastyczne pojęcie! Inny wzgląd skłoniłby mnie do powiadomienia pana: szczerą sympatya, już dawniejsza, dla brata pańskiego, i nowa...

Fernanda przerwała, z dziewiczem prawie zakłopotaniem, a Romuald, pogłaskany po sercu,

coraz natarczywiej domagał się zwierzeń, coraz poządlawiej szukał ręki Fernandy.

— Pani!... pani hrabino! Widzę swoją pomyłkę, a zarazem szczęśliwy jestem, że udało mi się zabrać znajomość z kobietą równie piękną, jak szlachetną, i pozyskać trochę jej zaufania. Mów pani! Ja, ze swej strony, obiecuję nie tylko dyskrecję, lecz gotów jestem na wszelkie usługi. Rzadko spotkałem, w czynnym swoim życiu, równie zajmującą rozmowę.

Pani de Sertonville objęła swą władzę nad nowym niewolnikiem za pomocą łzawego spojrzenia, w którym tliły się iskry nieodgadnionych obietnic. Rzekła:

— Usług nie potrzebuję. Potrzeba mi raczej trochę opieki w życiu, trochę pobłażliwości dla wad i zachcianek kobiety opuszczonej, samotnej... Nie mówmy o tem. Pan mi się wydaje dobrym i przyjaznym. Więc dla dobra waszego, muszę powiedzieć co się dzieje z Jerzym. Jest uwikłany w sieci tego intryganta, Fabiusza Oleskiego, który działa na niego za pomocą swej pięknej... powiedzmy kuzynki.

— Jak? kiedy to się stało? W jakim celu pan Oleski chciałby pozyskać Jerzego?

— Na to odpowiedzieć nie umiem, bo nie znam się na podobnych machinacjach. To wiem tylko, że sześć tygodni temu widywałam często pańskiego brata, a nawet jego los, jego poetycki talent szczerze mnie obchodziły. Teraz widuję

go coraz rzadziej, bo jest nieodstępnym towarzyszem państwa Oleskich. Ta trójka jest nierozdzielna, odosobnia się i knuje rzeczy niedobre. Pan Fabiusz działa przez oszczerstwo, przez różne perory, a prowadzi Jerzego do jakichś ciemnych celów swoich, o których bliżej pana nie powiadomię. Przypuszczam jednak, że brat pański jest już dzisiaj w bardzo bliskich stosunkach z panią Oleską. Mówią nawet o projektach małżeńskich... Nie wiem, czy te zyskałyby pochwałę pana i jego rodziny?

— Nigdy! — zawołał Romuald: — zupełnie o kim innym myślimy dla Jerzego!

— Aa? doprawdy?

— To jest... myślelibyśmy, gdyby o to chodziło obecnie. Ale objaśnienia pani przejmują mnie zgrozą. Proszę przyjąć wyrazy najgłębszej skruchy za moje wystąpienie do pani, a także pozwolić sobie podziękować jak najgoręcej za otworzenie mi oczu i sposobność poznania wzniosłego serca i charakteru. Pozostaje mi więc oddalić się ze wstydem, za siebie i za brata — i prosić o zachowanie w tajemnicy naszej rozmowy.

— Na to może pan liczyć. Co zaś do działania tutaj, praktyczniej byłoby rozmówić się stanowczo z panem Oleskim i pociągnąć go do odpowiedzialności... Ale za to może przyjemniej było panu rozmawiać ze mną, tak jak mnie konwersacya dzisiejsza pozostanie miłym wspomnieniem...

Niepokój od otrzymanych wiadomości równoważył się w sercu Romualda ze wzruszeniem zmysłowo-romantycznym. W życiu swem obowiązkowem i oszczędnem nie spotkał kobiety, zbliżającej się do ponęty Fernandy, nie znalazł nigdy mocy tak zaprawnego wina. Miłostki jego były skryte, dorywcze i tanie. Dzisiaj poznał pokusę przemożną, pokusę, o której we śnie tylko mógł marzyć.

Musiał opuścić salon pani de Sertonville, do którego zabłądził, i ruszać na dalszą kampanię. Poprosiwszy więc tylko o pozwolenie powrotu, wyszedł na ulicę, rozgrzany i lekki, zapominając na chwilę o swych niesmacznych obowiązkach.

— Ten Jerzy! ten Jerzy! co za zbrodniarz!... ale jaki szczęśliwiec!...

Szedł przez ulicę jak pijany, chwytając w nozdrza nowe dla niego wonie egzotyczne, zagładając w oczy kobietom, wachając własne ręce, na których pozostała pamiątka perfum Fernandy. I począł wątpić, czy mrówcza cnota chojnogórska jest właściwą dla niego drogą. W szerokim życiu można także wiele czynić dobrego...

Ale miał w żyłach autentyczną krew Dubieńskich, posłuszną, choć burzliwą. Ten mocny sok krąży oddawna już w «Dębach» rodzinnych i, choć wykrzywia czasem konary w malownicze węzły, ostatecznie kształci je zawsze na pożytek i ozdobę pnia genealogicznego. Romuald był pożytecznym tego pnia konarem.

Dla ochłonięcia i dla namysłu usiadł pod otwartą na ulicę werendą kawiarni i kazał sobie podać coś chłodzącego... to, co piją tamci państwo przy sąsiednim stole. Była to limonada z szampańskim winem.

Mężczyźni w kawiarni byli wszyscy dobrze ubrani, niedbale pogardliwi, kobiety wszystkie pojętne. Nigdzie nie było jegomościa w wytartym surducie, z teką pod pachą, nigdzie zamyszonego pana w okularach. Nikt nie otwierał sakiewki, szukając w przegródce drobnej monety; pieniądze brano z garści, wydobytej z kieszeni, rzucano na marmur stołów, nie oglądając się za resztą.

— Bogaty kraj... — pomyślał Romuald.

Publiczność cała była zajęta zabawą, albo odpoczynkiem po zabawie. Głosy brzmiały energicznie, błyszczały oczy. Przez ulicę ciągnęły dobre powozy, samochody, bicyle. Mnóstwo postrojonych kobiet perfumowało atmosferę, już naturalnie pachnącą kwiatem pomarańczowym, sandałem, pieprzem, morzem... mocną gamą zapachów przyjemnie odurzających.

— Szczęśliwy kraj!...

Romuald zaczął myśleć, ile dni może tu pozostać... potem, że trzeba pójść do krawca... potem o pani de Sertonville... i byłby się rozmarzył, gdyby nie był prawym Dubieńskim. Spostrzegłszy, że mu się przyglądają niektórzy, poczuł się przez chwilę nieco upokorzonym: był widocznie inny, niż tamci, z pozoru. Zaraz jednak z tej od-

mienności postanowił sobie zrobić wyższość; zaakcentował swą wytworną powagę, zapiał czarny surdut, dlatego, że wszyscy mieli rozpięte, lekkie ubrania, zapłacił metodycznie i wychodząc ze sztywną pogardą omijał ironiczne, choć powściągliwe uśmiechy ludzi, których żartobliwe uwagi przeczuwał poza swemi plecami. Zresztą w chwili, gdy opuszczał kawiarnię, żółty jakiś człowieczek z ukośnemi oczyma, wysiadłszy z powozu, wchodził do zakładu w towarzystwie dwóch sobie podobnych i odwrócił uwagę ogólną. Romuald posłyszał parę razy tytuł «Monseigneur», skąd wniósł, że nowo przybyły musi być jakimś księciem rasy żółtej. Dubieński prawie zmartwił się, że zeszedł raptem ze sceny, chociaż odgrywał na niej rolę w swoim tylko przekonaniu poważną.

— Dość tego, teraz do obowiązków!...

Skierował kroki do hotelu, w którym mieszkali Kobryńscy.

XXXI.

Gdyby Romuald Dubieński obrał był umyślnie czas zjawienia się u Kobryńskich w postaci efektowanego posłańca bogów, nie mógłby znaleźć odpowiedniejszego dnia, niż ten, w którym się zjawił. Książęce gniazdo pełne było zgrozy i popłochu.

Wczoraj przedstawiono księżnie Teresie dokument obligowy na 30.000 franków, na którym obok podpisu swego małżonka ujrzała z niemałym zdziwieniem swój własny podpis. Zaledwie zdobyła się na odpowiedź, że porozumie się z mężem co do zapłaty. Był to jednak cios dotkliwy, gdyż księżna wcale o istnieniu takiego dokumentu nie wiedziała. «Niepoczytalność» Władzia wstępowała w fazę niebezpieczną, a nawet nie można było wyjaśnić tej zawilej sprawy, gdyż Władzio nie powrócił od wczoraj do domu. Ubocznie tylko dowiedziała się księżna Teresa, że lekkomyślny jej mąż przegrał znowu grube sumy w klubie nicejskim i w Montecarlo.

Jednocześnie spadło na stroskane serce «aniola

Dubieńskich» oświadczenie Jerzego, że zareczył się z panią Anną Oleską i prosi siostrę o wprowadzenie przyszej bratowej do przybytków rodzinnych.

Nie odpowiedziała nic tymczasem, rozplakała się tylko rzewnymi łzami. Nie znając trosk tego dnia feralnego, Jerzy nie mógł ani zgłębić dostatecznie przyczyny jej żalu, ani wytłumaczyć sobie tej czułości na korzyść swych zamiarów. Z niesmacznym zakłopotaniem rozstało się rodzeństwo, odkładając do jutra dalszą rozmowę. Mimo «najbliższego powinowactwa krwi i usposobienia» z Jerzym, Teresa nie zdecydowała się na razie wyznać mu prawdy o mężu, poskarżyć się i naradzić. Trzeba było ratować się skrycie i dyplomatycznie, nie chodziło już bowiem o frazesy, lecz o żalosne fakty.

Wśród gorączkowych rozmyślań, wśród poszukiwań męża, który się ukrywał, nagle odwiedziły Romualda, obleczonego w niedobrze wróżący charakter posła i pełnomocnego ministra, miały pozór katastrofy.

Teresa zbłądła i pierwszy raz zadrżała przed namaszczonego bratem, bo poczuła, że chwila jest ważna: jej stanowisko w rodzinie, jedyne jej stanowisko zapewnione i popłatne, może się zachwiać. Ale w silnej duszy Tereni ten cios ostatni, zamiast w popłoch wprowadzić talenty, skupił je owszem i uszykował do walki.

Przyjęła Romualda nie jak egzaminatora swych

czynności, którym przestano widać dowierzać w sferach decydujących, lecz jak zbawcę. Rzucała mu się na szyję i mówiła, nie zważając na uroczystość, którą zaznaczał:

— W porę przybywasz, Romciu! Nie śmiałam sama cię tu sprowadzać, ale widać, że papa poczuł pilną potrzebę. Kochany, mądry papa! Trzeba nam twojej męskiej ręki. Na Władzia wiesz, że trudno liczyć, a Jerzy zaszedł daleko, daleko, daleko...

Machała ręką powiewnie, jakby rzucając czar za uchodzącym kochanym zbiegiem.

— Dziwię się właśnie, — odrzekł Romuald sucho — że tak niedokładne informacje posyłałaś do Chojnogóry. Jerzy zabrnął w innym zupełnie kierunku.

— Więc wiesz?!...

— Wiem, bo wracam od pani de Sertonville. Nie mam tu czasu do tracenia, pragnąłem więc odrazu poznać osobę, niby to groźną dla Jerzego. Tymczasem naraziliście mnie na niezgrabny krok, którego zresztą nie żałuję, bom potrafił z niego skorzystać dla jaśniejszego rozejrzenia się w sytuacji. Widzę zatem, że wypadnie mi walczyć z zupełnie nowym niebezpieczeństwem: z panią Oleską?

— Posłuchaj mnie, Romciu! Muszę ci zdać sprawę z całego przebiegu mego działania tak szczerze, jakbym rozmawiała z papą. Bo skoro masz zostać naszym moralnym naczelnikiem, uświęconą głową rodziny...

— No, no, dobrze. Słucham zatem.

— Najprzód, zaraz po przyjeździe, zastałam Jerzego... jakby to powiedzieć... przechadzającego się w alejach swych wspomnień... Widzisz tę sylwetkę młodzieńca w żałobie, zamyślonego nad życiem swoim, nad losem przyjaciółki, w nim zakochanej...

— Przecie Jerzy pożegnał ostatecznie ową Karolinę jeszcze w Warszawie, według naszych informacji.

Teresa spojrzała przenikliwie na brata.

— Jakich informacji?

— Ojciec miał o tem wiadomości... uboczne. Mniejsza o to.

— Niezupełnie tak było — opowiadała dalej Terenia misternie: — znalazłam jeszcze w sercu Jerzego tkwiący grot, albo lepiej, fałszywy wyrzut sumienia, sentymentalny powrót do wspomnień. To wszystko starałam się wyplenić. *P'y ai beaucoup travaillé, je t'assure.*

Przerwała na chwilę, czekając może na słowo uznania od brata, ale ponieważ milczał, ciągnęła dalej:

— Zaraz potem wrażliwa natura pociągnęła go do pani de Sertonville, a raczej, *pour être dans le vrai*, on został pociągnięty przez najpiękniejszą kobietę pomiędzy... łatwemi. Dziwić się temu nie powinienes: *nous avons tous ce quelque chose d'atrayant, qu'il ne dépend que de nous de rendre irrésistible.*

Romualda zaczynała żywo zajmować rozmowa.

— Więc myślisz, że Jerzy z panią de Sertonville doszedł do... ostateczności?

Błysnął krótkim, zmysłowym uśmiechem i poruszył nosem, który miał wyrazisty, a Terenia pomyślała, czy nie byłoby pożytecznie, aby i bratordynat uszczknął, choć przelotnie, jaki «kwiat grzechu». Stałby się z pewnością wyrozumiałszym, bardziej sprzymierzonym z rodzeństwem, mniej urzędowym w stosowaniu groźnych przepisów ojca... Odpowiedziała wesoło:

— Wątpić nie mogę, że tak było. Pani Fernanda, choć ją tutaj wszyscy przyjmują, nie zdaje mi się bardzo surową co do zasad. Nie rzucamy zresztę kamieniem na nikogo, zwłaszcza w Nizzy. Tutaj sam klimat jest już łagodzącą okolicznością.

— No, no, Tereniu... Nie poznaję cię.

— Och, mówię tylko dla mężczyzn. Wracając do Jerzego, stosunek ten trwał zapewne około miesiąca. Nie mogę ci opisać, ile sił i godziwych wybiegów użyłam, aby wyrwać Jerzego z więzów, w których się szamotał. Naturę ma zdrową, naszą, ale pokusy silne, bo go kobiety... poprostu adorują. Zdołałam nareszcie wywieźć go do Rzymu. Atmosfera tego świętego miasta...

— To już wiem... o tem pisałeś do Chojnogóry.

— Właśnie. Uciekł mi z Rzymu, powołany zapewne przez swe urojone obowiązki względem

pani de Sertonville. Nie wyobrażasz sobie, Romciu, jak pojęcia o obowiązku są tutaj pomieszane.

— Wyobrażam sobie. Ale to mi nie tłumaczy, jakim sposobem Jerzy jest teraz pod wpływem Oleskich i zakochany, czy tak? w pani Annie.

Był to również punkt słaby przenikliwości księżny Teresy. Jerzy tak skrycie działał, że wczorajsze ogłoszenie zaręczyn spadło na Teresę jak dachówka z domu, o którym nawet nie wiedziała, że się budował. Na domiar złego, trzeba było jeszcze Romualdowi oznajmić o spełnionym fackie zaręczyn. Księżna przerzuciła się od swobodnego wdzięku w dyalogu do nuty bolesnej.

— Przypuszczam taką psychologię: Jerzy, ażeby się wyrwać z więzów Fernandy zwrócił się do pani Oleskiej. Patrzałam bez podejrzeń na jego nadskakiwania, bo pani Oleska, *malgré tout*, nie jest z rodzaju pani de Sertonville, a jej nieodstępny opiekun wydawał mi się dostatecznym zapewnieniem.

— Podobno to intrygant? W jakim celu przyciągał Jerzego do swej kuzynki?

— Przyciągał? tak sądzisz? Wątpię... Skąd takie przypuszczenie?

— Czy nie słuszne?... Zatem jakim sposobem Jerzy obecnie trzyma się z Oleskimi i w jakim celu? To przecie nie nasze towarzystwo.

— Ach! — westchnęła Terenia. — Jerzy jest wrażliwy! Pana Oleskiego ja sama prosiłam, aby

nam Rzym pokazywał, bo zna się na tem. A pani jest ładna... Jednem słowem, zdaje mi się, że jako antidotum przeciw pani de Sertonville wymyślił Jerzy te... zaręczyny. *C'est un coup de tête.*

Romuald zmarszczył się jak młody Jowisz na podobieństwo starego pana Macieja.

— Zaręczyny z tą wdową?

— Niestety... wczoraj mi je oznajmił.

— A! wiecie co, że ładnie tu prowadziliście nasze sprawy! Władzio się zgrał, Jerzy zaręczony z pierwszą lepszą, a ty na to patrzysz! Przecie to bankructwo, materyalne i moralne!

Romuald powstał i niecierpliwie się rzucił, a Terenia łzawo mrugającymi oczkami starała się przeniknąć, skąd i jak wiele wie ordynat o niepowodzeniach familijnych. Zmiarkowała wkrótce, że wypowiedział już wszystko. Wtedy przemówiła słodko, z zaledwie dostrzegalnym odcieniem skargi:

— Tak. Bóg nas doświadcza, a mnie tym razem nie pozwolił zapobiedz złemu... mimo najgorętszych chęci. Przyjmuję to upokorzenie.

— Ciebie nie winię. Czyniłaś zapewne, coś mogła.

— Nie, nie, nie! Mogłam więcej. Mogłam zapomnieć o wszelkiej przyjemności, o zdrowiu swoim, mogłam zamieszkać z Jerzym...

— Nie przesadzajmy. Radźmy lepiej co począć. Na ten ostatni cios nie byłam przygotowywana.

Po krótkiem milczeniu rodzeństwo powróciło do harmonii, i rozmowa stała się zgodną, przyspieszoną, techniczną.

— Pani Oleska ma dziecko? nie prawdaż? — rzekł Romuald.

— Ma córkę sześciolletnią.

— Posagu żadnego, tylko majątek męża?

— Mały w każdym razie.

— Jak ona jest z domu?

— Bóg ją tam wie... gdzieś z Litwy.

Po obliczeniu w tych kapitalnych cyfrach wartości kandydatki na bratową, doszli oboje do przekonania, że wartość jest ujemna, nieodpowiednia do tak wysokich przeznaczeń. Przystąpili teraz do uzasadnienia swego wyroku, do motywów moralnych.

— Przytem — rzekła Terenia — to ciągle obcowanie wdowy z krewnym męża nie jest wytłómaczone. Pozycja nieregularna.

Romuald potwierdził i postawił nowe zapytanie:

— A jak się tutaj zachowywała?

— Tak sobie... Nic wyraźnego o niej nie mówiono. Ale była naprzykład na jachcie d'Anjorant'a, sama, otoczona ciągle przez mężczyzn, a na tym jachcie zabawa doszła do rozmiarów trochę nadzwyczajnych.

— Któż był na jachcie?

— Byli wszyscy, byli i arcyksiążęta. Byłam i ja, ale z Władziem i w swoim towarzystwie.

To co innego. Kobieta zaś bez męża, bez wielkich stosunków, powinna być bardziej «rezerwowana».

Romuald chrząknął niewyraźnie. Może mu przyszło do głowy, że skoro «byli wszyscy», mogła być jeszcze jedna, oraz że trudno wdowie znaleźć na razie męża dla wymagań morskiej przejażdżki w warunkach przyzwoitych.

To był szczegół wątpliwy. Ale ogólnie pani Anna została nazwana «partią niestosowną». Jej wykształcenie, ujmująca prostota, piękność, były to dodatki bez wartości ze względu na brak zalet zasadniczych.

Nareszcie Romuald doszedł do takiej formuły, na którą oboje się zgodzili:

— Ten projekt jest nie tylko śmieszny, nie tylko nierozważny, ale prawie nam ubliża.

Poczęli więc radzić nad sposobem naprawienia szalonego kroku Jerzego. Starszy brat przedstawił swe pełnomocnictwa, bardzo rozległe. Miał wyraźny, ustny i piśmienny rozkaz ojca, aby Jerzy powracał natychmiast do Chojnogóry; w razie zgody — amnestya, zapłacenie długów w trzech ratach rocznych i pełny udział w cieple domowego ogniska; w razie oporu — odjęcie wszelkich dochodów, a nawet groźby bardzo poważne na przyszłość, uzasadnione z jednej strony przez wstręt dla dostarczania pieniędzy na życie rozwiążle, z drugiej — przez «ideę ordynacyi». Wprawdzie te rygory stosowały się do zerwania

z panią de Sertonville i z życiem hulaszczem; projekt małżeństwa nie był przewidziany w instrukcyi. Ale zarówno Terenia jak Romuald nie wątpili, że pan Maciej uzna projekt za niemożliwy.

— Czy telegrafowałaś do ojca?

— Jerzy miał wysłać depeszę od siebie — odpowiedziała Teresa.

— Tem lepiej; ojciec będzie już powiadomiony o fakcie. Ale my wyślemy drugą depeszę, zapytując o zdanie.

Zasiedli do redakcyi długiej, mozolnej, niezycliwej.

Zaledwie skończyli i wysłali, wszedł Jerzy.

XXXII.

Bracia nie widzieli się od roku. Przez ten czas niebardzo tęsknili do siebie. Spotkanie obecne nie mogło też rozplomić uczuć braterskich, zwłaszcza że Jerzy otrzymał przed chwilą i miał z sobą w kieszeni odpowiedź ojca:

«Stanowczo nie pochwalam. Romuald dopowie resztę».

Jerzy przychodził więc do siostry po objaśnienia, a spotykając Romualda, przeczuł najgorszy wynik. Nie wiedział jednak jeszcze, co «dopowie» Romuald i jakim sposobem lokomocyi znalazł się już dzisiaj, razem z depeszą, w Nizy, a skądinąd też nie mógł przewidywać nic gorszego, niż przyjazd Romualda, streszczającego w swojej osobie wszystkie właściwości rodziny, od których Jerzy uciekł na kraj świata. Zasady Dubieńskich, stosowane przez ojca, były znośniejsze: pan Maciej był stary, skamieniały w wyrobionym przez siebie systemie, był też ojcem i źródłem wszelkiego dobra. Ale Romuald, o dwa lata tylko starszy, naturalnie równouprawniony, przy-

prowadzał Jerzego swoją zmonopolizowaną doskonałością coraz częściej do rozpacz. Ze wszystkich też ukochanych przez rodzinę idei, idea ordynacyi trafiała młodszemu bratu najtrudniej do przekonania.

Zaraz po przywitaniu, gdy spojrzeli sobie w oczy, bracia poczuli, że łatwo się nie porozumieją, poczuli nawet coś, co pospolicie nazywa się nienawiścią. Ale Romuald był zbyt wyrobiony, aby okazać, a tem bardziej nazwać po imieniu tak gminne i niewłaściwe Dubieńskim uczucie. Rozpoczął więc przyjaźnie, choć stanowczo:

— Zgadujesz zapewne, kochany Jerzy, że mój przyjazd do Nizy nie jest bez powodu. Ojciec kazał mi oderwać się od naszych interesów materialnych i pospieszyć tutaj dla interesów wyższego rzędu. Dobra sława wszystkich członków rodziny jest skarbem najcenniejszym, którego strzedz wszyscy powinniśmy. Nie śmiałyby ci powiedzieć, że zapominasz o niej, jesteś jednak na pochyłości...

— Oszczędź mi, proszę, tej przedmowy—przerwał Jerzy z buntowniczym błyskiem w oczach:— wiem, że do żądanej przez was doskonałości nigdy nie dojdę, ale mam uczciwe zamiary, co do których chciałem zasięgnąć rady ojca. Tymczasem otrzymuję odpowiedź niejasną i pragnę wytłómaczenia. Oto jest zdanie ojca o moich zaręczynach.

Dobyl z kieszeni depeszę. Romuald i Teresa

chciwie ją odczytali i porozumieli się spojrzeniem. Wątpliwość co do zdania pana Macieja ustała; poseł miał teraz do okazania całą moc i rozciągłość swej plenipotencji. Zamyślił się i pokiwał żałośnie głową.

Jerzy dopomniiał się niecierpliwie:

— Słucham więc: co mi d o p o w i e s z ?

Romuald ocknął się i urzędownie przystąpił do sprawy:

— Widzisz, kochany Jerzy... wszystkie twoje zamiary i zachcianki wynikają z życia bez steru. Kobieta jest głównym niebezpieczeństwem twego życia, powiem nawet, nieprzyjaciółką twjej duszy. Pokusy mają i inni, ale mają też przywiązanie do zasad, które ich bronią. Ten maszt Odyseusza...

— Romualdzie! Doprawdy ja lepiej znam się na literaturze niż ty. Komunałów nie potrzebuję. Mów, co masz mi do powiedzenia, po prostu:

Romuald przełknął ślinę i zarumienił się. Ciągnął jednak dalej spokojnie:

— Mówię jak umiem, ale za to myśl moja nie błąka się po manowcach. Wiem, jak trzeba myśleć. Powtarzam więc, i to nie od siebie, lecz od ojca, że zasady twego działania są błędne, że je trzeba stanowczo zmienić, porzucić.

— Tak odrazu? i w jakim celu?

— Dla pozostania prawym członkiem rodziny, dla pozostania Dubieńskim.

— Dubieńskim być nie przestałem, ale chcę być nowym, nie starym.

— Doświadczenie nasze—mówię znowu w imieniu ojca — jest może lepsze, dlatego że starsze. Jesteśmy przekonani, że jedynie życie rodzinne, ciepło domowego ogniska pozwoli dojrzeć wszystkim naturalnym darom twoim i wykształcić cię na pożytecznego obywatela. Ojciec przywołuje cię do ogniska, chce zapomnieć o przeszłości, ojciec jest dobry i wspaniałomyślny. Mam ci nawet do zakomunikowania, że jeżeli wrócisz natychmiast, długi twoje, o których wiemy, będą zapłacone w trzech ratach rocznych.

— Nie wyrzekałem się przecie nigdy powrotu do domu, a teraz tem mniej. Ale chcę wrócić — z żoną.

Romuald poruszył ramionami, zaznaczając stanowisko *non possumus*.

— Masz przecie wyraźną odpowiedź ojca.

— Wcale niewyraźną! Czekam właśnie na objaśnienie.

— Widocznie ojciec stawia panią Oleską w rzędzie kobiet niebezpiecznych, od których pragnie cię obronić.

— Ale na jakiej zasadzie?

— Zasad ojca nie roztrząsam. Trzeba się im poddać, gdyż umie on być równie łaskawy, jak sprawiedliwy. W razie gdybyś nie posłuchał, mam ci bardzo smutne rzeczy do powiedzenia.

— Naprzykład?

— Ojciec stanowczo i ostatecznie przestanie ci dostarczać pieniędzy na życie bez zasad. Nie

tają ci nawet, że jest bardzo rozgoryczony, że myślał już o możliwym zniesieniu twojej schedy.

Jerzy pobladł i zamilkł. Tutaj Teresa, dotąd zupełnie bierna, wmieszała się do rozmowy:

— Romciu! to są ostateczności! Nie warto nawet wspominać o nich. Ja wierzę w Jurka, on nie zechce przyczyniać nam i ojcu takiej boleści, on się opamięta.

Patrzała z wyrazistym niepokojem na Jerzego, który milczał jeszcze, ale żuł nerwowo jakąś odpowiedź. Nareszcie przemówił:

— Znam to, już Terenia przywiozła mi podobne pogrożki. Namyslałem się nad nimi i doszedłem do ciekawych wniosków o prawdziwym znaczeniu naszej rodziny. Jest to stowarzyszenie do wyrabiania zasad w pocie czoła stowarzyszonych, z kapitałem skoncentrowanym w ręku naczelnika firmy i wynalazcy pomysłu.

— Nie przeczę — odpowiedział Romuald: — tylko twój zmysł satyryczny nie dopatrywał się innego celu założenia rodziny. Jesteśmy, powinniśmy być jedną osobą większą, rozrodzoną na kilka lub kilkanaście osób, czujących tak samo, tak samo pojmujących obowiązki moralne i społeczne. Ta spójnia, ten cement jest naszą siłą i chlubą.

— Co mi tam mówisz! — zawołał Jerzy: — jedyny cement, który nas łączy, to pieniądze!

Ten wybuch wywołał wielkie zgorszenie. Siostra wmieszała się stanowczo do rozmowy braci,

z których jeden chwycił się środka zakazanego: nazwania po imieniu wielkich tajemnic rodzinnych.

— Jurku! cofnij to słowo! i my zapomnimy, żeś je powiedział.

— Nie cofam. Wszystkie inne nasze spójnie to frazesy. Miłość, która nie liczy się ani trochę z cudzą indywidualnością! Obowiązki społeczne, polegające na dobieraniu zasad ku własnej wygodzie, czy to obowiązki? Co myśmy kiedy uczynili dla kogo? Żyjemy jak każdy bankier, jak każdy żarłok, tylko nazywamy to cnotą, a apetyty innych — występkiem.

Teraz Romuald, dotknięty do żywego, zaczął tracić cierpliwość.

— Nie przyjechałem tutaj rozprawiać z tobą o naszej wartości, ani klócić się o teorie. Mam ci do oświadczenia wyraźną wolę ojca i zapytuję: czy trwasz w twych pięknych zamiarach, czy chcesz się ich wyrzec?

— Co nazywasz pięknymi zamiarami?

— Pozostawanie tutaj pod jakimkolwiek pozorem.

— Mówiłem ci, że chcę wrócić do normalnego życia, ale we dwoje, bo jestem zaręczony.

— To ten sam kierunek, to równoznaczne. Jednej zachciance ulega się skrycie, drugiej jawnie, skoro wynajdzie się przed światem usprawiedliwienie. Dla nas obojętne jest nazwisko kobiety, która cię trzyma. Czy Francuzka, czy Polka, czy separatka, czy wdowa, wszystko jedno, mu-

sisz ją poświęcić ideom rodzinnym. Nie zamýślasz przecie na seryo wprowadzić jednej z tych pań do Chojnogóry?

Jerzy drgnął i złowrogo zaciśnął pięście.

— Jakiem prawem tak się wyrażasz?!

— Prawem danem mi przez ojca.

— A ja ci prawem wolnego człowieka powiem, że jedyny powód, któryby mnie wstrzymywał od wprowadzenia pani Anny Oleskiej do Chojnogóry, to wstyd okazania jej takiej rodziny, ale na ten wstyd już się zdecydowałem.

— Ubliżasz nam wszystkim w mojej osobie!

Zaperzeni bracia przybrali tak wojownicze postawy, że Terenia pomyślała błyskawicznie, co by to było, gdyby dwaj Dubieńscy, przechodząc od słów do giestów, potraktowali się jak dwaj szewcy. Rzuciła się między rozprawiających, jak siostra, jak rozjemca, jak anioł rodziny.

XXXIII.

Jerzy, gdy otrzeźwiał, stanął wobec groźnej alternatywy i — zadumał się. Wybór między popłatnem zadowoleniem rodziny a romantycznym małżeństwem z Anną stał się nieuchronnym. Gdyby to jeszcze był wybór między obowiązkiem a pociągami uczuciowym! Ale stawały w sprzeczności dwa obowiązki: jeden wynikający z urodzenia, z konieczności; drugi z konsekwencji własnych postępów, których nie śmiał nazywać zdrożnymi. Jak wybrnąć z dramatu? Jakim sposobem utrzymać w objęciach kochaną kobietę, a nie narazić się na utratę tych podłych środków materyalnych, których dokuczliwą potrzebę odczuwa jeszcze bardziej poeta, niż zwykły śmiertelnik?

Miłość i praca?? Ale praca szara, niemiłosierna, nie nazwana żadnem szumnem mianem; zajęcie w jakichś gazetach, w jakichś biurach urzędniczych... Gdyby nawet zdecydował się żyć na koszt żony, nie miała ona dostatecznego majątku dla urzeczywistnienia owego prawowitego

romansu, w ktorego postaci przedstawiał sobie Jerzy pożycie małżeńskie z Anną. Przyszła rodzina bez pałacu, bez powozu, bez estetycznych form życia, wydawała mu się wprawdzie rozrzuwającą, ale zarazem jakby nierealną.

— Teraz, Anno, — mówił wieczorem po stanowczej rozprawie z bratem — stoję przed tobą odarty nawet z tych biednych promieni, które należały mi się z urodzenia. Pozostaję sam tylko na twe usługi — serce i ręka...

— O te dbam przedewszystkiem — odpowiedziała Anna szczerze, ale smutno.

Nie wysłuchiwała obojętnie wiadomości o uporze Dubieńskich, tak twardym, że raczej wyrzekali się syna i brata, niżby ją mieli przyjąć do rodziny. I w jej rachubach, prostych i uczciwych, przyszłość przedstawiała się łatwiejszą, normalniejszą, niż ta nowa perspektywa ucieczki z ukochanym do jakiejś chaty odludnej i wykletej. Ale najbardziej dotknęła ją pycha tych ludzi, którzy widocznie poczytywali ją, Annę Oleską, za niegodną noszenia ich nazwiska. Jedyłą pociechą było to, że Jerzy inaczej myśli i czuje. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała niezłomnej pewności, niezachwianej wiary w narzeczonego. To też przy nowych wyznaniach, ujawnszy mocno za obie dłonie Jerzego, patrzyła mu w oczy z gorącym zapytaniem:

— Ty, mój drogi, jesteś inny?...

Jerzy mdło odpowiedział na uścisk dłoni Anny i wyraził się ponuro:

— Czy ja mam prawo?

— Jakie prawo?

— Narażać ciebie na dzielenie tego życia, które teraz będę zmuszony rozpocząć.

— Jerzy! przedewszystkiem nie masz prawa tak mówić! Powinienbyś wiedzieć, że nie dla żadnych ubocznych widoków, ale dla ciebie samego pokochałam cię!...

— Moja najdroższa!

Skończyło się na wątpliwem rozrzuwieniu, i z obu stron pozostał niepokój o przyszłość. Przez całą noc Jerzy walczył bezsennie z okrutną alternatywą: Ona czy bogactwo?... Przypominało to biblijną przypowieść o pasowaniu się Jakóba z aniołem.

Następny dzień przyniósł jednak roztargnienie od ciężkich myśli w postaci niespodziewanego wypadku. Poranne pisma nicejskie ogłosiły, że hrabia Dubieński, zaszczytnie znany w dyplomacyi europejskiej Zebri-bej, w przejeździe morzem z Rzymu do Marsylii rzucił kotwicę własnego jachtu pod Nizzą. Na statku znajdowali się jako goście hrabiego: książę Filip XIII i inne dostojne osoby.

Wiadomość ta podziała elektrycznie na całą rodzinę Dubieńskich, przebywającą tego ranka różne moralne utrapienia. Właśnie bowiem do księżny Teresy wrócił był zbiegły małżonek,

blady, zwyciężony przez nieszczęścia, i starał się wytłómaczyć znaczenie podpisu księżny na solidarnym wekslu: przyciśnięty okolicznościami, Władzio położył podpis żony na dokumencie, ale opatrzył go głoskami p. p., które znaczą «per procura», w zastępstwie — a mąż jest naturalnym prokurentem żony w sprawach pieniężnych. Przyznawał jednak, że takie postępowanie prawne jest wyjątkowe i dopuszczalne tylko w pośpiechu, za granicą, w braku właściwych urzędników i kancelaryi. Ostatecznie księżę Kobryński nie był prawnikiem i mógł się omylić; w przyszłości obiecywał tego nie czynić; odwoływał się do wspaniałomyślności i do dyskrety żony, całując ją ze łzami, zaklinając na pamięć o nazwisku, o honorze, o przodkach i potomkach. Rada nie-rada, Terenia musiała uwierzyć w szczerą skruchę męża i zabrała się do przygotowań na pośpieszny wyjazd z Nizy.

Wiadomość, że stryj Tadeusz znajduje się w pobliżu na pokładzie swego jachtu, przerwała równie lży Władzia, jak pakowanie kufrów. Dreszcz zadowolonej dumy rodzinnej przebiegł przez małżonków Kobryńskich i przyczynił się jeszcze do ich zespolenia. A także — bliskość takiego pana, przepływającego w towarzystwie Jego Królewskiej Wysokości przed ciekawymi oczyma przyjaciół, dostawców i lichwiarzy, zwiększała stanowisko i kredyt miotających się na brzegu krewniaków. A także — opisany w gazecie prze-

pych na statku i różne wzmianki o wielmożności jego właściciela budziły nadzieję i wiarę w Opatrzność, której wyroki niezbadane kierowały i tą łodzią. W każdym razie przejazd stryja pod Nizzą wydał się Kobryńskim wypadkiem pomyślnym.

Inaczej odczuł to Romuald, wyczytawszy wzmiankę w gazecie. Ów stryj Tadeusz nie był zdeklarowanym aliantem Chojnogóry, raczej dla Jerzego miał słabość. Nie wiadomo, jakie zakłócenia mogłoby wywołać zejście się Tadeusza z Jerzym?...

Gorączkowe wrażenia członków rodziny doprowadziły ich ostatecznie do jednomyślnego kroku: spotkali się we troje na brzegu morza, w punkcie najmniej oddalonym od stojącego na kotwicy statku. Kobryński przyniósł nawet lunetę.

— Ha, ha! dzień dobry! Stryj przepływa...

Roześmieli się do siebie i, nie zamieniając dalszych uwag, zaczęli obserwować.

Jacht nie wpłynął do portu, stał opodal, na pełnem morzu, między Villefranche a Nizzą; nie zabierał się widocznie do wylądowania. Poranek był idealnie błękitny, spokojny i gorący. Na martwej prawie tafli wyiskrzonego szafiru drzemał biały statek samotnie, przesłoniiony osłepiającymi welnami falującego powietrza. Z powodu ciszy morskiej i skwaru nie było nawet żagli rybackich na wodzie; czasem tylko bliższa brzegu mewa, zniżając się ukośnie ostrem skrzy-

dłem do powierzchni morza, przecięła ją małą rysą, i widać było wtedy, że szyba metalicznego szafiru nie steżała, ale płynna jest, tylko śpi w pachnącym upale. I znowu mewy wzbijały się w górny błękit, kołysząc się zygzakami, jak wielkie motyle.

Na kosztownej wygładzonej tafli leżał sam jeden przedmiot pożądania / patrzących z brzegu Dubieńskich.

— Flaga francuska — oznajmił Kobryński, który patrzył przez lunetę. — Na pokładzie nie widać nikogo.

— A czy jest nasz herb na przodzie? — zapytał Romuald.

— Jest, jest, nawet z kolorami.

Po chwili milczenia odezwał się Kobryński:

— Umie żyć jednak ten Tadeusz!

— Nauczył się — poprawiła Terenia.

Wtem na nużącym już swą jednostajnością obrazie ukazał się ciekawy szczegół: do jachtu zbliżała się łódka od Nizzy.

— Szalupa! — ogłosił Kobryński — a w niej... poczekajcie... doprawdy: Jerzy!

— Czy napewno?

— On, on! poznaję twarz... i ubranie. Spojrzyjcie sami.

Romuald uchwycił lunetę i stwierdził tożsamość osoby brata, a nadto porównawszy ubiór wioślarzy z ubiorami majtków na jachcie, doszedł do przekonania, że Jerzy podąża do stryja przy-

slaną ze statku szalupą. Dostrzegł nawet napis na boku szalupy: nazywała się «Joyeuse».

Terenia zapragnęła także naocznie przekonać się; ale luneta była nastawiona dla lepszego wzroku niż księżny, która zatem musiała poprzestać na opowiadaniu męża i brata.

Spojrzeni po sobie z rozczarowaniem, i Romuald sformułował smutną oczywistość:

— Widać, że stryj nie zamierza wstąpić do Nizzy. I z nas wszystkich wezwał tylko Jerzego! Dobrze mówi ojciec, że stryj Tadeusz jest niepewny...

Umilkli, goniąc oczyma łódkę, która zbliżała się już do statku.

— Trzeba temu przeszkodzić! — zawołał Romuald zaczerwieniony. — Jeżeli Tadeusz da Jerzemu pieniędzy, przepadły nasze starania... i nasze sposoby.

Twarz księżny Teresy oblała się niby aureolą chrześcijańskiej męczennicy:

— Daj pokój, Romciu... Stryj nie jest znowu tak skory... i coraz bardziej powraca... Może Bóg go natchnie? Zdajmy się na wolę Bożą.

— Masz słuszość, droga Tereniu — rzekł książe, który dzisiaj był usposobiony tkliwie i pokutnie.

Terenia miała słuszość, tem bardziej, że niepodobieństwem było wstrzymać na morzu szalupę, przybijającą już do jachtu; chybaby ją zatopić za pomocą torpedy. Zaniepokojone rodzeń-

stwo musiało zatem z niema powagą przyglądać się, jak opuszczono ze statku schody, jak Jerzy zręcznie wdrapał się na pokład i przepadł w zagadkowych głębiach jachtu. Jednocześnie dostrzegli lekki dymek wznoszący się z małego kominka, nie z wielkiej rury od motoru: zapewne w kuchni gotowano śniadanie.

Władzio przełknął ślinę i poczuł głód.

— Chodźmy stąd — rzekł: nie nie wskóramy, a lepiej, żeby nas tu nikt nie zobaczył przyglądających się pływającemu zdala od nas stryjowi.

Uwaga była trafna, choć zbyt jaskrawo wypowiedziana.

XXXIV.

Nie chcą mnie, nie chcą, Fabiuszu! — mówiła, łkając, pani Anna: — nawet Kobryńscy nie byli dotąd u mnie, a od trzech dni wiedzą o zaręczynach! Ojciec Jerzego nie chce, a ten stryj nie wiem co powiedział...

Siedziała obok dawnego przyjaciela na małej kanapce w swoim mieszkaniu i garnęła się do niego, jakby chciała zapłakane oczy ukryć na jego ramieniu. Ale Fabiusz trzymał jej dłonie i ściskając je, miarkował zarazem jej oddalenie. Był bardzo blady, i oczy mu błyszczały gorączkowo.

— Proszę mi wszystko wytłómaczyć, bo inaczej nie znajdę nietylko rady, ale nawet zdania o postępowaniu pana Dubieńskiego. O czym miał się rozmówić z owym stryjem?

— Spodziewał się, że mu stryj pomoże w razie, gdyby ojciec odebrał wszelkie środki... Ten stryj bywał dobry dla niego i ma podobno ławiejszy charakter niż tamci ludzie.

— Czy był wezwany, czy sam pojechał na statek?

— Był wezwany. Obiecał przyjść do mnie wczoraj, zaraz po rozmowie ze stryjem, i to mi się należało, zamiast tego nadzwyczajnego listu..

Fabiusz odczytał list, który już znał, gdyż dowiedział się naraz o zaręczynach i o wynikających komplikacjach, a teraz chciał tylko uprządkować te wyznania i wyciągnąć z nich wnioski.

Jerzy w liście, zresztą bardzo czułym, prosił o dwa dni do namysłu nad przyszłością.

— Co to znaczy: do namysłu? — rzekł Fabiusz, marszcząc brwi groźnie.

— Gdybym wiedziała?..

— Czy w rozmowach uprzednich postawiła pani jakie warunki co do obecnego małżeństwa?

— Ja?... żadnych nie stawiałam... Fabiuszu! Nazywaj mnie jak dawniej! nie odbieraj mi swego oparcia teraz, kiedy najbardziej... najgorzej...

Rozpląkała się znowu, a Oleski przymknął oczy, opanował kurecz swjej twarzy i rzekł gorąco, lecz spokojnie:

— Dobrze... jak zechcesz. Wiesz, że moja przyjaźń nie zawiera się w wyrazach, ale w głębi serca. Zatem pan Dubieński prosi jeszcze teraz o namysł nad swoim własnym postanowieniem?... To... niewłaściwe.

— To okropne! można zwątpić o wszystkim!

— Wszak wasze zaręczyny były bezwarunkowe? Ogłosiliście je przecie?

Anna wzdrygnęła się, spuściła oczy i rzekła:

— Były najuroczystsze.

Fabiusz spojrział na nią, otworzył usta, jak do zapytania, i dech wstrzymał. Po chwili niemego zapatrzenia rzekł niestanowczo:

— Nie śmiem radzić... od początku nie rozumiałem wahania pana Dubieńskiego. Nad urzeczywistnieniem swego własnego szczęścia można się namyślać, ale skoro cudzy los wzięło się w rękę, skoro się za cudze szczęście jest odpowiedzialnym?... Tutaj nie umiem nic powiedzieć, bo nie znam twego ucznia...

— Kochałam go bardzo.

— Kochałaś? w czasie przeszłym? a cóż teraz?

— Teraz cierpię strasznie. W tym kraju nie ma spokojnego szczęścia.

— Ha! w tym kraju!

Fabiusz zacisnął pięść, jakby mu teraz dopiero wspomniano o osobistym nieprzyjacielu.

— Tak tu wszystko nęci, upaja... — mówiła dalej Anna boleśnie — tak mieszają się pojęcia co pozwolone, a co nie... Z początku panowałam nad sobą i nad nim; wiedziałam, że trzeba było jasno określić nasze stosunki i przyszłość przewidzieć, zanim... zajdziemy zbyt daleko...

— Anno! — przerwał Fabiusz z widocznym niepokojem — mówisz o zaręczynach swych, jak

o... lekkomyślnym postępku. Przecie to nie zabawka, nie byle rozmowa. Czyżbyś przypuszczała możliwość zerwania waszych zobowiązań?

— Nie chcę przypuszczać... ale co znaczy ten «namysł nad przyszłością» teraz, kiedy już rzecz się stała nieodwołalną?

— Jeżeli pan Dubieński jest uczciwym człowiekiem, namysł jest tylko przewidywaniem, jakie stanowisko macie zająć oboje względem jego rodziny, albo... Bóg go tam wie, jednak przypuszczam, że namysła się tylko nad najlepszym urządzeniem przyszłego życia we dwoje.

— Gdyby tak było!... gdyby tak było, miałabym spokój.

— Więc niedowierzasz mu?

Anna podniosła na przyjaciela oczy proszące.

— Jak poznać człowieka w tutejszym chaosie? Żebym miała twój rozum i doświadczenie, żebyś wszystko ci mówiła jak dawniej, możeby nie doszło wcale do zaręczyn, do tego strachu, do tego wstydu... Patrz, ci jego krewni odrywają go ode mnie, jak od niebezpieczeństwa, jak od poniżenia! To przecie okrutne! Na to nie zasłużyłam.

— Oczywiście — rzekł Fabiusz z gorzkim ust skrzywieniem. — Ci ludzie nie oceniają cię nigdy, bo nie znają odpowiedniej wagi ani miary. Dla nich jest za tanie to, co może być najdroższe dla innych. Ale przecie on, ten wybrany, miał nie być do swej rodziny podobny?

— A jeżeli jest... z nich? i w głębi taki sam?

— To — nieszczęście.

Anna spojrzała z niemym przestachem w oczy Fabiusza, palające dumą i przekonaniem.

* * *

Właśnie o tej porze księstwo Kobryńscy i Romuald Dubieński mknęli pośpiesznym pociągami w kierunku Ventimiglii i Wiednia. Opuścili Nizzę nagle, bez pożegnań. Księżę obiecał wprawdzie głównemu swemu wierzycielowi zapłacić w przyszłym tygodniu w Nizzy, ale zmienił postanowienie, zmuszony okolicznościami, i wyjechał. Księżna doznała w ostatnich dniach tyłu moralnych wstrząśnień, popadła w taką wątpliwość o przyszłości i o utrzymaniu swego stanowiska w rodzinie, że obrzydły jej ponęty i pokusy Rivier; nie pożegnawszy nawet Granowskich, nawet Słuszki, wyjechała. Romuald, po zastosowaniu swego ultimatum, po paru wizytach u pani de Sertonville «dla dokładnego zbadania kwestyi», wyjeżdżał również, z fotografią Fernandy w pugilaresie, nienasycony wrażeniami, nie mogąc jednak niczem upozorować dłuższego tutaj pobytu. Powracali więc we troje prosto do Chojnogóry, gdyż dalsza zwłoka była niemożliwa. Zresztą było już za gorąco na Rivierze.

Krótkie wieczyce Kasyna, tarasy, palmy, wieńczące barwne wzgórza montekarlijskie, migały

jeszcze przy zakrętach drogi — coraz dalej. Pociąg grzmiał potężnie w tunelach, wiercących przyładki, to znowu sunął ciszej nad samem morzem, które przychodziło miejscami prawie pod szyny z miłosnym szmerem fal różnobarwnych: przejrzystych błękitem, rudofioletowych na mieliznach, albo klasycznych, ze srebrną pianą na szafirowych wałach. Morze łaskotało, zapraszało, oburzało się wreszcie na odjeżdżających.

Nasi znajomi byli przeważnie posepni: Romuald udawał pogardliwą obojętność, ale zerkał na uciekające wieżycę Kasyna; Władzio był stanowczo ponury i nie chciał patrzeć: wlepił oczy w gazetę bezmyślnie. Księżna Teresa zaś łowiła błękit morza i nieba w swe niewielkie, skromniej błękitne oczy, jakby na zapas, na przyszłość smutniejszą i niewyraźną.

Dopiero po Ventimiglii, na wybrzeżu włoskiem, trochę się rozgadano. Zaczęło się od kilku mimowolnych westchnień, aż westchnienie księżny oblekło się w formę literacką:

— Gdyby można panować nad tym krajem, byłby to raj ziemski!...

— Et! — machnął ręką niecierpliwie Władzio, dzisiaj znowu nerwowo i krnąbrniejszy.

Romuald sprowadził rozmowę na grunt praktyczny:

— Bilet Jerzego się zmarnował.

Tu okazał cztery bilety kolejowe z Nizy do Wiednia, podczas gdy potrzeba było tylko trzech.

Widocznie Jerzy obiecał wyjechać razem, ale się rozmyślił w ostatniej chwili.

— On może nigdy stąd nie wyjedzie? — rzekł gorzko Kobryński.

— Wyjedzie i wróci do nas — odparła księżna z zaufaniem i spokojem.

— Taak. Dużo już obiecywaliśmy sobie po nim. Dużośmy też wskórali.

— Tym razem mam w Bogu nadzieję. Bóg dopuścił zbieg okoliczności, które oddadzą nam Jerzego. Stryj także stanowczo odmówił mu swej pomocy. Prawda, Romciu?

— Mam to wyraźnie od stryja na piśmie. Takich obietnic nie cofa się.

Uderzył się w pugilares, gdzie obok fotografii Fernandy leżał list własnoręczny Tadeusza Dubieńskiego, zawierający stanowczą naganę projektów małżeńskich Jerzego i obietnicę nie wspomagania pieniędzmi zabłąkanego synowca.

— Jerzy taki waryat, — powątpiewał jeszcze Kobryński — że gotów trwać w swych zamiarach. Może pożyczysz tu pieniędzy? może wygra? kto go wie?... Z jego «weną»...

— Wątpię — odpowiedział Romuald, porozumiewając się krótkim uśmiechem z siostrą, która przybrała wyraz swój misterny.

— Jerzy ma talent urządzania sobie sytuacji dramatycznych.

— Dramatycznych... — powtórzył Władzio z przekąsem. — Leci zawsze, gdzie go ciągnie,

a potem napisze wiersz i chce, żeby się nad nim rozrzewniano. Poezja!

— Poeci są na osobnych prawach.

— Dobrze. Ja także zacznę pisać wiersze.

— Zdawałoby się, że zazdrościsz Jerzemu — rzekł Romuald. — Niema czego; on się teraz znajdzie w bardzo trudnem położeniu. Przyszedł czas pokuty.

— Taki zawsze da sobie radę.

Ale rodzeństwo zaczęło naprzemian wyklądać Władziowi, na czem zawisło szczęście człowieka: nie na dogadzaniu zachciankom, lecz na spokoju sumienia. Spokój zaś taki osiągnąć można tylko przez zamiłowanie swych przyrodzonych obowiązków, które są w pracy dla ogółu, przede wszystkim dla ogółu najbliższego, a ten jest w gnieździe, innemi słowy: w Chojnogórze. Praca ma swoje słodczy, swój smak, którego nigdy nie skosztowali ludzie, pozbawieni poczucia obowiązku, a jednak ten «smak zadowolonego sumienia» (wyrazy to były księżny) należy do rzędu rozkoszy. Praca pomnaża też środki materyalne i jedynie pieniądze zarobione, nie zaś pochodzące z jakowejś «weny», są cenne, bo «mała parta do czarta» (to zacytował Romuald). Środki zaś materyalne w ręku cnotliwych i rozumnych są siłą ogromną...

Władzio słuchał najprzód z wytrzeszczonemi oczyma, potem zaczął uśmiechać się niewyraźnie, aż się nareszcie zdrzemnął. Rozmowa trwała je-

szcze chwilę między rodzeństwem, ale ponieważ oboje byli jednego zdania, a nawet przewidywali wzajemnie, co które powie, wkrótce ucichli.

Z rozmyślań obudziło ich zbliżanie się wielkiej stacyi: kilka torów, sznury wagonów, wielkie domy, pałace, w oddaleniu maszty.

— *Genova!* — zawołał konduktor, gdy pociąg stanął.

— Ach! już Genua! westchnęła Terenia. — Nie pożegnaliśmy się nawet z morzem...

Oczy jej zwilżyły się żalem za krajem, w którym choć bankrutuje cnota, żyć tak miło! Romuald zapatrzył się także w szybę wagonu, i twarz mu się rozprężyła, zlągodniała.

— Przypomniałeś mi dziecinne lata, Romciu; tak jakoś wyglądasz... — rzekła Terenia i pocałowała brata.

— Tak, tak, Tereniu. Cokolwiek się mówi, życie nasze jest twarde.

— Ale szczytne — poprawiła niezłomna siostra. Władzio zaś spał już na dobre.

XXXV.

We trzy dni później Jerzy Dubieński opuścił Rivierę. Nie przepadł wprawdzie bez wieści: listem zrozpaczonym oznajmiał pani Annie, że chwycił się ostatecznych środków dla przekonania swej rodziny. Bez tej sankcyi nie ma prawa narażać osoby ukochanej na niepewną przyszłość. Jedzie więc do Rzymu, do Ojca Melchiora, licząc na pomoc tego krewnego i świątobliwego kapłana. Ojciec Melchior może wstawi się listownie do pana Macieja, a także uspokoi sumienie Jerzego, zatrwożone tak bardzo, że nawet kielkuje w nim zamiar wstąpienia do zakonu, gdyby rozterka wewnętrzna i familijna nie dała się inaczej ukoić. Tutaj następowała cytata z dzieła Huysmans'a *En route...*

Wiadomości, zawarte w tym liście, nie spadły na panią Annę jak piorun, lecz raczej jak pożądana jasność dzienna po gorączkowej nocy. Jasność ta oblewała ją wprawdzie wstydem, ale zarazem obudziła w niej dumny gniew i postanowienie.

Poprosiła natychmiast do siebie Fabiusza. Gdy Oleski przeczytał list, spojrział ze zgrozą w oczy Anny, ale napotkał oczy jej suche, palące i pełne już tego przekonania, którego on nabrał oddawna. Mierzyli się tak przez chwilę wzrokiem, bez słów, równi między sobą oburzeniem i pogardą. Tylko te ciemne błyski, skierowane pozornie ku sobie, stosowały się do kogo innego: do człowieka, który im obojgu zabrał i zmarnował szczęście.

— Mam do ciebie ostatnią prośbę, Fabiuszu: odeślij temu panu pierścionek i zażądaj mojego.

— Dobrze.

— A teraz, Fabiuszu, przebac mi...

Wyciągnęła do niego ramiona sztywne, bez słodyczy, poważnie patrząc mu w oczy. Fabiusz zaś brwi podniósł i zapytał z pewną wyniosłością:

— Co mam przebaczyć?

— Żem zapomniała o twem dobrem i szlachetnem przywiązaniu, któreby mogło przecie zmienić się w gorętsze uczucie... nie prawdaż?

— Zmienić się?!... — powtórzył Oleski, ramionami i głową wyrażając wyrzut tak bolesny, że pani Annie twarz zadrgała rozpaczliwym żalem.

— Więc jeszcze gorzej, bom mogła liczyć na wszystko w tobie, a poszłam myślą gdzieindziej.

— Miałś prawo.

— Miałabym, gdyby wybierać mi wypadło

między twojem uczuciem a innym równem... Ale ja wiedziała, że tamten kocha inaczej... i podlej.

— Oskarżasz się, Anno, boś bardzo podniecona. Nie mogłaś wiedzieć.

— Mogłam... wiedziałam. Czułam, że to nikczemnik!

Nerwowa jej energia złała się nagle. Z rozdzierającym płaczem upadła Anna do kolan Fabiusza.

Podniósł ją silnie i posadził na krześle; sam przypadł do jej kolan:

— Uspokój się, Anno! uspokój się, na miłość Boską! Pomówmy... wszak ja żyję... wszak jam ci całym sercem oddany!

— Nie, nie! ja nie chcę! ja nie mogę! jam już ciebie niegodna!

— Poczekajmy — jeszcze kochasz tamtego — poczekajmy, Anno!

— Nienawidzę go!

— A zatem?

— Fabiuszu! Ja ci tego nie wyznam! ja tego nie wymówię!...

— Co?!... więc doszło do...?

Oleski powstał tak sprężyście, że odepchnął Annę, aż się zachwiała. Opuściła głowę, ręką drżącą broniąc się, jakby od blasku, lub od przewidywanego razu; potem zaczęła uporeczywie, zajądło potakiwać:

— Tak, tak... doszło do tego... tak, tak...

Fabiusz załamał ręce:

— Mój Boże! wszelka piękność... wszelka wiara...

...
We dwa tygodnie później Jerzy Dubieński, bawiąc już w Wenecyi (gdyż Ojciec Melchior, coraz słabszy, nie chciał się mieszać do niczego), otrzymał spóźniony i przeadresowany list od Fabiusza Oleskiego następującej treści:

«Mości panie Dubieński!

«Z polecenia i rozkazu pani Anny Oleskiej odsyłam panu zaręczynowy pierścionek i żądam w zamian zwrotu danego przez nią panu. Pani Anna Oleska doszła do przekonania, że zamiary małżeńskie, które między nią a panem powstały, są raczej uwięzieniem zabawnego sezonu w Nizzy, niż postanowieniem, opartem na wzajemnym szacunku i skłonności. Nadto krewna moja poleciła mi panu donieść, że nie zgodziłyby się nigdy być przyczyną popsucia harmonii, istniejącej między panem a jego rodziną, o którą pan widocznie dba najbardziej. Zasady działania rodziny pańskiej są do pewnego użytku doskonale, mianowicie do użytku tejże rodziny; prosimy zatem pozostać przy nich. To, co się u państwa nazywa enotą i obowiązkiem, u zwykłych ludzi zowie się interesem. Jednak to, co pan przeciwstawia zapatrywaniom rodziny w swych buntowniczych przeciwko niej porywach, jest czemś jeszcze dal-
szem od Dobra i Piękną, — nie poezją w każdym

razie. Gdziekolwiek więc pan skieruje swe kroki i zamiary, proszę starannie unikać pani Anny Oleskiej i mnie, który po raz ostatni przemawiam dzisiaj w jej imieniu. Krewna moja powróciła do kraju, aby tam przywdziać ostateczną żałobę i oddać się posłudze bliźnich, jeszcze od niej nieszczęśliwszych; nie zamyśla jednak o wstąpieniu do zakonu, gdyż ma na celu przyrodzone swe obowiązki, nie zaś poetyczne rozrzewnienia nad samą sobą. Ze względu jednak na swe dobro osobiste, o które człowiek nie jest zdolny pozbyć się całkowicie troski, pani Anna Oleska zakazuje panu przeze mnie pisać do siebie lub szukać spotkania. Nadto żąda i wymaga, aby bolesna sprawa zerwania jej zaręczyn doszła do wiadomości świata w tej formie, że ona, dobrowolnie i po namyśle, odmówiła panu swej ręki. Wreszcie oświadcza, że kwituje pana ze wszelkich zobowiązań, do jakichby pan się względem niej poczuwał, oprócz zwykłych i minimalnych wymagań honoru, których, ufa, że pan się nie pozbędzie.

«W tej nadziei i ja żegnam pana, życząc mu zastanawiać się rozważnie w przyszłości nad losem ludzi, przypadkowo od działań pańskich zależnych.

Fabiusz Oleski.

«PS. Adres mój jest na Śląsku... Tam oczekuję przesyłki pierścionka. Odpowiedzi listownej nie spodziewam się».

Po otrzymaniu listu Jerzy wyjechał z Wenecyi. Jak w nim jęczała, gdzie go nosiła burza jego przeznaczeń, nie dowiemy się już dokładnie. Chyba odbłyśki znajdziemy kiedyś w jego poezjach, jeżeli będą ogłoszone, blade błyskawice dalekiej burzy na lekkich chmurach. Według utartego mniemania, błyskawice takie zwiastują pogodę.

Riviera wyludnia się w lecie, jak scena po przedstawieniu; nikną kosztowne dekoracje, aktorowie rozpierzchają się. W tym roku jednak to zwijanie manatków bardziej niż kiedykolwiek wyglądało na popłoch, przynajmniej w gronie naszych znajomych. Byliśmy świadkami niepyśznego odwrotu książąt Kobryńskich i Romualda; wyjazd Jerzego miał niektóre pozory ucieczki; powrót Oleskich, każdego z osobna, równał się powrotowi po ciężkiej, niezupełnie opanowanej chorobie, do smutnego zdrowia. Nawet Szuska, adzielnny pan Riviery, wyjeżdżał w tym roku znużony i zamyślony; zamiast do Paryża, skierował się prosto przez Warszawę do swej posiadłości wiejskiej. Lekarze winniby z wielką ostrożnością zalecać polskim pacjentom kurację na Rivierze, chyba pani Granowskiej, dla której kąpiele słoneczne są warunkiem istnienia, a inne wpływy nie są zdolne osiągnąć jej stanowiska. Nawet plotki, zwykle przesadne, ostatecznie... gminne, odbijają się od jej wysokich progów. To

też pani Granowska obiecuje sobie powrócić z dziećmi do Nizzy. Gdyby pani de Sertonville bawiła tu w przyszłym sezonie, można będzie stosunki z nią trochę oziębic. Zresztą... zobaczymy.

Kwiat międzynarodowego towarzystwa trochę mniej był zadowolony z tegorocznego pobytu, niż zazwyczaj. Nie mówiąc już o pięknej Fernandzie, której należność do wyższych sfer była w tym roku nadto dyskutowana, — przedstawiciel najlepszej Francji, margrabia d'Anjorant, czuł niesmak po swym pojedynku, z powodu niektórych wieści, rozsiewanych o jego korzystnym przymierzu z Rubensonem... Ale to wszystko da się naprawić... postawą. Przedewszystkiem postawa. Powróci też do Nizzy dlatego, że nigdy nie zmienia swych przyzwyczajęń.

Za d'Anjorant'em podążą Rubensonowie, państwo de Nielles, lady Cosway. Powróci księżna della Robbia, bo zdołała w tym roku z gry opłacić wszystkie tutaj wydatki i wywieźć kapitałik obrotowy. Powróci Schwind, z zegarową dokładnością, dnia 15 grudnia. Nie zabraknie też na Rivierze koronnej pozłoty w osobie księcia Filipa XIII-go. Jego Królewska Wysokość nigdzie tak dobrze się nie czuje, jak w Nizzy i w Venezueli. A do Venezueli wrócić już nie może!...

Zabłyśnie więc Riviera w przyszłym roku

zwykłym blaskiem, nie utraci żadnej ze swych istotnych ozdób.

Tymczasem mieszka tu upał przemożny i niepokojący ludzi, którzy zapóźnili się w tym kraju. Na pustych szosach i ulicach, na białych ścianach domów leży nieublagane, białe światło. Pozamykane główne domy i hotele szerzą martwość po krainie; zaledwie trochę mrowia ożywionego wypelza z kątów na groźne słońce: mężczyźni pod parasolami, nawet konie w słomianych na łbach kapeluszach, podobne do starych Angielek. Nieruchome, natężone i podgniłe leżą w powietrzu wonie, budząc instynktowną obawę chorób zakaźnych. Apetyty i żądze mrą w tej atmosferze, pozostaje jedyna gorączka złota.

Ta jedna może się tu jeszcze żywić, bo dom gry w Montecarlo otwarty nawet podczas największych upałów lata. Czasem liczba grających jest dość znaczna, czasem topnieje do kilkudziesięciu na dzień. W wyludnionym kraju, w pustem i przeważnie zamkniętem mieście, gra tych niedobitków nie jest już wcale zabawą, tylko cyniczną funkcją namiętności, w poacie czoła.

Gracz zrozpaczony wychodzi na puste tarasy Kasyna i patrzy ponuro na martwe, szafirowe morze. Kamienie palą mu stopy, słońce cięży na mózgu, gmachy i ogrody nienawistnie milczą wokoło. Wtedy człowiek ten popada w obłąd:

mniema, że mury te, i ogrody, i morze — to jego serdeczna ojczyzna, z którą rozstać mu się trzeba; że gorączka ta, i łaskotliwa lubość, i szal miniony, a już niedostępny — to życie. I wtedy człowiek ten pożąda śmierci.

XXXVI.

Kto bywał w Chojnogórze i zna poważne wdzięki tej siedziby, zadziwiłby się, znajdując w niej dzisiaj, dość późną nocą, towarzystwo rozbawione, możnaby prawie rzec: lekkomyślne. Jakichś czarów dokonała noc lipcowa, oblewająca wonną świeżością park i taras pałacu. Na tarasie, słabo oświetlonym, trzech mężczyzn rozmawiają głośno przy stole, na którym obok przyrządu do herbaty jest i wino. Góruje głos jeden, już niemłody, ale silny i widocznie wymowny, gdyż budzi zadowoloną aprobację. W parku zaś rozlega się, pomieszany z innymi głosami, wesół szczebiot francuski, autentycznie francuski i tak melodyjnie ujmujący, że każdy pobiegłby w tamtą stronę z ciekawości, jaka tam wabi się wesółą śliczną kobietą.

Ktoby pobiegł, nie zawiódłby się: między Romualdem a Terenią postępowała wistocie bardzo zajmująca postać kobieca, zupełnie nowa w Chojnogórze.

— Estello! — mówiła właśnie księżna — jak

to miło odnaleźć w dopiero co poznanej osobie tyle fibr sympatycznych, tyle duchowego pokrewieństwa!

— Jednak więzy krwi to mocna spójnia — dodał sentencyjonalnie Romuald.

— Jak to powiedziałeś? więzy krwi?... *Oh, ça ne m'étouffe pas!* — zawołała panna Dubieńska — ale jesteście mili ludzie. Romeo! weź mój kapelusz; zasłania mi gwiazdy.

Oddała Romualdowi kapelusz i potrząsnęła żywo lokami, które, modą pierwszego Cesarstwa, spadały z wysokiego uczesania po obu stronach twarzy, czarne jak jej oczy, ruchliwe jak cała zgrabna postać.

— Czy u was są te same gwiazdy? — zapytała, patrząc w niebo.

— Dlaczegożby nie? — rzekł Romuald. — Jesteśmy na tej samej półkuli co Francya i nie tak znowu od niej daleko.

— A, dziękuję. Jechaliśmy bez końca. Papa to przywykł do wędrowek, ale ja pierwszy raz byłam tak długo w wagonie. A ta droga od kolei! Ale wszystko jedno, kraj bardzo zabawny.

— Kraj rodzinny Dubieńskich.

— A prawda, zaczynam go lubić. Kiedy przyjeżdża kuzyn Jerzy?

— Podobno pojutrze — odpowiedział Romuald zimno.

— Już nie pamiętam — włosy ma ciemne?

— Tak.

— A wąsy?

— Także ciemne.

— A oczy takie, jak wy dwoje?

Zywa dziewczyna przy tem zapytaniu mimowolnie pokazała palcami oddalenie oczu, właściwe Dubieńskim.

— Oczy wziął po matce, oczy ma trochę nie nasze — odrzekła księżna z odcieniem dumy, którą Estella wzięła za urazę.

— Jesteś taka ładna! — zawołała, biorąc wpół i całując Terenię. — Pocałujmy się wszyscy! No, Romeo!... — dodała, zbierając loki za ucho i nadstawiając policzek Romualdowi.

Romuald przysunął się blisko do ponętnej twarzy, ale pocałował kuzynkę tylko w rękę.

Tak sprzymierzeni zbliżali się do tarasu, gdzie Tadeusz Dubieński rozprawiał wobec potakującego Macieja i pełnego uszanowania Władzia Kobryńskiego.

Pomimo siwych włosów i brody, twarz dyssała jeszcze młodą siłą, mięśnie jej rysowały się energicznie, a podobieństwo rodzinne było, rzec można, przetłómaczone na obcy język. Tadeusz mówił po francusku, bez namaszczenia, za to z pewnym cynizmem, który cechuje wielkich ludzi, gdy zniżają się do prostoty i swobody. Ujrzawszy córkę wchodzącą na taras, uśmiechnął się do niej z pod brwi, oczyma drapieżnemi i poufałemi, ale opowiadania nie przerwał:

— ...Jak mi więc powiedział, że wojny nie będzie, i że moje kapitały chce zaangażować w Rosyi, pomyślałem odrazu: musi być właśnie przeciwnie. Trzeba znać tych Holendrów. Puściłem wszystkie, jakie miałem, walory rosyjskie, a nabyłem inne... To was nie interesuje; słowem, że zamiana przyniosła mi pół miliona.

— Owszem, owszem, stryju, to bardzo zajmujące, jakie stryj nabył walory — pytał rozpłomieniony Władzio.

— Kochany przyjacielu! nabyłem różne; mam i akcye Kasyna w Montecarlo. Graliśmy z sobą tej wiosny.

— Och, tak... bez różnicy. A od tego Holendra kupił stryj jacht, który widzieliśmy pod Nizzą?

— Tak jest. Ten statek ma już swą historję: zbudowany był dla Filipa XIII, ale że ten nie miał go czem zapłacić, przeszedł w ręce owego bankiera z Amsterdamu. Nazywaliśmy go wtenczas «latającym Holendrem». Kiedy znów bankier się zachwiał, kupiłem jacht od niego i przerobiłem na swój użytek. Nazywa się teraz «Herb Dąb». Przekręcają mi tę nazwę: «Erb Dab, Herb Drab», ale wszystko jedno, niech się nauczą.

— To bardzo pięknie, Tadeuszu — rzekł pan Maciej. — Mamy jednak nadzieję, żeś już zawinął do portu na czas dłuższy, że przywykasz do stałego lądu. Jakże się czujesz w kraju rodzinnym? Serca przynajmniej odnalazłeś niezmienione.

Ze zwykłą powagą, jednak z mniejszym, niż go w rodzinie używał, majestatem, wyciągnął pan Maciej prawicę do stryjecznego brata, a wyrazisty nos drgał mu od wzruszenia. Romuald, Teresa, Kobryński poculi się też w obowiązku raz jeszcze uściskać stryja, którego ściskali już od kilku godzin, od przyjazdu.

Ale Tadeusz w walce z życiem po obcych krajach, utracił przyrodzony wdzięk Dubieńskich równie w stosowaniu zasad, jak w obejściu. Nabral szorstkości i szyderczej swady starego żołnierza. Nie lubił się też rozrzewniać. I teraz skorzystał z nowego wylewu uczuć rodzinnych, aby powiedzieć dobranoc towarzystwu. Nie obeszło się bez paru jeszcze gorących oświadczeń, bez paru dowcipów Tereni. Jeden z nich nie udał się. Widząc, jak wszyscy odprowadzali stryja do jego pokoju: ci ze świecami, tamten z jego kapeluszem w rękę, a sam pan Maciej jak go prowadził pod ramię, niby księdza przy procesyi, Terenia zawołała:

— Prawdziwy powrót *stryja* marnotrawnego!

Nikt nie odpowiedział ani słowem, ani śmiechem; nawet pan Maciej spojrział na córkę rozszereżonemi oczyma.

Sen, przychodzący zazwyczaj na zawołanie w Chojnogórze, sen spokojnych sumień, dzisiaj także musiał zaczekać z powodu wyjątkowego zamieszania i święta. O północy nie spała jeszcze panna Paulina, choć dawno już poszła do swego

pokoju, bojąc się nocnego chłodu. Czekala na Terenię, która obiecała przyjść na rozmowę z ciotką, na podzielenie się pierwszymi wrażeniami. Jakoż zjawila się w szlafroku niebieskim, powiewnym, figlarnym, ukrywającym skarby wdzięków i serca, gotowe jednak do wynurzeń.

Ciotka Paulina była gorzej ubrana, a także gorzej usposobiona od Tereni.

— Wytłómaczcież mi, co wy upatrujecie w tej Francuzeczce? — rzuca się, kręci, chichocze... ani wielkich manier, ani uszanowania dla starszych. Czegoż tam uczą we francuskich klasztorach?

— Ach, bo ciocia zagniewała się za tę «mumię». Ona nie powiedziała tego o cioci, tylko gdy zobaczyła nieznaną starszą osobę, przyszło jej takie głupie porównanie do głowy, a że to dziecko i bardzo żywe...

— Nie gniewam się, moja Tereniu, za mumię. Stara jestem i mało o to dbam, jak wyglądam. Ale to nie są maniery dla panny Dubieńskiej!... Albo któż tak trzaska fortepianem i nazywa go «muzealnym łomotem»?! Wogóle ten jej śpiew mi się nie podoba. Siedemnastoletnia panna nie powinna takich rzeczy śpiewać, ani tak... he... he... dyszeć.

Ciotka Paulina spróbowała udać namiętny, góraczy głos Estelli, która śpiewała już prawie koncertowo, odziedziczywszy razem z urodą, talent po matce. Terenia roześmiała się:

— Niepodobna, ciociu, mierzyć wszystkich naszą miarą.

— Jednak, kiedy ta panna myśli o wstąpieniu do naszej rodziny, musi być do nas jakoś dobrana.

— Jest przecie córką stryja; nawet podobna do niego.

— Gdzie tam podobna! Zupełnie obca jakaś... Ja zupełnie inaczej wyobrażałam sobie żonę dla Jerzego.

Terenia spoważniała i zaczęła rozwijać przed ciotką swe konsyderacye:

— To dopiero projekt. Zobaczymy, jak się sobie spodobają, a następnie... zobaczymy wiele jeszcze rzeczy. Dotąd papa nie mówił zupełnie otwarcie ze stryjem. Ale za to stryj nie mówi nic takiego, coby było w sprzeczności z tym projektem. Owszem... Wie, ciocia, ile stryj ma majątku?

— No, na przykład?

— Osiem do dziesięciu milionów franków!

— Ee, czyż tyle?

— Z pewnością. A jedyną po nim spadkobierczynią jest Estella. To niby wzgląd mniej idealny, jednak poważny. Dlaczegożby te miliony miały pójść gdzie na bok, do Francji, a nie pozostać w rodzinie? — A przytem «z Dubieńskich Dubieńska» — i to coś warte. Naturalnie, jeżeli panna była ułonna, albo ze złymi instynktami!... Ale to przecie śliczne dziecko, trochę

niesforne, żywe, jednak łatwe do poprowadzenia, gdy się zakocha. A już się kocha w Jerzym, wie ciocia?

— To znają się?

— Prawie nie. Alem zmiarkowała... Zresztą Jerzy jest tak *irrésistible*!

— Przecież Jerzy kocha się w tej wdowie, jest zaręczony.

— To właśnie trudność. Tylko jeżeli przyjeżdża do nas, musiał jakoś to wszystko załatwić. Inaczej tu-by się nie pokazał.

— Dziwni, dziwni teraz ludzie!... Bardzo ciekawam przyszłości.

Zaczęły powtarzać w kółko swe wrażenia o stryju, o Estelli, o wypadkach i o projektach, wyciągając wróżby rozmaite: ciotka pesymistyczne, siostrzenica różowe. Kiedy Terenia przewidywała, że wszystko się zagoi, załagodzi, urządzi, panna Paulina odpowiadała wątpliwie wznosząc ręce:

— Daj Boże! daj Boże!

Powoli jednak wymowa Tereni zaczęła działać na wyobraźnię ciotki, i stara panna z rosnącym zaufaniem jęła się przyglądać ozłoconym obrazom przyszłości:

— Ja nigdzie nie wyjeżdżam. Ty zapewne znasz lepiej świat i ludzi... no, daj Boże.

Gdyby Stwórca Dubieńskich nie przenikał serc, a chciał uważać tylko na słowa modlitwy, nie wiedziałby co ma dać: zadowolenie sumień,

czy pieniądze. Ale Stwórca Dubieńskich wie zapewne, że to jedno i to samo.

Nie spano i w innej części pałacu. Do Romualda, nawpół rozebranego, wszedł szwagier, również w bieli, i usiadł, objawiając chęć do rozmowy.

— Cóż stryj? tęgi?

— Aha.

— Jak się ta bestya trzyma, to zadziwiające! Gada, chodzi jak młody. Gotów się drugi raz ożenić.

— Mój Władziu! poco mówić o strachach po nocy — lepiej mówmy o tem, co jest. Pozwolisz, że ci zwrócę na jedną rzecz uwagę?

— No, co takiego?

— Stryj zgodził się tu przyjechać na wielką i stanowczą radę familijną. Trzeba go ugościć, zachęcić do upodobania kraju, z którego pochodzi, dać mu udział w cieple domowego ogniska, a nie gadać mu ciągle o pieniądzach.

— Któż gada?

— Ty. A to jakie stryj kupił walory? — a ile ten majątek w Normandyi ma przestrzeni na nasze morgi? — a taki dom w Paryżu ile przynosi? Zapewne... dobrze to wiedzieć, ale ciągle dopytywanie się wygląda prawie cynicznie.

Władzio nie obraził się, tylko sposepniał. Po chwili rzekł boleśnie:

— Dobrze to wam, bo w każdym razie zrobicie kapitalny interes, jeżeli który z was ożeni

się z Estellą. Ale jaki stąd zysk dla mnie?... to jest dla Tereni i dla naszych biednych dzieci? Posag jest skromny, moje interesy w nieładzie...

Romuald spojrział na szwagra, jak w kongresie minister wielkiego państwa na przedstawiciela mniejszej potencji, której jednak trzeba dać od-czepne, aby nie brózdziła:

— Czy sądzisz, że nie myśleliśmy o tobie? Jeżeli wszystkie zamiary dojdą pomyślnie do skutku, posag Tereni będzie zaokrąglony w stosunku do powiększenia naszej ogólnej fortuny. Za wcześniej mówić o szczegółach, ale to wchodziło w rachubę.

— A moje długi osobiste?

— Może i na nie znajdzie się rada. Wszystko zależy od toku spraw, bardzo dla nas ważnych, które się właśnie rozpoczęły. Nie trzeba im przeszkadzać. Ty baw tylko stryja, mów mu dobrze o nas, o pieniądzach bądź łaskaw nie wspominać mu wcale. Radzę ci szczerze, w twoim własnym interesie.

Kobryński, nieco ugłaskany, czuł jednak ciągle palące tortury ciekawości.

— Powiedz mi przynajmniej, który z was zamierza starać się o rękę Estelli? Jerzy dotychczas niby zaręczony z Oleską, a o tobie chodzą wieści, że rozpoczęto kroki co do małżeństwa twego z panną Ewą Kostkówną. Więc cóż będzie? Ja się przecie nie mogę ożenić z Estellą, niestety, to jest... oczywiście.

— Trzeba oczekiwać logicznego rozwoju wypadków. Jeszcześmy prawie nie rozmawiali z naszymi gośćmi, jeszcze nie przyjechał Jerzy, a tybys już chciał... A podoba ci się Estella?

— Zdaje się! dziewczyna jak złoto — i na złocie siedzi.

— No, — rzekł Romuald po namyśle — panna Ewa jest także godna uwagi. Dadzą jej w posagu majątek ziemski, graniczący prawie z Chojnogórą — ładny majątek. Ona sama także ładna, i wielkie nazwisko, dobre gniazdo...

— Estella przecie jest Dubieńska!

— No taak...

— Może posądzasz, że nie?

— Mój Władziu! miewasz koncepty takie, że uszy wędzną. Dość spojrzeć na stryja i Estellę, aby się upewnić, że to jedna krew, a przytem jacy do siebie przywiązani! jak się rozumieją! Stryj przyjechał do nas tylko ze względu na przyszłość córki.

— Nie wątpię, że chciałby ostatecznie uregulować tę pozycję.

— Co uregulować?! jaką pozycję?! Teraz ty, przyjaciel i członek rodziny będziesz rozgłaszał plotki?!

— Nie rozgłaszam; mówimy przecie najpoufniej między braćmi.

— Są rzeczy, o których trzeba zapomnieć absolutnie wobec wyższych celów.

— Jakże się to robi, aby zapomnieć?

— Zapomina się i tyle.

Romuald był naprawdę rozdrażniony, Władzio zaś nie życzył sobie wcale tego skutku rozmowy. Począł więc naprawiać swą nierozwagę i zapewniał, że nie ma żadnych uprzedzeń prawnych co do adoptowania własnych dzieci *per subsequens matrimonium*. Estella jest oczywiście rodzoną córką stryja, ma z nim nawet pewne wspólne cechy fizyczne: tak, coś w nosie... nie, ale jakby coś w uśmiechu...

Romuald nie chciał jednak już słuchać.

— Idźmy spać. Muszę być jutro wypoczęty i gotów na ważne rozmowy. A pamiętaj, com ci mówił.

— Dobrze, dobrze.

Książę Kobryński wracał do siebie przez ciemne pokoje, niezadowolony. Zbyt podrzędną grał rolę w tej rodzinie.

— Jedno mam pamiętać, o drugim znów zapomnieć... popychają mną, jak swoim. A wszystko dlatego, że oni mają pieniądze, a ja pecha... Głupstwo palnąłeś, Władziu, żeś się ożenił! Żenić się z Dubieńską, to przynajmniej z Estellą... Albo trzeba było urządzić się niezależnie od tyranii ojca, żony, nawet takiego Romualda. Inne powinien byłem zająć tu stanowisko. Ostatecznie Dubieńscy to prosta szlachta; jestem między nimi trochę jak zabłąkany...

Czasem nerwowe podniecenie nocy budzi w naturach nawet biernych rewolucyjne porywy i lu-

dzące poczucie siły. Władzio, postępując z lichtarzem w rękę, rozebrany do bielizny, przez ciemne pokoje, nie nastraszyłby wprawdzie nikogo, gdyż nie był podobny ani do ducha, ani do bohatera. Ale w głębi wzburzonego jestestwa gotowały się ambicje, projekty reform, nawet nieokreślona chęć do pracy. Przypomniawszy sobie jasno kim jest, i czuł się księciem Kobryńskim. Drogę zastąpili mu przodkowie, zapragnął z nimi pomówić...

Poczucie takich sił nocnej jest tem rozkośniejsze, że działać wypada dopiero jutro, a tymczasem można się przespać.

XXXVII.

Gdyby pan Maciej był pospolitym ojcem, a cała rodzina Dubieńskich pospolitą rodziną, wysliby wszyscy na spotkanie powracającego Jerzego, i scena klasyczna mogłaby się odbyć, w razie sprzyjającej pogody, przed drzwiami domu. Ale rodzina bardzo daleka była od pospolitości, więc i powrót Jerzego do Chojnogóry odbył się inaczej.

Przyjechał w nocy. Wyraźny był zakaz pana Macieja, aby kto, oprócz służby, oczekiwał na jego przybycie. Gdy przestąpił dawno opuszczone progi, zastał tylko kamerdynera, skromną kolację i przygotowany pokój. Jednak Terenia zdołała ukazać się bratu w korytarzu, dramatycznie tkliwa, w niebieskim szlafroku, z włosom rozwianym.

Rzuciła mu się w objęcia i dobrze została przyjęta nawzajem przez Jerzego, który ze sztywnego pozoru uspiętego «gniazda» wyprowadzał wątpliwe wróżby.

— Jurek w Chojnogórze! co za radość!

— Jak się masz, kochana Tereniu! Jeszcze nie śpisz?

— Dla ciebie, Jurku. Z radości usnąć nie mogłam.

— Pocziwa jesteś. A dużo osób śpi pod tym gościnnym dachem?

— Stryj Tadeusz, Estella, wszyscy, wszyscy...

— Jakież humory?

— Dotychczas najlepsze.

— Ale przypuszczasz, że od mego przyjazdu będą gorsze?

— To zależy od usposobienia, w którym ty się znajdujesz.

— Ach! ja tyle wycierpiałem przez dwa miesiące, że... no, wesół być nie mogę.

Terenia, choć pełna otuchy, zajrzała bratu przenikliwie w oczy.

— Ale zrezygnowany... prawda? przywrócony nam, przychodzący dzielić nasze życie?

— Ostatecznie, po wielu walkach wewnętrznych, doszedłem do przekonania, że obejść się bez was nie mogę.

— To pięknie i mądrze, Jurku. Wszyscy od-tąd będziemy szczęśliwi.

— Pięknie, lub niepięknie. Może mnie kto posądzić, że pod wpływem jakiejś rachuby...

— Nie mów tego, Jurku! Jesteś idealistą. Wszystkie twoje pokusy pochodzą ze szlache-tnego idealizmu, który cię jednak często prowa-dził na manowce. Teraz zdobyłeś się na odwagę,

więc wytrwaj. Będziemy zresztą o tem mówili jutro.

— Ach, czy dużo będziemy mówili?... Możeby sam fakt, że przyjechałem, wystarczył?

Jerzy powiedział te słowa głosem dziecka, które się skarży, lub wstydzi. Siostra odczuła to sympatycznie:

— Masz rację; zdaje mi się nawet, że papa będzie wolał... Ja w każdym razie wszystkimi siłami starać się będę, aby cię jak najmniej nudzono.

— Dziękuję ci, Tereniu, ty to rozumiesz.

— No, dobranoc, mój Jurku.

Rozchodząc się cicho w uspionym domu, parę razy skinęli jeszcze do siebie głowami, posyłali sobie oczyma uśmiechy, ustami drobne pocałunki, jak para kochanków po schadzce.

Jerzy spędził niespokojnie resztę nocy, wstał i ubrał się bardzo wczesnie, gotując się do nieuniknionego przejścia, do rozmowy z ojcem. Rozmowę tę przewidywał od dawna i ułożył sobie wstęp do niej. Wydobyl z kufra przedmiot starannie zawinięty, odwinął i zamigotał do światła złożoną blachą w kształcie małej tarczy. Był to ów ryngraf polski, wykupiony z rąk niewiernych w Montecarlo. Jerzy kazał go umiejętnie odświeżyć. Tem wyraźniej zatem widniała Matka Boska Częstochowska nad herbem Nałęcz i data odsieczy Wiedeńskiej; na odwrocie Męka Pańska. Ryngraf przeznaczył Jerzy na upominek dla

ojca, taki niby mały dowód pamięci, z podróży. Przyszła chwila wręczenia podarku. Ale ponieważ ofiarodawca nie był pewien, jak sam zostanie przyjęty, wolał oddać dary przez posły.

Wpatrzył się długo w wizerunek na ryngrafie, jakby udawał się pod opiekę święconej tarczy; potem zawołał służącego, kazał zanieść ryngraf ojcu i zapytać, kiedy może się z nim widzieć.

Pan Maciej nie spał już i natychmiast polecił prosić Jerzego do gabinetu.

Jerzy spostrzegł z daleka, przez drzwi otwarte, ojca siedzącego przy stole, z ręką na ryngrafie. Stwierdził zaraz, że się nie zmienił, że ma ten sam szlafrok i że wygląda potężnie. Gdy się zbliżył, stwierdził nadto, że spojrzenie ojca, choć wyraża namiętną ciekawość, jest przede wszystkim ciężkie do wytrzymania. Przygotowane zdania uwięzły Jerzemu w gardle; przychylił się do ramienia ojcowskiego, dość niezgrabnie, potem wyprostował się i stał, milcząc.

Pierwszy do niego Maciej zwrócił Jowiszowe słowo:

— Co znaczy ta blacha?

— Znalazłem ten ryngraf w poniewierce za granicą i kupiłem z myślą ofiarowania go ojcu.

Pan Maciej oparł ręce o kolana, łokciami skierowanymi na zewnątrz rozszerzył swój majestat, pokiwał nerwowo głową, mlasnął parę razy językiem, aż przemówił:

— Panie Jerzy! chwila jest ważna. Trzeba się dzisiaj pozbyć wszelkich wybiegów, aby się ze mną rozmówić. Nie pomogą tu ani frazesy, ani jakieś podarunki!

Trącił blachę odwrotem ręki, aż zadzwoniła, posuwając się po stole; ale przyszła mu natychmiast rozważa, że przedmiot jest godzien poszanowania, więc go przygarnął; jednak tonu nie zmienił:

— List twój, który otrzymałem w przeszłym tygodniu, jest bardzo pięknie napisany, jednak nie zawiera żadnych stanowczych odpowiedzi na nasze zapytania.

— Zapytania? — zadziwił się Jerzy — nie dostałem żadnego listu, ani zapytań...

— Jednak zapytania moje znasz, bo są niezmiennie. Nazwijmy więc to żądaniem. Jesteś pod pewnym względem dość wyrobiony; zrozumiesz więc, że całe twoje życie przyszłe zależy od postanowień, które teraz poweźmiesz. Ja cofać się nie zwykłem. Jeżeli więc jakikolwiek z twoich zamiarów stoi w sprzeczności z zasadami rodziny naszej, powiedz mi to odrazu. Już czasu niema do namysłu. Wszyscy jesteśmy tu w komplecie i czekamy na twoje zapewnienia. Stryj Tadeusz jest z nami; ja już dziś rękę za niego. Choć późno, dojrzał. Czekamy.

Jerzy ujął czoło dłonią, tłumiąc jakieś burzliwe myśli, czy skrupuły, czy tylko wspomnienia. Gdy odsłonił oczy, spojrzał nareszcie prosto

na ojca, starając się wytrzymać jego wzrok zapalony.

— Wzywa mnie ojciec do rozmowy zupełnie szczerzej ze względu na ważność chwili. Jestem zupełnie szczerzy. Rozumiem, dlaczego ojciec potępiał mój sposób życia, choć nie wiem, czy znał go dokładnie. Rozumiem, że chce mnie zmusić do trybu, który sam wypróbował i uznał za dobry. Ale dlaczego ojciec oparł się stanowczo moim zamiarom małżeńskim, zamiarom uczciwym, chrześcijańskim, naturalnym?...

— Poczekaj. Nie unos się retoryką. Wiesz dobrze, dlaczego się oparł.

— Może źle zgaduję?

— Dobrze zgadujesz. Ten projekt stoi mniej w sprzeczności z zasadami, niż z interesem rodziny. Ale interes rodziny to nie interes kupiecki; może być raczej porównany do *raison d'état*. W tym przypadku jest tak ważny, że wkracza w sferę względów moralnych.

— Ha! może ojciec ma słuszość... Ale obowiązki moralne moje względem pani Oleskiej?

— Nie prowadzi się do ołtarza osoby, z którą się miało romans.

— Ależ, ojcze! tego nie było!

— Kłamiesz, mój kochany. Znam cię dobrze i znam się na tem.

— Jednak jakże ojciec może taki zarzut czynić jej i mnie?!

— Było tak, lub równoznacznie. Mam o tem

lepsze wiadomości, niż się spodziewasz. Powinieneś zaprzeczać i zaprzeczaj. Ale rozmowa nasza dzisiejsza jest wyjątkowa i, daj Boże, ostatnia o tem. Dzisiaj mówimy sobie całą prawdę.

Jerzy patrzył przez chwilę na ojca rozszereżonemi oczyma: «Jednak to człowiek imponujący...» Potem twarz zanurzył w dłonie i usiadł gwałtownie na krześle.

Nastąpiła chwila ciszy, w której milczenia ojca i syna rozmawiały z sobą, co jest, według Maeterlinck'a, najskuteczniejszym sposobem porozumienia się dwóch dusz. Wprawdzie te dwie dusze powiedziały już sobie uprzednio dużo słowami.

Jerzy rozmyślał nad tem, że ojciec ma jednak bardzo wyrobione pojęcia o życiu i o pożytku rodziny; poczuł wyraźnie swój udział w tym pożytku, do którego rady ojca były najkrótszą drogą — może i najlepszą?... Pan Maciej zaś zrozumiał z milczenia syna, że syn jest już nawrócony, że mu tylko ułatwić trzeba dramatyczną chwilę powrotu na łono rodziny. Odezwał się mniejszym głosem:

— Przyczyniłeś nam dużo bóleści.

I urwał. Wtem Jerzy powstał, natchniony:

— Ojcie! Boleść, której byłem przyczyną, gonila za mną wszędzie. Odpychałem od siebie ten wyrzut sumienia, bom zapragnął żyć nowymi pomysłami, stworzyć sobie swój świat i swoje drogi. Ale zawsze słyszałem głos twój, ojcie,

i w gniewie twym nawet bolała mnie twoja boleść. Dla tego uczucia, dla tej czci i miłości, głęboko tkwiących we mnie, poświęciłem ostatecznie wszystkie inne pragnienia — i przychodzę...

Tu Jerzy zbliżył się do ojcowskiego fotelu, pochylony, gotów do zgięcia kolana. Pan Maciej ujął go za oba ramiona.

— I przychodzę... naprawić... powetować przyszłem życiem...

— Zatem przeszłość nie istnieje dla ciebie? — zapytał ojciec, blisko patrząc w oczy syna.

— Oderwana ode mnie...

— To jest: zaręczyny, pierścionki?... bez możliwego powrotu?

— Poświęcam wszystko, wszystko!

— Słowo honoru?

Jerzemu drgnęły nieco powieki opuszczone.

— Słowo honoru.

— Ano, tak mi gadaj! — zagrmiał pan Maciej z głębi piersi i porwał w objęcia korzącego się przed nim syna.

Tylko do ryku lwa można było porównać ten wybuch, w którym dźwięczały tryumf i potęga, a jednak i drapieżna czułość lwa-ojca.

Chwilę trwało rozrzewnienie, bez deklamacyi. Po chwili pan Maciej powstał, położył rękę na ramieniu Jerzego i rzekł:

— No, mój chłopcze, daj mi się ubrać. Chcę cię jak najprędzej zobaczyć na twojem miejscu, w naszym gronie.

Wcześniej niż zazwyczaj dążyli dzisiaj mieszkańcy Chojnogóry na zachodnią werendę pałacu, gdzie z powodu ślicznej pogody przygotowano pierwsze śniadanie.

Na wyprzódki zbiegali się wszyscy, aby powitać Jerzego. Jeszcze przed jego zjawieniem się przyszła panna Paulina i, usiadłszy w fotelu, czekała. Wonne wyziewy śniadania mieszały się z zapachami kozodrzewiu i powojów, przychodzącymi z leniwym powiewem, zwiastunem dziennego upału. Dyskanty ptaków rzucały lekkie melodye staccato na tło równego pomruku maszynki od kawy. Staruszka przejrzała z przyzwyczajenia zastawę stołu: nie brakło ani higienicznego miodu dla papy, ani paluszków z makiem dla Tereni, ani wędliny dla Romcia, ani gin'u dla stryja. Były i owoce. Nie mogła tylko rozstrzygnąć wątpliwości, czy Jerzy pija teraz kawę, czy herbatę, i czy lubi jeszcze, jak dawniej, płaskie ciasteczka z migdałowym zakalcem, zwane «chojnogórkami»?...

— Mój Jurku!...

Wszystkie czułe ciekawości streściły się w tym rozrzuconym wykrzykniku i we łzach się rozplynęły, gdy Jerzy równym krokiem wszedł na werendę i ucałował ręce ciotki. Nim o czemkolwiek zdolali się rozmówić, zjawili się prawie naraz: stryj Tadeusz, Władysław i Romuald.

— Ależ to sielanka! ależ mnie to odmładza! — zaśmiał się stryj, ściskając dłoń Jerzego. — No,

chodź, wypij ojcowskiego gin'u, tegoś jeszcze nie pijał w Chojnogórze.

— Towarzyszu uczt weselszych! — zawołał Kobryński i uściskał szwagra.

Romuald zbliżył się do brata w milczeniu, zawahał się przez chwilę, wreszcie pocałował go symetrycznie w oba policzki, jak się należało.

Wbiegła znowu Terenia, zmierzyla Jerzego oczyma przenikliwej gazeli:

— Już po rozmowie z papą?... no cóż?...
Dzięki Bogu!

I rzuciła się w objęcia brata.

W tej chwili zaś ujrzano we drzwiach od salonu ciekawe czarne oczy i napół otwarte usta Estelli. Główka wychylona świeciła już na werendzie drząc pobocznymi loczkami, a postać jeszcze pozostała w cieniu pokoju; widocznie dziewczyna przyszła szybko i zatrzymała się u progu.

Tadeusz rozpromienił się, ujrawszy córkę. Śliczna była w lekkiej popielatej sukni, przejętej czerwonym paskiem.

— No, chodź tu, frygo! Znasz przecie kuzyna Jerzego?... trzy lata temu, w Paryżu.

Estella weszła układnie, trochę sztywno, co miało oznaczać dobre wychowanie. Przywitała się ze wszystkimi bez zakłopotania, ale i bez uśmiechu. Ucichli jakoś wszyscy naraz, śledząc każdy ruch wchodzącej; Terenia ujęła nawet lornetkę. Aż żywa dziewczyna, porzucając nagle zapożyczoną powagę, odezwała się naturalnie:

— A, no... co wam się stało? milczycie, jak park ostryg!

Panna Paulina ręce wzniosła do góry i błędnym wzrokiem powiodła po zgromadzeniu. Ale Tadeusz ozwał się pierwszy śmiechem, za nim inni. Zwrócił się do Jerzego:

— Widzisz, mój kochany, to nie jest taka zwykła kuzynka, to szmermel, to jest całe w iskrach... A przytem najpoczeiwsze dziecko na świecie.

Przygarnął córkę do siebie, a ta mu spojrziała w oczy potulnie, niemem poruszeniem ust powiedziała coś miłego i z rozhukanego dziecka stała się odrazu ujmującą kobietą.

Jerzy przyglądał się uważnie, jednak bez natarczywości; jednocześnie zaś przestrzegał estetyki swej postaci, wypróbowanej już w sztuce podobania się kobietom.

— Teraz moja kawa! — odezwała się znów Estella pieszczotliwie, głosem niezwykle dźwięcznym, który muzykę podkładał pod najprostsze słowa.

I zasiadła do stołu. Ale trzeba było znowu wstać na powitanie pana Macieja.

Z twarzy patryarchy odgadli wszyscy zwycięstwo i pokój, a zarazem nakaz, aby przyjazd Jerzego traktować jako fakt wesoły, lecz naturalny. Zadowolenie swe pan Maciej wyrażał tylko przez wzniesioną temperaturę duchową: łaskawość jego była cieplejsza, godność wspanialsza;

zakwitł na nowo w atmosferze tego radosnego poranka. Niósł w ręku przywieziony przez Jerzego ryngraf. Oddał najprzód każdemu należne powitanie ze zdwojonym wdziękiem; Tadeusza przytrzymał za ramiona w fotelu słomianym z płaskimi poduszeczkami, w «fotelu papy», który stryj bez namysłu zajął. (Pan Maciej miał w całym domu swe uświęcone i nietykalne miejsca.)

— Siedź, proszę cię, Tadeuszu; wszystkie miejsca są tu dla ciebie, w domu i w sercach.

Okazał potem towarzystwu podarek Jerzego, chwając przedmiot i zamiar, oceniając rzadkość wypadku, że nasz uświęcony zabytek znalazł się na sprzedaż w krajach tak dalekich.

— Ja tam raz znalazłem u antykwaryusza swoją własną miniaturę, ofiarowaną uprzednio... przyjacielowi. Była wprawdzie oprawna w złote pudelko — oświadczył stryj Tadeusz.

Pan Maciej przechylił głowę na bok i rzekł delikatnie:

— To nie to samo...

— To co innego, stryju!

— Nie, stryju, to nie to samo...

— Jak wam się podoba, moi drodzy... Wyborną dajecie tu kawę.

XXXVIII.

Upłynęło od tych wypadków dziesięć dni czarodziejskich. Dobry jakiś urok padł na Chojnogórę i przemienił usposobienia jej mieszkańców, nastroił do harmonii ich ideały, przeczarował całą atmosferę. Pan Maciej stał się pobłażliwym; pan Tadeusz kochał się we wsi polskiej; dowcip Tereni trochę przycichł; Władzio znalazł dobrą partyę w pikietę ze stryjem, który grał nieuważnie i przegrywał. Romuald zbliżył się do Jerzego, zawarł z nim nawet domniemany traktat, zapewniający obu braciom osobne i niesprzeczne udziały w wielkich widokach na przyszłość. Ponieważ zaś i panna Paulina zaczęła stwierdzać zba wienny wpływ Chojnogóry na charakter Estelli, wszyscy byli zadowoleni. Takie niezamącone harmonie między członkami dość licznej rodziny, że są rzadkie i przelotne, dodawać nie potrzeba.

Najtrudniej było określić, jak się czuje w nowem życiu Jerzy. Poeta!... ten zawód jest z natury swej pełen tajemnic. Można było zmiarkować po niektórych słowach, postawach i błyskach

twarży Jerzego, że pije tutaj balsamy, które wkrótce bogatą jego duszę uzdrowią: odbywał kurację balsamów. Często, gdy wieczór złocił niebo, a dzwony gdzieś biły na Anioł Pański, a woda gdzieś szemrała w młyńskich zastawach, a żaby... ale nas to nie doprowadzi do jasnego zrozumienia, co właściwie działo się w duszy Jerzego. On był poetą zupełnie nowego gatunku. Teraz te wszystkie kojące zjawiska przyrody może nie zdołałyby odgoryczyć jego zatrutego serca, gdyby na ich tle nie stanęła nowa i nader zajmująca postać Estelli. Estella miała jedną wadę: była nie tylko dozwolonym, ale nawet niejako wskazanym Jerzemu przez rodzinę celem życia i zapalów. Z drugiej zaś strony była tak ponętna sama przez się, że dramat poświęcenia dla niej dawniejszych uczuć i pragnień stawał się łatwym, następnie porywającym, a wreszcie i zupełnie poetycznym.

Estella śpiewa. Fortepian sprowadzono nowy z miasta dla zastąpienia «muzealnego łomotu». Jerzy słucha, patrzy i rozumie, że kobieta, mająca głos tak dźwięczny i gorący, musi mieć i piękną duszę.

— Słuchałbym cię tak całe życie.

— A nie! i ty musisz mi śpiewać, jeżeli już mowa o całym życiu.

Nie pierwszy to raz Jerzy zadawał sobie w duchu pytanie, jakiego tonu ma użyć w rozmowach z piękną kuzynką: czy zalecać się do

niej żartobliwie, grać na półsłówkach, na dwuznacznikach, czy też mówić o uczuciach wzniosłych i demonicznych. Z Estellą próbował już trochę obu sposobów, i oba nie dopisywały mu tak, jak zazwyczaj. Musiał się nawet dobrze pilnować, aby dorównać werwie kuzynki, która każde słowo skierowane do niej odrzucała wprawnie i łatwo, zarówno drobną pilkę żartu, jak wielki balon, napełniony mglistym uczuciem. Czasami nawet balon pękał ku uciechu Estelli, a z mniejszym zadowoleniem Jerzego. Ale te drobne niepowodzenia taktyczne bynajmniej go nie zrażały, owszem budziły w nim coraz szerszy zapal do podboju.

— Jakaś ty nowa, Stelli! Czy giest, czy słowo, wszystko nowe w tobie. Tyle mam wspomnień, a nigdy nie przywodzisz mi na myśl porównań.

— *Oh! pas de comparaisons! je vous en prie, Yourkou!*

Mieli już nazwy dla siebie udzielne: on jej mówił: «Stelli»; ona w rozmowie, oczywiście francuskiej, nazywała go po polsku: «Jurku».

— Właśnie mówię, że cię nie równam z nikim. A jednak zdaje mi się, że cię znam od dawna; jest coś blizkiego w tobie.

— Związki krwi, jak deklamuje Romuald.

— Coś więcej. Zresztą jam do rodziny nie podobny, ani ty także; więc jeżeli istnieje między nami coś takiego, jest tylko nam obojgu właściwe.

Estella już znowu brząkała akordy na fortepianie, nie chcąc się widocznie zapuszczać w metafizykę związków takich lub owakich. Ale myśl jej, zajęta przedmiotem, dążyła swojemi drogami do wniosków, szybko, po kobiecemu. Zwróciła się żywo do Jerzego:

— Słuchaj, Jurku: gdzie my będziemy mieszkali?

Jerzy uśmiechnął się rozkosznie. Projekt małżeństwa, choć wszystkim wiadomy, choć wiszący, jak zapach w powietrzu, nie był dotychczas przez młodą parę sformułowany. Nagły zwrot Estelli *ad rem* uradował Jerzego, dowodził mu bowiem, że dziewczyna myśli o nim, a nadto, że jego sposoby przypodobania się, choć nie zawsze efektowne, są na ogół skuteczne. Odpowiedział skwapliwie:

— Mieszkać będziemy gdzie tylko zechce twój ojciec, a przedewszystkiem ty.

— Naprawdę? Nie w Chojnogórze?

— Nigdy! Ja tu oddawna nie bywam.

— I naprawdę nie jesteś do nich podobny?

— Sama osądź.

Spojrzeli sobie zbliżka w oczy. Twarz Estelli powlekła się bledością i wyraziła namiętny pęd do zapalających się szybko w główce zamiarów. Ten pęd odrazu stał się potokiem słów gorących:

— Więc pojedziemy jesienią do Biarrits.

— Z prawdziwą rozkoszą.

— A potem trochę do Paryża, do papy. Potem na Riviérę.

— Jak rozkażesz.

— Albo... pojedziemy odrazu przez Kair do Indyi.

— Oddawna tam się wybieram. Cóż dopiero z tobą, Stelli!

— A nie chciałbyś polować na lwy?

— Jak to? także razem?

— Naturalnie. Ja umiem strzelać.

— Dobrze więc. Tylko... nie powiedzieliśmy sobie jeszcze jakim prawem we dwoje podróżować będziemy...

— A prawda! — zaśmiała się ponętnie Estella. Odwróciła się do fortepianu i znów zaczęła śpiewać.

Jerzy siedział bardzo blisko przy niej. Mrok zapadał klasyczny. I stało się, że się melodia urwała, że śmiechy zniżyły się do gorących szeptów, a Estella skłoniła posłuszną głowę na ramię Jerzego.

— Jeszcze, Jurku, jeszcze...

Opiekuńcze duchy Chojnogórskie uśmiechały się do tych zalotów, otaczały je cichem, przychylnem współnictwem. Gdy jednak porozumienie się dwojga młodych przybrało charakter zbyt poetyczny, troskliwe duchy zatrzepotały skrzydłami, zlatywały się po dwa, po trzy lub wszystkie razem, na narady. Wkrótce wynikła następująca stanowcza rozmowa.

Stryj Tadeusz znalazł się z Jerzym w parku, w miejscu ocienionem i zacisznem.

— No, Jerzy, nic mi jakoś nie mówiłeś dotychczas o swych sprawach sercowych.

Jerzy oczyma i ustami wykonał taką jakąś gamę zadziwień, tłumionych boleści, uśmiechów do słońca, że nawet stryj, znawca serc ludzkich i rodzinnych, nic nie zrozumiał.

— Cóż? nie chcesz ze mną gadać? Powinienbyś wiedzieć, że my dwaj możemy z sobą rozmawiać swobodnie. Jam dużo przeżył i dużo rozumiem; ty jesteś najzdolniejszy z młodego pokolenia.

— Mam też do stryja nieograniczone zaufanie.

— A więc...

— Więc poszedłem za jego radą, daną mi wówczas na jachcie przed odjazdem z Nizzy.

— Poszedłeś?... hm... Opowiedz mi to trochę bardziej szczegółowo.

— Błąkałem się po świecie... walczyłem z porywami, które po namyśle uznałem za niewczesne i nie do urzeczywistnienia. Ale odkąd przeżyłem swoje uprzedzenia i wszedłem znowu w ten dom, opromieniony teraz jakby nową zorzą, czuję się tak dziwnie... tak mi jakoś młodo i zdrowo na sercu.

Stryj Tadeusz patrzył na Jerzego z uśmiechem przyjaznym; dawał głową i oczyma lekkie znaki potakujące, wesole, trochę ironiczne. Aż przerwał mu wymowę:

— Mój kochany, przywykłeś rozmawiać z kobietami; nieźle mówisz. Ale ja, widzisz, jestem stary praktyk i wiem, że o rzeczach prostych najlepiej mówić po prostu.

— Słucham stryja — rzekł Jerzy ceremonialnie.

— Nie potrzebujesz przystępować do mnie jak do ołtarza, ani jak do sędziego, ani jak do ojca. Jestem poprostu twym przyjacielem i mam ci do przedstawienia układ, który nas obu żywo obchodzi. Ale nim się porozumiemy, pozwolisz, że ci postawię kilka pytań. Najprzód: jak zakończyłeś swe obrachunki z wdową?

— Ona sama zerwała.

— Tem lepiej. A nie starałeś się odtąd o nawiązanie z nią stosunków?

— Nie mogłem nawet. Rozstaliśmy się ostatecznie.

Stryj wpatrzył się przez chwilę w Jerzego i doznał zadowolenia z przeglądu jego twarzy. Nabral humoru.

— No, a cóżeś począł z całym twym serajem? Piękna Fernanda dużo ci kosztowała?

— Nic wcale, stryju. Przegrała mi kilka tysięcy franków w ruletę, to wszystko.

— E?... Zawsze tam jakieś upominki, kwiaty?...

— Tak, trochę kwiatów.

— Toś ewik, mój chłopcze. A pani de Nielles?

— Pani de Nielles?!

— Mówiono mi, żeś i ją sprowadzał do jakiejś kryjówki w Monte Carlo.

— Ani mi się śniło. Najprzód, nieladna.

— Owszem, ładna kobietka z rodzaju nerwowych, z odmiany tych, które stworzone są na brunetki, a wykończone na blondynki... Więc nie? A tamta dawna... jak-że się nazywała?... Karolina, zda się?

Jerzy zmarszczył się i oczy przymrużył, jakby się wpatrzył w coś bardzo oddalonego. Potem niby westchnął, niby coś przełknął i pokiwał głową z rezygnacją. Tadeusz rzekł szorstko i poufale:

— Ej, przyznaj się, że nie wiesz, co się z nią stało.

Po krótkim namyśle Jerzy zaśmiał się serdecznie.

— Ze stryjem to warto gadać!

— A widzisz. Teraz jednak posłyszysz trochę morałów — o! nie z tych, którymi ci tutaj karmi od dziecka — morały moje są natury praktycznej.

— Wszystko, co stryj mówi i radzi, trafia mi do przekonania.

— A zatem — czas, mój chłopcze, abyś swój sposób życia uregulował, pomyślał o pożytku, nietylko o przyjemności. Czas się żenić.

Jerzy doznał olśnienia. Rada niezależnego od rodziny stryja była identyczna z zasadniczymi pomysłami reszty rodziny, dogadzała przytem

wszystkim na teraz pragnieniom Jerzego. Różne i sprzeczne dotychczas aspiracje rozmaitych Dubieńskich kojarzyły się w jednym płomieniu. Wynikała stąd wzniosła synteza, cudowny akord.

— Zenić się mógłbym z jedną tylko osobą, stryju. Żałuję, że jej nie spotkał wcześniej, przed oplakanemi zboczeniami ostatnich czasów. Dla tej jednej mógłbym poświęcić nie tylko wszystkie przyzwyczajenia i wspomnienia, lecz i całe życie.

— Wiesz, Jerzy, — rzekł Tadeusz z błyskiem w oczach tak głębokim, że aż stawał się ponurym — wiesz, że w bardzo ważnych chwilach życia trzeba być zupełnie uczciwym. Mówisz więc teraz bezwarunkową prawdę — co?

— Stanowczo tak.

— No, to żeń się z Estellą... Bez rozrzewnienia!... Nie lubię tego waszego sposobu całowania po rękach... O tak! uściskajmy się i dosyć. Mam ci jeszcze trochę do powiedzenia.

Umilkł na chwilę i opanował mimowolne wzruszenie. Odezwał się potem, siadając na ławce i pociągając za sobą Jerzego:

— Nie wymyśliłszy nic nowego, bo wiesz zapewne, że projekt istnieje od wczesnej wiosny. Prosił o to Maciej w swych listach; ja już dawniej o tem myślałem. Układ taki jest wskazany przez wszystkie nasze wspólne interesy.

Więc projekt dojrzał tylko. Porozumiewać się obecnie o posagu, o spadku po mnie — byłoby niesmacznie. Nie doznasz tu zawodów, mój panie... zięciu. Muszę jednak cię uprzedzić, że ta dziewczyna jest mojem prawdziwem bogactwem, o które dbam więcej, niż o cały majątek.

— Któżby tego nie rozumiał, kochany stryju!

— Wystrzegalem się wogóle gorących przywiązań, ale Estella stanowi wyjątek: jest całem szczęściem mego późnego wieku. Dbam więc o to bardzo, aby była szczęśliwa.

— Wszystkie starania, stryju, jakie są w mojej mocy...

— Kochany Jerzy! zapewnienia na daleką przyszłość są wogóle kruche. Ale ludzie rozumni dobrze obliczają przyszłość i wnioskuja o niej trafnie. Więc zabierając się do jakiegoś zawodu, czy nowego życia, można się obliczyć. Naprzykład trzeba będzie trzymać się Estelli bardzo wyłączenie. To kobieta dumna i burzliwa — urwać się może łatwo z rozluźnionego łańcucha. A pragnę dla niej spokojnego życia... No — i tobie nie byłoby przyjemne...

— Zdaje mi się, stryju, że nic nie stanie na zawadzie najściślejszemu między nami porozumieniu.

— Mam nadzieję. Zastrzegam jeszcze jedno: pragnę widywać córkę często.

— I ona mówi zawsze o tem. Ja zaś serdecznie chcę tego samego.

— Jeżeli zamieszkacie w Paryżu, renta posagowa będzie zdwojona.

— Nie potrzeba mi, stryju, tej przynęty.

— Nie zaszkodzi.

Z wyżyn moralnych rozmowa coraz bardziej spadała do matematyki i nauk ścisłych.

XXXIX.

Zbiory z pól w Chojnogórze dokonane. Nigdy tylu stert nie postawiono na bujnych ścierniskach, po których pasą się tysiące owiec, plamiąc płowe przestrzenie tłusto falującymi kupami dobytku. Łąki zazieleniły się bogatym potrawem między gęstymi stogami siana z pierwszego zbioru. Przezorni ekonomowie już krają gdzieś gdzie ściernie dwuskibowymi pługami, przygotowując ziemię do przyszłych plonów. Niby błogosławione trzody Labana, Jakóba... niby pożyteczne piękności georgik Wirgiliusza...

Ścieżyną między polami powraca z przechadzki towarzystwo pałacowe. Idzie ordynkiem, według najzdrowszych zasad.

Przodem kroczą dwaj patryarchowie: Maciej i Tadeusz. Nie mają sobie już nic prawie do powiedzenia: dokonali głównych zadań żywota i trawia rozkosznie swe zadowolenie. Jerzy zaręczony z Estellą, Romuald z Ewą Kostkową. Sprawa ordynacyi na najlepszej drodze: cała Chojnogóra

i kapitały pana Macieja staną się udziałem starszej linii Dubieńskich, od Macieja i Romualda idącej, da Bóg, w setne pokolenia. Młodsza linia Tadeusza zaczerpnie swe soki w fortunie tego ostatniego, przechodzącej niepodzielnie na Jerzego i Estelle, rozwinie się za granicą i powróci, da Bóg, do rodzinnego kraju. Wszystkie te idealne urządzenia przeszły już ze sfery pobożnych życzeń w dziedzinę faktów, są obwarowane należnymi aktami i pieczęciami. Tryumf zatem na obliczach dwóch protoplastów nie jest ulotnem oświeceniem, lecz trwałą aureolą w rodzaju gloryi, wieńczącej głowy wybranych Pańskich.

Ponieważ dróżka polna jest wązka i wydeptana w brózdy, reszta towarzystwa postępuje parami, i małżeństwo Kobryńskich zmuszone jest deptać też w parze; Terenia, bardziej Dubieńska, odczuwa ogólny błogi nastrój; Władzio, nie dorosły do ideałów, doznaje jednak zadowolenia z niektórych ułatwień, które mu poczyniono.

— Cudownie w tym roku w Chojnogórze! — mówi Terenia do męża: — aż żal, że tylko jeden rok taki być może. Czy kiedy w przyszłości zbierzemy się tutaj w tej pogodzie ducha i ziemi?

— Jeżeli dotrzymają obietnic — rzekł cicho Władzio — i wszystko popłaca, będzie nam dobrze i gdzieindziej. Tamtych gałganów zagranicznych uregulowali, ale jest tutaj kilku pilnych... Poczekaj... 8,000 rubli żydowi z Siedlec. Ten najgorszy. 3,000 temu drugiemu...

— Wstydź się, Władziu, mówić ciągle o pieniądzach!

— Wam to łatwo kobietom: dostajecie wszystko gotowe. Ale my musimy ciężko pracować, przynajmniej głową.

— Dziecko z ciebie, mój Władziu.

— Dziecko, czy nie, miałem rok fatalny.

— Nic mi nie mów złego o tym roku błogosławionym.

— No, ja nie mówię; wszystko się teraz jakoś urządzi.

Panna Paulina, jeszcze krzepka, dotrzymała kroku Romualdowi w trzeciej parze. Była zachwycona panną Ewą Kostkówną, narzeczoną Romualda.

— Bierzesz prawdziwą perłę, Romciu: cicha, spokojna, bardzo dużo wdzięku, tego dobrego wdzięku, który rzadko już się widuje. Podobna do swej babki; sławnie była piękna jej babka, Koniecpolska.

Czy panna Ewa przypominała babkę, trudno było już stwierdzić, ale choć zaledwie minęła dwudziesty rok i rysy miała regularne, było coś zwiedłego w jej postaci, we włosach rudopłowych i w twarzy białej, z lekka piegowanej. Za to dynstykeya nie pozostawiała nic do życzenia.

— Żeby ciocia wiedziała, jak Ewunia umie się znaleźć w każdym przypadku! Kazała mi do siebie pisywać na ręce swej matki, której także

moje odpowiedzi pokazuje. To hamuje trochę... ale jak wysoko ją stawia w mej opinii!

— Tak, Romciu, będziesz miał idealną żonę.

— Chciałem właśnie powiedzieć, że na żony należy inne brać kobiety, niż... naprzykład wszystkie te kobiety Jerzego. To błyskotliwe, upajające, ale, zamiast pomocy w życiu, tylko troska i niebezpieczeństwo.

Panna Paulina nie mogła być innego zdania; jednak wtrąciła niepewnie:

— Masz zupełną słuszność, ale znowu Jerzy... Są ludzie na świecie, którzy koniecznie potrzebują rozkoszy.

— Któż jej nie potrzebuje, ciociu? Ale trzeba ją umieć znaleźć w zupełnym spokoju sumienia i zgodzie z zasadami.

— Święta prawda, Romciu. Ty rzeczywiście stworzony jesteś na głowę naszej rodziny.

— Czuję w sobie to powołanie, i Ewa to rozumie.

Ścieżka dochodziła do młyńskiego stawu i szła dalej groblą, której stok od strony wody ogarnęła gęsta leszczyna. Wybijałe gałęzie głąskały pochlebnie po ubraniu przechodzące pałacowe towarzystwo. Gdy doszli do młyna, wesoły szum wody i trajkotanie żaren zajęło wszystkich i zatrzymało. Ktoś też zaproponował, aby poczekać na Jerzego i Estellę, którzy szli w ostatniej parze i nie wynurzyli się jeszcze z zakrętu drogi, ocienionego leszczyną. Tymczasem paru młynar-

czyków, ubielonych mąką, zbliżyło się w celu ucałowania rąk władców tych włości i dostatków. Wykonali to delikatnie i ostrożnie, ze względu na sypiącą się z ich ubrań i twarzy mąkę.

— Niech będzie pochwalony!

— Trzeba zawsze dodawać: Jezus Chrystus. Koniecznie trzeba dodawać — rzekł poważnie pan Maciej.

A Estella z Jerzym, opóźnieni na zielonym końcu pochodu, idą weselnie w ozłoceniu słonecznym. Ona zebrała całe snopy kwiatów polnych i łąkowych, on jej pomaga nieść je do domu. Postać jej, trochę obca wsi polskiej, stylizuje krajobraz, dając mu pozory tej scenki z początku XIX wieku, w której dziewczę wysoko uczesane, w wielkim nakształt wydętego żagla kapeluszu, w sukni z krótkim stanem, słucha czułych wyznań ułana, jadącego na wojnę. Jerzy nieźle udaje rycerza, tylko zamiast jechać na jakąkolwiek wojnę, właśnie powrócił. Oboje czują się źródłem i środkiem tego szczęścia, które promienieje, tego bogactwa, które się dokoła roztacza. A przytem, mają najmiłsze między sobą sprawy.

— Gdym cię pierwszy raz zobaczył w Paryżu, Stelli, miałem nagle przecucie tej bezwzględnej sympatii, która jest podstawą wielkich i trwałych uczuć. Byłaś zupełnie dzieckiem, jednak już takim, że można było odgadnąć ten dzisiejszy kwiat, tę gwiazdkę.

— A ja nie pamiętam dobrze twojej wizyty. Przyjechałam z klasztoru na wakacje i dostałam... poczekaj... broszkę ze szmaragdem. Czy to było wtedy?

— Tego nie wiem.

— A teraz w Chojnogórze, chcesz wiedzieć, co mi się w tobie odrazu podobało?

— O, powiedz, Stelli, powiedz!

— Sposób noszenia surduta. Nosisz go, jak d'Anjorant.

Jerzy stwierdził bystrość oka swej narzeczonej, gdyż naśladował sposób ubierania się margrabiego, ale oświadczenie niezupełnie go zadowoliło.

— To są drobnostki, Stelli. Pragnąłbym cię zająć bardziej moją... istotą wewnętrzną.

— To na później.

Chociaż ten ułamek rozmowy nie był sam przez się poetyczny, mnóstwo było poezyi dookoła: na polach złotych, na łąkach zielonych i w sercach obojga młodych. Słowa bowiem są czasem nieodpowiednie do nastroju, czasem znowu bywają zdradliwe, jak dzieci źle wychowane, i wyrrywają się niepotrzebnie.

Znowu górowała w rozmowie nuta podniosła:

— A jeżeli będziemy zimowali w Paryżu. musimy koniecznie mieć swoją łóżę w operze. Ty nie możesz żyć bez muzyki, Stelli. Będziemy też urządzali posłuchania muzyczne u siebie.

— Tak, tak, Jurku.

— Dużo artystów, pisarzy... Zapraszać będziemy i Polaków paryskich. Trzeba coś robić dla kraju.

— Jak chcesz, Jurku.

— Ty się przecie także poczuwasz, Stelli, do narodowości swego ojca. Ja, cokolwiek mam zamiar przedsięwziąć w przyszłości, opierać się będę zawsze na zasadach narodowych i chrześcijańskich.

Estella spojrzała z pod oka na Jerzego.

— Mówisz, jak twój stary.

— No... on ma często słuszność.

Do rozmawiających narzeczonych dolatywał coraz wyraźniej turkot młyna i ożywał ciszę pełną pulsem, bijącym porządnie i pożytecznie. Jerzy zwrócił rozmowę na ten przedmiot:

— Lubię od dzieciństwa nasz młyn. To niby bijące serce naszych włości.

— Serce?! — zaśmiała się Estella: — chyba żołądek?

Jerzego zastanowiła tak bardzo uwaga narzeczonej, że aż się zatrzymał, popatrzył na nią i otworzył usta:

— Wiesz, Stelli, że ty masz talent literacki.

— Gdzie tam! tylko zdrowy rozsądek. Lubię nazywać rzeczy po imieniu.

Jerzy zamilkł i rozważał w sobie, że liczyć mu się wypadnie z przenikliwością przyszłej żony. Ale go to nie trwożyło, bo grzechy jego prze-

szłości były jawne i estetyczne, a na przyszłość miał same tylko zamiary pogodne. Śliczna kobieta, dużo pieniędzy... reszta dodana mu będzie.

— Stelli moja!

Leszczyna przy stawie młyńskim odgradzała młodą parę od oczu reszty towarzystwa. Wstawały wieczorne wonie krzewów i roślin wodnych, tonących w cichej, zaledwie ruchomej fali; wodę całowały w przelocie jaskółki. I usta narzeczonych połączyła konieczność wynikająca z tej świeżości, z tej ciszy, z tej przemożnej namowy przyrody. Estella nie mówiła nic, tylko Jerzy przerywał pocałunki słowami bez wyboru:

— Najśłodsza moja... dziewczynko... gwiazdko szczęśliwa... Stelli... żono duszy mojej!...

Przy ostatnich wyrazach drgnął i puścił z objęć kibić Estelli, jakby posłyszał jakiś szmer płoszący, który płynął z bardzo daleka, zbliżył się nagle i trącił go. Ona odsunęła się od niego z pewnym niepokojem:

— Dlaczego zadrżałeś?

Jerzy miał przez chwilę oczy dziwne, uciekające do wspomnień, ale je zwrócił natychmiast miłośnie do kobiety, która stała przy nim i była ostatecznym celem jego nawróconego życia. Tę pocałował raz jeszcze, poczem przywołał pierwszy do porządku rozegrane uczucia:

— Czas nam do ojców naszych.

Ojcowie stali jeszcze przy młynie z resztą

towarzystwa. Gdy doczekali się narzeczonych, ruszyli w dalszy pochód, tym samym parzystym orszakiem: na czele dwaj patryarchowie, dalej małżeństwo Kobryńskich, Romuald z ciotką Pauliną, Jerzy z Estellą. Orszak wyginał się po skrętach i falach wąskiej ścieżki, a nawet gdy wszedł na wielką drogę, sadzoną drzewami, pozostał w tym samym układzie. Wywoływał niskie ukłony napotkanych kmieci, niby jakaś ciągnąca procesja. Ozdabiał rytmicznie krajobraz, i tylko barwnych strojów staroświeckich brakowało mu do pozoru klasycznego poloneza. «Patrzcie, patrzcie, młodzi!...»

Zapadli w milczenie, dochodząc do pałacu, który wydawał się większym i wytworniejszym w zlagodzonem świetle wieczornem.

Gdy doszli do drzwi głównych, stanęli i odwrócili się wszyscy do wspaniałego widoku na rzekę, drogę i pola, który między kunsztownymi sadzeniami parku uciekał w dal perspektywą coraz bardziej rozwartą. Słońce, zbliżając się do horyzontu, nurzało się w opalowym pyle, który podnosiły stada wracające na nocleg. Na wierzchołkach drzew słońce wyróżniało najbardziej złote kępy liści, zwiastujące zbliżanie się jesieni. Pełno było złota na dalekich rozległych ścierniskach i blisko, na iskrzącej się bogato blade palacowego dachu.

Ciągnące stada wyglądały syte, zadowolone

z dnia i łakome rozkosznego spoczynku. I oblicza panów tej ziemi, ozłoczone zorzą zachodnią, dyszały zadowoleniem sumień i apetytów.

Pod złotem słońcem, myśli ich, i humory, i kraj cały, i niebo — były złote.

KONIEC.



57368